

PRZESTRZEN

- 2 Na poddaszu
- 4 *Pracownia na Piastowskiej: kolebka buddyzmu zen w Polsce*, Jan Sar, Bolesław Rok, Bogusław Tracz, Andrzej Urbanowicz, Urszula Broll-Urbanowicz, Leopold Lisicki, Maria Mazur, Hieronim Lis, Jimin Anna Klegon, Ryszard Ratajczak
- 25 *Wileński rodowód i rogata dusza*, Jacek Dobrowolski
- 32 *Jest takie miejsce*, o. Jan Bereza
- 36 *Moje duchowe poszukiwania*, Leopold Lisicki
- 37 *W poszukiwaniu drogi*, Włodzisław Duch
- 46 *List „Trzy filary czego?”*, Andrzej Urbanowicz
- 60 *Podziemne poddasze*, Jerzy Illg
- 76 *Kamieńczyk 1975*, Anna Jedynak
- 78 *Alchemia na Piastowskiej*, Joanna Lasota Eisenstein
- 81 *Na planecie ciszy*, Wojciech Eichelberger
- 83 *W ciszy, w bezruchu*, roshi Reiko Maria Moneta Malewska
- 85 *Pustka bez Boga*, Krzysztof Lewandowski
- 87 *Do końca oczu*, Jarosław Markiewicz
- 88 *Każdy ma swojego Kapleau*, Zbigniew Miłunski
- 92 *Nie chcieliśmy być rękami*, Tadeusz Sławek
- 96 *Piastowska i przekłady buddyjskiej literatury*, Adam Sobota
- 99 *Od początku*, Henryk Waniek
- 105 *Miejsce szczególne*, Brygida Wróbel-Kulik
- 109 *Początki buddyzmu tybetańskiego Karma Kagyu w Polsce*, Małgorzata Abłamowicz-Sobotka
- 112 *Wszystko jest jednym*, Grzegorz Szewczyk
- 118 *Zen na poddaszu*, Bogusław Tracz
- 138 *Trzy historie*, Bolesław Rok
- 142 *Pierwszy powiew*, Nyogen Nowak
- 145 *Łapanie oceanu w sieć*, Stefan Sencerz
- 152 *Trzy pory roku*, Irek Kulik
- 156 *W pralce zen*, Antoni Szoska
- 164 *Dotknięcie*, Andrzej Witkowski
- 168 *Łyk świeżego powietrza*, Lesław Kulmatycki
- 178 *Autorzy tego wydania*
- 182 *Informacje o studiach*

Katowice, Piastowska 1 – adres, który stał się legendą. Na poddaszu kamienicy w centrum przemysłowego miasta, w apogeum PRL-u zaistniał inny świat. W czasach, gdy nie można było myśleć inaczej niż partia kazała, wielu poszukujących, głównie młodych ludzi, odnalazło w tym miejscu alternatywny sposób życia. W katowickim mieszkaniu i pracowni Urszuli Broll i Andrzeja Urbanowicza w latach 70. powstało pierwsze w Polsce i prawdopodobnie pierwsze w tej części socjalistycznej Europy *zendo*, przez które przewijały się tłumy. Piastowska 1 stała się centrum zen i stała się miejscem inspiracji dla osób, które odnalazły tam wskazówki na dalsze życie. Do dziś wspominają, jak bardzo zmieniły je rozmowy i *sesshin* na poddaszu. „W pełni doceniam artystyczne osiągnięcia Andrzeja i Urszuli Urbanowiczów, ale z perspektywy już niemal półwiecza *zendo* na Piastowskiej uznać trzeba za najcenniejsze wspólne dzieło tych wybitnych ludzi, którego zbawienne oddziaływanie na ludzkie serca i umysły pod różnymi postaciami trwa nadal i trwać będzie – mimo że materialnie już dawno nie istnieje”, opowiada Wojciech Eichelberger, który gościł na Piastowskiej.

Postanowiliśmy dotrzeć do świadków tych spotkań i stworzyć tematyczny numer o początkach buddyzmu zen w Polsce. Nie uzurpujemy sobie prawa do naukowego podejścia i wyczerpania tematu – wartością tego numeru jest osobisty charakter wspomnień oraz różne perspektywy i punkty widzenia.

Za merytoryczną wartość opowieści odpowiadają wyłącznie autorzy; nie pośredniczyliśmy w ustalaniu opisanych faktów. Mamy świadomość wielu nie do końca pewnych informacji, na przykład nazwisk i dat przy fotografiach i będziemy wdzięczni za wszelkie uwagi i sugestie.

To Janek Sar miesiącami korespondował oraz gromadził materiały, które publikujemy i Jemu jesteśmy wdzięczni. Nie byłoby tego numeru bez jego determinacji i konsekwencji w docieraniu do osób rozproszonych po świecie. Specjalne podziękowania kierujemy do Nyogena Nowaka, Ewy Myoshin Hadydoń, Brygidy Wróbel-Kulik, Stefana Sencerza oraz Irka Kulika za udostępnienie prac graficznych i fotografii inspirowanych medytacją.

O zen w Polsce pisaliśmy już nieco w „Przestrzeni” nr 10 i 11. Nasze pismo jest wydawane od 13 lat, raz w roku i całkowicie oparte na pracy wolontariuszy. Opracowania kolejnych numerów „Przestrzeni” mają przede wszystkim charakter informacyjno-edukacyjny i adresowane są do studentów i absolwentów studiów relaksacji, jogi i medytacji prowadzonych na Akademii Wychowania Fizycznego we Wrocławiu oraz na Uniwersytecie Wrocławskim.

Lesław Kulmatycki, Aneta Augustyn

leszekkulm@wp.pl
aneta.augustyn1@gmail.com



Andrzej Urbanowicz, Świecące, Arch. Roger Urbanowicz

Pracownia na Piastowskiej: kolebka buddyzmu zen w Polsce

Powstanie pierwszej buddyjskiej grupy zen w Polsce związane jest z Pracownią artystów malarzy Urszuli Broll-Urbanowicz i Andrzeja Urbanowicza. Pracownia mieści się przy ul. Piastowskiej 1 w Katowicach. Na ten temat w „Przestrzeni” w numerach 10/2018 i 11/2019 ukazały się dwa artykuły: „Historia pierwszej buddyjskiej grupy medytacyjnej w Polsce” i „Początki buddyzmu zen w Polsce”. Bieżący numer „Przestrzeni” jest w całości poświęcony upamiętnieniu dziejów Pracowni, ze szczególnym uwzględnieniem procesu powstawania i oddziaływania buddyjskiej grupy zen. Istniejąca od 1960 r. pracownia na poddaszu z czasem stała się centrum niezależnej kultury promieniującym na całą Polskę. W życiu Katowic i Polski w okresie PRL-u odegrała rolę artystycznego podziemia; stanowiła duże wydarzenie kulturowe i duchowe. Jarosław Markiewicz opisywał ten fenomen: „Próbując określić ideowy, wyrażany intelektualnie stopień samowiedzy mojego pokolenia literackiego w latach 1970-73, kiedy samookreśliła się tzw. Nowa Fala zwana też pokoleniem 68; zauważyłem, że po trzech, czterech latach, ideowy program tegoż pokolenia został pogłębiony o idee, które zaczęły się rozchodzić z Kamieńczyka i z Katowic. Walka o »przedstawienie świata« była początkiem późniejszej opozycji politycznej, jednak szybko powstała kwestia widzenia świata, doskonalszego widzenia. Widzenie, rozeznanie, działanie. Czy przedstawianie to już działanie? Praktyki

»rozszerzania świadomości«, zwane też praktykami duchowymi dawały nowe pogłębione możliwości. Przede wszystkim w sztuce, filozofii”.

Dzieje Pracowni stanowią wielowątkowy fenomen i są odzwierciedleniem drogi życia Andrzeja Urbanowicza i jego żony Urszuli Broll-Urbanowicz. Można w tych dziejach wyróżnić pięć okresów:

- Okres pierwszy, w którym spotykająca się w Pracowni grupa osób ukierunkowuje swe poszukiwania na to, co ukryte, mistyczne; na wspólne studiowanie dzieł okultystycznych i tekstów filozoficzno-religijnych Dalekiego Wschodu. Poniższa wypowiedź oddaje atmosferę tamtego czasu: *„Otaczający nas nadmiar materializmu, wraz z całym zakładaniem sloganów komunistycznych, sam pchał nas w kierunku przeciwnym. Można powiedzieć, że pracowaliśmy nad mapą ucieczki do prywatnej duchowości”* (Henryk Waniek, „Mistyczna aura Śląska”, „Onerion”, Katowice – Ratingen 2006, s. 4).

- Okres drugi, to narodziny i rozwój grupy zen, wspólnoty buddyjskiej (sanghi).

- Okres trzeci, Pracownia pustoszeje. Andrzej wyjeżdża za ocean, Urszula przeprowadza się do Przesieki. W tym czasie pomieszczenia Pracowni udostępnione są na użytek grup buddyjskich.

- Okres czwarty, Andrzej powraca do Polski i zamieszkuje ponownie w Pracowni oddając się twórczej działalności w „cieniu Eris”.

- Okres piąty, Andrzej umiera, Pracownią opiekuje się żona Małgosia Urbanowicz. Pracownia zмага się, aby przetrwać.

Dla przypomnienia genezy powstania w Pracowni Urszuli i Andrzeja pierwszej w Polsce buddyjskiej grupy medytacyjnej zamieszczam krótkie kalendarium:

- jesienią 1967 r. Henryk Waniek przyniósł do Pracowni *The Three Pillars of Zen* wydane przez Philipa Kapleau; w grudniu 1967 r. Antoni Halor, Zygmunt Stuchlik, Urszula i Andrzej Urbanowicz, Henryk Waniek powołali do życia grupę artystyczną, którą później nazwali „Oneiron”. Był to okres intensywnych poszukiwań, w różnych kierunkach, między innymi podejmowano próby medytacji;

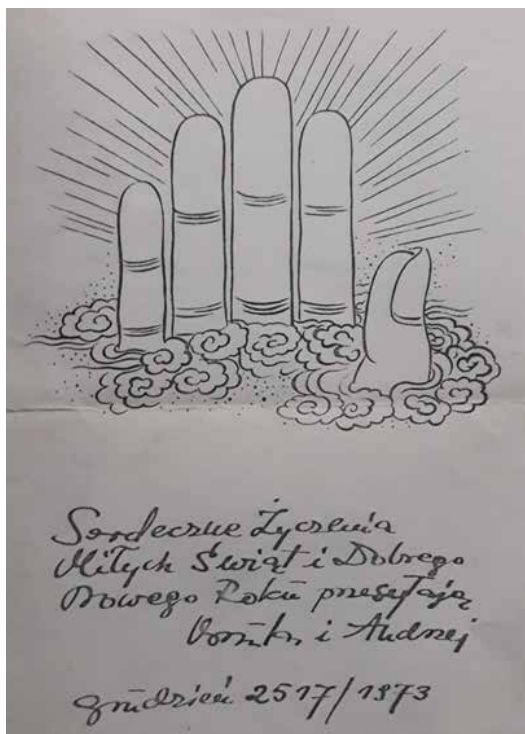
- w grudniu 1971 r. rozpoczęto w Pracowni wspólne, cotygodniowe spotkania połączone z praktyką *zazen*, w oparciu o lekturę *Trzech Filarów Zen*;
- w sierpniu 1973 r. Andrzej Urbanowicz zakończył kilkuletni okres eksperymentów z LSD i stwierdził, że wszystko poza buddyzmem straciło dla niego sens;
- w sierpniu 1974 r. na Kamieńczyku (letnim przedłużeniu Pracowni), Andrzej organizuje pierwsze grupowe *zazen*, po którym zawiązuje się buddyjska grupa. Wydarzenie to niewątpliwie wyznacza początek istnienia buddyzmu zen w Polsce. Rok później (po wizycie Philipa Kapleau) grupa przekształca się w Koło Zen - Buddyjską Wspólnotę. Należy podkreślić, że Philip Kapleau przyjechał do Polski na osobiste zaproszenia Urszuli i Andrzeja; istniała już tu dobrze zorganizowana, kilkudziesięcioosobowa grupa buddyjska;
- w grudniu 1980 r. grupa zostaje wpisana do rejestru Stowarzyszeń i Związków Religijnych, przyjmuje nazwę Związek Buddystów Zen „Sangha” w Polsce.



Andrzej Urbanowicz, Piastowska 1, Katowice, 1976 r. Fot. Roger Urbanowicz

Andrzej Urbanowicz był cenionym artystą. Gdy go poznałem, malowanie było w jego życiu na drugim planie. Był całkowicie zaangażowany w zen, trwało to przez około pięć lat. Dzięki Andrzejowi i Urszuli Broll-Urbanowicz powstała pierwsza grupa bud-

dyjska zen w Polsce, zaczęli przyjeżdżać buddyjscy nauczyciele. Tak przede wszystkim zapamiętałem Andrzeja, choć to była tylko część jego bogatego życia.



Odnaleziona kartka świąteczna niezwykle silnie obrazuje nadchodzący etap w życiu Urszuli i Andrzeja. Z archiwum Pracowni przy ul. Piastowskiej 1 w Katowicach.

Fragmenty listów Andrzeja ukazują, jak wiele energii i pracy organizacyjnej włożył, aby powstała grupa osób praktykujących buddyjską medytację. „Chcę w wielkim skrócie zarysować przed wami, jak będzie wyglądała nasza wspólna praktyka podczas najbliższych miesięcy, jaki będzie miała charakter. Pierwsze zdanie *Trzech Filarów*, w zasadzie określa ten charakter: »Krótko mówiąc, Zen jest religią posiadającą jedyną w swoim rodzaju metodę treningu ciała-umysłu, treningu, którego celem jest satori«. Wydaje mi się, że w naszej dotychczasowej praktyce w niedostatecznym stopniu realizowaliśmy owego religijnego ducha Zen.(...) Jak wspomniałem, ten dom jest buddyjski i taki też ma charakter; to co się tutaj realizuje” (fragment listu, październik 1974 r.).

ul. Piastowska 1 m.10
40-005 KATOWICE
Poland
6th January 1974

Mr Philip Kapleau
The Zen Meditation Center of Rochester
7 Arnold Park,
Rochester, N.Y. 14607
U.S.A.

Venerable Sir,

About six years ago we, my wife (1930) and myself (1938), read your book Three Pillars of Zen and became interested in Buddhism. It was not anything unexpected, but the following years indicated to us that it was the deciding factor. More than ten years ago, after a long period of religious indifference which was partly due to the crisis our marriage underwent, we directed our attention to the spiritual life. Our quest was very wide including studies in C.G. Jung, mysticism and gnosticism of both East and West, occultism and magic. These ideologies opened new horizons for us, but none of them led to the True Way. Because both of us are painters, we have always had much time to think of these problems. As there is very little literature available on the subject of non-Christian spiritual or religious problems, since our quest we attempted to translate several texts in order to obtain greater understanding of the problem and also with the hope that it may benefit our friends whom we tried to interest in this sphere of thought.

Our very wide interests were greatly reduced by the interest in Mahayana Buddhism. Although we started several times to practice zazen for a longer or shorter period of time, two years ago we started sitting in zazen regularly, fully conscious of the fact that we would never diverge from

*Fragment pierwszego listu napisanego przez Urszulę i Andrzeja do Philipa Kapleau.
Tłumaczenie: Tadeusz Sławek. Z archiwum Pracowni przy ul. Piastowskiej 1 w Katowicach.*

Informacja o listopadowym zazen grupowym

Ostrzegają: Elżbieta P., Jarek M., Jan S., Maria M., Marek H., Mirek H., Włodzisław K., -
Brigida W., Grażyna L., Henryk K., Irek K., Janusz K., Joanna W., Marek L., Stanisław Z.

Z powodu ciemności miejsca w spotkaniu nie może uczestniczyć nikt poza wymienionymi osobami nazwami w wypadku niemożności uczestniczenia któregoś z nich.

Założeniem spotkania jest wspólne, trwające nieprzerwanie trzy doby praktyka zazen w różnych formach zazen. Zatem wszyscy uczestniczący, nie zależnie od tego czy mieszkają poza Katowicami czy też w Katowicach, choćby bardzo blisko Piastowskiej, powinni przybyć ze śpiworami lub kocami. Przyjęcie tego zaproszenia jest jednocześnie zobowiązaniem nie opuszczenia miejsca spotkania przez czas jego trwania /poza uzasadnionymi powodami/. Jest to warunek uczestniczenia. Uczestniczenie tylko w części spotkania wykluczone.

Rozpoczęcie nastąpi w czwartek 31 października o godzinie 20 tej. Wszyscy uczestnicy powinni zgromadzić się najpóźniej do godziny 19.30. Tego dnia nastąpi dokładne rozważenie i uzgodnienie przebiegu i wszystkich czynności trzydniowego spotkania.

1 Listopada, w piątek przebieg spotkania będzie następujący /projekt/:

- 6.00 - wstawanie, mycie się, uprządkowanie pomieszczeń
- 6.30 - 8.15 - recytacje, dwa okresy formalnego zazen wraz z kichnię, recytacje
- 8.15 - 9.00 - I posiłek
- 9.00 - 10.30 - praca
- 10.30 - 12.30 - recytacje, słuchanie tekstu, dwa okresy formalnego zazen, recytacje
- 12.30 - 13.30 - obiad
- 13.30 - 14.00 - przerwa /sprzątanie, wykonywanie osobistych czynności, czas wolny/
- 14.00 - 15.45 - recytacje, dwa okresy formalnego zazen, recytacje
- 15.45 - 17.00 - słuchanie Bardo Thedol
- 17.00 - 17.30 - III posiłek
- 17.30 - 20.00 - odczytanie komentarzy, złożenie świeczek na grobach.
- 20.00 - 21.45 - recytacje, dwa okresy formalnego zazen, recytacje
- 21.00 - cisza nocna

W czwartek i trzecim dniu w zamadzie podobano, z tym, że w miejsce czasu przeznaczanego na odczyty grobów weszła by część pracy, a częściowo formalne zazen.

Od chwili rozpoczęcia aż do zakończenia obowiązują będzie w zamadzie całkowite milczenie. Jednak przy końcu pierwszego dnia - jeśli to będzie potrzebne - może nastąpić wspólna rozmowa mająca na celu korekturę i zmiany zmierzające do bardziej płynnego i harmonijnego przebiegu spotkania.

Zakończenie nastąpi 3 Listopada około godziny 20 - tej.

Pracę - poza koniecznymi czynnościami sprzątania i przygotowywania posiłków - będzie wyrobienie galanterii ceramicznej /pacierki do naszyjników/ a uzyskane stąd pieniądze przeznaczone zostaną na wspólny cel.

Waleczy ze sobą zabierać:

1. Śpiwór lub koc - im więcej tym lepiej,
 2. podstawki do siedzenia /najlepiej z kapoku/ oraz dopasowaną dla siebie żaweczkę /sob. Trzy filary, wyd. EK, Postawy Zazen, s. 319, ryc. 6/,
 3. stosowne odzienie: kobiety - długą szeroką spódnicę, mężczyźni - szerokie spodnie lub rodzaj tuniki,
- o ile to możliwe, również świece i kadzidło.

Ze względu na konieczność dokładnego rozplanowania wszystkiego, proszę się wszystkich o odpowiedź w jak najkrótszym czasie. Zamierzający uczestniczyć proszeni są również o złożenie lub przesłanie 120 zł potrzebnych na wcześniejszy zakup tkaniny. W przedziale spotkania wiadoma już będzie dokładna kwota wydatków /może się nieznacznie zmniejszyć lub zwiększyć/ i wtedy nastąpi rozliczenie.

Na otrzymaniu zgłoszenia zainteresowanym przedstawi się do wglądu materiały związane ze spotkaniem.

Zainteresowanych na miejscu proszę o pomoc w przygotowywaniu spotkania w miarę możliwości. Wskazując potencjalnie o ile to możliwe proszeni są o przybycie dzień wcześniej niż 31 października z ranną.

Zgłoszenie powinno być na piśmie. Usne zgłoszenia nie będą uwzględniane.

Serdecznie pozdrawiamy w Dharma

Urszula i Andrzej

31 października 1974 / 2518

Informacja o pierwszym kilkudniowym zazen grupowym w Pracowni, 11 października 1974 r.
Z archiwum Pracowni przy ul. Piastowskiej 1 w Katowicach.

„Rok temu na ósmego grudnia zaprosiłem kilkunastu ludzi i wstępnie im powiedziałem o zamiarze stworzenia organizacji buddyjskiej. Była to dla mnie dobra nauczka. Zobaczyłem wtedy jasno, że tak naprawdę, to poza Urszulą prawie że nie ma na kogo liczyć. Uświadomiłem sobie wtedy, że jeśli chcę coś zrobić, jeśli uważam, że trzeba coś zrobić, to muszę to robić – na razie – sam i na nikogo nie liczyć. Więc robię. Teraz, po roku, widzę, że sytuacja znacznie się zmieniła na lepsze” (fragment listu, 14 listopada 1974 r.).

„Obojętnie jak by było, nie powinniśmy zaniedbywać okazji, w których jest choćby cień szansy, że można przyciągnąć do tej sprawy jednego wartościowego człowieka. Kochany, pamiętaj i uświadom sobie, że gdybym ja poddawał się swoim zawodom wobec ludzi, to doprawdy musiałbym nic nie robić, a tylko sobie siedzieć w domu spokojnie jak dawnymi czasy i z Urszulą wieczorami sobie coś czytać. Byłoby miło i nikt by o niczym nie wiedział. A przecież nie o to chodzi” (fragment listu, 21 listopada 1974 r.).

„Chciałbym bardzo, aby z tego wieczoru coś nareszcie wynikło konkretnego w sensie jakiegoś wspólnego siedzenia, aby wreszcie we Wrocławiu powstała jakaś grupa ludzi, którzy by razem próbowali pracować. Mam wrażenie, że to również i Twój interes i w jakiejś mierze wypełnienie ślubowania wyzwolenia wszystkich odczuwających istot – na ile to możliwe. Mam wrażenie, że jest we Wrocławiu kilka przynajmniej osób, które, gdy zapłonie w nich jakaś iskra, podejmą razem praktykę zazen. Powinniśmy tę iskrę wzniecić. Wrocław jest miastem z tradycją, miejscem z tradycją. Musi nie być to najgorsze miejsce, skoro właśnie tam powstało w 1903 pierwsze w Europie Towarzystwo Buddyjskie, niemieckie oczywiście” (23 listopada 1974 r.).

Po latach rola Urszuli i Andrzeja, jaką odegrali w powstaniu pierwszej grupy buddyjskiej zen w Polsce, została przykryta późniejszymi wydarzeniami, zamazana i zapomniana. Przez długi czas w Wikipedii w hasłach „Buddyzm w Polsce” i „Philip Kapleau” nie

było wzmianki na temat Andrzeja i Urszuli, byli pomijani. Ukazało się sporo artykułów opisujących początki buddyjskiej grupy zen na Piastowskiej, niestety nie zawsze przekazywane w nich informacje oddawały prawdę. Przytaczam korespondencję dotyczącą artykułów, w których znalazłem nieścisłości.

– Bolesław Rok, „Nie marnuj ani chwili”, „Dzikie Życie”, nr 9/2015, s. 4

18.02.2019 Jan Sar pisze:

Drogi Bolku, z zainteresowaniem przeczytałem Twój artykuł poświęcony Januszowi Korbelowi. Jednak całkowicie nie zgadzam się z Twym stwierdzeniem: „dzięki Januszowi buddyzm zen miał szansę w ogóle zaistnieć, niejako fizycznie”. O jakim okresie mówisz? Bolek, to jest punkt widzenia wyrobiony głównie w okresie końca lat siedemdziesiątych, gdy Andrzej U. miał romans z Klarą, z którą się ożenił i wyjechał do USA. Chyba od maja 1978 r. Janusz został liderem grupy. W latach 1974-1977 mieszkalem na Piastowskiej i Kamieńczyku. W tym czasie zdecydowanie główny ciężar pracy, organizacji, podejmowania decyzji spoczywał na Andrzeju. Bywały okresy, że wręcz był sam. Ludzie przyjeżdżali punktowo na warsztaty, zazen grupowe i s z y b k o wyjeżdżali, wracając do swoich spraw, obowiązków, Janusz również. Mieszkał wówczas w Kielcach i pracował w Urzędzie Wojewódzkim. A właśnie w tym okresie 1974-1978 buddyzm zen fizycznie zaistniał w Polsce. Andrzej całkowicie poświęcił się sprawie buddyzmu zen. Sztukę, która była pasją jego życia, traktował jako źródło dochodu, otwierając manufakturę pejzaży morskich. Piszesz o Januszu: „był wtedy świetnym menedżerem, który koordynował, zarządzał, pilnował, rozwiązywał problemy itp.”. Tak, to dotyczy okresu od 1978r: „Andrzej był wizjonerem, artystą, przywódcą, zaś dzięki Januszowi buddyzm zen miał szansę w ogóle zaistnieć, niejako fizycznie”. Zdecydowanie nie zgodzę się z tym zdaniem. Gdy Andrzej zakochał się w Klarze to „odpłynął”, ale przedtem łączył w sobie to wszystko, co podzieliłeś na dwie osoby. Serdecznie pozdrawiam, Jasiu

W dniu 21.02.2019 o 00:44, Bolesław Rok pisze:

Dzięki za to. Tak, pamięć jest zawodna, szczególnie że pisałem to w pewnym sensie dla Janusza. Ale tak, masz rację.

Pozdrawiam, br

– Bogusław Tracz, opracowania historyczne, „Katowicka Ścieżka Zen”, „CzasyPismo” 2012, s. 147-157 i „Zen na poddaszu. Przyczynek do recepcji buddyzmu w Polsce”, Polska 1944-1989. Studia i Materiały XVI/2018”, s. 203-225.

15.12.2019 Jan Sar pisze:

Dzień dobry,

z dużym zainteresowaniem przeczytałem dwa Pana artykuły „Katowicka Ścieżka Zen” i „Zen na poddaszu. Przyczynek do recepcji buddyzmu w Polsce”. Cieszę się bardzo, że wkład Andrzeja i Urszuli w rozwój buddyzmu w Polsce został doceniony, choć nie do końca właściwie rozpoznany. W przeczytanych artykułach zauważyłem kilka nieścisłości:

1. „Tymczasem Urbanowicz, nieświadom kurateli, jaką roztaczała nad nim SB, poszerzał spektrum swoich praktyk”.

Zarówno Andrzej, jaki i Urszula, byli w pełni świadomi, że ich poczynania są obserwowane przez SB. Szczególnie po ukazaniu się pierwszego zeszytu „Droga” Andrzej, (zerwał z anonimowością, powszechną w nielegalnej działalności wydawniczej owego czasu) był przygotowany, że w każdej chwili może zostać aresztowany. Wiem o tym z rozmów z Andrzejem, w 1974 r.

2. „Zwłaszcza młodzi hippisi szybko rezygnowali, zniechęceni długimi i wyczerpującymi medytacjami”.

Hippisi, którzy podejmowali trud medytacji, pozostawali w grupie przez długie lata i stanowili jej rdzeń: Andrzejewska Ania (Kaśka), Dobrowolski Jacek*, Eichelberger Wojtek*, Górski Paweł, Hołuj Tomek*, Illg Jerzy (Misjonarz)*, Zbyszek (Kobra), Kurzyca Krystyna*, Kwiecień Jasiu (Duch), Lasota Joasia*, Lewandowski Krzysz*, Lewowicki Staszek, Lisicki Leopold (Poldek), Markiewicz Jarek*, Markłowski Marcel, Mazji Marek, Ostaszewski Jacek*, Piórkowska Małgosia*

(Klara), Prokop Alicja (Elis)*, Rozbicki Tomek, Sar Jasiu*, Urbanowicz Andrzej*. Oczywiście nie wymieniłem wszystkich hippisów, którzy wielokrotnie brali udział we wspólnej praktyce medytacji.*

** - oznaczenie osób występujących w drugim wydaniu książki Hippisi w PRL-u, Sipowicz K., Warszawa 2015.*

3. „Wydarzenie to niewątpliwie wyznacza początek istnienia buddyzmu w Polsce w jego zorganizowanych i licznie znaczących przejawach”.

4. „Od tamtej pory spotykano się już regularnie zarówno w pracowni Andrzeja Urbanowicza w Katowicach, jak i w Mąchocicach”.

Niewątpliwie przyjazd Philipa Kapleau do Polski stanowił wydarzenie przełomowe, ale od pierwszego, pięciodniowego grupowego zazen na Kamieńczyku w sierpniu 1974 r. (zawiązała się wówczas grupa, która później przekształciła się w Koło Zen) do momentu przyjazdu do Polski Philipa Kapleau odbyło się w pracowni na Piastowskiej około 10 trzydniowych grupowych zazen, połączonych zazwyczaj z warsztatami wprowadzającymi w praktykę medytacji. Myślę, że bardziej zorganizowanych i częstszych działań, jak w tym okresie tzn., na przełomie 1974 i 1975 r. już później nie było (tzn. do czasu mojego wyjazdu z Polski w grudniu 1979 r.). Oprócz trzydniowych grupowych zazen odbywała się raz w tygodniu wspólna praktyka w Katowicach, Wrocławiu i Warszawie. Mąchocice ożywały tylko na okres letnich ferii szkolnych, gdy Roger (syn Urszuli i Andrzeja) miał wakacje. Uważam, że za mało uwidoczniła jest rola Urszuli, np. pracownia nazywana jest pracownią Andrzeja, a była to pracownia Andrzeja i Urszuli. Urszula znalazła lokal na pracownię i na nią pracownia była zarejestrowana.

Geneza grupy medytacji buddyjskiej, która powstała w pracowni na Piastowskiej różni się zasadniczo od procesu powstawania następnych grup. Gdy Kapleau przyjechał do Polski w 1975 r., istniała już dobrze zorganizowana grupa, której początki sięgały koń-

ca lat 60. Tymczasem w Wikipedii, w haśle Philip Kapleau, możemy przeczytać:

„W czasie jego pierwszej wizyty w Polsce w 1975 uformowała się grupa osób, która w grudniu 1980 uzyskała status prawny jako Związek Buddystów Zen „Sangha”.

W przypadku późniejszych grup buddyjskich można tak napisać, że przyjazd nauczyciela, zaproszonego przez jedną, lub kilka osób, stanowił moment uformowania się grupy.

Sformułowania w cytacie 3 i 4 są nieprecyzyjne i prowadzą do powstawania błędnego obrazu minionych wydarzeń; np. hasła w Wikipedii: https://pl.wikipedia.org/wiki/Buddyzm_w_Polsce i Philipa Kapleau (1)

Andrzej Urbanowicz był tym, który obudził buddyzm w Polsce do życia. Z czasem osoby związane z grupą na Piastowskiej zapoczątkowały, poprzez zapraszanie innych nauczycieli, powstawanie nowych grup buddyjskich.

Serdecznie pozdrawiam, Jan Sar

(1) W styczniu 2020 r. hasła te zostały częściowo poprawione i występują już w nich Urszula Broll-Urbanowicz i Andrzej Urbanowicz.

16.12.2019 Bogusław Tracz pisze:

Dzień dobry,

Bardzo się cieszę, że dotarł Pan do moich artykułów, a jeszcze bardziej z nadesłanych uwag, które na pewno uwzględnię, jeśli tylko uda mi się jeszcze wrócić do tego tematu. Oczywiście jako historyk, jestem tylko człowiekiem, ułomnym w swoim postrzeganiu przeszłości. Pańskie spostrzeżenia, niezwykle cenne, są dla mnie podstawą do rewizji niektórych twierdzeń. Biję się w pierś, że faktycznie, zbyt mało wyartykułowałem rolę Urszuli Broll, może dlatego, że zarówno w aktach, jak i wspomnieniach osób z tamtego czasu częściej przewija się Andrzej Urbanowicz, a ona niejako pozostaje w jego cieniu. Ma Pan oczywiście rację. Myślę, że mój tekst poszerzył nieco wiedzę o początkach buddyzmu w Polsce, w porównaniu z dotychczasowymi opracowaniami m.in. Krzysztofa Kosiora. Mam nadzieję, że to nie jest ostatnie słowo. Temat jest fascynujący. Oby znaleźli się kolejni badacze, którzy poprawią moje błędy.

Serdeczności,

Bogusław Tracz

Nieścisłości również znajdują się w artykule „Mniejszości religijne inspirowane religiami Dalekiego Wschodu”, cotygodniowy dodatek do Gazety Wyborczej nr 8 (468), 21 lutego 2002. Na stronie 49 możemy przeczytać pod nagłówkiem „Związek Buddystów Zen „Bodhidharma”:

„W 1975 r. Philip Kapleau przyjechał do Polski, rok później powstał pierwszy ośrodek grupowej medytacji”. Pierwszym ośrodkiem grupowej medytacji w Polsce była Pracownia przy ul. Piastowskiej 1 w Katowicach. Wspólne cotygodniowe medytacje odbywały się tam od grudnia 1971 r., a pierwsze kilkuniedniowe grupowe zazen odbyło się w Pracowni w listopadzie 1974 r. W powyżej wymienionym artykule znajduje się błędny podpis pod zdjęciem grupy osób:

”Philip Kapleau (w środku) ze swymi uczniami w Ośrodku Zen „Bodhidharma”. Jest to duża pomyłka, gdyż zdjęcie to zostało zrobione w Pracowni po sesshin w 1975 r., a nie w ośrodku, który wówczas jeszcze nie istniał.

Wracając do historii – dla wielu osób Pracownia była miejscem spotkania o istotnym znaczeniu na całe życie. W 2008 i 2009 r. odbyły się zjazdy weteranów z lat, w których powstawała medytacyjna wspólnota. (W „Przestrzeni” nr 10/2018 jest artykuł z informacją na ten temat, a także kalendarium najważniejszych wydarzeń z życia pierwszej grupy medytacyjnej w Polsce.

W „Przestrzeni” nr 11/2019 zostały opublikowane wypowiedzi uczestników II Spotkania). Spotkaliśmy się ponownie w Pracowni z Andrzejem. Niestety, nie wszyscy mogli być obecni, nie było Urszuli.



Po pierwszym w Polsce sesshin, Pracownia, ul. Piastowska 1, Katowice, 1 września 1975 r. Siedzą od lewej: Jacek Kwaśnik, Wally Muszynski, Philip Kapleau, Toni Packer, Sokei Shakya; stoją od lewej: Aleksander Gordon, Andrzej Urbanowicz, Władysław Czapnik, Tomasz Holuj, Jacek Dobrowolski, Jacek Ostaszewski, Małgorzata Ostaszewska, Jarosław Markiewicz, Urszula Sapeta (Ekko), Elżbieta Błaszowska (Promyk), Izabela Dorabalska, Włodzimierz Nowak (Nyogen), Jan Sar, Stefan Sencerz, Janusz Korbel, Maria Mazur, Urszula Broll-Urbanowicz. Fot. Ireneusz Kulik

Drogi Przyjaciele,
 Coś powiedzieć? Skonczyłem
 70 lat i cieszę się, że mogę Was serdecznie
 poznać w tym miejscu, które istniało niemal od pół wieku.
 Piastowska 1. To nie tylko adres kultury,
 to również miejsce zamykania się piwniej
 aśpalcoty, bukiety i talce
 aśpalcoty miłoścy przytę, budyjskich,
 także spotkań z Alanem i Ginstbergiem
 podobał jego postać w katowickich
 broniach, siłach i towarzysza. Bellmer
 które właśnie budy, służy wypieku. Tymi
 wszystkim, niekiedy legendarnymi
 wydarzeniami chce się zająć polujący
 ten dokument. [Przedwzrostem]

Gwiazdami ~~miłoścy~~ wieści jest Słot i Lora
 Saba i Mieczysław Litwinski. Niepowtarzalna
 muzyka Maciejowa Litwiskiego, niepo-
 nowność kompani, globalna miłość
 polega, to też cieszę się niekiedy
 że właśnie dziś gościnny Was tutaj.

Discepsja wieści to nie tylko moje wędrownie
 na kłopoty prapane kłopot, to również
 wami i pomagającą jutro, przed
 entercell budyjskich w talce. Tych
 którzy już dalsi przytę serdecznie witam.
 To nie wszystko. Główny wzmianka gości
 bytomska kłopot. Spawa jest zawiła
 nie podziwiam się jej wyjątkowi, może
 Sebastian za chwilę do użycia. Właśnie
 wszystkich witam bardzo serdecznie.

Przedwzrostem jednak przykazuje
 serdecznie podziwianiu Urszuli Broll
 moją piwniej zony, która z powodów
 zdrowotnych nie zdecydowała się
 przyjechać. Jeśli to miejsce ma
 być, znana wam, historyczna, to jest
 to dziełem mojej obojga. Jeśli nawet
 ja bym czasem kłopotliwa arcyana,
 to niegdyś tak być drogi mój
 zgodzie i współzawodnictwie.
 Ale wszystkie serdeczności od Urszuli.

Wiele wątków się dalsi miłoścy i kłopoty.
 Mnie to cieszę, jak się domyślać
 powiem jak po stronie chaosu.
 Wyc najserdeczniej witam wszystkich
 w imieniu mojej przyjaciółki
 i współzawodniczkę Gosi Borowskiej
 i wci wci wci. Cieszymy się
 że tu przytę.

Bardzo dziękujemy również naszym
 miłym sponsorom

Baroni Wegetarijanskiemu Drob Osioł
 w osobach Janiny Słot, Urbanowicz
 i Maroń Podgórskiej.
 oraz Klubowi Członków Dekadencja
 w osobie Marka Górniego.
 Dziękujemy Wam

To chyba dość słów ale jeśli macie
 jakieś szlachetne pytania, to zapraszam.

Rękopis mowy, którą Andrzej przygotował na otwarcie
 I Spotkania w 2008 r., Z archiwum Pracowni przy ul.
 Piastowskiej 1 w Katowicach.

Obok przedstawiam rękopis mowy, którą
 Andrzej przygotował na otwarcie I Spotkania,
 poniżej listy otrzymane od osób, które nie
 dojechały na Spotkania, a także inne listy
 ze wspomnieniami o Pracowni. Andrzej pod
 koniec życia miał zamiar wydać książkę o
 Pracowni. Wymyślił już dla niej tytuł: „Jest
 takie miejsce”. Prosił mnie, abym pomógł mu
 w tym projekcie poprzez zachęcanie innych
 do napisania wspomnień. Choroba i śmierć
 nie pozwoliły zrealizować tych planów.

Kochani –
 przyjechać nie mogę ... ale będę
 z Wami w myślach.
 Tamten czas był wyjątkowy
 i dobrze go pamiętam.
 Otoczone betonowym murem –
 Katowice – Kamieńczyk –
 a kłopotliwy mój i kłopotliwy pęd –
 chyba najważniejszy w życiu.
 Trzymam Was wszystkich w sercu
 i ściskam serdecznie
 Urszula
 17. VI. 08 Przesieka

List od Urszuli Broll. Z archiwum Pracowni przy
 ul. Piastowskiej 1 w Katowicach.

„Kochani,
 Przyjechać nie mogę ... ale będę
 Z Wami w myślach.
 Tamten czas był wyjątkowy
 I dobrze go pamiętam.
 Otoczone betonowym murem –
 Katowice – Kamieńczyk –
 W których rozwinęły się zielone pędy –
 Chyba najważniejsze w życiu.
 Trzymam Was wszystkich w sercu
 I ściskam serdecznie
 Urszula

17.VI.08 Przesieka”



Andrzej Urbanowicz, Roger Urbanowicz, Urszula Broll-Urbanowicz, Pracownia ul. Piastowska 1 Katowice, 1974 r. Zdjęcie z archiwum rodzinnego Rogera Urbanowicza. Fot J. Lewczyński

Zgorzelec, 10.VI.2008 r.

Drogi Janie, czy mogę mieć do Ciebie prośbę, abyś przeczytał ten tekst w trakcie zjazdu u Andrzeja. Z góry dziękuję. Leopold

Witam serdecznie.

Niestety, nie dane mi było być z Wami, w tak szczególnym czasie, kiedy wracamy do korzeni – narodzin buddyzmu w Polsce. To był wyjątkowy i historyczny moment, pełen niesamowitych ludzi i zdarzeń. Bardzo chciałbym być dzisiaj z Wami wszystkimi. Tak się jednak niefortunnie dla mnie składa, że 21.06.08, mój syn Jacek, który przyjechał na krótki czas z Anglii, bierze ślub. Od pamiętnych i bardzo ważnych dla mnie lat siedemdziesiątych (pierwsze grupowe zazen, pierwsze warsztaty zen, pierwsze sesshin), minęło już tyle lat, tak dużo zadziało się w

moim życiu, ale zawsze duchową siłę dawały mi te pierwsze i jakże istotne doświadczenia i spotkania z Wami wszystkimi. Były też i są nadal dla mnie wyjątkowym drogowskazem. Dziękuję Wam za to z całego serca. Zawsze czułem i nadal czuję do Was głęboką wdzięczność. Do praktyki zen zainspirował mnie w tamtym czasie Andrzej i Urszula Urbanowicz oraz Jan Sar i Urszula Sapeta, ale również wszyscy, z którymi miałem zaszczyt i szczęście wówczas się spotkać i praktykować. Od tamtego czasu nadal staram się podążać Drogą Buddy. Jeżdżę na sesshin, praktykuję zen codziennego życia i staram się w ten sposób spłacić zaciągnięty dług wdzięczności wobec Was wszystkich. Dzisiaj mieszkam i pracuję w Zgorzelcu. Pracuję jako psychoterapeuta z osobami uzależnionymi. Drogi Andrzeju, z okazji Twoich 70 urodzin, życzę Tobie wszystkiego co najlepsze, dużo zdro-

wia i długich lat życia w radości i spokoju serca. Obyś zrealizował to, co jeszcze zostało do zrealizowania. Dziękuję Tobie z głębi mego serca, za to wszystko, co uczyniłeś dla mnie i dla rozwoju buddyzmu w naszym kraju. I jeszcze na koniec wiersz dla Ciebie:

Pierwszy i ostatni oddech w naszym życiu,
to tylko chwila – mgnienie wieczności,
a jednak rzeka nadal płynie
bez narodzin i śmierci

Z miłością i wdzięcznością

Leopold Lisicki



Kamieńczyk 1977 r. Leopold Lisicki w środku; po bokach Maria Duch i Paweł Górski. Z tyłu po lewej profil twarzy Anny Klegon, po prawej Andrzeja Urbanowicza. Fot. Janusz Korbel

Sydney, czerwiec 2008 r.

Drodzy Uczestnicy Spotkania,

Drogi Andrzeju,

nie mogę przybyć na spotkanie, piszę więc kilka słów o sobie z prośbą, aby Jaś Sar przeczytał. Jestem nieco speszona i nie wiem, co napisać. To, co usłyszycie, to będzie kilka nieudolnych słów refleksji. Lata spędzone w bliskim kontakcie z Wami (sanghą buddyjską) były moimi dobrymi latami. Najpierw był Janusz, Tereska i Maga i spotkania w ich domu w Kielcach, gdzie słuchałam muzyki i nic nie musiałam mówić. Bardzo mi to odpowiadało. Bywał również wśród nas

Henio Lis. Potem były pierwsze siedzenia na Kamieńczuku między innymi z Jasiem, Włodkiem, Jarkiem Markiewiczem i muzyką z lat 60. Kamieńczyk przywodzi mi na myśl Kaletową i miesiące spędzone w domu Tereski i Janusza z dziewczynkami i małym Mikołajem. Do tej pory jestem wdzięczna za ten czas spędzony razem. Była też wigilia z Jasiem Kwietniem. „Katowice” były dla mnie latami intensywnej praktyki. Były też latami kiedy to otrzymałam najwięcej wsparcia od innych. Nigdy więcej w życiu czegoś podobnego nie doświadczyłam. Jestem wdzięczna za to Urszuli i Andrzejowi i wszystkim tym,

z którymi dzieliłam wtedy wysiłek i czas. Generalnie mówiąc w praktyce buddyzmu zen daleko nie zaszłam. Niemniej jednak wciąż jestem na drodze Buddy. Ostatnio zostałam na nowo zainspirowana do praktyki przez Urszulę Sapetę, Jasia Sar i Mikołaja, który zapragnął praktykować razem ze mną. Otrzymaliśmy nawiasem mówiąc (Mikołaj i ja) dwie wspiane poduszki do siedzenia w zazen od Urszuli. Za pół roku będę miała 60 lat (Mikołaj 31). Przez ostatnie 21 lat mieszkam w Sydney. Przez ostatnie 6 lat pracuję jako pielęgniarka. W Australii jest duże zapotrzebowanie na pracę w tej dziedzinie. Polubiłam czerwone ziemie i żółto-zielony krajobraz Australii. Duszą i sercem chciałabym być z Wami. Andrzejowi składam Najlepsze Życzenia Urodzinowe (pięknego balonika) z okazji ukończenia 70 lat, ściskam mocno Urszulę Broll i Was wszystkich.

Z miłością, **Marysia**



*Kamieńczyk, jesień 1977 r. Maria Mazur z synem Mikołajem i Teresa Korbel z córką Magą.
Fot. Janusz Korbel.*

Kielce, 09 czerwiec, 2009 r.

Drogi Janie!

Dzięki fotografiom otrzymywanym od Ciebie ostatnio, wydobyło się z pamięci wiele wspólnych chwil. Pamięć uzupełniła fotki wspomnieniem nieutralnych na fotkach dźwięków, równie istotnych partycji głębokiej ciszy, uderzeń kiosaku, recytacji, bębnow, dzwonów, Tomkowej perkusji, Jackowego fletu! Także kamieńczykowych deszczy bijących o poszycie dachu, grzmotu piorunów, szumu drzew, zapachów ziół, smaku przyrządzanych przez Anię Andrzejewską, Urszulę, Marysię potraw. No i fascynujący koloryt tych wszystkich scen, których brak na zdjęciach, manifestuje epokowość czasu, jaki niezauważalnie upłynął. I jeszcze pamięć tego, co chyba dla mnie najważniejsze i najdziwniejsze, owej niesamowitej kondensacji w trakcie praktyk, substancjalnej jakby, nie-

sprecyzowanej mocy, pozwalającej przezwyciężać siebie, pokonywać ból, manifestującej się niesamowitą siłą woli rozciągającej swoją realną obecność poza czas praktyki, z której czerpałem przez wszystkie te upływające lata i czerpię wciąż. Pomimo zaniechania formalnej praktyki zazen. Ja w tamtym czasie wyzwoiliłem się własną siłą woli z alkoholizmu i nikotynizmu. Później w trakcie internowania pomogłem psychicznie paru ludziom o zawikłanych życiowo sytuacjach. A w więzieniu intensywniej praktykowałem bo były po temu najznakomitsze warunki /nadmiar czasu/. Retrospektywnie wtrączę, że moje siedzenie zauważyli klawisze przez judasza. Nie potrafili zinterpretować i zameldowali o tym zwierzchności. Informacja musiała dotrzeć dość wysoko, bo kiedyś w trakcie mojego siedzenia otwarły się drzwi do celi i z całej świąty wysokich rangą klawiatury jeden wkroczył

do pomieszczenia i mi się przyglądał. Ja nie przerywałem zazen. Usłyszałem, jak zapytał: „Co on robi?”. I wtedy jeden z naszych, chyba za natchnieniem Ducha Świętego powiedział: „Ciii, on nadaje do naszych”. Tak mi się chciało śmiać, że wstałem. Już nie było żadnych słów, inspekcja się zakończyła. Tylko następnego dnia pod jakimś pozorem, wezwał mnie komendant więzienia do gabinetu, wyraźnie tylko po to, aby zobaczyć tego nietuzinkowego figuranta, co praktykuje siedzenie twarzą do ściany. Przepraszam za te osobiste refleksje. Jeszcze powiem, że był taki numer amerykańskiego ZEN BOW, w którym zamieszczono pierwszą informację o powstaniu afiliowanej sanghi w Polsce. Na okładce jest zdjęcie z katowickiego zendo w trakcie pierwszej wizyty Philipa Kapleau. Gdyby istniała możliwość sfotografowania tego historycznego numeru, byłbym bardzo zainteresowany, bo sam jestem na tym zdję-

ciu z Korbelami i Ostaszewskimi. To tak tylko na marginesie, taka osobista sprawa. Gdyby. Tablica chronologiczna wydarzeń bardzo interesująca. Co do propozycji, przypomnę, że na Kamieńczyku odbyło się dokładne powtórzenie, taki dubbing, ceremonii wyświęcenia Włodka Nowaka na pierwszego polskiego mnicha buddyjskiego /właściwa ceremonia odbyła się wcześniej w USA/. To spotkanie też było utrwalone na zdjęciach. Moja fotografia z tego spotkania niestety gdzieś mi przepadła. Jeszcze raz dziękuję za teksty i zdjęcia, mając nadzieję na kolejne. Niestety, ostatnio niezbyt dobrze się czuję. Nie jestem chory, ale mocno niedysponowany. Chodzą po mnie dotkliwe bóle. Nie wybieram się więc do Katowic. Z żalem, ze względu zarówno na program, jak i osoby. Wszystkich gorąco pozdrawiam i duchem będę z wami. Miej mnie proszę Jasiu za usprawiedliwionego. Dziękuję. Składam przed Tobą głębokie ghassio!

Hieronim Lis



Pierwsze Spotkanie po latach, Katowice, 2008 r. Hieronim Lis i Andrzej Urbanowicz. Arch. Jan Sar

Sprostowania i uzupełnienia

W „Przestrzeni” 10/2018, s. 8, w kalendarium najważniejszych wydarzeń pierwszej grupy medytacyjnej w Polsce napisałem pod datą 1-5 VIII 1974, że na Kamieńczyku jedenastoosobowa grupa rozpoczęła pięciodniowe siedzenie, ale wymieniałem tylko dziesięć osób; brakującą osobą okazał się Mirosław Harciarek. Andrzej Urbanowicz w publikacji pt. „Oneiron” na s. 143 pod datą 1-5 sierpnia 1974 wymienia jedenaście osób biorących udział w pięciodniowym siedzeniu. Wśród uczestników tego wydarzenia wymieniał pomyłkowo Marka Leszczyńskiego, a pominął Mirosława Harciarka.

W „Przestrzeni” 11/2019, s. 26, w wypowiedzi Antoniego Szoski pojawia się zwrot „żona mi nie pozwoliła ...”. Przytaczam wyjaśnienie Antoniego Szoski, które przesłał:

Wed, 15 Jan 2020

Drogi Jasiu, przede wszystkim dziękuję za przesłanie interesujących tekstów o katowickim zen. Co do rzeczonego koanu „żona mu nie pozwala”, to określiłem w ten sposób wypowiedź Dae Seung Sahn, która padła podczas spotkania krakowskiej grupy w restauracji Wierzynek. Była to jego wyprzedzająca odpowiedź na skierowane do mnie pytanie o czasowe nieuczestniczenie w praktyce zenistycznej zadane przez Panią Che koreańską uczennicę mistrza. Miało to poniekąd formę towarzyskiego żartu. Choć skądinąd moja praktyka w owym czasie (a było to ponad 30 lat temu) powodowała małżeńskie konflikty, z czym się nie kryłem...Ponieważ jednak uwaga na ten temat padła z ust Mistrza zen/son, potraktowałem to „koanicznie”. Taki mniej więcej był sens mojego maila odnoszącego się do tej kwestii. Serdecznie pozdrawiam,

Antoni

Sydney, 10.I. 2011 r.

Jasiu, napisałam kilka słów na temat Pracowni na Piastowskiej. Rzuć okiem proszę i może wnieś jakieś poprawki. Czy myślisz że ma sens to co napisałam?

Pozdrawiam

Marysia

ps.

W ogóle to nie mogłam zabrać się za ten tekst. Nie mogłam jakoś odtworzyć ducha tamtych czasów. A przecież to były wspaniałe lata, byłam wtedy szczęśliwa.

Pracownia Urszuli i Andrzeja przy ulicy Piastowskiej 1 w Katowicach była dla mnie zendo, czyli miejscem do praktykowania Buddyzmu Zen. Bywałam tam dość często w latach 1974-1977, uczestnicząc w grupowych praktykach zazen. Tam wstąpiłam formalnie na drogę Buddyzmu Zen w ceremonii Dziukai. W Pracowni dzieliłam wysiłek i ból nóg związany z siedzeniem w zazen oraz prace i wspólne posiłki w czasie naszych siedzeń. Brałam również udział w pracach związanych z przyjazdem do Katowic nauczyciela Philipa Kapleau. W Pracowni doświadczyłam dużo serdeczności i wsparcia od ludzi z którymi łączyła mnie praktyka Zen. W czasie naszych praktyk zazen, poza tym, że było tam dużo milczenia, to Pracownia wypełniona była różnymi dźwiękami: między innymi gongu, bębna, dzwoneczka i wspólnych śpiewów. Pamiętam również szum przejeżdżających w dali pociągów.

Gościnność gospodarzy była tak wielka, że momentami zapominałam, że Pracownia była przede wszystkim mieszkaniem i miejscem pracy twórczej Urszuli, Andrzeja i Rogera.

Maria Mazur

REDAKCJA jest takie miejsce

Drodzy Przyjaciele, Adresatami tego listu jesteście Wy wszyscy, których los lub intencja, w różnorodny zapewne sposób zetknęły, czasem na krótko, czasem na dziesięciolecia z tym nieoczekiwanym miejscem, jakim jest Piastowska 1.

Jego istotną treścią są spotkania z Wami, Urszuli i moje a dziś także Gosi, działania i rozmowy a czasem spory w którym kierunku powinny się toczyć lepiące przez nas bałwany. Przez minione lata kilka pokoleń otwierało się tu na przestrzenie inspiracji szerokiego spektrum problemów, zagadnień, trendów - kóż to określi? - kiedyś całkiem niszowych, ale dziś już mniej, znacznie mniej.

Pomyślałem, nie bez związku z pięćdziesięcioleciem, że może mieć sens przedstawienie tego wielowątkowego, enigmatycznego fenomenu zwykłemu konsumentowi kultury, szczególnie ludziom młodym. Powstał projekt wydawniczy JEST TAKIE MIEJSCE. Zgłoszony przez Towarzystwo Bellmer do konkursu Urzędu Marszałkowskiego Województwa Śląskiego uzyskał częściowe dofinansowanie. Projekt dotyczy prac redakcyjnych, przygotowania w miarę ciekawego materiału, którego wydanie w formie książkowej będzie już nowym, następnym etapem, realizowanym w roku przyszłym.

Drodzy Przyjaciele, zapraszam do udziału w tym przedsięwzięciu w formie jaką uznacie za najwłaściwszą. Chcąc nie chcąc, będzie to księga pamiątkowa, bo ukaże aktywności trwające pół wieku, jednak pragnąłbym by przede wszystkim była to opowieść o ludziach, których powracającą ideą było czynić świat bardziej otwartym i wolnym. To bardzo różni ludzi przecież, neoawangarda malarska i muzyczna, ONEIRON, okultyści, ezoterycy, krytycy sztuki, buddyści zen i nie zen, hipisi, magowie chaosu, artyści i zwolennicy Hansa Bellmera. A zatem proszę Ciebie o osobisty tekst lub teksty będące w jakiejś relacji z miejscem a także o udostępnienie fotografii lub innych materiałów, o ile takowe są w Twoim posiadaniu. Proszę również o Twoją notę bio – to bardzo ważne. Zakończenie tej fazy projektu przewidziane jest na ostatni tydzień listopada. Tego terminu absolutnie nie można przekroczyć, jest to termin zakończenia prac redakcyjnych, związanych z otrzymanymi wcześniej materiałami, czasu nie jest za wiele. Proszę o możliwie szybką odpowiedź czy zechcesz wziąć udział w projekcie i kiedy można by liczyć na materiały od Ciebie.

Podtrawiam serdecznie
Andrzej Urbanowicz

Wrzesień 2010

List Andrzeja Urbanowicza informujący o projekcie wydawniczym „Jest takie miejsce”.
Arch. Jan Sar

Kilka dni po napisaniu tego listu Andrzej trafił do szpitala, cierpiał na obturacyjną chorobę płuc. Dwa lata później Andrzej zmarł nie dokończywszy projektu wydania książki o Pracowni. „Przestrzeń” w swym obecnym wydaniu zrealizowała w pewnej części projekt Andrzeja, otwierając swe łamy na zebrane teksty i ukazując Pracownię jako miejsce powstania pierwszej buddyjskiej grupy medytacyjnej w Polsce. Osobiście uważam ten okres, powstawania i działalności buddyjskiej grupy medytacyjnej, za najważniejszy w historii Pracowni i w życiu Andrzeja.



*Warszawa, 1978 r. Anna Klegon, po lewej Zenon Rochowski, po prawej Romuald Czepulkowski.
Arch. Anna Klegon*

Boston, 04.XII.2010 r.

Jasiu, napisałam coś. Jest w załączniku. Całuję,
Ania

Piastowska 1 to moja kolebka duchowa. Tam się narodziłam. Kto by się spodziewał? Taka byłam konkretna, taka zorganizowana i tak mocno stałam na ziemi. No, ale coś mnie tchnęło i coś mnie tam zawiodło. Jeszcze przedtem napisałam list. Że chciałabym praktykować zen, przyłączyć się do grupy, itd. Pewnego dnia dwóch facetów zastukało do mojego mieszkania w Warszawie: Andrzej U. i Włodek N. Zrobili wywiad: kim jestem, co mnie motywuje, itd. Po paru dniach otrzymałam od nich list: zen jest bardzo trudną praktyką i wymaga wiele wysiłku. Proponujemy abyś poszukała sobie innej drogi. Gdybym nie wyrzuciła tego listu, pewnie by teraz wisiał oprawiony na ścianie. Teraz, po prawie 35 latach nieprzerwanej praktyki. Była to wtedy moja pierwsza brama do przejścia: nie zniechęcona zniechęceniem pojawiłam się w Katowicach na Piastowskiej 1. No i wsiąknęłam tam. Studia w Warszawie i comiesięczne wyjazdy do Katowic. Zakupy w Zenicie, porządki w zendo,

gotowanie skąpych posiłków no i zazen, zazen, zazen. To zazen to była siła święta i kosmiczna, niezrozumiała i podniecająca, powalająca na kolana, cudowna i przerażająca. Nic poza tym nie miało dla mnie sensu. Studia skończyłam z rozbiegu. Pamiętam moje pierwsze Rohatsu na Piastowskiej. Bałam się pojechać, bo mi się wydawało, że umrę. Ale musiałam pojechać, więc pożegnałam się ze wszystkim i wsiadłam w pociąg. (Ach te jazdy pociągami!) Ktoś poszedł ze stacji na Piastowską, ktoś kupował w Zenicie, ktoś sprzątał i ktoś gotował. Ktoś siedział w zazen. Ktoś siedział w zazen. Zazen, zazen. Cały dzień i całą noc zazen. Było to moje pierwsze przeżycie siedzenia cały dzień, całą noc i cały dzień. Ciało się zmieniało z zimnego na ciepłe, znowu na zimne i umysł też czasami jaśniał czarną pustką. Wdzięczność była wtedy jakaś organiczna, oczywista, nie warta wspomnienia. Ale teraz to co innego. Teraz lży napływają do oczu, głos drży i nie wiadomo, jakich słów dobrać, by wyrazić prawdę. Ręce się same składają razem i ciało się samo chyli do przodu.

Jimin Anna Klegon

Sydney, 16 Jan 2011

Jasiu,
cieszę się, że myślisz, że moja pisanina jest ładna. Nie chciałem się rozpisywać z detalami, i sprawdziłem jeszcze raz pisownie i gramatykę. Wygląda, że jest OK. Notka biograficzna była zaczepiona też, ale może umkła, była w emailu. Jest ona tutaj, w attachment, trochę teraz zmieniona. Jak na pewno zauważyłeś, poza Andrzejem i Ursulą, nie wspomniałem żadnych imion i nazwisk, z wyjątkiem Kapleau, bo to było trudne do uniknięcia. Piastowska była miejscem Andrzeja i Ursuli, wtedy jak ja zapukałem tam pierwszy raz. Później rzeczy się zmieni-

ły, i wszyscy, którzy tam byli więcej niż raz, mają oczywiście swoje opinie. Ja chciałem uniknąć tych opinii, w sensie administracji, i co się później działo i na Piastowskiej i na Kamieńczyku. Myślę, że byłoby ciekawe, żeby zebrać wszystko to w następnym tomie, I co po Piastowskiej. A nawet, Co przed Piastowską. Jak ja bym miał dostęp do innych ludzi wspomnień, moja pamięć by wybuchła jak wulkan. Dzięki serdeczne, Jasiu, za Twoje starania. Rozbudiłeś we mnie chęć wspomniania, nie tylko w związku z Piastowską i Kamieńczykiem, ale w ogóle, co ja robiłem w tych czasach, i co było ważne, i jak to się wtoczyło w moje życie.

Ryszard



*Kamieńczyk, 1977 r. Od lewej: Ryszard Ratajczak, Stefan Sencerz, Toni Packer, Tadeusz Woron.
Fot. Janusz Korbel*

Strasznie długi czas upłynął od mojego pierwszego pojawienia się na Piastowskiej, i, mając pamięć dobrą ale krótką, wiele, być może, naprawdę ciekawych rzeczy, umknęło z pamięci. Wtedy, będąc młodym i rozchełstanym młodością, polegałem na pamięci, i nie zapisywałem dziennych doświadczeń, z przeświadczeniem, że wszystko będzie zapisane w pamięci jak w dzienniczku czy na taśmie. Niestety, rzeczy są teraz zamglone, i wspomnienia, jakkolwiek ciepłe i nostalgiczne, są one jednak, właśnie, zamglone i zakolorowane czasem i życiowymi doświadczeniami późniejszymi. Były dwie ścieżki, które doprowadziły mnie do Piastowskiej. Pierwsza, to była przez księdza z lokalnej parafii, który, będąc u nas po kolędzie, wspominał, w jakim kontekście nie pamiętam, Św. Jana od Krzyża, i jego filozofię góry Karmel, z nicością na jej czubku. To mnie zainteresowało, ale, będąc młodzieńcem rzucającym się z prawa na lewo z regularnością metronomu, szybko o bosych karmelitach zapomniałem. Później jednak, kiedy czytałem z zawziętością książkę o Zen i Basho, i tłumaczenia jego haiku, po rosyjsku, coś mnie tknęło. Tutaj pierwsza ścieżka się spotkała z drugą, która poprowadziła mnie wprost do Piastowskiej. A ta była, oczywiście, przez Kapleau, przez Trzy Filary. Zabij mnie, ale nie pamiętam kto dał mi kopię tej książki. Ćwiczyłem wtedy karate, i był jakiś studencki teatr, gdzie Zen był tematem rozmów i dywagacji. Kiedy to było, w którym roku, nie mam teraz pojęcia, ale było to na jakiś czas przed moim przyjazdem do Katowic. Od samego początku, kiedy próbowałem siedzieć według instrukcji w Trzech Filarach, nie mogłem się zdecydować jak liczyć oddechy. Czy to powinno być, raz, dwa, trzy..., czy, jeden, dwa, trzy... . Pierwsza wersja była jak wiedeński walc dla mnie, a druga, za bardzo matematyczna. Próbowałem inne języki, odin, dwa, tri..., eins, zwei, drei..., ichi, ni, san..., uno, due, tre.... Tak, czy inaczej, zainteresowanie wzrastało. No i tak, koleżanka, podała mi kontakt i adres. I wtedy pojechałem do Katowic, na warsztat Zen na Piastowskiej, nie mając pojęcia kogo tam

spotkać, co robić, jak się zachować, i po co ja właściwie chcę tam być. Pytania młodości i filozoficznego rozruszenia? Być może. Nie to, że człowiek był całkowicie zielony, w sensie kulturalnym czy politycznym, w polskiej rzeczywistości w tym czasie, ale Zen miał jakieś oznaki alternatywy, nie religijnej, muszę tu zaznaczyć, ale społecznej, kulturalnej, artystycznej. Tak ja myślałem wtedy, gdy zapukałem do drzwi Andrzeja i Urszuli na Piastowskiej, w Katowicach. Był to warsztat Zen, jednodniowy, albo dwudniowy. Był tam oddział osób w brązowych katanach, którzy mówili nam, przyjeźdnym, co i jak. Wszystko było ładnie zorganizowane, z wyjątkiem toalety i łazienki. Słuchaliśmy przemówienia Kapleau z taśmy, z tłumaczeniem, siedzieliśmy, jedliśmy, słuchaliśmy, i znowu siedzieliśmy, i szliśmy, krok za krokiem, tak, żeby nie poruszyć świata. Piastowska, jakkolwiek nie ostoja przyjemności dla wszystkich, była bramą do szerszych doświadczeń dla wielu, mnie włączywszy. Kamieńczyk, na przykład. Ale, to już było później. Piastowska była taką bramą dla mnie. Bez Piastowskiej nie byłoby Kamieńczyka, który jest zupełnie inną historią, jednakowoż całkowicie z Piastowską związanym. Poza tym, Piastowska, i później Kamieńczyk, była dla mnie platformą do spotkań ludzi o mocnych osobowościach, czasami przestraszających, co się przyczyniło do rozszerzenia mojego życiowego doświadczenia. Tak się składa, że teraz czytam książkę, *In pursuit of silence* (W poszukiwaniu ciszy), która traktuje o tym jak się bronić przed różnymi hałasami naszego współczesnego życia. I Piastowska była dla mnie takim odkryciem ciszy, oazą ciszy, w środku ruchliwego i hałaśliwego miasta. I tak Piastowska siedzi w mojej pamięci, jako oaza ciszy. Nie ciszy fizycznej, ale ciszy umysłu. Tak więc, Jest takie miejsce, Piastowska, jest takim miejscem, przez które ja przeszedłem, i miejscem, które utkwilo w mojej pamięci, jakkolwiek teraz słabej, ale, jednakowoż ciągle siedzi. I ja też ciągle siedzi.

Ryszard Ratajczak

Poznań, 27.X.2010 r.

Mój pierwszy kontakt z Pracownią, a raczej z owocem jej istnienia miał miejsce jesienią 1973 roku. Mieszkałem wówczas w opuszczonej leśniczówce w lasach Puszczy Noteckiej. Późnym wieczorem odwiedził mnie przyjaciel Wieńczysław Nowacki, przywiózł z sobą maszynopis pierwszego polskiego tłumaczenia *Trzech filarów zen* z adresem Andrzeja Urbanowicza. Już wówczas praktykowałem medytację, na podstawie serii artykułów, które ukazały się 1973 r. w „Przekroju” (nr 1442, 1483, 1484, 1485, 1486), artykuły te były napisane na podstawie *Trzech filarów zen*. Przyjazd „Wiena” był nieoczekiwaną, cudowną niespodzianką, szczególnie cenną w kontekście ówczesnych realiów wydawniczych w Polsce. Wiosną 1974 roku zaprosiłem Andrzeja do Poznania, aby w klubie studenckim „Aspirynka” powiedział coś na temat zen. W centrum Poznania ustawiono wielką tablicę z informacją, że „Guru Andrzej Urbanowicz wygłosi prelekcję o Zen”. Andrzej, gdy to zobaczył, zrezygnował ze spotkania w klubie i poprosił, aby spotkać się w gronie znajomych w mieszkaniu Niny Orłow. W czerwcu tego roku dotarłem na Piastowską. Drzwi otworzyła dystyngowana, starsza Pani, była to mama Andrzeja, Pani Halina. Zaprosiła mnie do środka i poczęstowała herbatą. Okazało się, że wszyscy wyjechali już na Kamieńczyk. Dojechałem do nich pod koniec lipca. Przez następnych kilka lat Piastowska i Kamieńczyk stały się moim domem. Spotkałem tam wspaniałych ludzi i czerpałem inspirację do wewnętrznej, duchowej pracy. Po wielu latach, w 2008 roku i 2009 roku ponownie spotkaliśmy się na Piastowskiej. Napisałem wówczas krótki tekst o Kamieńczyku i zebrałem ważniejsze daty i wydarzenia z okresu lat siedemdziesiątych, aby uchronić je od zapomnienia (1).

(1) Tekst o Kamieńczyku ukazał się w „Przestrzeni” nr 11/2019, s. 22, a najważniejsze wydarzenia w „Przestrzeni” nr 10/2018, s. 7.

Poznań, 29.IX.2020 r.

W 1979 r. wyjechałem z Polski do Anglii. Moim celem podróży był Ośrodek Zen w Rochester; nie otrzymałem jednak wizy do USA i po kilkumiesięcznym pobycie w Londynie znalazłem się w Australii, która stała się moim domem przez następnych dziesięć lat. Praktykowałem tam medytację zen pod kierunkiem Roshiego Roberta Aitkena. Roshi raz w roku przyjeżdżał do Sydney i prowadził sesshin, w których brałem udział. Po kilku latach pobytu w Australii bez problemu otrzymałem wielokrotną wizę do USA. Odwiedziłem Zen Center w Rochester, uczestniczyłem w programie treningu. Ośrodek zrobił na mnie wrażenie „fabryki kensio”. W dalszych podróżach odwiedziłem Indie pielgrzymując śladami Buddy. Lubiłem zatrzymywać się w klasztorach birmańskich, w małych celach z glinianą podłogą i drewnianą pryzą. Były to miejsca ustronne, jakby nie dotknięte upły-



Po noworocznym grupowym zazen, ul. Piastowska 1 Katowice, styczeń 1975 r. Od lewej: Nyogen (Włodzimierz Nowak), Jan Sar. Fot. Janusz Korbel

wem czasu i zewnętrznymi zmianami. W Bodh Gaja odwiedziłem japońską świątynię. Na jej ścianach znajdowało się ogromne malowidło przedstawiające Buddę i wokół niego tłum ludzi różnych narodowości. Było to w dużym kontraście do sytuacji na zewnątrz świątyni i ogrodzonego wokół niej terenu. Przez bramę, pilnie strzeżoną, przejeżdżały klimatyzowane autobusy z turystami, natomiast osoby nie mieszczące się w pewnym, przyjętym przez administrację miejsca schemacie, nie były wpuszczane na teren świątyni. Pamiętam rozmowę z hinduskim starcem, opiekunem innej buddyjskiej świątyni. Zainteresowany moim pochodzeniem zapytał się o mojego nauczyciela; gdy usłyszał o japońskiej linii przekazu, zdziwił się i powiedział, z dużym przekonaniem, że w Japonii nie ma buddyzmu. W późniejszym czasie przeczytałem książkę "Zen na wojnie" Briana Victoria, co pozwoliło mi bardziej

zrozumieć postawę opiekuna świątyni. Pod koniec mojego pobytu w Australii bardzo zbliżyłem się do Chrystusa. Był to proces stopniowy i z perspektywy czasu widzę, że trwał w zasadzie całe moje życie. Praktyka medytacji zen pomogła mi otworzyć się na naukę Chrystusa, na kościół chrześcijański. Medytacja stała się dla mnie formą modlitwy, której potrzebę tak bardzo odczuwałem. Po powrocie do Polski w 1992 roku spotkałem się ponownie z Mirkiem Berezą uczestnikiem warsztatów zen w Pracowni. Był wówczas już ojcem Janem OSB i mieszkał w klasztorze benedyktynów w Lubiniu koło Poznania. Założył tam Ośrodek Medytacji Chrześcijańskiej. Moja historia wieloletnich poszukiwań duchowych i podróży, gdy ponownie zamieszkałem w Poznaniu, wydała się zbieżna z przygodami Koziółka, który „po szerokim szukał świece tego, co jest bardzo blisko”.

Jan Sar



Uczestnicy sesshin prowadzonego przez roshiego Roberta Aitkena koło Sydney, Australia, 1983 r. Drugi od lewej w ostatnim rzędzie: Lesław Kułmatycki, obok Jan Sar. Fot. Lisa Jensen



Ceremonia pogrzebowa Andrzeja Urbanowicza w Szklarskiej Porębie, 27 sierpnia 2011 r. Od lewej: Kanzen, Henryk Smagacz, Urszula Broll-Urbanowicz, Małgorzata Urbanowicz, Shojun. Fot. Adam Sobota

W dniu 22 sierpnia 2011 r. w Szklarskiej Porębie zmarł Andrzej Urbanowicz. Buddyjskie ceremonie pogrzebowe odbyły się w Szklarskiej Porębie, w domu w którym zmarł, i w Buddyjskiej Misji „Trzy Schronienia w Polsce” w Szczecinie. Uрна z prochami została pochowana na cmentarzu parafialnym przy Kościele Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny, ul. H. Sienkiewicza w Katowicach (nr grobu: 237, kwatera M).



Ceremonia pogrzebowa Urszuli Broll-Urbanowicz w Ośrodku Buddyjskim Karma Kantsang w Garbniku, 1 marca 2020 r. Fot. Jan Borowski

W dniu 17 lutego 2020 r. w Przesiece zmarła Urszula Broll-Urbanowicz. Buddyjska ceremonia pogrzebowa odbyła się w Ośrodku Buddyjskim Karma Kantsang w Garbniku koło Warszawy i tam pozostała urna z prochami.

**Pracownia nadal istnieje,
walczy o przetrwanie
w pamięci.**

Jacek Dobrowolski

Wileński rodowód i rogata dusza

Nigdy nie zapomnę grupowego zazen 1 maja 1976 roku, kiedy za oknami przeciągał pochód pierwszomajowy z partyjnym zapiewajką, a my, przy kadzidlanych aromatach, otwieraliśmy w medytacji serca na Wielką Drogę.

Andrzej Urbanowicz, malarz i performer zmarły w wieku 73 lat w Szklarskiej Porębie 22 sierpnia 2011 r. był niepokornym gnostykiem, badaczem granic egzystencjalnej i artystycznej wolności, polskim inteligen-

tem o szlacheckim, wileńskim rodowodzie i rogatej duszy, bezkompromisowym artystą, adeptem chaosoficznej tantry i dadaistą zbuntowanym przeciw wszelkiej władzy, autorytetom i dogmatom, poza swoją absolutną racją. Nigdy „nie kłaniał się okolicznościom“. Był nie tylko oryginalnym malarzem, przedstawicielem śląskiej szkoły malarstwa ezoterycznego, twórcą assemblaży, kolaży, tkanin i *ready mades*, tłumaczem i wydawcą tekstów buddyjskich oraz czarodziejem-performerem, lecz również animatorem misteriów. Miał niespożytą energię, jaką bywają obdarzeni ludzie spod znaku Byka. Urodzony przywódca o silnej, władczej osobowości i lucyferycznej aurze oraz impulsywnym, nieznoszącym sprzeciwu, marsowym temperamentem wojownika, pasującym do dowódcy wojskowego z dawnych czasów. Oscylował między ostrą dyscypliną pracy w okresach gorączki twórczej czy zarządzania wspólnotą a orgiastycznym wyzwoleniem i anarchiczną abnegacją, czyli między dyscyplinującym



*Jacek Dobrowolski i Jacek Ostaszewski podczas I Spotkania na Piastowskiej 1 w 2008 r.
Fot. Włodzisław Duch.*

Saturnem a „podziemną“ Wenus. Pod jego patriarchalną powierzchownością czuło się *gravitas* silnej woli i intencji, i często wielką serdeczność, co umożliwiał mu budowanie wspólnot. Był odważny, często zuchwały, lubił prowokować, nikomu nie pozwalał na narzucanie mu woli, natomiast sam dążył do dominacji. Jednocześnie jego gościnność była ujmująca.

Był człowiekiem wielkich sprzeczności, ponieważ naczelną jego dewizą była wolność, zarówno sobiepiana dla ego, jak prawdziwa bez ego, co było źródłem stałego, czasem twórczego, czasem destrukcyjnego konfliktu ze sobą i ze światem. Umysł miał bardzo

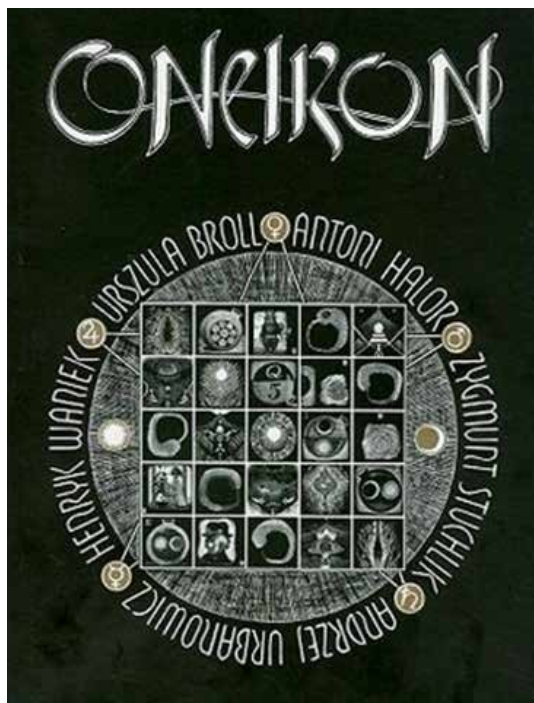
niezależny i dociekliwy, posiadał sporą wiedzę na temat magii i religii, nauk hermetycznych i sztuki symbolicznej. Właściwie był magiem, raz białym, raz czarnym, w zależności od stanu ducha, duchowym bratem Witkacego, Kantora, Grotowskiego, Eliphasa Levi'ego, Wilhelma Reicha i Aleistera Crowley'a, jak oni uwodzającym i „terroryzującym“ otoczenie. Zdecydowany antykomunista z pozycji anarchistycznych oraz postaw Polski szlacheckiej i Drugiej Rzeczypospolitej Piłsudskiego. Jego ojciec był oficerem Korpusu Ochrony Pogranicza, czyli polskiego kontrwywiadu i Andrzej nosił jego wojskowy pas.



1 Spotkanie w Katowicach 2008 r., w Złotym Ośle. Od lewej: Anna Sencerz, Zenon Rochowski, Jacek Dobrowolski. W tle: Krzysztof Kosior, Krzysztof Lewandowski, Marek Mazij. Fot. Włodzisław Duch

Czarne Karty

W drugiej połowie lat 60. zainicjował powstanie katowickiej, ezoterycznej grupy malarzy, która z początku lat 70. przyjęła nazwę Oneiron. Z tego okresu pochodzi jego największe dokonanie artystyczne, wspólnie tworzone Czarne Karty dadaistycznego tarota. W połowie lat 70. był ojcem chrzestnym polskiego zen jako współzałożyciel i lider pierwszej buddyjskiej wspólnoty w Polsce, Związku Buddystów Zen „Sangha“, którą wraz z żoną Urszulą finansował przez kilka lat. Po kilkunastu latach praktyki zen jednak wybrał tantrę. W stanie wojennym współprowadził w Nowym Jorku księgarnię „Solidarności“. Do wolnej Polski powrócił z USA w 1991 r. po 13 latach nieobecności, by kontynuować swe artystyczne działania jako patriarcha katowickiego artystycznego undergroundu i kapłan teatrów misteryjnych Oneiron 2, a później *Oneiron 3*, poszukując na eklektycznej drodze tantrycznych ceremonii pierwotnego chaosu. W roku 2000 powołał Towarzystwo im. Hansa Bellmera, upamiętniające tego katowickiego fotografa-surrealistę z początku XX w., którego



uważał za bratnią duszę. Dwa lata później zadeklarował przynależność do narodowości śląskiej.

Z brodą patriarchy

Andrzeja po raz pierwszy spotkałem podczas wystawy grupy artystów z Katowic „Nowy bezpretensjonalny chaos w obrazkach“ w Galerii Boguckich w Warszawie w kwietniu 1970 r., gdzie pokazano Czarne Karty. Byłem wtedy studentem anglistyki UW i hipisem, początkującym poetą interesującym się buddyzmem i pisującym recenzje do pisma „Jazz“. Na wystawie zdumiały mnie napisy na ścianach: satori, Budda, zen. Myślałem, że poza kilkoma warszawskimi erudytami nikt w Polsce o zen nie słyszał, a tu raptem artyści z Katowic! Latem owego roku szukałem w Londynie mistrza zen, ale żaden tam nie rezydował. Znalazłem jednak Kapilavadho Bhikku, nauczyciela buddyzmu therawady i medytowałem w jego świątyni. Powiedział mi, że spotkam w przyszłości ludzi medytujących w Polsce. Miał rację. Jesienią 1974 r. trafiłem na wykład Andrzeja o medytacji zen w klubie studenckim „Remont“ w Warszawie – przemawiał basem i miał brodę dłuższą od pierwszego patriarchy zen Bodhidharmy. Wiosną 1975 zacząłem chodzić na medytacje do podniebnego mieszkania nieodżałowanej pamięci poety Jarka Markiewicza, przy ul. Oboźnej w Warszawie, człowieka o gołęmbim sercu, jednego z najbliższych przyjaciół Andrzeja, będącego jego charakterologicznym przeciwieństwem. Gdy w sierpniu 1975 na warsztacie nauczycieli zen z USA Philipa Kapleau i Toni Packer w *zendo* na strychu Andrzeja i jego żony Urszuli Broll-Urbanowicz w Katowicach potrzebny był tłumacz, bez wahania zaproponowałem swoje usługi. Pozostałem na miejscu, wstąpiłem do sanghi i zabrałem się za tłumaczenia tekstów zen. Przez dwie zimy mieszkalem na strychu przy ulicy Piastowskiej, lato spędzając w drewnianym domu Andrzeja i Urszuli na górze Kamieńczyk, części świętokrzyskiego pasma Klonówka-Kamień. Był

to czas zgrzebnej epoki Gierka, haseł w stylu „Tylko tak PKO i Fiat!“. Katowice były szare i brudne, spowite dymami, upstrzone hasłami o czynach produkcyjnych i partyjnych, wśród nich snuła się ponura brać górnicza, a pośrodku tego socrealistycznego, śląskiego koszmaru na strychu Andrzeja i Urszuli rozkwitała nasza medytacja jak stokrotka. Nic od niej nie odciągało, nic nie kusiło, a gospodarze ojcowali i matkowali prawdziwej duchowej wspólnocie. Żyliśmy w niepowtarzalnej atmosferze duchowej rewolucji, będącej naturalną konsekwencją hipisowsko-artystycznych poszukiwań. Artyści, studenci, hipisi i proletariusze z kilku miast Polski spotykali się w *zendo* na codziennych medytacjach rannych i wieczornych, okresowych siedzeniach sobotnich i comiesięcznych siedzeniach kilkudniowych, nie mówiąc o ceremoniach. Piastowska, owiana aurą magicznych działań

grupy *Oneiron*, stała się buddyjską świątynią zen, pełną orientalnych figur buddów i bodhisatwów, kadzielnic i innych rytualnych przedmiotów. Nigdy nie zapomnę grupowego *zazen* 1 maja 1976 r., kiedy za oknami przeciągał pochód pierwszomajowy z partyjnym zapiewajką, a my, przy kadzidlanych aromatach, otwieraliśmy w medytacji serca na Wielką Drogę. Rozbrzmiewająca za oknami „Międzynarodówka“ nabierała nieoczekiwanych znaczeń: „myśl nowa blaski promiennymi prowadzi nas na bój i trud!“.

Jak Pan Twardowski

Andrzej z wielką energią odgrywał rolę patriarchy i groźnego strażnika Dharmy, a my staliśmy się żarliwymi entuzjastami, a niektórzy, w tym ja, fanatykami tego, co uważaliśmy za ortodoksyjny zen. Trzeba przyznać,



I Spotkanie 2008 r., Pracownia, ul. Piastowska 1, Katowice. Od lewej: Piotr Jankowski, Małgorzata Urbanowicz, Andrzej Urbanowicz, Nina Orłow (tyłem), Krzysztof Lewandowski, Ewa Jankowska, Jan Lubicz Przyłuski. Fot. Hieronim Lis

że gdyby nie wysiłek Andrzeja, nic by z tego nie było. To on egzekwował surowe zasady dyscypliny. Nie zapomnę jego ogłoszenia w trakcie *kinhin* (medytacji chodzonej): „Osoby rozglądające się będą uderzane kantem *kyosaku*!“. Będąc urodzonym liderem swoją rolę odgrywał z lubością i jak Pan Twardowski „śmieszył, tumańił, przestraszał“. Prócz ambicji zaszczepienia praktyki zen w Polsce jako alternatywy dla modlitewnych praktyk chrześcijańskich, kierowała nim prawdziwa serdeczność i współczucie. Spontanicznie pomagał komu tylko mógł.

To była prawdziwie braterska wspólnota, poczucie więzi między nami było niebywale silne, wiele przyjaźni trwa do dziś. Byliśmy pionierami buddyzmu zen w Polsce, grupą silnie zhierarchizowaną, rytualistyczno-teatralną, ekskluzywną i bojową, uprawialiśmy bowiem hiperkoncentrującą praktykę wyczynową na samurajską modłę. Ta

niebywała erupcja energii promieniowała chyba na całą Polskę z *zendo* na Piastowskiej i jej letniego wcielenia, świątyni zen na Kamieńczyku, zbudowanej przez nas własnymi rękami w latach 1976-77. Czerwonemu totalitaryzmowi i czarnemu totalizmowi przeciwstawialiśmy totalitaryzm praktyki zen w imperialnym stylu japońsko-amerykańskim. Zbawialiśmy Polskę! Ta sama siła buntu przeciw dyktaturze komunizmu, która później wydała „Solidarność“, ożywiła nas pod jego przewodem od połowy lat 70. Pamiętam, jak Andrzej proponował wydawanie podziemnego pisma zen „Han ostrzegający!“. Niewtajemniczonym wyjaśniam, że han to drewniany blok, w który uderza się drewnianym młotkiem, gdy zwołuje się ludzi na praktykę *zazen*.

Była to fantastyczna przygoda, sen o potędze i wolności bez granic w zniewolonym kraju. Świadomość, że przez lata, dzięki znajomości



II Spotkanie 2009 r., Pracownia, ul. Piastowska 1, Katowice. Od lewej; Jarosław Markiewicz (tyłem), Andrzej Urbanowicz, Anna Sencerz, Jan Lubicz Przyłuski, Zbigniew Miłunski, Anna Jedynak, Bolesław Rok. Fot. Jan Bereza OSB

ciom Andrzeja, drukowaliśmy nasze buddyjskie teksty, książki i kwartalnik „Droga Zen” w drukarni KW PZPR w Katowicach dawała mi, tłumaczowi, dziką satysfakcję. Był to złoty wiek buddyzmu zen w Polsce, buddyzmu podziemnego uprawianego głównie na strychach. Kiedy podczas stanu wojennego i przez kilka lat po nim prowadziłem *zendo* na strychu przy ul. Freta na Nowym Mieście w Warszawie, była to dla mnie naturalna kontynuacja działań ze strychu Andrzeja i Urszuli w Katowicach. Na medytacje przychodzili m.in. drukarze podziemnej „Solidarności”: Jan Narożniak (postrzelony przez ZOMO) oraz Maciej Wrześniowski (więziony w Białoleńcu). Więzionym działaczom „Solidarności” dostarczaliśmy książki o medytacji zen do więzień i internatów.

Jestem Andrzejowi szalenie wdzięczny za jego niepokorny sarmacki charakter, fantazję i dobre serce ukryte za maską groźnego patriarchy. Mam nadzieję, że ktoś go namaluje jako Samuela Zborowskiego, Józefa Piłsudskiego, Eliphasa Levi’ego i śląskiego Bodhidharmę w jednym. Jestem też wdzięczny Andrzejowi z jeszcze jednego powodu. Gdyby nie on, nie poznałbym, ani nie tłumaczyłbym mądrej i szlachetnej Toni Packer. Proponuje ona odtrutkę na katedralny zen z jego rytualnymi rolami – bezpretensjonalną, bezceremonialną medytację, prostą, otwartą obecność wolną od technik, ideologii, dogmatów i wyczynów. Andrzej, dziękuję za otwarte drzwi na Piastowskiej! Bywaj!

Jacek Dobrowolski, Warszawa, luty 2012



Andrzej Urbanowicz na dachu domu, ul. Piastowska 1 w Katowicach, 2008 r. Arch. Jan Sar

PROŚBA DO PANA DONALDA TUSKA - PREMIERA RP

Zwracam się do Pana Premiera z poparciem prośby o przyznanie emerytury specjalnej artyście malarzowi Andrzejowi Urbanowiczowi z Katowic, urodzonemu w Wilnie w 1938 r.

Jego zasługi jako animatora i współtwórcy niezależnej kultury artystycznej oraz duchowej w Polsce w czasach PRL-u są ogromne. Jest on wybitnym malarzem surrealistycznym, współzałożycielem i liderem legendarnej grupy śląskich artystów ezoteryków „Oneiron” powstałej w 1969 r., autorem kilkudziesięciu wystaw, happeningów i publikacji, animatorem życia artystycznego w Katowicach od lat 60-tych XX w. W roku 2000 założył Towarzystwo Hansa Bellmera upamiętniające twórczość pochodzącego z Katowic fotografa o światowym rozgłosie.

Andrzej Urbanowicz odegrał też fundamentalną rolę w stworzeniu w PRL-u w połowie lat 70. XX w. pierwszej, nielegalnej, medytacyjnej wspólnoty buddyjskiej zen. Uczynił to nie tylko dla dobra polskich buddystów. Kilku propagatorów medytacji w Kościele katolickim, jak np. ś.p. o. Jan Bereza OSB, opat klasztoru benedyktyńskiego w Lubiniu, najpierw praktykowało medytację w salach medytacyjnych, jakie Andrzej ustanowił w swojej pracowni malarskiej w Katowicach oraz w swoim domu na Kamieńczyku w Górach Świętokrzyskich. W ponurych czasach komuny były to miejsca poszukiwania wewnętrznej wolności.

Artysta był również wydawcą, poza legalnym obiegiem, pierwszych kilkudziesięciu buddyjskich tekstów sakralnych i książek o medytacji. Muszę podkreślić, że wszystko to było możliwe dzięki wielkiemu wkładowi finansowemu jego i jego byłej żony Urszuli Broll-Urbanowicz, bowiem finansowali wiele działań sprzedając swe obrazy. Ponieważ od 1975 r. do 1985 r. pracowałem społecznie jako tłumacz na rzecz założonego przez nas Związku Buddystów Zen „Sangha”, (zalegalizowanego w 1980 r.), mogę potwierdzić, że publikacje te docierały do setek ludzi w wielu miastach Polski, a w stanie wojennym do miejsc internowania działaczy „Solidarności”, takich jak Jaworze, Gołdap czy więzienie w Białoleścu. Działo się to już po wyjeździe A. Urbanowicza do USA w 1978 r., który w stanie wojennym organizował w Nowym Jorku poparcie dla „Solidarności” i prowadził przez kilka lat polską księgarnię na Manhattanie.

Biorąc pod uwagę wszystkie zasługi Andrzeja Urbanowicza, jego podeszły wiek i bardzo zły stan zdrowia (obturacyjna choroba płuc) uważam, że należy mu się specjalna emerytura dla zasłużonych artystów*. 500 zł. renty, jakie dostaje to jałmużna, której Państwo Polskie winno się wstydzić. Jako życiorys artysty załączam monografię „Oneironu” wydaną w Polsce i Niemczech.

Z szacunkiem,

Poeta, krytyk i tłumacz, współpracownik miesięczników „Odra” i „Teatr”, pisujący też do „Gazety Wyborczej”, „Rzeczpospolitej”, „Kontekstów”, „Res Publici Nowej”, pionier tłumaczeń literatury buddyjskiej. Odznaczony przez Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego brązowym medalem „Gloria Artis” w 2005 r. Współpracownik BBC od 1989 r.

* specjalna emerytura została przyznana Andrzejowi kilka miesięcy przed śmiercią.

Jest takie miejsce

Gdy wstąpiłem do klasztoru benedyktynów, poczułem podobną atmosferę, jakiej doświadczałem praktykując zen. Poznałem też wielu mnichów buddyjskich, którzy będąc w naszych benedyktyńskich klasztorach mówili, że czują się tu jak u siebie, że panuje podobna atmosfera, podobne zasady i ideały.

Po raz pierwszy w Katowicach na Piastowskiej medytowałem na początku 1975 r. Zachęcił mnie do tego Bolek Rok, z którym studiowałem w tym czasie na ATK. Moje początki nie były zbyt fortunne. Miałem zamiar wziąć udział w kilkudniowym sesshin, wyjechałem jednak po dwudniowych warsztatach z bólem nóg nie do wytrzymania i wyrzutami sumienia z powodu poczucia zdrady religii, w której byłem wychowany. Mój dom był przepełniony modlitwą matki. Dzięki niej wyniosłem otwarcie na chrześcijaństwo i duchowy wymiar rzeczywistości. Przejście na buddyzm nie wchodziło w rachubę, miałem jednak głębokie przekonanie, że powinienem dalej praktykować zazen. Zrozumiałem wtedy, że chrześcijanie odrzucają buddyzm, gdyż patrzą na niego poprzez pryzmat własnych kategorii, koncepcji teologicznych oraz filozoficznych uwarunkowanych często bardziej kulturowo niż religijnie i odwrotnie – buddyści z tych samych powodów nie mogą dostrzec duchowego przesłania ewangelii Jezusa. Jeśli dodamy do tego osobiste urazy i nieporozumienia, wtedy dialog, wzajemne inspirowanie się i ubogacanie stają się niemożliwe.

Nigdy jednak nie przestałem praktykować zazen. Brałem też udział w warsztacie prowadzonym przez Philipa Kapleau i kilka razy jeszcze w dwu- czy trzydniowych medyta-

cjach na Piastowskiej. Z poznanymi wtedy ludźmi – Jackiem Dobrowolskim, Andrzejem Krajewskim czy Bolkiem Rokiem utrzymując kontakty do dziś, niekiedy współpracując z nimi na płaszczyźnie medytacji i dialogu międzyreligijnego.

W późniejszym okresie znajdowałem wiele światła w wypowiedziach zarówno kardynała Serigo Pignedoli (przewodniczący Sekretariatu dla Niechrześcijan), jak i roshiego Koun Yamady, u którego praktykowało wielu chrześcijańskich mistrzów zen. Wypowiedziach o tym, że dialog między religiami jest możliwy, a na poziomie życia monastycznego i kontemplacji znajdujemy wiele punktów wspólnych. Szczególnie ważne były dla mnie spotkania z Dalajlamą. W 1994 r. brałem udział w seminarium Johna Maina zatytułowanym „Dobre serce”. Na seminarium Dalajlama czytał i komentował wybrane teksty z ewangelii. Wskazywał na wiele wspólnych płaszczyzn między chrześcijaństwem a buddyzmem. Zachęcał jednak nas, katolików, aby trwać mocno w swojej tradycji. Spytałem potem Dalajlamę o dialog z mnichami chrześcijańskimi. Wypowiedział wtedy słowa, które do dziś są dla mnie bardzo ważne: „Kiedy nasza relacja staje się bliższa, wtedy okazuje się, że mamy wiele wspólnych praktyk. Szczególnie na płaszczyźnie monastycznej jest wiele podobieństw: prostota, zadowolenie, oddanie się dyscyplinie, medytacji, modlitwie, dlatego praktyka i przekaz, który jest podstawą w różnych tradycjach religijnych, jest podobny: miłość, pokojowe podejście do rzeczywistości... Ponieważ mamy wiele podobnych praktyk, to poprzez zbliżenie naszych relacji możemy przekazywać sobie wiele doświadczeń z naszego własnego życia, w ten sposób możemy wzajemnie się wzbogacać. Buddyści mogą wiele się nauczyć od innych tradycji i inni mogą się uczyć patrzeć na świat z perspektywy buddyzmu. Myślę, że ważne jest, aby trzymać się własnej religii i jednocześnie rozwijać w sobie pewien szacunek do innych tradycji”.

Owocem mych rozważań w tym czasie stał się *Traktat mistyczny* Pseudodionizego Areopagity ułożony w formie Prajnaparamity Hrdaya sustry.

Błogosławiony w miłosierdziu swoim
W głębokości poznania i miłości
Ujrzał znikomość
Wszystkich pięciu jakości zmysłowych
I na nic niezdatnego rozumu
A przez to osiągnął świętą nieświadomość
Wyzwalającą od wszelkich przeszkód
W poznaniu Tego, którego
Imię ponad wszelkie imię

On nie ma ciała
Ani postaci ciała
Ani formy, ani jakości
Ani ilości, ani rozmiaru
Ani zmysłów, ani podpadania pod zmysły
Nie ma też w nim zmiany, ani uszkodzenia
Nie ma pojęcia duszy, ani inteligencji
Ani wyobraźni, ani ujęcia
Ani myśli, ani słów
Ani liczby, ani porządku
Ani wielkości, ani małości
Ani równości, ani nie-równości
Ani podobieństwa, ani nie-podobieństwa
Ani poruszania się, ani spoczynku
Nie ma mocy ani słabości
Ani ciemności, ani światła
Ani życia, ani dawania życia
Nie ma też pojęcia substancji, ani przypad-
łości
Ani wieczności, ani czasowości
Ani percepcji, ani wiedzy
Nie ma pojęcia prawdy, ani mądrości
Ani poddania, ani panowania
Ani jedności, ani wielości
Ani skończoności, ani nieskończoności
Nie ma pojęcia synostwa ani ojcostwa
Ani żadnej pojmowanej rzeczy
Ani nic z tego, co jest
Ani nic z tego, co nie jest
Ponieważ to, co istnieje
Nie zna Go takim, jakim jest
Ani On nie zna żadnych rzeczy
Które istnieją tak, jak on jest

Nie nazwiesz Go, ani określisz słowem
Nie rozpoznasz wiedzą
Nie można bowiem wypowiedzieć o Nim
Ani absolutnego twierdzenia
Ani absolutnej negacji

Gdyż wznosi się ponad wszystko
Tak samo ponad wszelką negację
Jak i ponad wszelką afirmację
I wszystko można o Nim twierdzić
I wszystko zaprzeczać

Najlepiej więc zamilczeć
I ćwiczyć się ustawicznie
W kontemplacjach mistycznych
Zostawiwszy na uboczu zmysły
I działalność na nic niezdatnego rozumu
A połączywszy się z Tym, który jest ponad
wszystko
Trwać w jedności
Osiągając w ciemności światło
A w ciszy naukę

Bacz by nie-godni nie usłyszeli tej nauki;
To znaczy ci profani, którzy sądzą
Że możliwym jest poznać światłem rozumu
tego
Który obłok niewiedzy wybrał sobie za mie-
szkanie
Osiągając w ciemności światło
A w ciszy naukę.

Gdy wstąpiłem do klasztoru benedykty-
nów, poczułem podobną atmosferę, jakiej
doświadczałem praktykując zen. Poznałem
też wielu mnichów buddyjskich, którzy bę-
dąc w naszych benedyktyńskich klasztorach
mówili, że czują się tu jak u siebie, że pa-
nuje podobna atmosfera, podobne zasady i
ideały. Dalajlama w czasie jednego ze spot-
kań z przedstawicielami Komisji do dialo-
gu międzyreligijnego na płaszczyźnie mo-
nastycznej (DIM-MID powstały w połowie
lat 70.) powiedział, że lepiej dogaduje się z
mnichami chrześcijańskimi niż buddyjskimi
innych tradycji. Jakkolwiek chrześcijaństwo
na Zachodzie nie stworzyło tak systematycz-
nych treningów jak zen czy joga, to jednak w
pierwszych wiekach praktykowano medyta-
cję w różnych formach. Medytacja nie była
obca ojcom pustyni i ślady jej znajdujemy
w regule św. Benedykta. Przetrwiała do dziś
w formie Modlitwy Jezusowej praktykowa-
nej w Kościele wschodnim. Było to dla mnie
ważnym odkryciem i pomocą w osobistej

praktyce. Naukę Modlitwy Jezusowej zebrałem w Medytacji z ojcem Serafinem:

Kiedy medytujesz, bądź jak góra
nieruchomo osadzona w ciszy.
Jej myśli zakorzenione są w wieczności.
Nie rób niczego, siedź, bądź,
a poznasz owoce płynące z modlitwy.

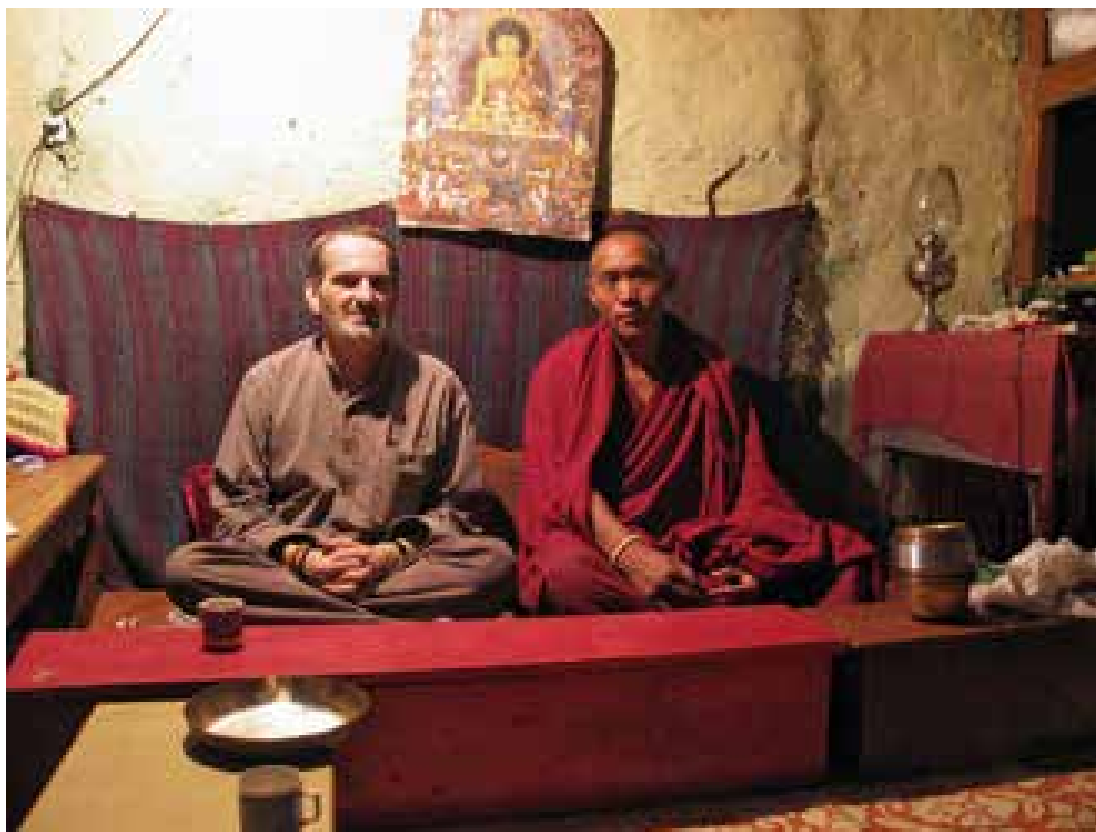
Kiedy medytujesz, bądź jak kwiat,
zawsze skierowany ku słońcu.
Jego łodyga jak kręgosłup, zawsze jest prosta.
Bądź otwarty, gotowy przyjąć wszystko bez lęku, a nie zabraknie ci światła w drodze.
Kiedy medytujesz, bądź jak ocean,
w swej głębi zawsze nieporuszony.
Jego fale przypluwają i odpływają.
Bądź spokojny w swym wnętrzu,
a złe myśli same odejdą.
Kiedy medytujesz, pamiętaj o oddechu,
dzięki niemu człowiek stał się istotą żyjącą,
oddech od Boga pochodzi i do Boga wraca.

Zjednocz słowo modlitwy ze strumieniem życia,
a nic od Dawcy życia cię nie odłączy.

Kiedy medytujesz, bądź jak ptak,
śpiewający bez wytchnienia przed obliczem Stwórcy.
Jego pieśń wznosi się, jak dym kadzidła.
Niech i twoja modlitwa będzie jak gruchanie gołębia, a nie poddasz się zniechęceniu.

Kiedy medytujesz, bądź jak Abraham
składający swego syna w ofierze.
Był to znak, że gotów jest oddać wszystko.
I ty pozostaw wszystko,
a w opuszczeniu Bóg napełni cię swą obecnością.

Kiedy medytujesz, to Jezus
modli się w tobie do Ojca w Duchu.
Jesteś niesiony żarem Jego miłości.
Bądź jak rzeka służąca każdemu,
a przyjdzie czas, że przemienisz się w Miłość.



O. Jan Bereza OSB i mnich tybetański. Północne Indie. Arch. Jan Sar

Góra uczy sensu wieczności,
kwiat, gdy więdnie, uczy przemijania,
ocean uczy spokoju wśród przeciwności,
a miłość uczy zawsze Miłości.

W ramach DIM-MID stworzono Program duchowej wymiany Wschód-Zachód polegający na wzajemnych odwiedzinach i innych kontaktach między mnichami różnych religii. Od ponad 20 lat współpracuję z tą komisją, byłem też członkiem Komitetu Episkopatu Polski do Spraw Dialogu z Religiami Niechrześcijańskimi. W naszym klasztorze w Lubiniu stworzyłem Centrum Medytacji i Dialogu Międzyreligijnego, gdzie odbywają się spotkania i wspólna praktyka, często też z mnichami buddyjskimi. Po jednym z takich spotkań powstał tekst o potrzebie ciszy, jest on wyrazem tego, co nas łączy:

Bardzo ważne jest,
abyśmy doświadczali ciszy,
ciszy, która wykracza poza
różnice religijnych systemów,
ciszy, która wykracza poza
nazwę i formę.

Bardzo ważne jest,
abyśmy doświadczali ciszy,
ciszy, która jest wewnątrz nas
jak w skorupie orzecha,
ciszy, która niczego
nie wyklucza.

W ciszy
umysł znajduje spoczynek,
w ciszy
wyczerpuje się gniew,
w ciszy
ustaje pożądlivość,
w ciszy
zanika niewiedza,
w ciszy
jesteśmy zdolni
dostrzec promień światła,
które jest w nas.
Ciszą można się przerazić,
ciszą można się zachwycić,
cisza może być niewinna,
cisza może być intymna.

Gdy mnożą się trudności,
powinniśmy powracać do ciszy.

Gdy świat traci swoją harmonię,
wtedy wszystko skłania nas,
aby spoglądać ku wnętrzu,
aby spoglądać do środka.

Gdy świat traci swoją harmonię,
wtedy wszystko skłania nas,
aby połączyć się razem
i dzielić wspólną
odpowiedzialność.

Każdy z nas
jest małą gwiazdką
świecącą na tle nieba,
które jest ciemnością.
Wszyscy dzielimy
wspólne niebo,
wszyscy dzielimy
wspólny wszechświat,
dzieląc go razem,
jednocześnie go tworzymy.

Świecić w ciemności
to nasze zadanie.

Wiele też pisałem na ten temat, uczestniczyłem w programach telewizyjnych i radiowych, a także w wielu spotkaniach dotyczących medytacji i dialogu międzyreligijnego. Jestem przekonany, że moja działalność i osobista praktyka wiele zawdzięcza tym spotkaniom na Piastowskiej sprzed 30 lat. Chciałem wyrazić moją ogromną wdzięczność wszystkim, których wtedy poznałem i którzy mnie zainspirowali do praktyki medytacji i podjęcia dialogu międzyreligijnego, słowami, które wypowiedział przed laty Jan Paweł II do buddystów w Tajlandii: „Obyśmy wszyscy zostali oświeceni i zrozumieli ciężką na nas odpowiedzialność”.

Ojciec Jan Mirosław Bereza OSB,
Lublin, grudzień 2010

Leopold Lisicki

Moje duchowe poszukiwania

Na swój pierwszy warsztat zen w Katowicach w roku 1975 dotarłem prosto z pielgrzymki, po dziewięciu dniach pieszej wędrówki z Warszawy do Częstochowy.

Mój przyjaciel Jan Sar poprosił mnie o napisanie kilku zdań na temat moich początków w grupie praktykujących zen w Polsce. Zanim dotarłem do tego szczególnego miejsca, jakim było dla mnie *zendo* w Katowicach przy ul. Piastowskiej, poszukiwałem prawdy w innych tradycjach. Zostałem wychowany w tradycji chrześcijańskiej i pamiętam, że w latach mojej młodości dużo czasu spędzałem w kościołach. Miałem nawet zamiar wstąpić do seminarium, do czego namawiał mnie mój stryj, ksiądz prałat Aleksander Zienkiewicz „Wujek”. Stało się jednak inaczej. Na fali kontestacji lat 70. zapuściłem długie włosy i zacząłem wędrówkę w poszukiwaniu duchowych nauczycieli. Spotkałem ich w swoim życiu wielu i jestem im wszystkim głęboko wdzięczny za pomoc i przewodnictwo. Byli to księża, tacy jak ks. Andrzej Szpak i ks. Adam z Lublina, nauczyciel jogi Tadeusz Pasek, szamani i Lamowie oraz mistrzowie zen. W trakcie tych poszukiwań zdecydowałem się również na eksperymenty ze środkami zmieniającym świadomość, takimi jak LSD, marihuana czy grzyby halucynogenne. I chociaż były to zazwyczaj ciekawe doświadczenia, to nie dały mi jednak „oświecenia” czy nawet spokoju umysłu. Kiedyś mój pierwszy mistrz zen, roshi Philip Kapleau podczas warsztatu powiedział, że może poprzez takie psychodeliczne „podróże” ujrzymy przelotnie górę, ale to nie znaczy, że na nią weszliśmy. To zasadnicza różnica. Teraz rozumiem

to właściwie, a to znaczy, że jakiegokolwiek substancje psychoaktywne nie są mi więcej potrzebne. Wielu moich znajomych po takich eksperymentach miało poważne zaburzenia emocjonalne i psychiczne lub się uzależniło od narkotyków. Wielka szkoda. W tym czasie, kiedy byłem zbuntowanym idealistą, spotkałem Zbyszka Thielle. Był on wówczas znanym psychiatrą i dyrektorem Szpitala dla Psychicznie i Nerwowo w Lubiążu. To właśnie on podał mi adres do Andrzeja i Urszuli Urbanowiczów. Pojechałem do Katowic i zacząłem praktykę zen, razem z cudownymi ludźmi, których tam spotkałem. Były to osoby z różnych środowisk, przeważnie związane z ruchem hipisowskim. Poznałem tam muzyków, malarzy, architektów, psychologów, nauczycieli i przedstawicieli innych zawodów. Łączyło nas wspólne dążenie do samopoznania i urzeczywistnienia prawdy, chociaż przez nas różnie widzianej i doświadczanej. Nie mieliśmy wówczas żadnego nauczyciela i praktykowaliśmy opierając się w dużej mierze na literaturze, a szczególnie książce *Trzy filary zen* Philipa Kapleau. Andrzej i Urszula Urbanowiczowie udostępnili nam swoje mieszkanie i pracownię na odosobnienia zwane *zazen*. W późniejszym czasie również piękny dom w Górach Świętokrzyskich. Jestem przekonany, że bez ich zaangażowania i poświęcenia, rozwój dharma w Polsce byłby znacznie opóźniony. Jestem im za to bardzo wdzięczny. Na swój pierwszy warsztat zen w Katowicach w roku 1975 dotarłem prosto z pielgrzymki, po dziewięciu dniach pieszej wędrówki z Warszawy do Częstochowy. Dzisiaj swoją praktykę staram się pogłębiać, czerpiąc z tradycji Wschodu, Zachodu, Północy i Południa. Widzę, jak cudownie wszystko się wzajemnie przenika i w końcu przekracza wszystkie nazwy, podziały i sztuczne granice. Obecnie moją nauczycielką jest rosi Sunya Kjolhede, spadkobierczyni dharma Rosiego Kapleau. Pamiętam, jak mówiła do nas podczas mowy dharma, że nie jest ważne, jak to nazywamy; ważniejsze jest to, jak tego doświadczamy.

Leopold Lisicki, Zgorzelec, wiosna 2021

W poszukiwaniu drogi

To nie ja mam mózg, tylko mózg ma mnie. „Ja” jako obdarzony wolną wolą czynnik sprawczy jest iluzją, ale pozbywając się tej iluzji więcej zyskujemy niż tracimy. Nirwana to pozbycie się neurotycznych impulsów.

Pytania „czym jest umysł”, „czym jest świadomość”, „czym to wszystko jest” frapowały mnie od dzieciństwa. Pamiętam jeszcze ze szkoły podstawowej dyskusje z dziećmi sąsiadów i z moim bratem, w których dziwił się razem, czym jest to w nas, o czym czasami mówimy „silniejsze ode mnie”. Próbowaliśmy się zdefiniować, przypominając sobie różne własne reakcje w sytuacjach stresowych: ja taki jestem, a ja taki nie jestem. Skąd mogę wiedzieć, jaki jestem, jeśli siebie nie sprawdzę? Już w dzieciństwie zacząłem szukać Drogi.

Gandhi uratował mi życie

Wielu ludzi przestaje szukać znajdując ukojenie w religii. Jak większość dzieci wysłał mnie na religię, ale ksiądz katecheta nie potrafił mi odpowiedzieć na żadne istotne pytanie. W naszym powiatowym miasteczku była jedna księgarnia i pewnego dnia przyszło do niej grube opracowanie „Religie świata”. 19 z 20 egzemplarzy zakupił proboszcz, próbując uchronić umysły obywateli przed szokującą prawdą, że nie każdy ma to samo wyobrażenie o świecie, jeden egzemplarz się jednak uratował – mój ojciec miał w księgarni swoją półkę, na którą odkładano mu co ciekawsze książki. Byłem chyba jedynym dzieckiem z podstawówki, które coś wiedziało o religiach świata. W szkole śred-

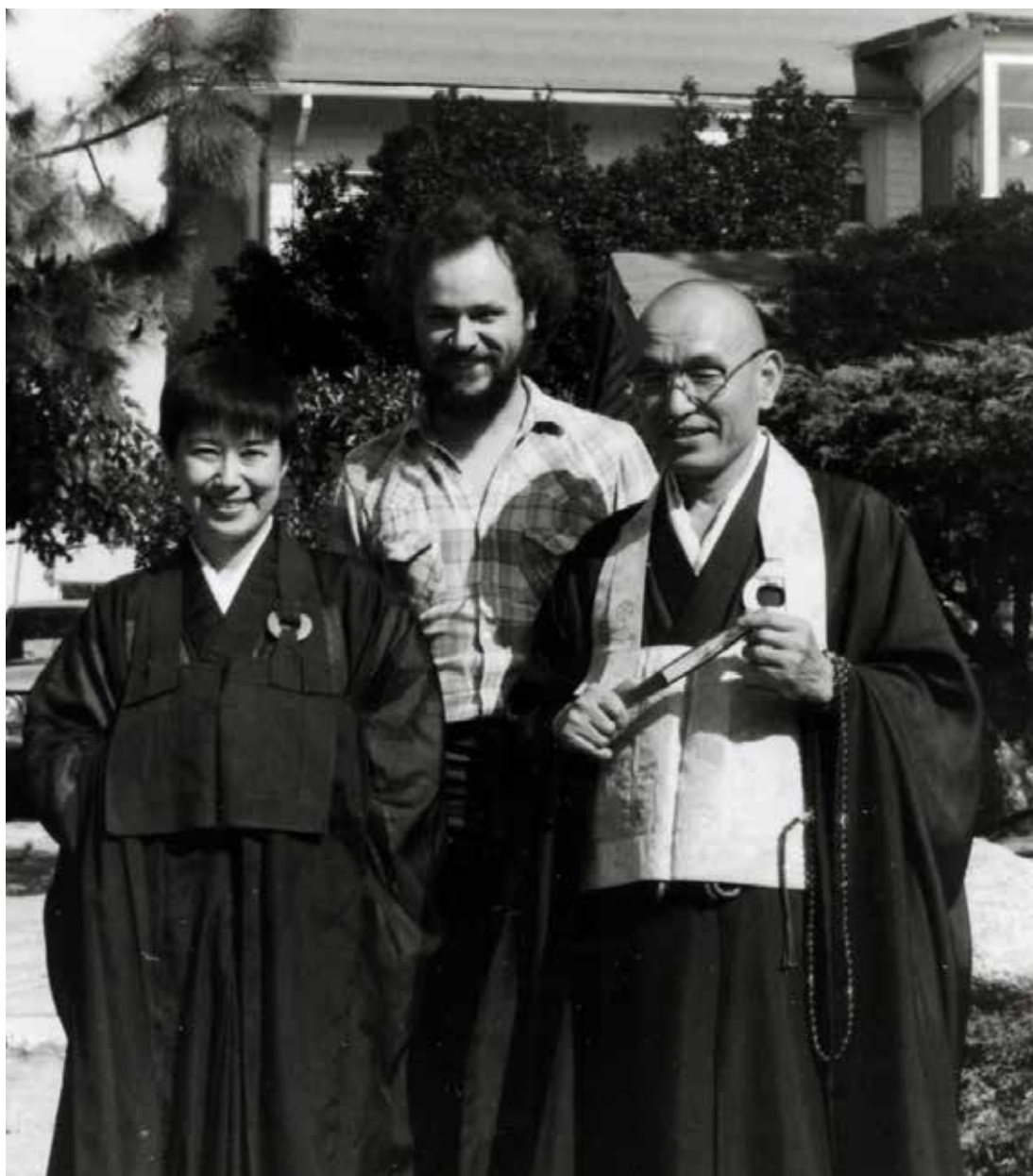
niej czytałem w wielkim podnieceniu dzieła Freuda (sporo tam było o seksie, ale i podświadomości), jakiś czas byłem hippisem poszukującym odmiennych stanów świadomości. Na szczęście zachorowałem na paskudną żółtaczkę i na przełomie pierwszej i drugiej klasy szkoły średniej osiem miesięcy przeleżałem w szpitalu na oddziale zakaźnym (ściśła dieta, żadnych odwiedzin, dużo czasu na skupienie) czytając „Filozofię indyjską” Radhakrishnana i praktykując jogę. Latem 1970 r. Gandhi uratował mi życie. Przeczytałem jego autobiografię i przestałem jadać mięso. Po wyjściu ze szpitala wybraliśmy się z dziewczyną na wyprawę kajakową na Jeziorak w pobliżu Ławy. Rozbiliśmy sobie namiot na małej wyspie, kilkanaście kilometrów od najbliższej wsi. Moja mama dała nam na drogę kielbasę. Koło północy moja dziewczyna zrobiła się biała i zaczęła sztywnieć. Pomimo płukania żołądka jeziorną wodą z chlorowymi tabletkami było coraz gorzej, więc przed świtem próbowałem ją odwieźć do wsi. Na szczęście pomogli nam wędkarze z motorową łódką, porzuciłem swój kajak w trzinie. Zatrucie jadem kielbasianym bywa śmiertelne i mogliśmy razem zostać na tej wyspie, ale skończyło się na ośmiu dniach w szpitalu i uszkodzeniu trzustki. Czasami dobrze mieć w grupie przynajmniej jednego wegetarianina.

Jak płomień gasnącej świecy

Studiowałem fizykę, bo wydawało mi się to jedyną pewną podstawą dla zrozumienia świata. Na studiach spędziłem sporo czasu czytając w Bibliotece Głównej UMK przedwojenne miesięczniki o wiedzy tajemnej „Wiedza duchowa” i „Lotos”. Przekopałem się przez literaturę okultystyczną, szukając wiedzy o naturze umysłu. Pisywałem wtedy popularne artykuły o parapsychologii i mózgu w „Przekroju” i innych czasopiśmie. W końcu trafiłem na książki na temat pierwotnego buddyzmu, który od czasu lektury Radhakrishnana bardzo mnie interesował. Zacząłem pisać o związkach nauki, a

zwłaszcza fizyki kwantowej z mistycyzmem (w 1981 r. prowadziłem na ten temat semestralny wykład na Uniwersytecie Studiów Orientalnych w Los Angeles). Na trzecim roku studiów fizyki napisałem też bardzo spekulatywną pracę na temat reinkarnacji (Out-of-body and reincarnation phenomena from the point of view of physics), uzasadniając buddyjski punkt widzenia na przeniesienie informacji o charakterze umierającej

osoby (karmana) do płodu, który staje się pewną kontynuacją poprzedniego istnienia, bez zachowania tożsamości substancji. Jak płomień gasnącej świecy, od której odpala się nową, jest kontynuacją procesu, chociaż świeca jest inna. To jest jeden z niedokończonych wątków w mojej historii. Nayanaponika Mahatera był wówczas naczelnym redaktorem „Biblioteczki Buddyjskiej” w Kandy na Sri Lance. Korespondowałem z nim przez



Los Angeles, 1980 r. Od lewej: roshi Wendy Egyoku Naka, autor artykułu – Włodzisław Duch, roshi Maezumi. Arch. Włodzisław Duch

parę lat (okazało się, że dorastał na Śląsku i w 1936 r. wyemigrował na Sri Lankę), chciał wydać mój artykuł w nowej serii „Buddhism and Contemporary Thought”. Wydawnictwu Buddhist Publication Society nie udało się rozwiązać problemu praw autorskich z wydaniem pierwszej książeczki w tej serii, napisanej przez Iana Stevensona, amerykańskiego psychiatrę, który badał przypadki dzieci, spontanicznie opowiadających o poprzednim życiu. Mój manuskrypt wzbudził jednak pewne zainteresowanie, bo w 1980 r. dostałem list od emerytowanego profesora filozofii z Zagrzebia, który napisał: „Wędrując po dżunglach Sri Lanki natknąłem się na pustelnię mnicha, który miał kopię pańskiego artykułu”. W 1993 r. będąc w Cavendish Laboratory w Cambridge usiłowałem przekonać Briana Josephsona (był chyba najmłodszym noblistą w historii, dostał nagrodę w wieku 33 lat), by zajął się moim studenckim pomysłem opracowania fizycznego modelu reinkarnacji.

Komandos zen na strychu

W 1976 r. do naszego akademika zawitała grupa Osjan. W przerwie koncertu usłyszałem, jak Jacek Ostaszewski i Tomek Hołuj rozmawiają z jakimś studentem na temat zen. Oferowałem im zaraz swój artykuł, ale nie wykazali zainteresowania mówiąc, że czytają tylko te rzeczy na temat buddyizmu, które inspirowały ich do praktyki. Tak dowiedziałem się o istnieniu sanghi w Polsce i następnego miesiąca zjawiłem się w Katowicach na poddaszu pracowni Andrzeja Urbanowicza. Trafiłem na grupę poszukującą podobnie jak ja, choć w całkiem odmienny, często antyintelektualny sposób. Oto spotkałem „kroczących drogą”, którzy odrzucali wszelkie pozory wgłębiając się w swój umysł. Najpierw był dzień warsztatów, bardzo trudny, walka o przetrwanie pomimo bólu mięśni i trudności z oddychaniem, odkrycie, jak mało kontrolujemy swój umysł, a jak bardzo ulegamy neurotycznym popędom. Potem trzydniowe *sesshin*, które niemal przechorowa-

łem, czując jak wzbierają we mnie różne odczucia, budzą się lęki, demony, cierpienie. Chciałem zemdleć, niech się o mnie martwią... Siedziałem jednak dalej, wracając do liczenia oddechów, budzenia się z kolejnych warstw otępienia. Po pierwszym *sesshin* byłem wyczerpany. Obecność nauczyciela bardzo ułatwia praktykę, ale my naprawdę byliśmy „komandosami zen”. Nastrój tych *sesshin* był niepowtarzalny, zapach strychu pracowni Andrzeja, nasze szaty, trzask *kyosaku*, wersety „Nawet gdy noc okrywa cieniem zieloną ziemię, koło obraca się, śmierć podąża za narodzinami. Przez całą noc, z każdym oddechem staraj się o to, aby przebudzić się poza dniem, poza śmiercią.” Wielki krzyk, wielkie echo – musimy się maksymalnie wysilać. Dzień po *sesshin* byłem w lesie, cały czas czując zamęt i szum, wydawało mi się, że cały mój wysiłek na nic się nie zdał. Nagle poczułem się tak, jakby cały szum, całe zamglone tło istnienia odpadło. Była cisza, był las, rozpięchły się wszystkie demony. Jednocześnie pojawiła się wdzięczność, sam bym tego nie przetrzymał, to dzięki zbiorowemu działaniu całej sanghi możliwy był ten wysiłek. Pewnego dnia przejeżdżając przez Katowice czekałem na dworcu na dalsze połączenie. Pobieglem na chwilę pod budynek naszego zendo, by skłonić się przed nim skłonić. Byłem parę razy na Kamieńczyku, na *sesshin* z Toni i roshim, witałem Soen Sa Nima i jego nauczycieli dharma w Krakowie, byłem na jego Yong Maeng Jong Jin i odwiedziliśmy razem z sanghą Kapleau erem kamedułów na krakowskich Bielanych. Miałem wyrzuty sumienia, że nie udzielam się dostatecznie dużo w sandze, ale w 1978 r. urodził mi się syn, pracowałem nad doktoratem, dwa lata potem urodziła mi się córka i w 1980 wyjechaliśmy do Los Angeles. Chociaż był to dość krótki okres i później spotykałem członków sanghi i brałem udział w spotkaniach w Polsce tylko sporadycznie z wielu względów, była to dla mnie ważna i ciekawa lekcja życiowa.

Co ja tutaj robię?

Ściana jest tylko z pozoru ścianą. W rzeczywistości jest lustrem umysłu. Każdy, kto będzie w nią patrzył chociaż przez kilka minut, łatwo to dostrzeże. W czasie sesshin patrzy się w ścianę. Patrzy się długo. Większą część całej doby. Wówczas ściana ujawnia swoje prawdziwe oblicze. Staje się tłem wielkiej ucieczki, ucieczki od prawdy o sobie. Myliłem się wielce, wyobrażając sobie, że w zendo można spokojnie medytować. Często hałas jest nie mniejszy niż na dworcu kolejowym. Byliśmy w końcu w samym centrum Katowic. Zgrzyt hamulców, warkot silników, urywki melodii, krzyk dzieci, odgłosy zabawy, skrzypienie podłogi pod stopami monitorów i ich oddech za naszymi plecami, rosnące napięcie i trzask uderzeń kyosaku, postękiwania obolałych towarzyszy niedoli, wyczekiwanie na dzwonki... Co ja tu robię? Czego szukam? Wyciągnąłbym się w domu na kanapie i porządnie wyspał, poczytał książkę i zrobił coś pożytecznego. Co za bezsens tu siedzieć. I tak w tym hałasie nic się nie uda. Wszystko to jest oszustwem. Życiem w piekle, bólu, cierpieniu. Nauczyciele i cała reszta nie wiedzą i tak więcej niż ja... A jednak z chwili na chwilę przezwyciężam swoje zwątpienia, skoro inni wytrzymują, to ja też; skoro inni przez to przeszli to i ja mogę. Przypominałem sobie, jak przed laty w szkole dyrektor na mnie krzyczał, a ja znalazłem od tego ucieczkę skupiając się na oddychaniu. Przez lata praktyki uczyłem się ciągle powracać do tego stanu czystego odczuwania, odcinającego szum myśli. Kim jestem? Czym to wszystko jest? Przebudź się! Teraz! Głębokie poczucie całkowitego zadziwienia powstrzymuje spekulacje pozwalając umysłowi swobodnie funkcjonować. Prawie nikt w sandze nie miał nic wspólnego z nauką. Skąd wiemy, że starożytne praktyki są najbardziej efektywne? Z jednej strony chciałem „osiągnąć oświecenie”, a więc w pełni przeżyć i zrozumieć to, co mówili nauczyciele, a z drugiej strony nie mogłem się powstrzymać od dalszych poszukiwań. Jest czas na skupienie i czas na myślenie. Pomysł, by zastąpić

monitorów i ich kyosaku elektronicznym monitorem, który bada, czy nie zasypiamy (nie wiotczeją nam mięśnie), nie spotkał się ze zrozumieniem. Teraz wszyscy używają biofeedback do treningu uwagi, zwłaszcza u dzieci z zaburzeniami uwagi (ADHD).

Oppenheimer to mój kumpel

Przez wiele lat zagłębiałem się w zen podróżując po świecie. Odsunęło mnie to od intelektualnych prób zrozumienia, czym jest umysł. Skoncentrowałem się na fizyce, zrobiłem dość szybko doktorat i jako postdoc (czyli stażysta po doktoracie) zamieszkałem w 1980 r. w centrum ruchów tajemnych, czyli Los Angeles. Zawodowo zajmowałem się głównie fizyką molekularną, mechaniką kwantową, programami komputerowymi. Odwiedziłem lokalne komuny wszelkiej maści i w końcu zamieszkałem z żoną i dziećmi w International Buddhist Meditation Center (IBMC), buddyjskim centrum, które było jedną z ostatnich „kryjówek” byłych hippisów. Codziennie rano przez pół godziny uczestniczyłem we wspólnej medytacji, ale IBMC nie oferowało zbyt intensywnej praktyki. Kilka razy braliśmy udział w sesshin na Mount Baldy u Roshiego Sasaki (Shinzen Young, nasz lokalny nauczyciel, był jego tłumaczem). IBMC było niedaleko Zen Center of Los Angeles (ZCLA), prowadzonym przez roshiego Maezumi, czasami organizowaliśmy wspólne ceremonie. Nie mogłem zamieszkać na ich kampusie ze względów finansowych, ale brałem udział w organizowanych przez ZCLA *sesshin*, różnych ceremoniach i imprezach towarzyskich. Moje pierwsze sesshin było szczególnie pełne wrażeń. ZCLA zorganizowane było bardzo tradycyjnie, przeniesiono tam wiele elementów japońskiego życia klasztornego. Jako początkujący przypisany zostałem do Joko, która była najmłodszą nauczycielką. Nie widziałem jej wcześniej i nic o niej nie wiedziałem. Kiedy nadeszła kolejka na dokusan dla naszego rzędu, skłoniliśmy się i usiedliśmy przy wejściu na schody. Zaraz ją zapytam... Setki pytań krążą mi po głowie. Usiłuję sobie przypomnieć, jak należy się zachować po wejściu. Zabrział dzwon, pę-



I Spotkanie w Katowicach 2008 r., w Złotym Ośle. Od lewej: Jacek Dobrowolski, Piotr Jankowski, Włodzisław Duch, Lesław Kulmatycki. Fot. Teresa Korbel

dzę po schodach na górę, wchodzę do pokoju, robię pokłon zaplatając się w długie szaty. Siedzimy naprzeciwko siebie i mam okazję przyjrzeć się Joko z bliska. Starsza babcia z ogoloną głową i bardzo mocno odstającymi uszami (okazało się potem, że ma czworo wnuków). Spodziewałem się po tej rozmowie nie wiadomo czego – zaskakujących pytań lub uderzenia laską, nie wiadomo, jaki ma styl. Joko łagodnie zapytała: Jak się nazywasz? Włodek. Skąd jesteś? Z Polski. Z Polski? A co tu robisz? Jestem postdokiem na University of Southern California, na fizyce. Fizyk? Bardzo lubię fizyków, Robert Oppenheimer był moim kumplem.

Zaskoczony nie mogłem wydusić ani słowa. Siedzę tu ze skrzyżowanymi nogami w długiej szacie, w japońskim ośrodku zen, przed uszatą babcią w stroju mniszki, która mi mówi, że ojciec bomby atomowej był jej kumplem. Człowiek, który był zaraz po wojnie dyrektorem Instytutu Studiów Zaawansowanych w Princeton, gdy pracowała tam cała plejada słynnych uczonych na czele z Einsteinem, von Neumannem, Paulim. Człowiek, którego pracę o wiązaniach chemicznych napisaną z Maxem Bornem w 1926 r. właśnie usiłuję zrozumieć, był jej kumplem? Szczeka opadła

mi najwidoczniej na podłogę, bo Joko zaczęła wyjaśniać: Pracowałam w administracji na Uniwersytecie Kalifornii na wydziale fizyki. Robert był wielkim intelektualistą. Znał sanskryt i orientował się dobrze w filozofii wschodu. Nie był jednak człowiekiem skłonym do praktykowania medytacji. Nigdy by nie przyszedł do takiego ośrodka jak ten. Joko była pianistką koncertową, a kiedy zakończyła karierę, została sekretarką. ZCLA skupiało wielu ciekawych ludzi. Testugen, pierwszy spadkobierca Maezumiego, zrobił doktorat z matematyki. Kobiety, które tam nauczały, były naprawdę wyjątkowe i skłonne znacznie bardziej do eksperymentowania z różnymi formami nauczania niż mężczyźni. Genpo Sensei robił przez parę lat ciekawe warsztaty „Zen Life Intensive” w Hiltonie, w typowo amerykańskim stylu, dla ludzi, którzy normalnie nie przyszliby do ośrodka zen. Około 40 osób przez dwa dni trochę dyskutowało, trochę wykonywało różne ćwiczenia, a trochę skupiało się w *zazen*. W czasie pierwszej sesji ludzie opowiadali, dlaczego zapisali się na te warsztaty. Prawie każdy miał za sobą jakieś straszne przeżycia: pracę z dziećmi chorymi na białaczkę, powolną agonię bliskiej osoby... Zen to naprawdę sprawa życia i śmierci, bez

większego wstrząsu śpimy głęboko. Jednym z ćwiczeń było pytanie przez 10 minut partnera „kim jesteś”, i odrzucanie jego odpowiedzi. Genpo po paru latach zaprzestał robienia tych warsztatów, powiedział mi, że roshi go do nich zachęcał, ale czuł, że jednak tego nie popiera. Po wielu latach powrócił jednak do pewnego rodzaju terapii, wymyślając proces, który nazwał „Big Mind”. Zen to wspaniała tradycja, ale nie można ustać w poszukiwaniach bardziej efektywnej formy nauczania.

Kazanie o jednym umyśle

Moim naturalnym koanem było „kim jestem”. Mistrz zen Bassui (1327-1387) w *Kazaniu o jednym umyśle* mówił: „Jeśli chcesz urzeczywistnić swój własny Umysł, musisz przede wszystkim wejrzeć w źródło, z którego wypływają myśli. Śpiąc czy pracując, stojąc czy siedząc, głęboko zapytaj siebie: Czym jest mój własny Umysł? Rób to z gruntownym pragnieniem rozwiązania tej kwestii. Cóż to za mistrz, który w tej właśnie chwili oczyma widzi barwy, a uszami słyszy głosy, który teraz podnosi ręce i rusza stopami? Wiadomo, że są to funkcje naszego umysłu, lecz nikt nie wie dokładnie, na czym one polegają. Można twierdzić, że za tymi działaniami nie kryje się żadne rzeczywiste istnienie i że czynione są one spontanicznie. Można i odwrotnie, utrzymywać, że są to właśnie czynności jakiejś istoty, ale pozostaje ona niewidzialna. [...] Wewnątrz siebie nie znajdziesz żadnego ‘ja’ ani nie odkryjesz nikogo, kto słyszy.” Te słowa mocno mnie poruszały i oddawały ducha mojej praktyki.

W oku cyklonu

Z Los Angeles przeniosłem się na rok do Torunia, a potem do Monachium, gdzie zacząłem się zajmować trochę superkomputerami, a potem bardziej podstawami fizyki, wracając do swoich potrzeb zrozumienia świata. Tymczasem na UMK zaczęliśmy tworzyć studia informatyczne, zostałem szefem Zakładu Informatyki Stosowanej i zacząłem powoli odchodzić od fizyki. Najpierw były to sieci neuronowe i sztuczna inteligencja. Krok po kroku zbliżałem się do modelowania działania

mózgu i próby zrozumienia, jak działa umysł również od strony intelektualnej. Do wykładów na temat sieci neuronowych dodawałem coraz więcej wiadomości z neurobiologii i neuropsychologii, a potem filozofii umysłu. Na UMK naukami o umyśle, czyli kognitywistyką, zainteresowali się również filozofowie, logicy, pedagodzy, medycy i specjaliści z innych dziedzin. Założyliśmy towarzystwo naukowe i pismo „Kognitywistyka”. Chociaż Uniwersytet Jagielloński wyprzedził nas z programem studiów doktoranckich, to my nieco wyprzedziliśmy ich z programem regularnych studiów. W szkole fizyki komputerowej miałem wykłady o fizyce umysłu – wywołało to pewną konsternację, ale artykuł został wydrukowany, choć z komentarzem redakcji tłumaczącej się z nietypowego tematu. Już drugą kadencję pełnię obowiązki prezydenta European Neural Networks Society. Byłem współzałożycielem towarzystwa, zajmującego się tą częścią psychologii, która bada przeżycia transpersonalne. Pracowałem między innymi z psychologiami eksperymentalnymi w Max Planck Institute w Monachium, odwiedzałem laboratoria psychologii rozwojowej, wygłaszałem referaty o modelach komputerowych funkcji mózgu dla psychologów, psychiatrów, a nawet teologów, w grupach zajmujących się sztuczną inteligencją i sieciami neuronowymi, w Anglii, Australii, Japonii, Francji, Niemczech, odwiedzałem wielokrotnie Brain Science Institute w okolicach Tokio, powoli kształtując swoje własne podejście do umysłu. Ostatnio w ciągu roku wygłaszałem referaty na ponad dwudziestu konferencjach od Alaski i Japonii po Australię i Nową Zelandię. Moi byli studenci rozproszyli się po świecie, od 2002 r. związałem się z fundacją badawczą szpitala dziecięcego w Cincinnati, Ohio, a od 2003 r. pracuję też w Singapurze na Nanyang Technological University, próbując tam utworzyć instytut nauk kognitywnych. Krótko mówiąc, bawiłem i nadal bawię się dobrze uprawiając naukę. Piszę artykuły do pism filozoficznych, kognitywistycznych, technicznych, matematycznych, statystycznych, fizycznych. Nauka nie powinna mieć granic, chociaż jest rzeczą niebezpieczną porzucać wody, na któ-

rych człowiek czuje się pewnie. Minęły już czasy genialnych amatorów, dlatego trzeba jeździć na konferencje, rozmawiać z najlepszymi i poddawać się ich krytyce. Spotykamy się z ludźmi ze wszystkich krajów świata znajdując bez trudu wspólny język. Czasami w środku wiru zdarzeń czuję się jak w oku cyklonu, całkowicie spokojny.

Małe ja, wielkie ja

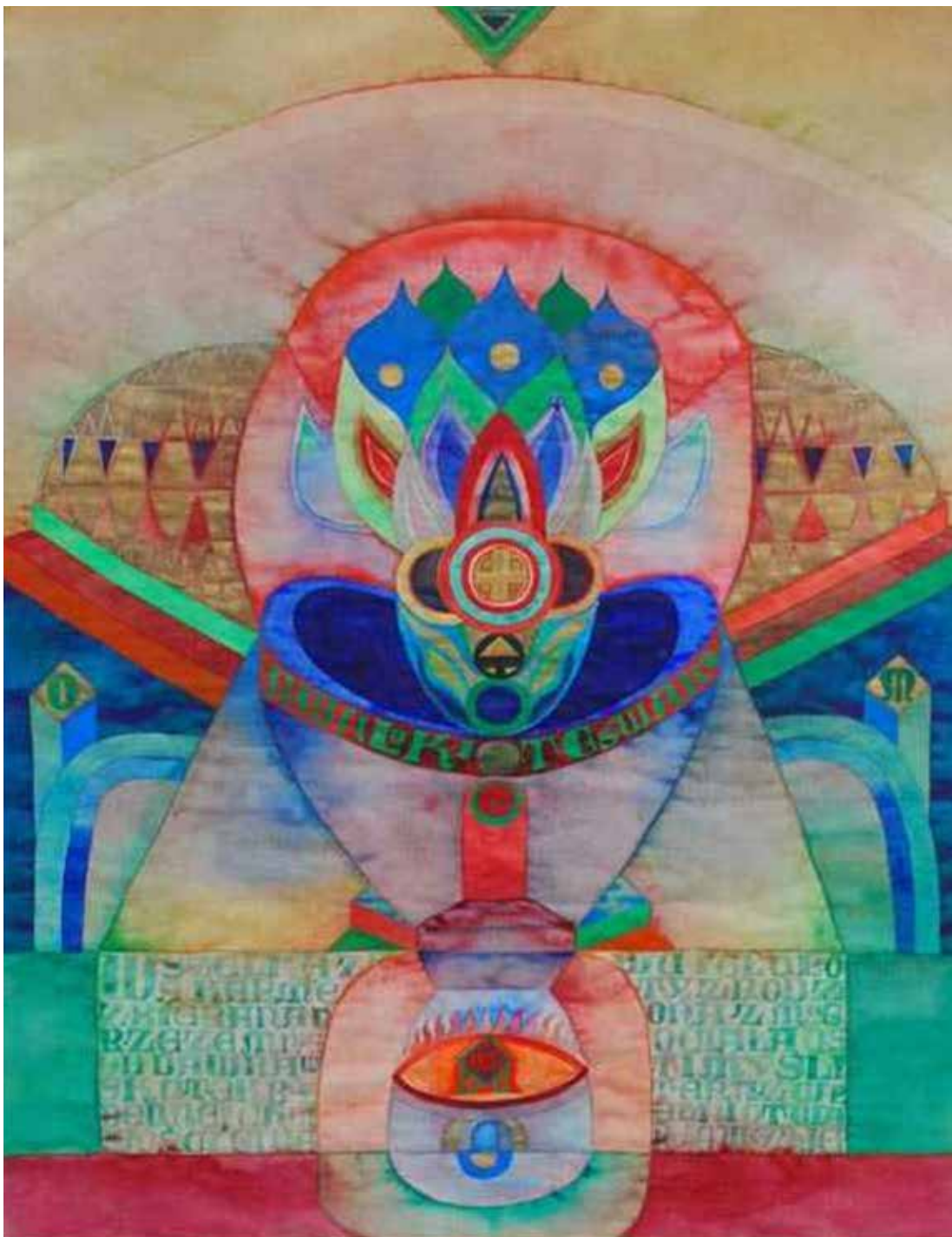
Powoli udaje mi się zrozumieć coraz lepiej, czym jest umysł, czym jest świadomość. Parę lat temu miałem jeszcze wrażenie, że nie rozumiemy (w obrębie kognitywistyki) wielu rzeczy, ale teraz jestem przekonany, że rozumiemy więcej, niż jesteśmy skłoni przyznać. Im więcej udaje mi się zrozumieć, tym bardziej widzę, jak wiele istotnych wglądów w rzeczywistą naturę umysłu znajdujemy w zen. W Mumonkan znajdujemy koan „Flaga Eno”. Dwóch mnichów spiera się, czy to wiatr się porusza, czy też flaga się porusza? Patriarcha mówi im: „To nie wiatr się porusza. To nie flaga się porusza. To wasz umysł się porusza!”. Zwykle przytaczam ten koan jako komentarz pokazując studentom iluzję optyczną poruszającej się tancerki. Część osób widzi, że tancerka kręci się w lewo, a część że kręci się w prawo, chociaż widzą to samo. W dodatku odwracając na chwilę wzrok tancerka może zmienić kierunek ruchu. Jest to sekwencja kilku nieruchomych obrazków, widać więc wyraźnie, że porusza się tylko umysł patrzącego. To jeden z wielu przykładów na to, jak głęboki wgląd w naturę umysłu mieli słynni mistrzowie.

Od 2500 lat tradycja buddyjska oparta na głębokiej introspekcji uznawała ego za złudzenie. Hakuin napisał w poemacie Zazen Wasan: „Przyczyną naszych trosk jest złudzenie ego. [...] A gdy zwrócimy się do wewnątrz i doświadczymy naszą Prawdziwą Naturą, że Prawdziwa Jaźń jest nie-jaźnią, że nasza własna Jaźń jest nie-jaźnią, staniemy ponad ego i poza zręcznymi słowami. Wtedy brama do jedności przyczyny i skutku zostanie otwarta na oścież”. Innymi słowy, egoistyczne ja to zbiór poglądów na temat siebie i relacji z innymi ludźmi, ale moje rozszerzone ja nie ma

granic, jest rezultatem bezpośrednich lub pośrednich oddziaływań ze wszystkim, nie ma tu prostej przyczynowości, przyczyna i skutek nie dają się oddzielić. Chińscy nauczyciele mówili o „małym ja”, utożsamianym z ego, i „wielkim ja”, które nie ma granic. Większość kognitywistów zgadza się obecnie, że umysłu nie można rozpatrywać tylko lokalnie.

Moje „ja” jest jednym z wielu procesów, które tworzy mózg i cały organizm. To nie ja mam mózg, tylko mózg ma mnie. „Ja” jako obdarzony wolną wolą czynnik sprawczy jest iluzją, ale pozbywając się tej iluzji więcej zyskujemy niż tracimy. Podchodzimy z większą pokorą do wiedzy o sobie, zdajemy sobie sprawę ze stopnia komplikacji procesów zachodzących w mózgu, w całym organizmie i środowisku, dzięki którym w naszym umyśle pojawiają się decyzje i idee. Częścią mojego wielkiego „ja” jest nie tylko cały mózg, cały mój organizm, ale i znaczna część świata, ludzie, którzy mieli na mnie bezpośredni wpływ, lub wywarli wpływ pośredni przez swoje dzieła. Utożsamianie się z wielkim „ja” nie oznacza, że czuję się bezwolny, a tylko że powinienem działać w mniej egoistyczny sposób. Nirwana to pozbycie się neurotycznych impulsów. Chociaż jest to trudne, warto nad tym pracować, warto się starać by wszystkie nasze reakcje były takie, byśmy ich potem nie żalowali. Wymaga to bezustannej uwagi. Uwaga! Uwaga! Uwaga! – napisał mistrz Ikkyu. Badaniu mechanizmów uwagi poświęca się obecnie wiele wysiłku. W kognitywistyce, a szczególnie w badaniach nad mózgiem, dzieją się obecnie fascynujące rzeczy. Być może uda się znaleźć lepsze metody treningu uwagi. Nie znaczy to jednak, że można będzie całkowicie uniknąć własnego wysiłku. Mając liczne obowiązki na trzech kontynentach trudno mi znaleźć wolny czas, jednak staram się ciągle powracać do praktyki zen. Stała się częścią mojego codziennego życia, chociaż czasami są to tylko krótkie chwile, nie tak intensywnie okresy, jak bym chciał. Praktyka nigdy się nie kończy. Kto wie, jaki bym dzisiaj był bez tego miejsca na Piastowskiej 1...

Włodek Duch



Urszula Broll, „Awalokiteśwara”, Arch. Roger Urbanowicz



Andrzej Urbanowicz, „Nasza wieża Babel”, Arch. Roger Urbanowicz

Andrzej Urbanowicz napisał poniższy list „Trzy filary czego?” 4 stycznia 2004, czyli 30 lat po zetknięciu się z buddyzmem zen i jest to próba przedstawienia swojego stanowiska wobec autentyczności nauczania roshiego Kapleau (jest to kopia ze skanu).

TRZY FILARY CZEGO?

Jest czwarty dzień grudnia. Wieczór, przed godziną odjechał Jacek Dobrowolski, z którym spędziłem dzień. Kilka tygodni temu podesłał mi swój list otwarty do W.E. Na nowo, często w precyzyjny sposób opisał swoje, ale także i nasze wspólne, przeciętne, zaszłości. Powiedziałem mu wówczas, że w tym co dotyczy P. Kapleau i Zen Center of Rochester nie znajduję przekłamań. Nie wszystko powiedziałbym tym samym tonem, wszak każdy ma prawo do własnej ekspresji.

Po kilkakrotnej lekturze listu: zrozumiałem, że ja również powinienem te zaszłości rozważyć. Skrótowo uczyniłem to w roku 1986 w liście otwartym wysłanym z Nowego Jorku. Zapewne, części osób lektura tego pisma dała nieco do myślenia. Otrzymaliśmy również, Jacek, Stefan Sencerz i ja (każdy osobno) wypowiedzi Wojciecha Eichelbergera. Pozbawiony rzeczowości poziom tych tekstów, nie zachęcał do dalszego zajmowania się tymi aferami, w istocie kryminalnymi. Problemy jednak pozostawały, w rozmowach z moim synem Rogerem, z innymi członkami dawnej Sangi, wreszcie we mnie samym. Kilka lat temu, zamierzaliśmy wspólnie z Henrykiem Wańkiem spisać swoisty dwugłos o początkach ruchu buddyjskiego w Polsce. Część tych wspomnień, szczególnie ta, która dotyczy Zen Center of Rochester, jest dla mnie jak zły sen. Więc odkładałem pisanie na potem. Cóż, potem nadeszło właśnie teraz.

Mija właśnie 30 lat od czasu, kiedy zetknąłem się z instytucjonalnym buddyzmem, a w każdym razie z czymś, co jako buddyzm przedstawiało się. Z buddyjskiej perspektywy niepodobna nazwać tego inaczej jak fałszywą dharma i tak jest to określane przez buddyjskich nauczycieli. Tu jednak zamierzam odnosić się do ogólnie przyjętego kodeksu etycznego a nie do ocen buddyjskich. Oczywiście, nie uniknę nawiązań do buddyzmu. To co sam otrzymałem z buddyjskich lektur a także to co starałem się przekazywać innym, nie czerpało bynajmniej tylko z obszaru określonego przez samozwańczego nauczyciela. Część tych lektur była niewątpliwie wartościowa i to one w dużej mierze sprawiły, że po około dziesięciu latach my, większość pierwszych polskich uczniów, każdy z osobna, odeszlśmy. Nie chcę też twierdzić, że praktyka zen, którą uprawialiśmy, była zła czy bezużyteczna. Z pewnością była niepełna i niewystarczająca. Warto by przyrzeć się temu spokojnie.

Iskra, rozniecająca Zen w Polsce napłynęła od Henryka Wańka. Być może ta iskra by zgasła, gdyby nie natrafiła na tak łatwopalny materiał, jakim byłem. Przyczyniłem się do tego, że w drugiej połowie lat 70 ruch buddyjski w Polsce liczył już kilkaset osób. Nie wszystkie były związane z grupą, którą prowadziłem, ale niemal wszystkie otarły się o Piastowską i o materiały nielegalnie przez nas drukowane i rozprowadzane. To nie najgorzej, niestety, brałem również aktywny udział w budowaniu organizacji, która nie okazała się być tym, za co się podawała. Ponieważ moja rola w początkowym okresie jej rozwoju była dość znaczna, wiele mam sobie do wyrzucenia. Mój błąd polegał na tym, że w imię „wyższego dobra”, przymykałem oczy lub, co gorsza, aktywnie brałem udział w manipulacjach. Tym „wyższym dobrem” – tak mi się wydawało – był rozwój nowopowstającej polskiej Sangi. A powinienem był nie stracić z oczu faktu, że najwyższym dobrem jest prawda. Kiedy po trzynastu latach nieobecności w Katowicach, po powrocie z Ameryki, znalazłem w naszej pracowni zakurzoną teczkę z materiałami prowadzonych przez nas warsztatów, zażenowałem się swoim własnym autorytarnym tonem. Nieźle się wpasowałem w ducha Rochester. Czy to wszystkie moje błędy? Nie, nie, z pewnością. Błędów popełniłem bez liku. Na ogół wiążą się one z cechami osobowości, z ich negatywnymi biegunami jak porywczosć, gniew i wynikająca z nich niesprawiedliwość. Brak mi było – a to tak ważne przy pracy z ludźmi – ciepłej delikatności wobec każdego. Za wiele było a może i jest, wnosząc także z tego memoriału, oceniania. Wszystkich, którym wyrządziłem lub którym może czynię przykrość, przepraszam. Proszę, wybaczyć. I nie wiele więcej mogę dziś zrobić. Chyba tylko rozłoczyć przed wami opowieść, widzianą oczami jakże stronniczego świadka.

Spróbuję opisać te perypetie. Jest tu wiele wątków, krzyżujących się i nakładających. Są różne perspektywy czasowe. Jednym słowem bałagan. Może powstanie z tego jakiś obraz. W latach 60, w tej mazi gomułkowszczyzny, był w nas potężny głód, organiczna potrzeba autentycznej duchowości. W drugiej połowie tej dekady byłem pod wpływem poglądów C.G. Junga. Analityk ten forsował opinię, dziwną z dzisiejszego punktu widzenia, jakoby istniało coś takiego, jak odrębny duch Wschodu lub Zachodu. Być może formułował to inaczej, jednak sens był taki, że powinniśmy przede wszystkim zajmować się strukturami zachodnich idei, wschodnie pozostawiając ludziom Wschodu. Wschodem więc, szczególnie Dalekim, niewiele się zajmowałem, skupiając się na tradycji zachodniej. Wcześniej byłem agnostykiem, jednak lektury okultystyczne a szczególnie jedna z książek poświęconych magii, spowodowały we mnie przełom.

Zajmowanie się tradycją śródziemnomorską chcąc nie chcąc prowadzi do chrześcijaństwa. Wychowany w katolicyzmie, odszedłem od niego w bardzo wczesnej młodości. Teraz postanowiłem sprawdzić, czy przypadkiem nie popełniłem jakiegoś błędu. Zaczęłem chodzić do kościoła i przysłuchiwać się kazaniom. Z instytucjonalnym chrześcijaństwem, podobnie jak w młodości, nie poczułem związku. Zabrałem się też do lektur dogmatyki i teologii. To co zrozumiałem, sprowadzić można do sentencji: zbawienie zależy od zhawczej ofiary Chrystusa. To jest piasta, wokół której obraca się religia. Musiałem sobie odpowiedzieć, czy w to wierzę. A skoro nie, to szukałem dalej w ruchach ezoterycznych Zachodu. Poznałem je trochę.

Byliśmy, szczególnie Urszula, Henryk i ja, dość odcytani w literaturze okultyzmu, mistyki, magii i religii niechrześcijańskich. Każdy specjalizował się w jakiejś dziedzinie. Urszula zgłębiała głównie mistykę indyjską i bliskowschodnią a także C.G. Junga, ja – ezoterykę zachodnią a Henryk – tradycje tybetańską i chińską. Były też lektury wspólne, Hesse, Meyrink, Eliade, Cioran, Cirlot i wiele innych. Mogliśmy się uważać za ekspertów w tych różnych dziedzinach, oczywiście na miarę tamtych lat i ogólnej nieznamości tych tematów w środowisku PRL-u. Nie to jednak było naszym celem, podobnie jak nie zamierzaliśmy sprowadzać sztuki do ilustracji naszej teoretycznej wiedzy. Owszem, przepełniało nas pragnienie wejścia w Huxleyowskie Bramy Percepcji. W większym lub mniejszym stopniu, mieliśmy doświadczenia psychodeliczne i to nas upewniało, że te Bramy, jak i świat za nimi, realnie istnieją, nierzadko w stopniu mocniejszym niż świat zwykłej codzienności.

Z lektur wynikało niedwuznacznie, że teoretyczne, intelektualne zrozumienie może być co najwyżej wstępem na tej ścieżce, którą pragniemy podążać. Konieczne jest podjęcie pewnych praktyk z ciałem i umysłem a więc taka czy inna joga. Dla właściwego postępu i rozwoju – kluczowe jest spotkanie mistrza, który pokieruje jeszcze na wpółślepym uczniem. Tylko, jak kogoś takiego zdobyć w kraju wszechobecnej kontroli, z którego skutecznie wyganiano wszelkie ślady „idealistycznych ideologii”?

Któregoś dnia – pewnie był to 1967 rok – Henryk przyniósł sympatycznie wyglądający paperback *The Three Pillars of Zen*, przesyłkę od przyjaciela z Kalifornii. Czytaliśmy z uwagą i rosnącym zainteresowaniem. Ta książka dawała szansę, której nam brakowało. Mówiła, jak siedzieć w zazen, jak ustawić ciało, co czynić z umysłem, jakie nastawienie jest potrzebne, przynajmniej w praktyce Zen. Nadszedł moment, kiedy nie było już wymówki, trzeba było sięść w zazen. Tak się zaczęło. Krzyżowanie nóg, prostowanie kręgosłupa. Ból powoli ustępujący poczuciu wygody.

Z początku nie siadywałem w zazen regularnie. Po kilku miesiącach lub tygodniach siedzenia następowała przerwa, spowodowana najczęściej zarobkowaniem. Zauważałem różnicę w poczuciu i stanie umysłu w okresach praktyki lub bez niej. Od młodości, może od dzieciństwa, byłem nękany zmiennie falującymi okresami dobrego nastroju i przejmujących depresji. Przyzwyczailem się z tym

żyć, lecz nie było to szczególnie miłe. Teraz, praktyka medytacji w zauważalny sposób wyprostowała tę sinusoidę. A nawet więcej, prostowała się w pobliżu najwyższych części łuków. Skłaniało mnie to do kontynuowania praktyki i zachęcało do tego innych. Zaczęłam odczuwać coraz silniejszy związek z buddyzmem. Tak, buddyzm był moim wewnętrznym domem. Nie stało się to za sprawą Kapleau, lecz przede wszystkim Lamy Anagariki Govindy, którego *Drogę Białych Obłoków* tłumaczyła nam z niemieckiego Urszula. Ta książka o wieloletniej podróży po Tybecie, na wiele lat uczyniła mnie buddystą. Miało to swoje znaczenie w dalszej buddyjskiej praktyce, ponieważ moje uczuciowe podstawy kontaktu z tą religią ukształtowane zostały przez wszechobejmujący duch Mahajany i dopiero wtórnie i nie całkiem skutecznie poddawały się szczególnemu sekciarstwu, z którym się zetknęliśmy.

Przełom lat 60 / 70 był dla mnie niezwykle bogaty. W moim malowaniu trwał okres psychodeliczny. Prócz działań wspólnych z Henrykiem Wańkiem, z kręgiem Oneiron, intensywna korespondencja i przyjaźń ze Zdzisławem Beksińskim, kontakty z całym kręgiem LSD w Warszawie i z wieloma ważnymi dla mnie ludźmi, jak Mariusz Tchorek, Jerzy Prokopiuk, Jan Hadyna. Ale również wegetarianizm, różnego rodzaju imprezy, zjazdy, happeningi, konferencje i wydawnictwa. Opisanie tego wszystkiego wymagałoby osobnej uwagi, toteż tylko wspominam o tym, aby ukazać tło, z którego wyłoniły się początki ruchu buddyjskiego. W tym pomieszaniu różnych lektur, praktyki zazen, działalności artystycznej, doświadczeń psychodelicznych ale także wspólnego spotykania się aby posłuchać hipnotyzujących improwizacji Marka Leszczyńskiego, czasem wspólnie muzykować, napić się wódki i porozmawiać, pojawiła się myśl, aby raz w miesiącu lub tygodniu spotykać się na wspólne zazen.

Spotykaliśmy się w różnych miejscach, ale najczęściej u nas, to znaczy na Piastowskiej. Zrazu nieformalnym liderem naszej grupy był Henryk, później niemal niezauważalnie wycofał się. Być może potrzebował samotności, może zaczęło mu to ciążyć, dość, że przestał na spotkania przychodzić albo pojawiał się rzadko. Czasem przekazywał pewne wskazówki lub fragmenty nauk Katsuki Sekidy. Mogło to jakoś umrzeć śmiercią naturalną. Jednak ludzie nadal chcieli się spotykać i spotykali się. Ponieważ te wspólne siedzenia były dla mnie istotną wartością, chcąc nie chcąc przypadła mi rola *spiritus movens*. Było to ciekawe i inspirujące. Wcześniej, około roku 1969 zaprosiłem do naszej pracowni mniej więcej piętnastoosobową grupę ludzi z Polski i ze Śląska, zaprzyjaźnionych i jak się wydawało, zainteresowanych buddyzmem i rozwojem duchowym. Zaproponowałem wtedy zawiązanie bardziej formalnej grupy. Wiele osób było wręcz przerażonych taką perspektywą. Byli przekonani, że niemal natychmiast zostaniemy namierzeni przez SB i że będą kłopoty. Teraz ludzie zdawali się tym nie przejmować. Trochę sama z siebie narodziła się grupa siedzących w zazen. Z pewnością nie wszyscy czuli związek z buddyzmem, niektórzy byli praktykującymi katolikami, chociaż odczuwającymi wartość siedzenia.

Do roku 1973 miałem za sobą kilkanaście podróży LSD. To były i są nadal bardzo ważne i istotne dla mnie przeżycia. Nie do przecenienia. Niemniej, być może pod wpływem niechętnych psychodelikom lektur, a może i obserwacji ludzi zaprzyjaźnionych, coraz częściej nadochodziła mi myśl, że łączenie zazen z tym wszystkim co wówczas działo się, nie jest najlepsze. Zamierzyłem, że z końcem lata wezmę większą niż zazwyczaj dawkę i na tym zakończę. W pogodny dzień na Kamieńczyku, po powrocie z długiej przechadzki, już o zmierzchu rozpoczęliśmy z Markiem L. swoje dziwne wędrówki. Ja, jakby w dwóch światach. Paradoksalnie, pełna przytomność obecności. Za cudownym światem wizji postrzegałem bez zniekształceń nasz normalny świat. Jednocześnie. Odczucia pozaczasowości i pozbawienia ego, nieopisaną jedność ze świętokrzyskim lessem, z przyrodą i całą ziemią ale też obawy i troska o Marka, który na te godziny działania środka najdosłowniej oszalał. Piękna ale i trudna noc. Takiego wschodu jak wtedy, tak wspaniałego i wiecznego, nigdy nie przeżyłem. Poranek i Markowi przyniósł uspokojenie i sen. Ciepły, słoneczny dzień. Wydaje się, że to już koniec dramatycznych wydarzeń. Jednak nie. Podczas sesji LSD czasem następuje zjawisko przeniesienia. Osoba obecna bez

zazycia środka wchodzi samoistnie w charakterystyczny stan. Jaki, to już zależy od niej, ponieważ u każdego, a nawet u tej samej osoby – ale w innym czasie, „trudne dziecko” działa inaczej. Urszula, moja żona, tylko raz uprzednio przyjęła LSD. To doświadczenie nie było dla niej przyjemne, miała przeżycie umierania. Fizycznie nic niemal się nie dzieje, psychologicznie jest jednak bardzo trudno. Teraz, tego poranka, Urszula znów „umiera”. I jeszcze jedno niemile zdarzenie ma miejsce, ale o nim zmilczę. Przed południem wszystkie gwałtowne fale, nawałnice i burze ostatecznie milkną. Powraca zwykłość. Dziękuję Buddom i Bodhisattwom. Tego popołudnia ściąłem włosy. Nie planowałem tego wcześniej.

To niecodzienne, potężne doświadczenie zmieniło mnie. Miejsce sympatycznego luzu zajęło poczucie, że tylko buddyzm jest czymś wartym uwagi. Nawet Urszula mnie nie poznawała. Wszystko poza buddyzmem straciło dla mnie sens. Czy się przestraszyłem? Z pewnością nie swych własnych wewnętrznych przeżyć. Takich doświadczeń i dziś życzyłbym sobie codziennie. Jednak bez tej zewnętrżności obok, bez problemów, które zaistniały. W istocie, nie za bardzo da się to rozdzielić. Żyjemy po szyję zanurzeni w świecie. Nie jesteśmy – jak powiada poeta – samotną wyspą. Zabrałem się do pracy. Kontynuowaliśmy wspólne siedzenia. Podróżowałem po Polsce z odczytami o Zen. Było wielu zainteresowanych. Od początku roku 1974 zacząłem wydawać pierwsze buddyjskie pismo. Wróć jeszcze do tego.

Było dla mnie przejrzyste jasne, że nie mam żadnych kwalifikacji do bycia kimś w rodzaju guru. Mistrz był jednak coraz bardziej potrzebny. Dowiedzieliśmy się, że na Węgrzech działa filia Arya Maitrea Mandala, organizacji stworzonej przez Lamę Govindę. Ponieważ nie miałem możliwości wyjazdu, do Budapesztu pojechała sama Urszula. Ta wizyta nie przyniosła efektów. Napisaaliśmy zatem do pana Kapleau, do Rochester Zen Center. Było to na wiosnę roku 1974.

W lecie tegoż roku postanowiłem urządzić na Kamieńczyku pod Kielcami pięciodniowe siedzenie grupowe. Miało mieć miejsce w udostępnionym nam na ten cel domku Janusza Bersza, w tzw. Berszówce. Szczerze mówiąc, jak coś takiego może wyglądać, pojęcie mieliśmy mniej, niż przybliżone. Zaprosiłem kilkanaście osób, rozpuściłem wici po Polsce, przyjechało 11, łącznie z Urszulą i mną. Prócz Jurka Illga, Staszka Kasprzyka, Marka Leszczyńskiego pojawili się nowi, którzy nieco później aktywnie zaangażowali się w działalność grupy. Byli to Marek Has z Krakowa, Jarek Markiewicz z Promykami z Warszawy, Maria Mazur z Kielc, Włodzimierz Nowak z Wrocławia i chyba najmłodszy ze wszystkich Jan Sar z Poznania. Zainaugurowaliśmy, po pierwszym lub drugim dniu siedzenia, użycie kjosaku, tradycyjnego kija Zen, naprędce wystruganego z osiki. Wkrótce po pomyślnym zakończeniu siedzenia od strony Kamienia nadeszli Krzysztof Lewandowski (który opisał to w *Przełęczu kontrkultury*), Bolesław Rok i Jerzy Czechak a w trzy dni później dotarł do nas list Kapleau, dający nadzieję na jego przyjazd do Polski w roku przyszłym. Wywarło to wielkie wrażenie. „Kiedy uczeń jest gotowy, mistrz się pojawia”. Tak nam się wówczas wydawało. Postanowiliśmy zrobić wszystko, aby ten przyjazd rzeczywiście nastąpił i aby był dłuższy niż wstępnie planowany.

Gdy w końcu lata wróciliśmy na Piastowską, Urszuli i moją pracownię zaczęliśmy przekształcać w zendo. Od jesieni 74 stałe przebywał tu Marek Has, którego wkład w pierwszych miesiącach wspólnej pracy był ogromny. Ponieważ chcieliśmy skłonić Kapleau do poświęcenia nam więcej czasu, zamierzaliśmy rozszerzyć i tak już dość liczną grupę. Od początku roku 75 co miesiąc organizowaliśmy dla początkujących warsztaty. Do czasu przyjazdu Kapleau przewinęła się przez nie ponad setka osób. Marek Has wiele, najwięcej z nas siedział w zazen. Kiedyś gdy byliśmy sami, spytał mnie czy bez zastrzeżeń wierzę Rosiemu, jak wówczas nazywaliśmy Kapleau. Może sformułował to innymi słowami ale sens był taki: czy jestem mu całkowicie oddany. Odpowiedziałem twierdząco. Stopniowo pojawiły się rozdrwinki między nami a na miesiąc lub dwa przed spodziewanym przyjazdem Marek odszedł z grupy i nie był obecny na warsztacie Kapleau.

Było to zagadkowe, niemniej był to sygnał od człowieka, którego bardzo ceniłem i cenię. Sygnał niezrozumiany przeze mnie. Nieco później pokazałem fotografię Kapleau Stanleyowi Ścierskiemu, nieżyjącemu już aktorowi z Teatru Laboratorium, z którym się przyjaźniłem i którego wrażliwość była najwyższej próby. Stanley zdecydowanie określił naszego idola jako mętną i niegodną uwagi postać. Nic o nim nie wiedział – to tylko wrażenie z fotograficznego wizerunku. Henryk Wanick z kolei, nie uczestniczył w pracach grupy lecz był na warsztacie Kapleau. Również jego odczucia nie były pozytywne. W międzyczasie poprzez Dagmar von Biel i Irinę von Renteln, niemieckie uczennice Kapleau, docierały do nas wieści, że nie ze wszystkim w Rochester jest idealnie. Zatrzymywałem w pamięci te sygnały, lecz na wyciągnięcie wniosków było widać za wcześnie. Za wcześnie, dla mnie.

Marek Has w pierwszych miesiącach 1975 napisał tekst, który niedawno ponownie odkryłem przeglądając stare szpargały. Oto jego fragment. „Musimy jasno uświadomić sobie czego chcemy. Czego spodziewamy się po przyjeździe Kapleau? Czy naszym pragnieniem jest zobaczyć z bliska roszeigo? Zamienić z nim parę nic nie znaczących słów? Posiedzieć sobie wspólnie, aby odczuć atmosferę Zen? Prawdziwy mistrz istnieje tylko w nas samych, nie możemy otrzymać niczego więcej od tego czym sami jesteśmy. Przez samo zetknięcie się z roszeim nie uwolnimy się od ego i nie osiągniemy oświecenia. ...Mistrz jest tylko ścianą w którą nagle uderzamy głową wędrując głęboką nocą. Ten wstrząs zależy tylko od naszego zapachu, który wkładamy w Droę. Siła potrzebna do przebudzenia musi pochodzić z nas i nikt nie jest w stanie nas w tym wyręczyć. ...Mistrz nie ma nam nic do przekazania. Uświadomcie to sobie jasno.”

Lato 1975 było okresem niezwykle intensywnej pracy dla całej grupy. Kiedy Kapleau i jego asystenci Toni Packer i Wally Muszynski pojawili się na Piastowskiej, w zasadzie wszystko było przygotowane. Jednak nie. Brak gaśnicy. Trochę to bagatelizowałem, wiadomo, że przyjaźnię się z ogniem, który nie czyni szkód w mojej obecności. Również forpoczą, czyli Sokei, nie zauważył tego braku. Poza tym kupowanie gaśnicy prywatnie (dla kogo i gdzie) mogło być problemem w kraju wszechobecnej kontroli. Poproszono nas na poważną rozmowę. Toni Packer, przedstawiana jako prawa ręka i najbardziej zaawansowana uczennica mistrza, roztoczyła przed nami kosmiczną wizję P.K. ukazany został jako najbardziej drogocenny, święty mąż opatrznosciowy, jako prawdziwy Bodhidharma Zachodu, od którego przecież zależy los buddyzmu w krajach nie buddyjskich. A brak gaśnicy mógłby te szlachetne projekty zniweczyć. Więc jeśli drogi jest nam buddyzm, to musi być gaśnica. Wysłuchałem tego wszystkiego. Gaśnica została kupiona. Buddyzm został uratowany.

W obecności ponad stu osób, które zjechały z całej Polski, w naszej pracowni przekształconej już całkowicie w ośrodek Zen, Kapleau rozpoczął warsztat. Kilka osób znało angielski lecz w sposób niewystarczający. Urszula mogła dobrze tłumaczyć z niemieckiego, który znała urodzona w Poznaniu Toni, ale to byłoby zbyt skomplikowane. Z początku tłumaczył Andrzej Krajewski. Niezbyt wprawnie mu to szło. Po chwili podniósł się młody, szczupły człowiek i zaproponował siebie jako tłumacza. I to było to, przekład był ścisły i merytoryczny, więcej, porywający. Słuchając, słuchaliśmy jakby Kapleau, tyle, że po polsku. Z tą chwilą Jacek Dobrowolski wszedł na dobre i na złe (jak później miało się okazać) do grupy. Odtąd uczestniczył we wszystkich jej działaniach. Był oddanym i niestrudżonym tłumaczem zarówno rozmów jak i tekstów, których poziom uczynił wyjątkowym w nielegalnych drukach owych czasów.

Na warsztacie Kapleau otrzymaliśmy szereg pouczeń. Nas artystów wprawiało w zakłopotanie zestawienie hieratycznej postaci Buddy z Myślicielem, który został elegancko porównany do małpy, jako przykład niedorozwoju ludzkiej istoty. Przypominam sobie również zdziwienie wobec nacisku, jaki P.K. kładł na wierność nauczycielowi, a w tym wypadku właśnie jemu, Kapleau. Zastanawiałem się, dlaczego przywiązywał do tego taką wagę. Czy raczej nie należało pozostawić tego własnemu biegowi? Czy są to istotnie sprawy, o które musi się martwić mistrz? Nie spotykaliśmy się z czymś podobnym w

literaturze Zen. Rodziły się różne wątpliwości, ale jeśli w ogóle były dyskutowane, to wyłącznie w gronie kilku osób stanowiących ścisły zarząd Koła Zen. Szeregowi członkowie w ogóle nie mieli jakiegokolwiek pojęcia (chyba, że sami do tego doszli), że pewne rzeczy może nie są takie, jakimi są przedstawiane.

Chyba w roku 1976 dotarła do nas broszurka wydana bodajże z okazji śmierci Rosiego Yasutaniego, którego bezpośrednim następcą mienił się Kapleau. Na jej ostatniej stronie, pośród wymienionych wszystkich spadkobierców japońskiego Mistrza, nie było nazwiska szefa Rochester Zen Center. Ta ostatnia kartka została przez nas, pewnie przeze mnie, usunięta i schowana. Wstyd mi z tego powodu. Nie było więc tak, że nie wiedzieliśmy. Wiedzieliśmy, ale tłumaczyliśmy to sobie. Krótco przed pierwszym przyjazdem Kapleau, jako forpocztą przybył Casey Frank, dawny hip „wyświęcony” przez Kapleau jako Sokei Shakya. Ten miły skądinąd Amerykanin, dla którego przyjazd do Polski był chyba pierwszym wypadem poza Stany, myślał bardzo po amerykańsku. Myślenie po amerykańsku oznacza, że tylko działania amerykańskie są dobre a wszystkie inne są albo złe albo co najwyżej mniej dobre. Sokei próbował nam narzucić, abysmy ceremonie i codzienne ślubowania prowadzili po angielsku. Stanowczo się temu sprzeciwilem. Gdy przyjechał Kapleau, nie obstawał bynajmniej przy pomysłach swego mnicha. Przyjacielsko opowiedział nam, że miał te same problemy ze swoim mistrzem (Yasutanim). Trudno orzec, na ile ukartowane, było to sprytne posunięcie. Wyobrazaliśmy sobie, że pewnie były tam jakieś kulturowe nieporozumienia, tym bardziej, że pewne fragmenty tekstów Yasutaniego mogły na to wskazywać, ale przecież Rosi – jak go nazywaliśmy – wydał te książki, naucza Zen duża, około tysięcosobową grupę, ludzie mu ufają, czyż nie?

Moje nastawienie wobec Kapleau, wbrew temu co po moich dawnych wypowiedziach i działaniach można by wnioskować, nigdy nie było bezkrytyczne. Zresztą, tylko dlatego, że nie potrafię być bezkrytyczny. Mogę działać z zaangażowaniem, jeśli ogólnie jestem przekonany, lecz nie powstrzymuje to nieustannej obserwacji tego kogoś we mnie, kto w pewnych momentach cicho stwierdza „Aha” i tyle. Z czasem, jeśli tych „aha” nabiera się więcej, moje nastawienie zmienia się. Na razie jest jeszcze do tego daleko.

Od pierwszego spotkania z Dagmar v. Biel, jeszcze przed przyjazdem P.K. miałem wrażenie, że jest on reformatorem. Tak wówczas rozumiałem, dzisiaj nazwałbym to inaczej. Jednak nawet wtedy, wiele tych „reformatorskich” pomysłów nie przekonywało mnie. Nie przyszedłem do tego „rochesterskiego” zen całkiem z ulicy, nie można mi było wszystkiego wmówić, o buddyzmie posiadałem pewną – aczkolwiek tylko książkową – wiedzę. Bość pokłonów może się wydać dziś kwestią zupełnie scholastyczną. W tradycji buddyjskiej składa się ich 9 lub nawet 108. U Kapleau należało wykonywać tylko 3. Interpretacja tego może być różna. W każdym razie, nawet po pierwszym pobycie, my w Polsce nadal składaliśmy 9 pokłonów, aby zaniechać tego dopiero na wyraźne polecenie po roku lub dwóch. Nieco podobnie było ze śpiewaniem sutr. Jeszcze w *Trzech Filarach* jest mowa o śpiewaniu sutr w świątyniach Zen w Japonii. Z *Manual of Zen Buddhism* D.T. Suzukiego dowiedzieliśmy się, że główną sutrą Zen jest *Prajna Paramita Hridaya Sutra*. Posługując się wydaniem Conze’go wypracowaliśmy polską wersję, merytorycznie ścisłą a jednocześnie możliwą do śpiewu. A tu się okazuje, że w Rochester Zen Center nie ma takiego zwyczaju. Oczywiście, mowa jest tutaj o pełnej wersji a nie o krótkiej Sutrze Serca. Miałem wrażenie, iż odcina się nas od całej buddyjskiej tradycji. Kładłem to na karb braku czasu w opracowaniu zachodnich wersji procedur rytualnych.

Była jednak dziedzina, którą P.K. traktował z sympatią. To sztuka dalekowschodnia. Podobno był jej znawcą. Jego nadzwyczajne zainteresowanie wzbudziła dwaj Strażnicy Nyo, stojący po obu stronach wejścia do katowickiego zendo. Strażnicy owi zostali kupieni przeze mnie w katowickiej Desie jeszcze w początkach lat 70. Prawdę mówiąc, nie bardzo wiedziałem co kupuję. Tyle tylko, że czułem jakby konieczność ich kupienia. Wcale mi się tak bardzo nie podobały te drewniane figury. Dopiero później

wertując wspomniany wyżej *Podręcznik buddyzmu Zen* zorientowałem się, że są to Nyo, Strażnicy Dharmy, stojący przy wejściu do każdej świątyni Zen w Japonii. Cóż za zbieg okoliczności. To chyba jedyne takie posagi w Polsce i w ogóle bardzo rzadkie. Świetnie by się nadawały w Zen Center o Rochester. Udawałem, że nie rozumiem tych aluzji. Jednak w listach Kapleau sprawa ta ciągle powracała. W 1977 przyjechał Zenson, również z misją ostatecznego załatwienia tej sprawy. Udało mu się przekonać do pomysłu transferu nawet część zarządu grupy. Wszystko było załatwione, tylko włożyć w skrzynię i zawieźć do Gdyni. Mnie obiecywano rok sponsorowanego pobytu w Rochester. Nie czułem jednak, abym mógł przystać na transakcję. Figury były w tym dziwnym kraju zwanym Polską, i tak niech już zostanie. Ostrzegłem również, że jeśli kiedykolwiek sprawa zostałaby ujawniona, wspólnota Zen nie będzie mogła liczyć na legalizację, o którą się staraliśmy. To wreszcie zamknęło sprawę.

Innym „reformatorskim” pociągnięciem było ograniczanie aktywności intelektualnej do studiowania przede wszystkim tekstów „mistrza”. Inne teksty były podejrzane i niemile widziane. Trzeba jednak zaznaczyć odmienne stanowisko Toni Packer. To od niej lub jej uczennic otrzymaliśmy (w tajemnicy) przejmującą autobiografię współczesnego chińskiego Mistrza Hsu Yuna, a także *Ośiem Podstaw Wiary w Buddyzm* Yasutaniego, tekst w Rochester w istocie zakazany. Ponieważ chcieliśmy być buddystami, był to dla nas ważny i podstawowy materiał. Wydanie go w taki sposób, jak czyniliśmy to z innymi tekstami, naraziłoby nas, mnie szczególnie, na gniew P.K. Tekst nie był zatem udostępniany w formie pisemnej. A jeśli, to tylko nielicznym zaufanym. Był jednak czytany na dwudniowych zazen grupowych, poświęcanych właśnie tym 8 Podstawom. Ostatnie takie sesje odbyły się na wiosnę roku 1978, na krótko przed moim odejściem z funkcji prowadzącego. Późniejsi prowadzący, jak się wydaje, byli bardziej spolegliwi.

Przed pierwszym sessin pojechaliśmy w kilka osób do Warszawy aby powitać mistrza. Podczas przechadzki po Starówce, po wizycie w Katedrze św. Jana pouczył nas jak przeciwstawnymi są symbole Buddy i Chrystusa: „Chrystus na krzyżu jest cierpiący, a więc oddzielony. Jest oddzielony od siebie, od Boga i od ludzi. Gdy wisiał na krzyżu wołał: Boże, Boże, czemuś mnie opuścił? Między Chrystusem a Bogiem było rozdzielanie, dualizm. Modląc się do takiego symbolu oddzielamy się zamiast łączyć, uciekamy w świat oddzielności i cierpienia”.

Dzięki pracy Jacka – siódmy numer *Drogi Zen*, poświęcony pierwszemu pobytowi Kapleau w Polsce, został niemal w całości przełożony na angielski, aby Rochester Zen Center przybliżyć polską grupę. Mistrz zatem zapoznał się ze swoimi słowami wypowiedzianymi w Polsce a cytatów jego wypowiedzi jest w tym numerze mnóstwo. Tylko w tym jednym przypadku sprostował samego siebie i domagał się sprostowania od nas. Czy się czegoś obawiał? Nowa wersja brzmiała następująco: „Kiedy Jezus po prostu wisi na krzyżu możemy powiedzieć, że jest oderwany – od siebie, od Boga i od ludzi. I nie tylko sobie samemu nie jest w stanie pomóc, nie może bezpośrednio pomóc nikomu. Lecz kiedy krzyczy: Moja Boże, mój Boże, dlaczegoś mnie opuścił! to oddzielenie zostaje przekroczone. W tym momencie on nie umiera i nie jest wskrzeszony – jest wiecznym Chrystusem, Nienarodzonym, Niestworzonym.” A następne zdanie „Modląc się do takiego symbolu oddzielamy się zamiast się łączyć, uciekamy w świat oddzielności i cierpienia” – jest nieaktualne i należy je opuścić. Tak zalecił.

Wspominałem wcześniej o nielegalnym wydawnictwie działającym na Piastowskiej od roku 1974. Pomógł w tym przypadek. Od 1967 roku wydawałem od czasu do czasu „legalne” druki, na papierze podkradanym przez magazynierów z puli KW, a najogólniej dotyczące sztuki, jak katalogi i materiały organizowanych przeze mnie konferencji. Te działania chcąc nie chcąc zmuszały mnie do kontaktów z Urzędem Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk, czyli osławioną cenzurą. Po pewnym czasie z cenzorem, u którego najczęściej załatwiałem zezwolenia, wszedłem w pewną komitywę. Zauważyłem – nie krył się z tym – że jest alkoholikiem i że łatwiej i szybciej jest załatwić cokolwiek, gdy w

nieistniejącym już barze *Pod Trójką* postawię mu jakąś wódkę. Nie był to głupi gość i miło się z nim rozmawiało ponieważ nie miał żadnych złudzeń wobec instytucji, w której pracował. W którymś z pierwszych lat 70 Mariusz Tchorek przywiózł do nas niejakiego Billa, Amerykanina, obieżyświata, który uciekł przed Wietnamem. Tenże Bill był posiadaczem rulonu tybetańskich drzeworytów. Pomyślałem, że wielu z nas pragnęłoby takie buddyjskie drzeworyty mieć i że w zasadzie łatwo je powielić. Tylko jak? Legalnie zrobić tego nie sposób a jeśli nawet, to trwałoby co najmniej rok. Pokazałem drzeworyty wspomnianemu wyżej Dzikowi. Orzekł, że nie ma sprawy. Zaprowadził mnie do powielarni mieszczącej się w piwnicy obecnej Biblioteki Wojewódzkiej na Ligoniu i zezwolił na niskonakładowy druk. Nie pamiętam, czy coś płaciłem, czy był to rewanż za przemykanie oczu. Tak czy inaczej dla pracowników powielarni, dorabiających na boku jak wszyscy w PRL-u, byłem kumplem cenzora a więc osobą wiarygodną. Gdy po pewnym czasie, już sam, przybyłem z zamówieniem, nie było problemów z realizacją.

Pierwszy, drugi, trzeci numer *Drogi* później *Drogi Zen* i wiele innych tytułów. Tak rozpoczęła działalność pierwsza poza cenzurą oficyna wydawnicza. Początkowe nakłady od 200 wzrastały do 500 aby w przypadku niektórych pozycji przekraczać 1000. Dotychczas nielegalne druki lub maszynopisy krążące po Polsce były anonimowe. Nasze pismo zrywało z tą zasadą, która miała na względzie osobiste bezpieczeństwo. Na pierwszej lub drugiej stronie zawsze były podawane nazwiska i adres wydawców oraz nazwiska współpracowników i tłumaczy. Czy się nie baliśmy? Oczywiście, że tak. Transport druków z ulicy Ligoniu na Piastowską, był zawsze dla mnie niewypowiedzianym stresem. Trzymało mnie tylko przeświadczenie o głębokim sensie tego co robię. Gdy paczki trafiały na strych, czekało już zazwyczaj kilka lub kilkanaście osób, które obchodząc sześciometrowy stół, składały kartki poczynając od ostatniej, w ten sposób tworząc gotowe wydawnictwo. Czasem te druki otrzymywały twardą okładkę, najczęściej były rozprowadzane bez niej.

Rozważając fenomen Kapleau najczęściej zatrzymujemy się przy jednym z dwóch przeciwstawnych stanowisk. Albo Kapleau – a nie ma co do tego wątpliwości – nie posiadał przekazu, w związku z czym jego nauczanie jest bezwartościowe, albo że, Kapleau co prawda nie posiadał przekazu, jednak wiele się w Japonii nauczył i tą swoją wiedzę z pozytykiem przekazywał innym a zapoczątkowana przezeń linia jest wartościowa. To ostatnie stanowisko jest utrzymywane często przez tych, którzy z P.K. nie zetknęli się bezpośrednio lub w małym stopniu a praktykują w grupach, które od niego się wywodzą.

Warto zastanowić się co w ogóle jest ważne. Co to jest to coś? Czy to buddyzm, buddyjska Sanga do której deklaruje się przywiązanie? Czy to siła bezwładu, powodująca niechęć do weryfikacji fałszywej struktury? Jaki jest związek, czy w ogóle istnieje, linii wywodzących się od P.K. z buddyzmem? W buddyzmie, obowiązuje przekaz z mistrza na ucznia, podobnie jak w chrześcijaństwie sukcesja apostołska. Nie kto inny, jak P.K. powoływał się na tą zasadę, zapewniając nas, że otrzymujemy do picia tą samą wodę, którą przełał Mahakasyapie Budda Siakjamuni. Jak możemy rozumieć to mijające się z prawdą zapewnienie? Możliwości są następujące:

- P.K. nie był w pełni władz umysłowych.
- Był w pełni władz umysłowych lecz dokonał manipulacji i przeinaczeń w złej wierze.
- Manipulował i przeinaczał w dobrej wierze, gdyż wydawało mu się, że czyni tak dla dobra dharma, jednak z korzyścią dla swojej własnej kariery, jako „mistrza Zen”

Być może istnieją jeszcze jakieś inne, pośrednie możliwości, wszystkie jednak wskazują na dość osobliwe rozumienie faktów. Być może, przesłablibyśmy nad czymś takim do porządku w przypadku polityka czy przedsiębiorcy, wszakże pod pewnymi warunkami. W świecie naukowym zostałyby to określone jako kradzież własności intelektualnej, publicznie napiętnowane a autor skazany na naukowy

niebyt. Nieco inaczej sprawa się ma w świecie religii. Tu nie ma w istocie praw autorskich, wszystko w pewnej mierze jest wspólne. I tym należy tłumaczyć fakt, że po wydaniu *Trzech Filarów* nie została P.K. wytoczona sprawa karna. Czy to upoważnia do nieskrępowanej samowoli? Zapobieganiu nadużyciom służy wspomniany wcześniej przekaz czy sukcesja apostołska. Obok tego stoi wielowiekowa tradycja.

Wyznawcy linii P.K., z braku lepszych argumentów przypominają, że sprawy przekazu nie zawsze były jasne i czyste, że zdarzały się historycznie udowodnione nadużycia. Przypomina to odpowiedź „oni też kradli” na oskarżenie o złodziejstwo. No dobrze, w końcu nie musimy przyjmować ortodoksyjnie buddyjskiego punktu widzenia. Moglibyśmy przejść do porządku nad brakiem przekazu, gdybyśmy zostali o tym poinformowani. Ze strony P.K. nigdy to nie nastąpiło a przeciwnie, on sam, teraz już samotnie, nadal utrzymuje, że całe zamieszanie jest dziełem złe mu życzących i zawistnych Japonczyków.

Nie mam pojęcia jak było wcześniej, jednak od powrotu Kapleau z Japonii do Stanów, od czasu wydania pierwszej książki, spotykamy się z daleko posuniętymi manipulacjami ludźmi i faktami. Nie wystarczyło mu, że zawiązała się wokół niego grupa osób uprawiających zazen, co już samo w sobie może być wystarczającą wartością. Potrzebował sobie i całemu światu udowodnić, że ta właśnie grupa jest najlepsza, najbardziej wiodąca. Ale przecież ta kategoria, rodem z zawodów sportowych, nie ma wiele wspólnego ze światem duchowym. Pomijając już fakt, z którego jasno zdawał sobie sprawę, że w sprawach rytualnych nie jest nawet niedoukiem, po prostu nie posiada żadnej o tym wiedzy. Ta wewnętrzna presja aby nie tyle być, co być uznawanym za prymusa, powodowała zabawne efekty.

Na wiosnę roku 1978, na krótko przed moją, nieco kontrowersyjną rezygnacją z funkcji prowadzącego, gościem katowickiego zendo był koreański mistrz Seung Sa Nim. Było wspólnie siedzenie, próba tego co zwane jest „walką dharmy”, było ogólnie miło ale nic szczególnego nie wydarzyło się. Pod koniec 1978 wyjechałem do Stanów. Kobieta z którą byłem, późniejsza moja druga żona, była w zaawansowanej ciąży. W kwietniu 1979 zmarł mój ojciec a w tydzień później Małgosia, zwana też Klarą, urodziła Bodhina i Maję. Było nam trudno pod względem materialnym. Dość, że pierwszy pobyt w Rochester był możliwy dopiero w miesiącach letnich. Teraz, po niemal półtora roku od wspomnianej wcześniej wizyty, nie pamiętając zresztą o niej w ogóle, po raz pierwszy od kilku lat mam znowu zobaczyć się ze swoim nauczycielem. Gdzieś tam w Zen Center czekam na audiencję. Wychodzi ze skrzywioną twarzą i słyszę „Jak mogłeś przyjąć Seung Sa Nima? Przecież on mówi, że Rochester to przedszkole w porównaniu do jego ośrodka”. Nie przygotowany na coś takiego, bez świadomości, że wierni donosiciele czuwają, przyznaję, zbaraniałem, „Rosi – odpowiedziałem zgodnie z prawdą – niczego takiego nie słyszałem”. Ale nawet gdyby tak było, nawet gdyby Koreańczyk w jakiejś rozmowie czy zabawnej wymianie zdań tak powiedział, to jakie to ma znaczenie? Szczególnie po półtora roku. Takie było moje pierwsze amerykańskie spotkanie z mistrzem. Później, wielokrotnie zdarzało mi się słyszeć podobne opowieści innych uczniów.

Kiedy byłem prowadzącym Koła Zen, moje nastawienie było otwarte. Ta „ekumenia” nie dotyczyła prób łączenia chrześcijaństwa z Zen, czemu byłem przeciwny. Natomiast buddysci wszelkich odłamów łącznie z Therawadą, byli dla mnie jedną wielką rodziną, po prostu Sangą. W początkach starań o legalizację wyobrażałem sobie nawet, że możemy się wszyscy połączyć tworząc Polską Sangę, w której byłoby miejsce dla wszystkich autonomicznych grup związanych z różnymi nauczycielami. Wybito mi to oczywiście z głowy. Wiele lat później, podczas pobytu w Stanach, nasza pracownia nadal służyła za zendo dla grupy śląskiej. Urszula już mieszkała w Przesece i po pewnym czasie rozstała się z Kapleau, przechodząc do grupy wadźrajanistycznej. Zdecydowała więc, że również jej grupa będzie w niekolidującym czasie korzystać z miejsca na Piastowskiej. Nic nie stało na przeszkodzie, aby obie grupy mogły prowadzić swoje praktyki. Jednak nie było to w duchu Falenicy, która uważała się za

jedyną „prawdziwą” grupę buddyjską i potraktowała to jako afront. Prowadzący postawił Urszuli ultimatum, aby móc ogłosić „Wyrzuciła nas”.

Chętnie podkreśla się, że nic nie wiadomo o przegięciach Kapleau w sferze erotyczno-seksualnej. Jeszcze w pierwszej połowie lat 70. od czasu do czasu pojawiały się w Rochester jego żona i córka. Później na temat kobiet zapadła cisza. P.K. wydawał się być i być może był osobnikiem aseksualnym, u którego buzowało tylko pragnienie władzy. W naszym ambiwalentnie nastawionym wobec seksu społeczeństwie, ten aseksualizm, szczególnie na tle seksualnych ekscesów innych mistrzów, ukazywał się jako potwierdzenie prawdziwego oddania dharmie. W zestawieniu z seksem, kompleks władzy wydawał się niewinny. A może jest znacznie bardziej niebezpieczny i toksyczny? Wyobrazenie, jakoby buddyjskie osoby duchowne były poza wszelką krytyką, ma wielowiekową tradycję, nie zapominajmy jednak, że to nie na tym opiera się buddyjska nauka. Poczucie „osobistej ważności”, chętnie cedowane na przybocznych, uczyniło wyciągniętą z lamusa ceremonię skruchy ponurą farsą a stosunki międzyludzkie w grupie spektaklem godnym pożałowania.

Za pierwszym pobylem w Rochester, w lecie 1979, przebywałem tam ponad miesiąc, może półtora. Rano i wieczorem przychodziliśmy na siedzenia, niekiedy byliśmy w Zen Center również podczas dnia. W latach następnych kilkakrotnie jeździłem tam na sessin i przy innych okazjach. Nigdy nie byłem w obsadzie ośrodka, w tej grupie trzymającej władzę, jakbyśmy to dziś powiedzieli. Z drugiej strony, nie byłem też całkiem „szeregowym” członkiem, ponieważ byłem dobrze znanym obsadzie byłym liderem lokalnej grupy. Nie miałem żadnych przywilejów obsady, ale też nie byłem nigdy traktowany źle. Biorąc pod uwagę to co widziałem, Jackowe opisy różnych wydarzeń niczym mnie nie zaskakują. Do dziś pamiętam wrażenie, gdy ujrzałem płaczącą żonę Toma Robertsa. Poruszyło mnie to do tego stopnia, że poszedłem do Bodhina. Zaczął się i powiedział „Kobiety histeryzują”. W tamtej chwili pożałowałem, że swemu synowi nadałem jego imię. Kilka dni później, już w Nowym Jorku jeszcze raz rozmawiałem o tym z Tomem, który podobnie wydawał się bagatelizować incydent. Może trzeba wspomnieć, że Tom był w Radzie Nadzorczej Zen Center. Skoro tak, uznałem, że ruchy w tych sprawach nie należą do mnie.

Jednak, nie możemy myśleć „car dobry tylko ministrowie źli”. Ministrowie są tacy, jaki jest przysłowiowy car. Zarzucam Kapleau, że nie miał doświadczenia w pracy z ludźmi, ba, nie miał doświadczenia w pracy nad samym sobą, co wielokrotnie było do zauważenia. Już w 1975 jego niekompetencja boleśnie mnie dotknęła. Podczas mojego pierwszego sessin sam prosiłem o jak najwięcej kjosaku. Wyobrażałem sobie, że pomoże mi to „przebić się”, doda ostrogi. Moje prośby były uwzględniane i tych uderzeń otrzymałem prawdopodobnie najwięcej. Po zakończeniu z każdym dniem czułem się coraz gorzej. Wreszcie po dwóch tygodniach udałem się do znajomego rentgenologa. Z miejsca nakazał mi pozostanie w szpitalu. Miałem odnę samoistną, czyli przerwanie błony wokół opłucnej. „Samoistna” nie oznacza tutaj, że wzięła się z niczego, tylko znamionuje trudny do określenia czasowy moment, w którym w zerwaną opłucną z każdym oddechem pompowane jest powietrze, aby, jeśli się temu nie zapobiegnie, doprowadzić do całkowitego uduszenia. Wspomniany moment krytyczny może nastąpić przy zbyt długim lub zbyt napiętym wysiłku fizycznym. Choć wydaje się to dziwne, opłucna pęka ze stresu. Przygotowania do sessin wymagały ode mnie wiele pracy. Miałem około 37 lat, nie piłem i nie używałem modyfikatorów, byłem w znakomitej formie. Rzecz w tym, że byłem nadmiernie spięty. Także i tym, że sessin odbywało się w Urszuli i moim domu, a obawy o to, że w każdej chwili może wejść SB, w świetle otrzymanych niedawno z IPN dokumentów, nie były bynajmniej bezzasadne. Nie potrafiłem się rozluźnić. Oczywiście, powtarzano mi „rozluźnij się”. Brak rozluźnienia był jednak wyraźnie widoczny. Gdy więc w ten kłób napięcia jakim byłem, uderzano kjosaku w takim wymiarze jak prosiłem, musiało to spowodować skutek, który kosztował mnie rok wyłączenia z aktywności fizycznej.

Potraktowałem to, jako przykry i uciążliwy wypadek przy pracy. Do tej pory nawet nie rozmawiałem o tym. Dzisiaj zastanawiam się, czy jeśli dziecko, które nam ufa, poprosi nas, gorąco i przekonująco, abyśmy, na przykład, przytrzymali je 5 minut pod wodą, to czy możemy spełnić takie życzenie? Nie wydaje mi się, aby mogła to zrobić odpowiedzialna osoba dorosła. Podobnie ma się rzecz w przypadku nauczyciela, który musi mieć wiedzę o tym, co dla ucznia jest dobre lub co najmniej możliwe. Jeśli tej wiedzy brak, to mamy do czynienia z najbardziej niekompetentnym znachorstwem. Nie zarzucam nikomu złej woli a już najmniej Sokei Shakya, bezpośredniemu sprawcy łomotu. Nawet gdyby Kapleau był najbardziej „legalnym” spadkobiercą jakiejś linii, to i tak powyższe zdarzenie dyskwalifikowałoby jego styl nauczania. Być może źle się stało, że nie poruszałem tej sprawy wcześniej. Musiałoby jednak minąć kilka następnych lat, abym przestał się czuć jego uczniem.

Fenomen P.K. od początku jego publicznej działalności Zen, gruntował się na charakterystycznych manipulacjach, przekraczających granice uczciwości i dobrego smaku. *The Three Pillars of Zen*. Ta książka nie mogłaby zaistnieć i nie zaistniałaby bez autorów i tłumaczy japońskich, którzy działali w dobrej wierze i nie byli wtajemniczani w zamysły Amerykanina. Jednak jako jej autor podawany jest Philip Kapleau, który w istocie jest tylko autorem wstępów, napisanych zgrabnie pod względem dziennikarskim. I jest oczywiście autorem tego wyboru. Zazwyczaj w takich wypadkach autorstwo jest inaczej rozumiane i na ogół jest dokładnie określone. Czym byłaby ta publikacja bez wykładów i rozmów Hakuun Yasutaniego? Zajmują one około jednej trzeciej jej objętości, lecz bez nich byłby to tylko jeszcze jeden zabawny zbiorek Zen, jakich wiele. Ciekaw jestem, czy Yasutani kiedykolwiek udzielił zgody na ich publikację, czy otrzymywał, on lub jego spadkobiercy, tantiemy za wielokrotnie powtarzane nakłady? A japońscy tłumacze? Wszyscy, dawni i późniejsi świadkowie, jak choćby Dharman, poświadczają iż znajomość japońskiego u P.K. była poniżej poziomu dziecka. Te i podobne pytania wydają mi się równie ważne co sprawy przekazu.

Dopuszczam, że rozpoczynając tą manipulację P.K. nie był jej w pełni świadomy, choć w oczywisty sposób nie świadczy to o nim dobrze jako o nauczycielu i przede wszystkim, człowieku. Z pewnością był zafascynowany Zen a glejt od Yasutaniego czyniący go bliżej nieokreślonym „misjonarzem Zen” musiał mu nieźle podbić bębenka. Tak się nakręcił, że zdecydował się przerwać trening koanów i wrócić do USA. „Jeszcze wam pokażę, jaki jestem dobry, lepszy od was wszystkich”. I rzeczywiście, wszystko w książce, jej zawartość, zgrabne wstępy, zróżnicowane rozdziały, przejrzysty układ typograficzny łącznie z chwytliwym tytułem, są na najwyższym poziomie medialnym. Nic zaskakującego, że wkrótce był to bestseller. Z dnia na dzień P.K., zapomniany dziennikarz, został guru pokolenia posthipisowskiego. Czy to uderzyło do głowy? Z pewnością nie przekonało Yasutaniego, który z bólem wysłał mu Hamon. Zdawał sobie sprawę, że to również jego błąd.

Ten wstydlivy incydent, poważnie mogący zagrozić narastającej popularności, trzeba było jak najgłębiej ukryć, przekręcić i stwarzać wrażenie wprost przeciwne. Pewny bezkarności, ponieważ ludzie Zen nie wysyłają sprostowań do prasy, a co najwyżej udzielą odpowiedzi, gdy są wprost pytani, przez lata utrzymywał, że otrzymał inka, że jest legalnym spadkobiercą linii i prawomocnym następcą Buddy. Ponieważ otrzymał Hamon, nie mamy tu do czynienia z mniej lub bardziej zręczną manipulacją, a ze świadomym oszustwem i wprowadzeniem w błąd tysięcy czytelników i uczniów.

Tak oto jedna rzecz nie całkiem w porządku, prowadzi do innej, już całkiem nie w porządku. Nie chciałbym sprawiać wrażenia, że teraz po latach czepiam się wszystkiego, trudno mi jednak z dystansu nie zadać pytania o rzeczywistą wartość *Trzech Filarów*. Czy rzeczywiście są one tak dobrym podręcznikiem Zen, za jaki ciągle uchodzą? P.K. na pierwszym polskim warsztacie zapytany o Castanę, odparł, nieco wykrętnie, że jest on „bardzo uwodzący”, sugerując, że przeprowadza na czytelnika coś podobnego do seksualnego uwiedzenia. Jednak to określenie pasuje jak ulał do jego własnego zboru: „... jak z mapą i kompasem, uważny poszukiwacz nie potrzebuje błąkać się po omacku

na ryzykownych bocznych drogach okultyzmu, psychologii, psychotroniki i przesądów, które zajmują wiele czasu a często okazują się szkodliwe, lecz może podążać wprost wytyczoną trasą, ufny w znajomość swego ostatecznego celu". Te zapewnienia, jakże złudne z perspektywy czasu, nie są przecież poważne. Nie wypowiadam się tutaj jako znawca zagadnień Zen, raczej jako zwykły dyletant, to znaczy ktoś, kto ma ogólne pojęcie o czym mówi. Ale także jako ktoś, kto przez kilkanaście lat dawał posłuch tym rewelacjom i gorzej lub lepiej według tych instrukcji siedział w zazen. Stwarzanie ludziom nieorientowanym iluzji, że oto podaje się im panaceum, jest skutecznym zabiegiem marketingowym, chętnie stosowanym przez systemy religijne i totalitarne. Tradycyjnej literaturze Zen w dużym stopniu udawało się tą rafę ominąć. To bynajmniej nie przypadek, że ani wcześniej ani później (na ile mi wiadomo) nie został opublikowany podobny „podręcznik” Zen.

Aby uzmysłowić, o czym mówię, przywołam skromną książeczkę Shunryu Suzukiego. *Umysł Zen, umysł początkującego* nie ma ani nie uwodzi. W jasny sposób przedstawia postawę godną człowieka: „nie wiem” i mocno to akcentuje, jako postawę właściwą Zen. Rosi Suzuki nie udaje kogoś, kim nie jest, nie obdarowuje złudnymi filarami. Oparcie musisz znaleźć w sobie. Tylko jak go szukać, gdy przez nauczyciela jesteś zwozdzony do „wierności” i „lojalności”? Rzecz ciekawa i być może symptomatyczna: uczeń, który sprzeniewierzył się swemu nauczycielowi dobitnie domaga się wierności sobie. I znajduje posłuch, gdyż łatwiej jest nam słuchać innych, siebie nie jesteśmy pewni. Na tym lęku i niepewności zeruje większość instytucjonalnych religii. To podstawowa gleba fundamentalizmu i wszelkich sekciarskich przedsięwzięć. Także tego.

Z przyjazdem Kapleau do Polski wiązały się wielkie emocje i nadzieje dość duże, bo kilkudziesięciu osobowej grupy osób. Również wielki wysiłek wkładany zarówno w osobistą praktykę jak i w przygotowanie tej całej operacji. Co prawda Urszula i ja udostępniłszy nasz dom, ale zmiany i przeróbki mające na celu przystosowanie pomieszczeń do permanentnego przyjmowania kilkudziesięciu osób, praca w obsadzie obsługującej katowicki ośrodek, prace translatorskie i wydawnicze i pewnie wiele innych, angażowały serca i umysły całej pierwszej Sangi. Następni przychodzili już na gotowe.

Osobom z poza tej pierwszej grupy, prawdopodobnie trudno jest zrozumieć ten cały pakiet negatywnych emocji, jaki wiąże się nam z Philipem Kapleau. Wygląda to być może na odreagowanie osobistych urazów. Warto jednak spojrzeć gdzie są ci wszyscy ludzie. Większość z nich trwa nadal przy buddyzmie. Czy wszyscy zostali osobście urażeni? A jeśli tak, to dlaczego? Istotą jest zał i przykre, że nasze nadzieje i uczucia zostały podeptane, że byliśmy oszukiwani i że to oszukiwanie ma swój ciąg dalszy. Nie chcemy, aby tak było.

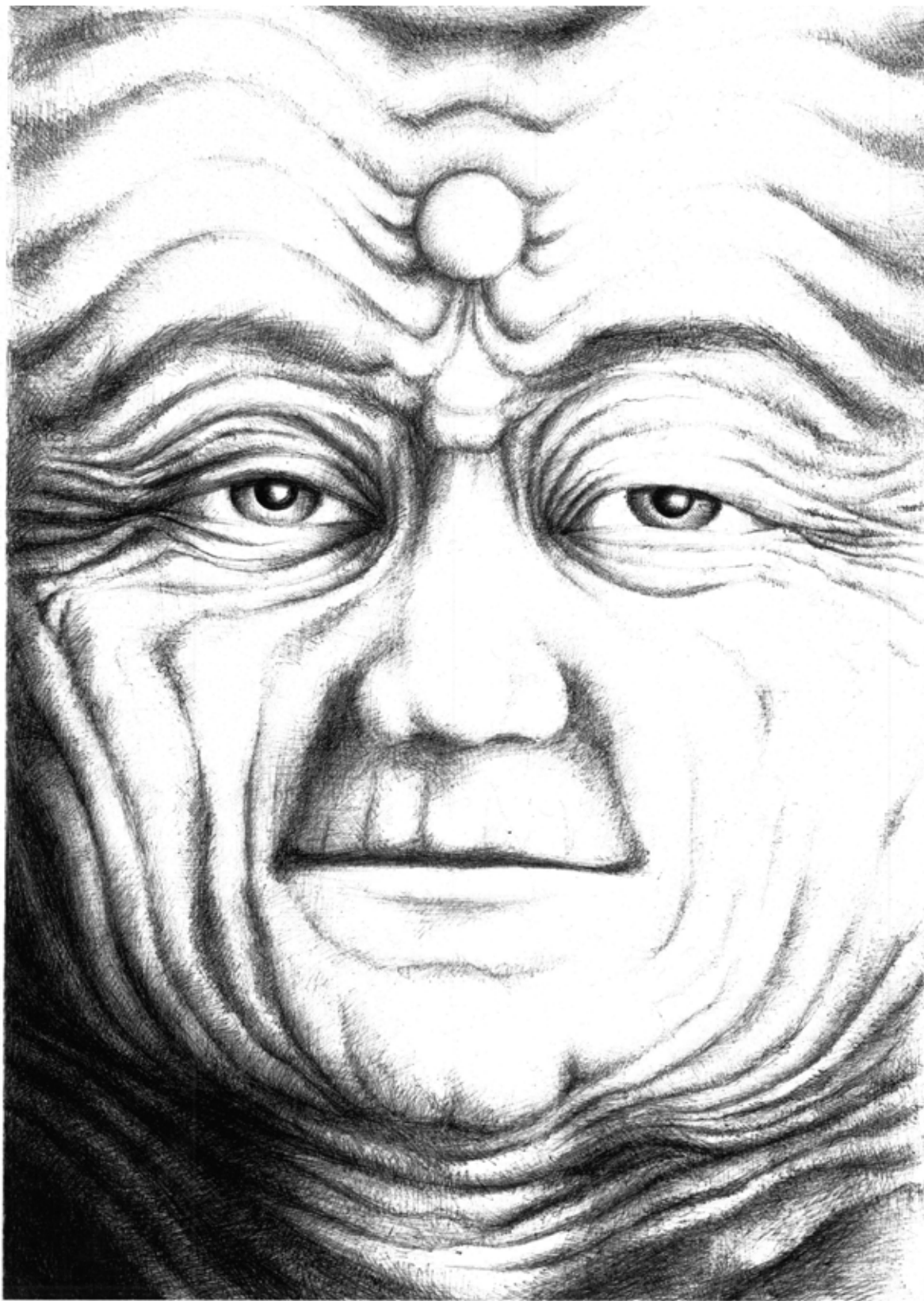
Często podnoszona jest kwestia nacisku, jaki kładł Kapleau na kensio, na tzw. oświecenie. Temu właśnie miał służyć na poły wojskowy dryl, oschłość i niewrażliwość, wręcz pogarda dla słabości. Zen Center of Rochester miał produkować ludzi silnych, takich nadludzi Zen. Ta przyszła armia „misjonarzy Zen na Zachodzie” miała być bezgranicznie wierna swojemu wodzowi. Najmniejsze uchybienie, jak to zarzucane Bobowi, karane było wypędzeniem. Natomiast pochlebcy mieli się dobrze. Cóż dzisiaj z tego zostało?

Widziałem dziesiątki ludzi o których mówiono, że „mają kensio” albo „mają potwierdzenie”. U kogo? Wierzę, że tacy ludzie jak Toni Packer, Bob Schrai i inni, których znam lub nie znam, mieli to doświadczenie ale próżno ich szukać w Zen Center of Rochester, nie znajdzie się ich w wywodzących się stamtąd grupach. Nie mogę uwierzyć, że oświeconym może być ktoś, kto kłamie, kręta czy i krzywdzi innych. Nie wykluczam, że można mieć jakieś progowe przeżycie, które nie wiąże się z poczuciem prawdy, ale nie jest to, mam całkowitą pewność, buddyjskie oświecenie. Krótko mówiąc, nie wierzę w to oświecenie Kapleau. Może kiedyś, na chwilę, coś mu się zaświeciło. Szkoda, że tak szybko zgasło.

Andrzej Urbanowicz
4 stycznia 2004



Ewa Myoshin Hadydoń, Fudo Myoo skr. Acala Vidyaraja



Ewa Myoshin Hadydoń, Monju Bosatsu

Podziemne poddasze

Wypijając hektolitry czarnej jak smoła herbaty. I gadalo się, gadalo, gadalo... Albo kolorowało się karty tarota, tłumaczyło koany, krótkie teksty buddyjskie, głośno czytało.

Opowieść o poddaszu Urszuli Broll i Andrzeja Urbanowicza stanowiącym jedną z najciekawszych enklaw śląskiego „undergroundu” w trakcie pisania nieoczekiwanie przeobraziła się w całkowicie prywatną historię istotnego etapu moich poszukiwań duchowych – pozostając jednak przede wszystkim wspomnieniem pewnej przyjaźni (która na szczęście, mimo upływu czasu, trwa). To opowieść o ludziach, którzy w przełomowym okresie mego życia byli dla mnie ważni i którym sporo zawdzięczam. Mam na myśli przede wszystkim Urszulę, jej męża Andrzeja, zaprzyjaźnionego z nimi Henryka Wańka, a także skupiony wokół nich krąg malarzy, poetów, krytyków, fotografików, architektów. Ponieważ tak się złożyło, że twórcy ci to i owo w swoim życiu osiągnęli i stworzyli, bez czego dzieje polskiej kultury, od lat 60. poczynając, byłyby znacznie uboższe, zaś drogi nasze przecięły się w bardzo szczególnym momencie, historia „podziemnego poddasza” wydała mi się godna opowiedzenia. Cieszyłbym się, gdyby poniższa relacja mogła mieć wartość świadectwa: ukazywała poszukiwania grupy ludzi, którym przyszło działać i tworzyć, dokonywać rzeczy dość niezwykłych, marzyć i poszerzać obszar wewnętrznej wolności w maksymalnie niesprzyjającym miejscu i czasie, a mianowicie na Śląsku okresu dojrzałego i późnego PRL-u.

Urodzony fortunnie dokładnie w połowie stulecia, w 1968 r. kończyłem osiemnaście lat. Czas narastania i apogeum owej rewolty pokrywał się zatem idealnie z okresem wewnętrznego dojrzewania młodego człowieka, z czasem najbardziej emocjonalnych reakcji i skłonności do najradykałniejszych zaangażowań, najbardziej zachłannych lektur i najintensywniejszych przyjaźni. Szczęśliwi są ci, którzy takie aspiracje i tęsknoty zaspokajając mogą w sprzyjających warunkach, w środowisku nie tylko umożliwiającym dokonywanie swobodnych wyborów drogi życiowej, ale i dostarczającym podniet do rozwoju, gdzie napotkać można ludzi, instytucje, a także książki rozwój ten stymulujące, gdzie „coś się dzieje”, jest dokąd pójść, jest się z kim spotkać.

Trudno było w tym czasie wyobrazić sobie miejsce brzydsze i bardziej nieprzyjemne młodym ludziom marzącym o wewnętrznej wolności i wyłamaniu się z wyznaczonych im ram i przegródek, aniżeli Katowice. Śląska „Katanga”, kluczowy strategicznie wielkoprzemysłowy region, stanowiła poligon oddany w absolutne władanie partii i organów bezpieczeństwa, na którym partia ta wypróbowywała całą siłę swej maszyny propagandowej, gdzie bezkarnie szalał aparat represji, inwigilacji, zastraszenia. Tutaj nic nie mogło się „wydarzyć”, wszelkie kielki niezależności, indywidualizmu, samodzielnego myślenia, czy choćby bardziej kolorowego stylu bycia przystrzygano równo z darnią.

Niedopatrzienia zdarzały się rzadko. Takim wielkim wyłomem w otaczającym nas murze był w roku 1965 niezapomniany koncert The Animals w katowickiej Hali Parkowej. Ilekroć po latach przejeżdżałem obok tego kurnika, obecnie przemalowanego na tandetny hipermarket, nie mogło pomieścić mi się w głowie, że w takiej budzie koncertować mógł trzeci podówczaś zespół świata. Cóż to było za święto, jakże hałaśliwa eksplozja wolności! Pamiętam osłupienie i bezradność szeregow milicjantów, którym przyszło po

raz pierwszy stanąć wobec takich tłumów rozkrzyczanej, rozśpiewanej młodzieży, która z kolei po raz pierwszy poczuła, że ta hala i ta ulica należą teraz do niej i że żadna siła nie jest w stanie jej tego uniesienia i radości odebrać. Następnym razem to poczucie zbiorowego zachłyśnięcia się swobodą było moim udziałem w tłumie marcowych demonstrantów, skandujących na rynku mimo armatek wodnych i pałek: „Prasa kłamie!”, a potem chyba dopiero w roku 1979, pod papieskimi oknami pałacu biskupów przy Franciszkańskiej w Krakowie.

Na ogół jednak rygle były szczelne – i dotyczyło to nie tylko kultury, ale wszystkich sfer życia. Na Śląsku obowiązywało więcej „zapisów” cenzorskich niż w innych częściach kraju, nigdzie też indziej aparat partyjny nie był tak integralnie połączony z aparatem przemocy. To tutejszy I sekretarz, Edward Gierek, zanim jeszcze nabrał naiwnych, którzy odpowiedzieli mu: „Pomożemy!”, groził, że „śląska woda pogruchoce kości i połamie ręce, które wyciągną się przeciwko władzy ludowej”. Trudno było o bardziej przynębiającą i nudną lekturę, aniżeli czarno-czerwone płachty „Trybuny Robotniczej”, organu KW PZPR, lejącego obezwładniający smalec kłamstw i propagandowych idiotyzmów na głowy nieszczęsnego ludu pracującego. Jediną formą igrzysk, jakie ludowi temu proponowano – oczywiście obok pierwszomajowych pochodów i październikowych akademii – było „święto” tegoż organu prasowego organizowane z rozmachem w Parku Kultury i Wypoczynku, czyli morze piwa, góry krupnioków, występy ludowych zespołów i kiermasze książki z udziałem miejscowych, pożałuj Boże, literatów.

Tylko dla szaleńców

Katowicki Wydział Grafiki krakowskiej ASP, nb. na początku nazywający się oficjalnie Wydziałem Grafiki Propagandowej, był szkołą konformizmu i estetycznej urawniłowki. Oddajmy na chwilę głos bohaterom naszej

opowieści, których los zetknął z tą szkołą. Andrzej Urbanowicz wspominał studia tam jako „pełną schizofrenię”: „Dla Akademii oddrabiałem lekcje, a w domu malowałem, pilnie zważając, aby nikt związany z Akademią o tym nie wiedział”. Podobnie zapamiętał tę „fabrykę fachowców użytecznych przy wykonywaniu zleceń politycznych” Henryk Waniek: „Mając wrodzoną odrazę do oportunistów, również i w czasie studiów postanowiłem nie poddawać się temu ciśnieniu”. Artyści skupieni wokół tej uczelni – poza podobnymi dwójce wymienionych przyjaciół nielicznymi samotnikami, którzy w swoich pracowniach podejmowali szkodliwe i tępiące eksperymenty – oddawali się chałturzeniu, głównie w Ośrodku Postępu Technicznego, i realizacji partyjnych zamówień. Wizualnym, natarczywie obecnym symbolem tych działań były gigantyczne „wciery” z trzema brodacami bądź samotnym Leninem, salutującym co roku katowiczantom z frontonu gmachu, w którym przy rynku mieściły się redakcje miejscowych pism, z tygodnikiem „Poglądy” na czele.

I znowu nie sposób uwolnić się od wspomnień i skojarzeń: pamiętam, jakim szokiem była dla mnie podobnych rozmiarów „wciery”, która w czerwcu 1993 r. zawisała *vis-à-vis* tamtego gmachu, na frontonie Teatru Śląskiego. Przedstawiała innego Rosjanina, Josifa Brodskiego, który odbierał właśnie doktorat *honoris causa* Uniwersytetu Śląskiego, podpisując wraz ze swym przyjacielem, Czesławem Miłoszem, książki tłumom ludzi na katowickim rynku – w przeciwieństwie do minionych wiernopoddańczych spędów zgromadzonym tutaj całkowicie dobrowolnie. Zestawiając takie „stop-klatki”, można czasem najlepiej uświadomić sobie przebytą drogę. W latach, o których mówimy, Brodski przebywał na zesłaniu pod Archangielskiem, Miłosz na emigracji w Kalifornii, zaś o ich wydawaniu w Polsce, a tym bardziej triumfach święconych w Katowicach, roić mogli jedynie szaleńcy.

Między węglem a stalą

Graniczy z cudem, a może przeciwnie: jest jakąś niepojętą prawidłowością, że na zasadzie czystego paradoksu i zarazem nieprzewidywalnej reakcji na wszechobecną szarość, zadekretowaną uległość i totalny nadzór roztoczony nad tą nieszczęsną krainą, właśnie tutaj powstało środowisko twórców niezależnych, którzy nie tylko zdołali tę niezależność zbudować i obronić, ale też wyraziście zmanifestować na forum publicznym. Wbrew powszechnym negatywnym stereotypom i opiniom krążącym w całym kraju na temat Śląska, to właśnie w tym najmniej oczekiwanym miejscu powstało jedno z najciekawszych środowisk artystyczno-intelektualnych, promieniujące na inne ośrodki i przyciągające do Katowic równie niespokojne duchy, na ogół samotnie oddające się podobnym poszukiwaniom w Krakowie,



Andrzej Urbanowicz

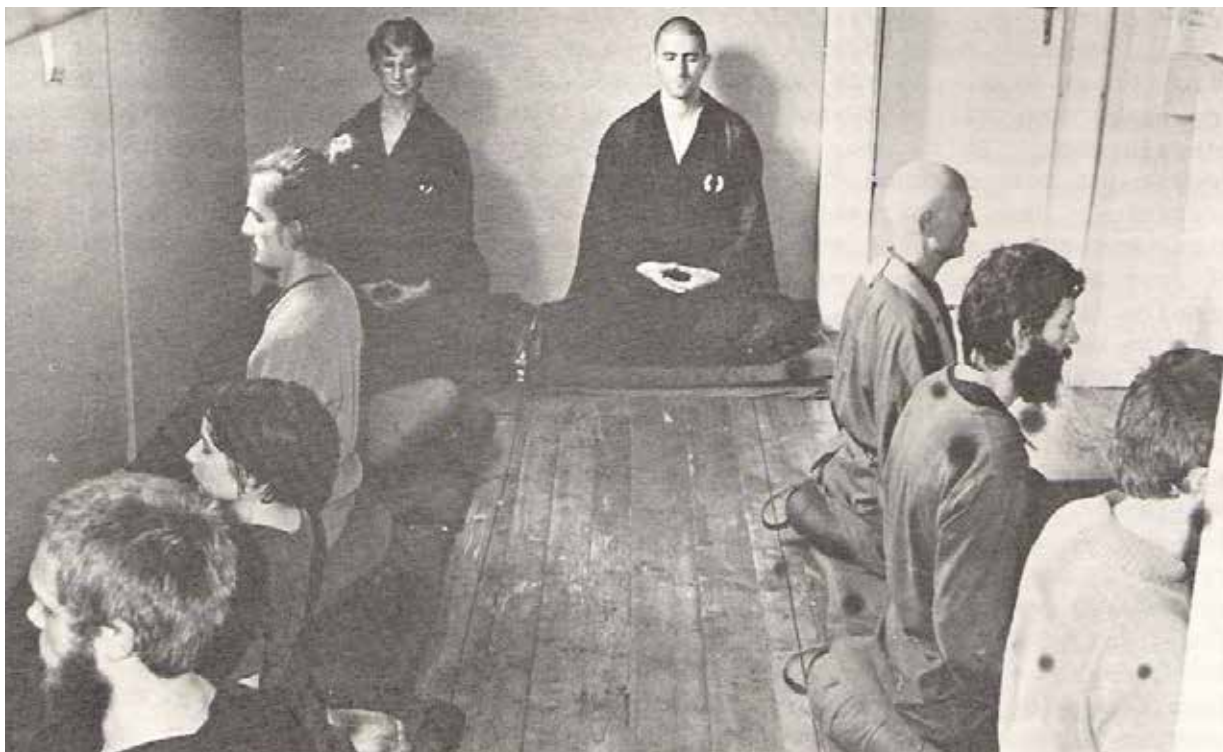
Warszawie, Poznaniu, Sanoku czy Elblągu. Między tymi nielicznymi wyspami kultury alternatywnej istniały rozmaite formy komunikacji i współpracy. W Elblągu działały np. Galeria „El” prowadzona przez Gerarda Kwiatkowskiego i Galeria „Tak” Anasztazego Wiśniewskiego, ze swojej samotni w Sanoku przyjeżdżał czasem do Katowic Zdzisław Beksiński, który miał dwie wystawy w prowadzonej przez Urbanowicza Galerii Śląskiej, istniały dość bliskie kontakty z warszawską Galerią Sztuki Współczesnej kierowaną przez Janusza Boguckiego, również w Warszawie – pomiędzy wyjazdami za granicę – mieszkał Mariusz Tchorek, związany z jednej strony z Galerią Foksal, z drugiej zaś, wraz ze swoją piękną żoną Agnieszką, z ruchem sufich. Pełnił on rolę bezcennego pośrednika, przemycając do kraju różne artystyczne i duchowe nowinki z Zachodu, był animatorem inspirowanych działań i happeningów. Na poddaszu Urbanowiczów poznałem też Tadeusza Sławka, Ryszarda Krynickiego, Jarosława Markiewicza, Kazimierza Jankowskiego, Andrzeja Kostołowskiego czy Wojciecha Skrodzkiego – z niektórymi do dzisiaj pozostaję w przyjaźni.

Znaczenie katowickiego środowiska, umożliwiającego konfrontację, a czasami integrację ich różnorodnych poszukiwań i będącego dogodnym miejscem spotkań, polegało nie tylko na wymiarze artystycznym. Co najmniej tak samo istotny – o ile nie istotniejszy i ciekawszy – był, by tak rzec, wymiar duchowy tego zjawiska. W wielkoprzemysłowym regionie, gdzie liczyło się wydobywanie węgla, tony wytopionej stali, gdzie życie ludzkie zdominowane było przez materię i do niej redukowane, kultywowane na poddaszu Urszuli i Andrzeja zainteresowania buddyzmem, gnozą, mistyką sufich i egipskich magów, okultyzmem i ezoteryką były czymś równie niezwykłym, jak wcześniejszy o kilkadziesiąt lat, przedziwny, nawiązujący do nauki różokrzyżowców system Teofila Ociepki i jego uczniów z pobliskiego Janowa.

Nowe Bezpretensjonalne Pismo Święte

W tymże burzliwym roku 1968 poznałem najpierw Henryka Wańka. Mieszkałem wtedy przy ulicy Sądowej i przechodząc codziennie przez plac Wolności, mijałem budynek Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej, w którym mieściło się kino „Przyjaźń”, w nim zaś działał bardzo dobry DKF, prowadzony przez Henryka. Mijaliśmy się w krągłej alejce placu Wolności, przyglądając się sobie z zainteresowaniem. Jego wygląd, a zwłaszcza przenikliwy wzrok, jakim mnie obrzucał, pozwalał domyślać się, że to ktoś tajemniczy i ciekawy. Ja zwracałem na ogół na siebie uwagę, gdyż był to czas mego hippiesowskiego *Sturm und Drang* i moje spodnie w kwiaty, w połączeniu ze złocistym prawosławnym krzyżem noszonym na łańcuchu na piersiach, były wtedy w Katowicach czymś dosyć niecodziennym. W końcu poznaliśmy się, bodaj u Halinki Katz, naszej wspólnej przyjaciółki, która wkrótce po marcu '68 musiała wraz z rodziną opuścić Polskę.

Okazało się, że najbliższym druhem i partnerem Henryka jest Andrzej Urbanowicz, również absolwent i outsider katowickiego wydziału krakowskiej ASP, ożeniony z malarką Urszulą Broll. Pracownia i mieszkanie Urszuli i Andrzeja położone były na poddaszu w bardzo szczególnym miejscu, przy ulicy wówczas noszącej miano Armii Czerwonej (dziś aleja Korfantego), w starym domu na rogu Piastowskiej, opodal hotelu „Katowice”. Dom ten miał na piątym piętrze rozległe i wysokie poddasze, do którego w narożnikach od ulicy przylegały dwie okrągłe baszty o kształcie wielkich bulw czy też przykrytych hełmem cebul, przypominających nieco kopuły cerkwi. Andrzej dysponował połową poddasza od strony Armii Czerwonej oraz jedną z baszt – była to pracownia, którą Urszula dostała ze Związku Artystów Plastyków. Miejsce to miało niezwykły klimat, pachniało farbami, terpentyną, paczuli, kadzidłami, znajdowało się tam mnóstwo zakamarków; regały z książkami zamieniały jego przestrzeń w prawdziwy



Pierwsze sesshin, Katowice, 28 sierpień – 01 wrzesień 1975 r. Od lewej: Aleksander Gordon, Ekyyo (Urszula Sapeta), Jacek Kwaśnik, Toni Packer, Sokei Shakya (Casey Frank), Rosi Philip Kapleau, Jacek Ostaszewski, Andrzej Urbanowicz. Fot. Ireneusz Kulik

labirynt, przez małe drzwiczki przechodziło się do kuchni, stamtąd do jeszcze jednego pomieszczenia, i jeszcze jednego. Po drugiej stronie baszty, służącej częściowo jako magazyn obrazów, ram, przeróżnych staroci, od Piastowskiej rozpościerał się drugi, pusty strych, czasem użytkowany jako miejsce wystaw i happeningów dla wtajemniczonych, wernisaży przypominających klimatem magiczne „czarne msze” bądź osobliwych misteriów przy świecach, skupiających grono starannie dobranych osób.

Dzięki Urszuli, Andrzejowi i Henrykowi trafiłem w zupełnie fantastyczny świat. Studia, które rozpocząłem na katowickiej polonistyce w 1969 r., stanowiły coś w rodzaju marginesu alibi, były przykrywką, pozwalającą spokojnie oddawać się właściwej edukacji (a raczej inicjacji), która z uniwersytetem

nie miała wiele wspólnego. Na ćwiczenia i wykłady chodziłem w miarę regularnie, bez specjalnego trudu zdając egzaminy i zaliczając kolejne przedmioty. Moje „prawdziwe” życie zaczynało się wieczorem – przez ładnych parę lat spotykaliśmy się na poddaszu Urbanowiczów nie tyle codziennie, co właśnie co wieczór, wypijając hektolitry czarnej jak smoła herbaty. W kuchni stał dymiący czajnik, a na nim imbryk, w którym parzyła się potwornie mocna esencja, lekko tylko osłabiana mlekiem – jej smak pamiętam do dzisiaj. I gadało się, gadało, gadało... Albo coś się razem robiło: kolorowało karty tarota, tłumaczyło koany i krótkie teksty buddyjskie, głośno czytało. Urszula była dwujęzyczna, znała niemiecki co najmniej równie dobrze jak polski, i długie godziny upływały nam na tym, że siedzieliśmy wokół stołu, pijąc



Kamieńczyk 1973 r. Od lewej: Ireneusz Kulik, Brygida Wróbel Kulik, Jerzy Illg. Fot. Janusz Korbel

tę piekielną herbatę, a Urszula czytała nam po polsku niemieckie wydania różnych dzieł, niedostępnych wówczas w polskich tłumaczeniach, jak np. autobiografia Junga, *Droga białych obłoków* lamy Anagoriki Govindy, pisma szóstego patriarchy Zen, Hui Nenga, książka Miguela Serrano *W hermetycznym kręgu Hermanna Hessego i Carla Gustawa Junga*, teksty gnostyckie, traktaty alchemiczne.

Z czasem Urszula, Andrzej i Henryk, a także skupieni wokół nich ludzie zaczęli tłumaczyć coraz więcej rzeczy. Na początku krążyły między znajomymi teksty przepisywane na maszynie w kilku egzemplarzach, w „nakładzie” uzależnionym od ilości kalek i czytelnich przebitek. W tamtych czasach, kiedy poligrafia stanowiła jeden z najpilniej strzeżonych obszarów, a dostęp do kserografu czy powielacza był czymś zupełnie niewyobrażalnym, Andrzej sobie tylko wiadomymi sposobami dotarł do facetów pracujących na małej poligrafii w jakimś Zjednoczeniu Węglowym czy podobnej firmie, którzy po godzinach, czy wręcz w godzinach pracy powielali dla nas te teksty. Były one następnie oprawiane u introligatora w czarne płótno, zupełnie jak prace magisterskie, i w kilkudziesięciu czy kilkuset egzemplarzach rozprowadzane wśród zainteresowanych. Tak wydano m. in. *Trzy filary zen* Philipa Kapleau, *Tao-te-ting*, *Autobiografię* mistrza Hsu Yuna, kolejne numery „Biuletynu przyjaciół” zatytułowanego „W drodze”. Gdy po kilku latach ukonstytuowała się gmina buddyjska, wydania te osiągały jeszcze większe nakłady.

Zaczęło się tak, iż teksty te krążyły po Polsce pomiędzy owymi „wyspami” w postaci teczek, będących czymś w rodzaju przechodniego pisma. Kolejni adresaci i zarazem nadawcy dokładali do nich swoje rzeczy: kopie artykułów czy fragmentów książek, które ich zafascynowały, odbitki fotografii, reprodukcje obrazów, swoje tłumaczenia, wiersze czy teksty. Wysyłane pocztą albo przez okazje, teczki te docierały do właściwych ludzi, stając się po drodze coraz bardziej pękate. Nazwano to „Nowym, Bezpretensjonalnym Pismem Świątym”.

Misterium dla wybranych

Pamiętam, że dokładnie w dniu moich urodzin, 11 października 1969 r., na poddaszu sąsiadującym z basztą Andrzeja odbył się wernisaż tak właśnie zatytułowanego zbiorowego dzieła grupy „Oneiron”. Na jednakowego formatu kwadratowych, czarnych arkuszach powstał cykl namalowanych wspólnie prac, w których można się było doszukać wpływów symboliki spod bardzo różnych znaków: kabały, tantry, alchemii, tarota itp. Obrazów było trzydzieści – tyle, ile wszystkich liter alfabetu, używających tytułów poszczególnym pracom. Kolejne „litery” zostały przydzielone autorom, bądź przez nich wybrane, a następnie wędrowały pomiędzy pozostałymi, którzy uzupełniali je, przestrzegając jednej tylko zasady: jedynym dozwolonym kolorem był biały, ewentualnie uzupełniany barwą srebrną lub złotą.

Sam wernisaż przybrał postać ni to happeningu, ni to obrzędu, zebrani przeniesieni zostali w wymiar osobliwego misterium. Impreza ta nieoficjalnie towarzyszyła odbywającym się właśnie Drugim Katowickim Spotkaniom Twórców i Teoretyków Sztuki, ale otoczona była głęboką tajemnicą i dostępna dla starannie dobranego grona. Nie tylko sama atmosfera „nielegalności” tego wydarzenia, ale przede wszystkim jego magiczna aura dostarczały silnych wrażeń i emocji. Pogłębiała je ciemność spowijająca niezwykle wnętrze, rozświetlone nielicznymi świecami ustawionymi przed kilkoma ołtarzami zbudowanymi z dziwacznych przedmiotów, a także płynąca z kilku magnetofonów egzotyczna muzyka, wreszcie różne działania, do których byli wciągani goście – musieli oni np. złożyć swoje podpisy na rozwijanej przez Henryka niezwyklej długości wstędze papieru, czy rozebrać istniejące ołtarzyki i zbudować z nich jeden wielki ołtarz. (...) Uczestnicząc w podobnych imprezach, czuliśmy się przynależni do jakiegoś zakłętego świata wybranych. Kiedy dzisiaj myślę, czym się wtedy zajmowaliśmy, interesując się Wschodem, jogą, okultyzmem i magią, gromadząc i pochła-

niając książki na ten temat (Andrzej posiadał świetny księgozbiór poświęcony ezoteryce), mam dosyć mieszane uczucia. Obszary te zawłaszczone zostały później przez New Age, który owe najróżniejsze nurty, kierunki i zjawiska wchłania, miksuje i udostępnia tysiącom ludzi w postaci niesłychanie tandetnej, idiotycznej papki, zaśmiecając głowy powierzchowną, czerpaną nawet nie z drugiej, ale dziesiątej ręki „wiedzą tajemną” dla ubogich. Jednak w tamtych czasach, kiedy nie było w Polsce księgarni typu CUD (Ciało, Umysł, Duch), literatura taka była niemal kompletnie niedostępna i zagłębiając się w owe tajemne księgi, mieliśmy poczucie szczególnego uprzywilejowania i dostępu do jakiejś elitarnej kasty wtajemniczonych. Było w tym coś niebywale elektryzującego, gdyż dotarcie do tych rzeczy wymagało wielkiego trudu, a także pewnej dozy szczęścia. Pamiętam, jak przyjechał do nas kiedyś z plecakiem pełnym książek krewny Hadyny, przedwojennego wydawcy literatury okul-

tystycznej i ukazującego się w Wiśle pisma „Lotos”. Rozprzedawał cenny księgozbiór, składający się z rarytasów, które niesłychanie rzadko można było upolować u zaprzyjaźnionych antykwariuszy. Dzięki niemu zaopatrzyłem się w pozycje, które do dziś mam w swojej bibliotece: nowiutkie, czasem nawet z nierozciętymi kartkami: *Tajemnice szlachetnych kamieni* Marii Florkowej, Józefa Świtkowskiego *Okultyzm i magia w świetle parapsychologii*, J. A. S. *Droga w światy nadzmysłowe (Radża-joga nowoczesna)* czy *O sugestii myślowej* dra Juliana Ochorowicza.

Ziemia do przytulania

Zanim opowiem o ludziach, z którymi podążaliśmy ową „drogą w światy nadzmysłowe”, akcję tej opowieści usytuować trzeba w jednym jeszcze miejscu. Na szczęście od hałaśliwego, brudnego miasta i zaszczanej klatki schodowej w jego smrodliwym centrum mogliśmy uciec nie tylko do podniebnej



Kamieńczyk, 1973 r. Od lewej Andrzej Urbanowicz, Urszula Broll-Urbanowicz, Marek Leszczyński, ?, Roger Urbanowicz, Grażyna Leszczyńska. Fot. Janusz Korbel

wieży. Na przełomie lat 60. i 70. przebudowywano śródmieście Kielc i za niewielkie pieniądze można było tam kupić drewniane domy do rozbioru, które wystarczyło przenieść w jakieś fajne miejsce. Szlak przetarł znajomy plastik z Poznania, Janusz Bersz, który pierwszy przeniósł taki domek i postawił go na Kamieńczyku, w Górach Świętokrzyskich, w przepięknej okolicy, zaledwie dwanaście kilometrów od Kielc. Dojeżdżało się tam wygodnie autobusem do Mąchocic, skąd miedzami wspinało się na niewielkie, zalesione wzgórze, gdzie z czasem w kępie drzew opodal „Berszówki” stanął dom Urszuli i Andrzeja, po kilku zaś latach następny – Janusza Korbela, wówczas architekta w Urzędzie Miejskim w Kielcach, dzisiaj znanego ekologa, założyciela i szefa Pracowni na rzecz Wszystkich Istot działającej w Bielsku-Białej.

Ziemia wokół jakby sama zachęcała do tego, żeby się do niej przytulać. Pofałdowany teren otwierał prawie z każdego miejsca rozległe widoki – najwspanialszy rozpościerał się na północ z górującego nad Kamieńczykiem Diabelskiego Kamienia, skały, u stóp której znajdowało się szybowcowe lotnisko w Masłowie. Szachownica pól oglądana z wierzchołka Kamienia wyglądała rzeczywiście, jakby patrzyło się na nią z samolotu.

Jak głosi legenda, kamień ten wypadł spod paznokcia diabła przelatującego tędy na sabat czarownic na nieodległą Łysą Górę.

Zanim stanęły na Kamieńczyku domy, w których zaczęliśmy spędzać wspólnie wakacje, przyczółkiem naszym stała się „Ameliówka” – śliczny modrzewiowy dwór na stoku góry, gdzie jego właścicielka prowadziła pensjonat. Schodząc z „Ameliówki” w dół, docierało się do przełomu Lubrzanki, rzeczki przepływającej przez pobliskie Ciekoty Żeromskiego. Za doliną Lubrzanki wznosiła się Radostowa. Okolice te były dla nas schronieniem i azylem, umożliwiającym znalezienie się w krótkim czasie w sercu cudownej przyrody, wśród pachnących sosen i wzgórz, którymi można było wędrować a to do Puszczy Jodłowej, a to na Święty Krzyż, a to nad zalew, który utworzono opodal. Wiele dobrych chwil przeżyliśmy tam razem przez kilka kolejnych wakacyjnych pobytów, odwiedzani przez przyjaciół i kontynuując zajęcia z katowickiego poddasza.

Z rąk do rąk

Wróćmy wszakże do tego, co najważniejsze, to jest do ludzi, którzy ten klimat tworzyli i dzięki którym działo się to wszystko. Byli oni o kilka lat ode mnie starsi i te parę lat



Kamieńczyk, 1973 r. W wykopie fundamentu pod dom Janusza Korbela, w którym powstało letnie zendo. Od lewej: Marek Leszczyński, Grażyna Leszczyńska, Jerzy Illg, Andrzej Urbanowicz, Roger Urbanowicz, Urszula Broll-Urbanowicz, Tadeusz Suchocki, powyżej pies Ragda, Teresa Korbel, Irek Kulik, Francoise, Jerzy Bielecki, Brygida Wróbel Kulik, Maria Mazur, Halina Urbanowicz, Staszek. Fot. Arch. Jerzy Bielecki.

wtedy oznaczało wiele. Pamiętam dzień, kiedy Henryk Waniek wręczając mi *Demiana* Hermanna Hessego, zapytał: „Czytałeś to? Jeśli nie, rzuć okiem”. Pochłoniąłem tę książkę jeszcze tej samej nocy, odbierając ją, jakby napisana została specjalnie z myślą o mnie. Hesse – który pozostał dla mnie zachodnim odpowiednikiem wschodnich mistrzów – zadawał pytania, które właśnie wtedy były dla mnie najważniejsze i które sam sobie zadawałem, dotykał „spraw duszy” w sposób, jakiego wcześniej nie napotkałem u żadnego pisarza. Tak zaczęła się jedna z moich najistotniejszych przygód lekturowych. Myślę, że spotkałem się z nim w najbardziej odpowiednim momencie – wcześniej zapewne nie doceniłbym go i nie zrozumiał, później wydałby mi się może nazbyt staroświecki, romantyczny i egzaltowany. Wtedy lektura *Demiana*, *Wilka stepowego*, *Narcyza i Złotoustego*, *Siddharthy* (którego kserokopię z przedwojennego wydania, zachowanego w Bibliotece Śląskiej, „wydał” w kilku egzemplarzach dla przyjaciół Grześ Sowula, w przyszłości grafik londyńskiego „Pulsu”) okazała się przeżyciem najdosłowniej elektryzującym. *Demiana* nazajutrz podałem dalej i książka rozpoczęła swoją niezwykłą karierę. Czytano ją w ciągu nocy i rano przekazywano przyjaciołom, traktując to jako znak wtajemniczenia, dopuszczenia do sekretnej łańcucha adeptów uczestniczących w osobliwej inicjacji. W hipisowskich komunach czytano tę książkę głośno, coraz bardziej zaczytane egzemplarze przechodziły z rąk do rąk. Sam kupowałem ją chyba z siedem razy, albo darowując kolejne egzemplarze bliskim osobom, albo bezpowrotnie tracąc z pola widzenia pożyczone. Zawsze będę Henrykowi wdzięczny za tę inspirację – a nie była ona przecież jedyną, jaką zawdzięczam jemu, Andrzejowi, Urszuli.

Moi starsi przyjaciele byli malarzami, ale równocześnie ludźmi ciekawymi intelektualnie – na szczęście nie w ten sposób, w jaki czasem bywają malarze, zwłaszcza konceptualiści, którzy piszą jakieś przenudne teksty do swych katalogów, komentujących ich

jeszcze nudniejsze wystawy. Tworzyli oni bardzo szczególne obrazy i byli na pierwszy rzut oka rozpoznawalni, zwłaszcza Urszula, która malowała mistyczne i subtelne akwarele geometryczno-symboliczne, w sobie tylko właściwy sposób rozjaśniając je wodą i zagęszczając gwaszem, a zarazem wyrażając w nich klimat swoich duchowych poszukiwań. Zarówno w tych poszukiwaniach, jak i w malarstwie była najbardziej konsekwentna, jej akwarel nie sposób pomylić z pracami kogokolwiek innego. Jakże miło było spotkać ją dwadzieścia kilka lat później, w roku 1998, na wernisażu w krakowskiej Mandze i przekonać się, że właściwie ciągle maluje w jakimś sensie „to samo”, tyle że jest to coraz subtelniejsze, coraz głębsze i czystsze, coraz piękniejsze. Henryk i Andrzej więcej eksperymentowali, ich warsztat i tematyka obrazów częściej się zmieniały. Zanim rozeszli się w swoje strony, docierając w bardzo różne miejsca: Henryk poprzez okna, labirynty, nاپowietrzne wyspy – do swoich ukochanych, magicznych Sudetów, Andrzej przez pejzaże morskie i kolaże oddające „Chaosu świętość niewyczerpaną” – w rejony tajemniczych kazamatów, w których odbywają się perwersyjne, sadomasochistyczne obrzędy piersiastych nimfetek – w pewnym okresie malowali rzeczy dosyć podobne, trochę surrealistyczne, nie stroniące od krzykliwej psychodelicznej kolorystyki, przepełnione symboliką magiczną, okultystyczną, orientalną. Pełno tam było mandali, labiryntów, kwiatów lotosu, tęczyowych węży Ouroborosów, wnikaających do kosmicznych wagin.

Polykacze świętych ksiąg

Urszula była wśród nas kimś w rodzaju duchowego akumulatora. Inspirowała, uzmysławiała sens wysiłku wkładanego w indywidualną praktykę, mobilizowała do tego, by poważnie myśleć o swoim życiu – i śmierci. Pamiętam jej rozczarowanie, kiedy zaskoczony pytaniem, czy rozmyślam o śmierci, szczerze odpowiedziałem, że właściwie nie zastanawiałem się nad tym. Była chyba naj-

bardziej rozbudzona duchowo, miała świadomość wyjątkowej wagi tych poszukiwań. I pod tym kątem oceniała ludzi stojących na jej drodze. Później, kiedy miałem już do tego większy dystans, czasami te jej uniesienia trochę mnie śmieszyły. Potrafiła się niebывale fascynować ludźmi, w których dostrzegała palący się wewnętrzny ogień, zachwycali ją młodzieńcy żarliwi i oddani praktyce duchowej. Na Kamieńczyku pojawił się któregoś lata młody jogin imieniem Tadeusz i jakoś do nas przyłgnał. Wędrował sobie boso po górach, medytował, jadł roślinki i korzonki, cały pogrążony w kontemplacji dzieła stworzenia. Urszula, wpatrzona w niego, powtarzała zachwycona: „Ach, Tadeusz to leci, leci!”. Lot Tadeusza skończył się dość nieoczekiwanie: został ojcem dziecka sporo od niego starszej kobiety, mieszkającej w nieodległym sąsiedztwie. Postanowił po prostu przetrwać zimę w górach, zasypały ich tam śniegi, no i doleciał.

Na nasze relacje z Urszulą pewne światło rzuca poniższa historia. Owego lata spędzanego razem w „Ameliówce” w jeden ze słonecznych, niezwykle upalnych dni poszliśmy nad Lubrzankę. Nie bacząc na lejący się z nieba żar, graliśmy w piłkę, po czym, spocony i rozpalony, wbiegłem – na szczęście wbiegłem, a nie wskoczyłem – do rzeki. Woda sięgała mi do pasa, kiedy poczułem, że dzieje się ze mną coś strasznego: świat zaczął wirować wraz ze mną, a w całym ciele, w każdej komórce czułem z każdym wybiciem tętna potworne uderzenia, rozsadzające mnie od środka. Jakimś cudem wyszedłem, zataczając się, z wody i dopełzłem pod najbliższe drzewo. Wszyscy przestraszeni skupili się wokół mnie, zaczęli okładać mnie mokrymi ręcznikami. Miałem wrażenie, że powoli, ale nieuchronnie osuwam się w czarną przepaść. Było to przerażające, chciałem za wszelką cenę utrzymać się na wymykającej się krawędzi, czepiałem się jej paznokciami, ale ziemia osypywała mi się spod rąk i nieubłagane wciągała mnie pulsująca ciemność. Jedyną spokojną osobą była Urszula. Trafiła się jej wyjątko-

wa okazja: wyciągnęła z torby *Bardo Thodol – Tybetańską Księgę Umarłych* i zaczęła czytać mi fragmenty pomagające umierającemu przeprowić się na tamten brzeg. Błagałem ją, żeby przestała, że wcale nie pragnę się tam przedostawać. W końcu, chyba zawiedziona, dała spokój, nie pamiętam dokładnie. Wiem, że po południu ledwo wszedłem pod górę do „Ameliówki”, a przez następne trzy dni poruszałem się z trudem, niosąc ostrożnie głowę jak najkruchsze naczynie, które przy najmniejszym nieostrożnym ruchu może rozprysnąć się na kawałeczki. Wyraźnie czułem, że przeszedłem przez doświadczenie ekstremalne, naruszyłem jakieś ostatnie rezerwy biologiczne; gdyby nie to, że miałem dwadzieścia parę lat i silny, wysportowany organizm (choć – jak się okazało – niewiele rozumu), zapewne nie przeżyłbym tego szoku termicznego. Urszula mogłaby mi wtedy towarzyszyć jako przewodniczka do krainy Bardo.

O ile trzymać się określenia, że Urszula była duchowym akumulatorem naszej grupy, o tyle Henryk był jej filarem intelektualnym, najżarłoczniejszym połykaczem świętych ksiąg, Andrzej zaś „dynamem” – znakomitym organizatorem i uosobieniem niebывałej energii, bez której większość naszych dokonań nie mogłaby się udać. Owe tłumaczenia, ich nielegalne wydania, powielacze, imprezy, wszystko to umiał jakoś bezbłędnie zaplanować, załatwić i co najważniejsze, doprowadzić do pomyślnego końca. Razem z Henrykiem zorganizował w 1968 r. Pierwsze Katowickie Spotkania Twórców i Teoretyków Sztuki, które stały się jednym z najpoważniejszych wydarzeń w tamtych koszmarnych latach, kiedy nic, szczególnie na Śląsku, nie mogło się obyć bez asysty POP, błogosławieństwa KW, czujnego nadzoru cenzury etc.

Niezależna wyspa na śląskim morzu

Wróćmy wszakże na poddasze Andrzeja, do jego baszty i tej dziwnej, starej kamienicy, przesyconej tajemnicą i owianej szczegó-

nym, magicznym klimatem. Położone na ostatnim piętrze pod poddaszem mieszkanie mamy Andrzeja miało w jednym z pokoi wykusz, z którego można było patrzeć w trzech kierunkach: rynku, ronda i *vis-a-vis*. Myślałem sobie zawsze, że to poddasze jest

miejszem wyniesionym ponad widoczną w dole ulicę w sposób zarówno dosłowny, jak i metaforyczny.

Z czasów hippiesowskich pozostało mi przeświadczenie – podzielane przez krąg przyjaciół spotykających się w pracowni Urszuli i



Ółtarz podczas uroczystości „Głodnych duchów”, Pracownia, listopad 1976 r. Fot. Janusz Korbel

Andrzeja – że od polityki trzeba trzymać się jak najdalej, bo i tak na nic się nie będzie miało wpływu. Polityka to szambo i wszystko jedno, z której strony chciałoby się w nią angażować, czy w czerwonych krawatach, czy po stronie ludzi związanych w przeszłości z działalnością opozycyjną, skutek będzie jeden: człowiek unurza się w tym szambie i nim prześmierdnie. Ani nam w głowie były jakieś polityczne radykalizmy, kompletnie

nie interesowała nas ani jedna, ani druga strona barykady, chcieliśmy być „obok” niej. Dziś wiem, że – *toutes proportions gardées* – była to postawa podobna do tej, jaką za swoją życiową dewizę przyjął, w tych samych zresztą latach, Josif Brodski, który mówił, że on i jego przyjaciele nie chcieli być ani pro sowieccy, ani antysowieccy – chcieli być asowieccy, nie przyjmować całego tego świństwa do wiadomości. Z nami było podobnie:



Warsztat zen, Pracownia na Piastowskiej 1, Katowice, sierpień 1975 r. Od prawej: Basia Kaniuga, Joasia Kaniuga, Jacek Ostaszewski, Wally Muszyński, Małgosia Ostaszewska, Teresa Korbel, Janusz Korbel, Hieronim Lis. Fot. Ireneusz Kulik

nie chcieliśmy mieć nic wspólnego z tym, czym żyła ta ulica, z przechodzącymi nią pochodami i manifestacjami. Pragnęliśmy zajmować się własnym wnętrzem, twórczością, tym wszystkim, co nas interesowało, siedzieć w zazen, tłumaczyć święte księgi Wschodu, a nie taplać się w mętnej, czerwonej gnojówce, która bulgotała gdzieś tam na dole.

Rychło jednak okazało się, że w tym kraju nie ma na taką postawę miejsca. Kiedy w 1977 r. po raz pierwszy wyrzucano mnie z pracy na Uniwersytecie Śląskim, doliczyłem się 23 (!) różnych argumentów puszczonych w obiegi i mających zamykać usta moim potencjalnym obrońcom. Wśród nich były epitety takie jak buddysta czy hippie, dowiedziałem się, że należałem do „czarnych koszul” (do dziś nie wiem, co to takiego, ale brzmiało dobrze), że uniwersytet odwiedzali panowie z SB, którzy twierdzili, iż przygotowuję z Barańczakiem dla paryskiej „Kultury” podziemną antologię poezji polskiej (jakże byłoby wspaniałe, gdyby to była prawda). Oczywiście lata spędzone na poddaszu Urbanowicza także zapewniły mi odpowiednią ilość „punktów”. Było ono miejscem, które bardzo bezpiecznie interesowało, jako niezależna wyspa na tym czerwonym, śląskim morzu było uważnie obserwowane i inwigilowane. Myśmy tego wszystkiego po prostu nie przyjmowali do wiadomości i kompletnie się tym nie przejmowaliśmy. Robiliśmy swoje. Czas pokazał, że zachowanie podobnej eksterytorialności było w tym systemie niemożliwe. System ten właśnie dlatego był totalny, że nie tolerował tych, którzy chcieli stać z boku, którzy go ignorowali, nie respektowali jego reguł gry. Jeżeli nie chciało się być jego zwolennikiem, zostawało się zepchniętym na drugą stronę barykady – wymuszało to radykalizację poglądów i zaangażowanie się po przeciwnej stronie. Okazało się, że nie sposób trzymać się od tego z daleka.

Po moim hipisowskim lecie 1968 r., kiedy byłem spisywany przez milicję w różnych miastach całej Polski, założono mi kartotekę i zacząłem dostawać systematycznie wezwania na przesłuchania w komendzie wojewódzkiej

i w MSW, gdzie straszono mnie nieprzyjęciem na studia i komisją poborową, a moich rodziców zwolnieniem z pracy. Potem, kiedy w 1969 r. dostałem się na studia, usiłowano mi w tym przeszkodzić, wysyłając na uczelnię pisma-donosy, w których informowano, że jako członek ruchu *hippies* biorę udział w zbiorowych orgiach i zażywam narkotyki, oraz „polecano roztoczyć opiekę organizacji młodzieżowych” nad zbłąkaną owieczką. Była to poniekąd bezcenna edukacja, pokazująca istotę państwa, w którym przyszło nam żyć, odzierająca z jakichkolwiek złudzeń, jeżeli nawet by się je miało. Państwo to nie przestawało dawać ci do zrozumienia, że jesteś jego własnością, z którą może zrobić, co zechce.

Skarpetki, panowie buddyści!

Z czasem ta zachodząca pod presją rzeczywistości ewolucja działań i postaw prowadziła do tego, że wszyscy – buddyści, hippies, różnej maści outsiderzy nie mieszczący się w wyznaczonych przegródkach i na rozmaite sposoby się z nich wyłamujący – spotkaliśmy się na przełomie lat 70. i 80. w szeregach demokratycznej opozycji, niezależnych drukarniach, kolportażu bibuły, na wykładach Latającego Uniwersytetu, wreszcie w kołach założycielskich i lokalnych władzach „Solidarności”, a po stanie wojennym – w jej podziemnych strukturach. Mimo że wcześniej wzbraniał się przed zaangażowaniem politycznym, zostało ono na nas wymuszone, zostaliśmy w to niejako wepchnięci. Być może pozostawanie w wieży z kości słoniowej, wypełnionej książkami i muzyką, taki samotny azyl byłby rzeczą możliwą, z chwilą jednak, kiedy dotyczyło to powiększającej się grupy ludzi, nie mogło pozostać niezauważone i nie mogło być tolerowane. Jakimś rozwiązaniem wydało nam się w tej sytuacji wykorzystanie istniejących możliwości prawnych i zarejestrowanie buddyjskiej gminy wyznaniowej, która działałaby oficjalnie i jawnie, miała prawo wydawać swój biuletyn, przyjmować nowych członków, organizować

spotkania na większą skalę. Zainteresowania całej naszej grupy ewoluowały bowiem – od nauk ezoterycznych, astrologii, okultyzmu, magii itp., przez hatha jogę i fascynację Wschodem po buddyzm zen, na którym z czasem skoncentrowały się te poszukiwania i który niejako się z nich „wydestylował”. Był to dla nas przedmiot nie tyle intelektualnych dociekań, co konkretnej praktyki, wspólnego siedzenia w *zazen*, organizowanych warsztatów i kilkudniowych w przyszłości *sesshin*. Oddaliśmy się tej praktyce z wielkim samozaparciem i, co tu dużo gadać, żarliwością neofitów. Byłem przekonany, że pozostanę buddystą do końca moich dni, przepełniała mnie radość, że odnalazłem swoją drogę. Początkowy okres kroczenia nią wspominam jako jeden z piękniejszych w życiu. Był to taki bardzo jasny czas wewnętrznej zgodności i harmonii, „jedności ciała i umysłu”, skupienia, koncentracji, pewności, że zmierza się we właściwym kierunku. Ścieżka ta – w przeciwieństwie np. do modlitwy, uczestniczenia w mszy i w ogóle nauki Kościoła katolickiego, z którym moje drogi wówczas się rozeszły – oferowała w naszym odczuciu bardzo konkretne doświadczenie, prowadziła do wyczuwalnych zmian. Wyraźnie czułem, że wysiłek i praktyka duchowa przynosi realne rezultaty, pogłębia mnie i wycisza, będąc jednocześnie źródłem wielkiej wewnętrznej radości. Co sobotę spotykaliśmy się po południu, siedząc wspólnie pięć, sześć rund w *zazen*, najpierw w kilka osób, potem już w kilkanaście. Później zaczęły się odbywać na Kamieńczyku trzydniowe workshopy, organizowane ściśle wedle zaleceń Philipa Kapleau, mistrza buddyjskiego i autora książki *Trzy filary zen*, którą przetłumaczyliśmy i która była wówczas naszą Biblią. Okazało się, że rzeczy, które kilka lat wcześniej wydawały się nam nierealne, stały się możliwe. Takim wydarzeniem, przekraczającym spełnienie najśmielszych marzeń, była pierwsza wizyta Philipa Kapleau w Katowicach, za którą przyszły następne, i jego samego, i jego uczniów, Toni Packer oraz Sokei, czyli Franka Caseya. Nawiązaliśmy kontakt z Zen Center

w Rochester i oni – zachwyceni z kolei tym, że coś podobnego dzieje się w Polsce – zaczęli tu przyjeżdżać.

W miarę jednak, jak to wszystko się rozwijało, przybywało nowych ludzi – postępować zaczął proces wykruszania się tych, którzy byli w tej grupie od samego początku. Pierwszy wyłączył się ze wspólnych działań Henryk Waniek. Zawsze lubił chodzić własnymi drogami, był niezależny, krytyczny, czasem złośliwy. Pamiętam, jak po wspólnym siedzeniu, już przy herbacie, kręcąc tym swoim krzywym nosem wycedził kiedyś: „Wszystko bardzo pięknie, tylko panowie buddyści mogliby co jakiś czas zmieniać skarpetki”. Kiedy indziej, patrząc na młodych, nawiedzonych adeptów, zachowujących się w sposób dość afektowany i w czasie *kinhin* (chodzenia przedzielającego kolejne rundy *zazen*) niemal unoszących się w powietrzu, szepnął do mnie: „Kopnąłbym w dupę takiego mnicha, to by naprawdę pofrunął”.

Od emocji do instytucji

W tej żarliwości neofitów było rzeczywiście coś irytującego. Gorszą wszakże rzeczą było to, że z czasem całość zaczęła nie tyle może nawet kosztować w organizacyjną strukturę, co trącić duchem sekty, ciasnych obłapków współwyznawców. Mnie osobiście najbardziej wtedy zraziło to, że zaczęto oceniać przyjaciół pod kątem ich żarliwości, stopnia zaangażowania w sprawy sanghi, ilości czasu, jaki mogą poświęcić na wspólne prace edytorskie bądź organizacyjne. Pierwotna bliskość i przyjaźń stopniowo przeobraziły się w strukturę, hierarchię, cenzurki wystawiane sobie nawzajem, brak tolerancji i zrozumienia, że ludzie mogą nie mieć jednakowych aspiracji duchowych i chcieć prowadzić swoje własne życie. Poczułem wtedy, że przekracza to pułap moich możliwości, nie odnajduję w sobie aż takiej determinacji, nie potrzebuję tego aż w takim wymiarze; ponadto żał mi było tego, że wspólna początkowo przygoda przyjaciół, bliskich sobie ludzi, zaczyna się przeobrażać w instytucję, z wszystkimi tego ujemnymi

konsekwencjami. Zaczął między nami narastać dystans i z czasem podobnie jak Henryk przestałem uczestniczyć w spotkaniach, sesjach, wspólnych medytacjach i pracach.

To samo było zresztą udziałem pozostałych osób, które tworzyły początkowo rdzeń tej wspólnoty. Odszedł Staszek Kasprzyk, praktykujący katolik, przeżywający chyba coraz wyraźniej wewnętrzny konflikt pomiędzy jego religią a buddyzmem traktowanym tutaj już w sposób wyznaniowy. Z czasem oddalili się stopniowo także Irek Kulik, fotografik i architekt, z Brygidą Wróbel (wkrótce jego żoną), malarką, którzy chcieli robić swoje wystawy, a nie tylko dostarczać odbitek fotograficznych do kolejnych publikacji sanghi. Przybywali za to oczywiście ludzie nowi, którzy dynamicznie rozbudowywali sanghę, ale to już etap, w którym nie uczestniczyłem i o którym powinni opowiedzieć inni.

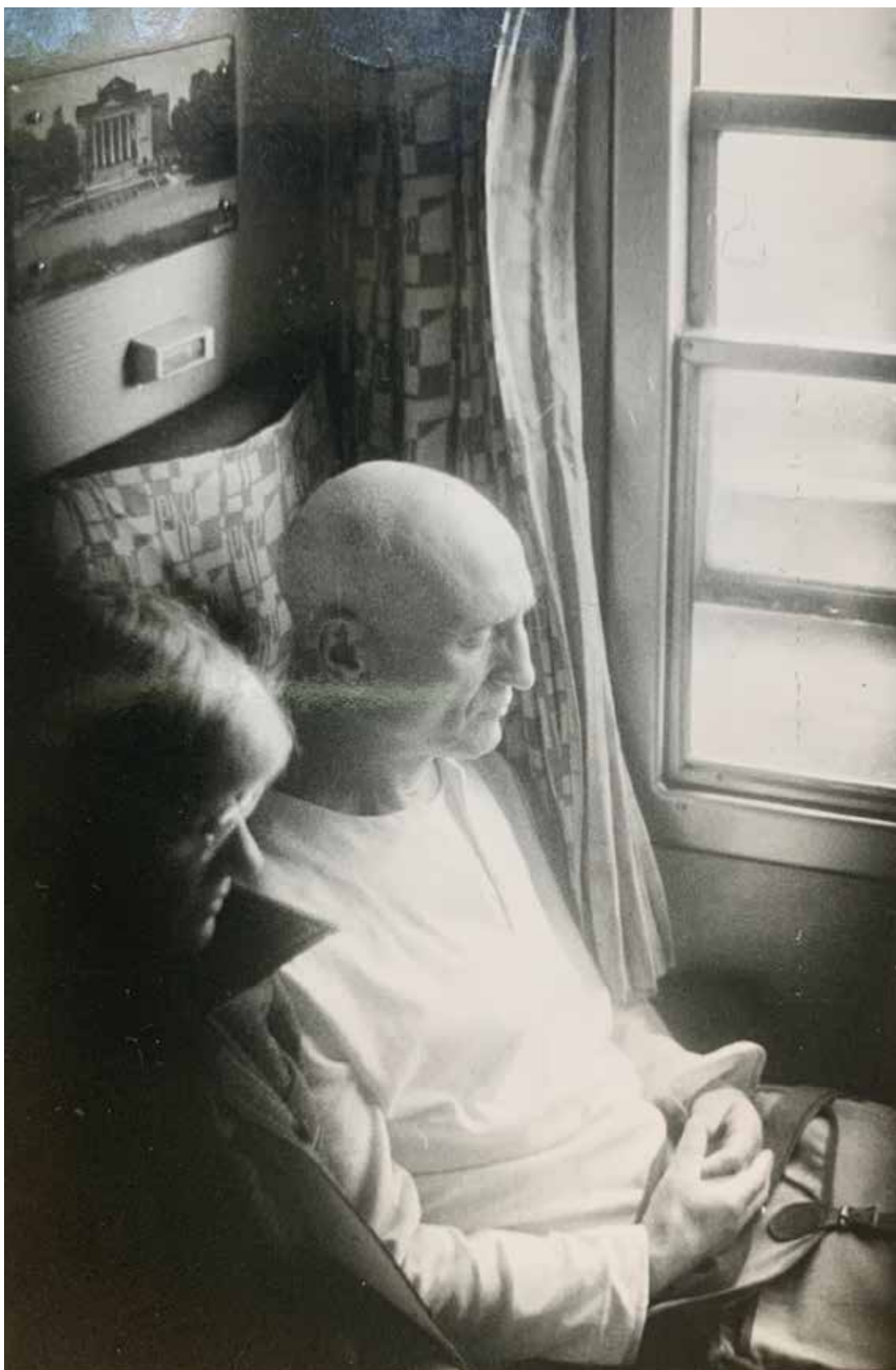
Kolejno wyjeżdżaliśmy z Katowic: Henryk, po nim zaś Staszek do Warszawy, Urszula do Przesieki, Irkowie do Düsseldorfu, Korbelowie do Bielska, ja do Krakowa. Z chwilą wyjazdu Andrzeja najpierw do

Warszawy, potem do Nowego Jorku w roku 1978, poddasze na rogu Piastowskiej i Armii Czerwonej opustoszało i przestało funkcjonować. Mijały lata i, szczerze mówiąc, nie spodziewałem się, że jeszcze kiedykolwiek będę wspinał się na dobrze znajome schody. Kiedy po powrocie Andrzeja z Ameryki w 1992 r. pierwszy raz wdrapywałem się na górę, nie potrafiłem ukryć wzruszenia. Z tym miejscem związany jest kawał mojego życia, kawał ważny i ciekawy. Dzisiaj jesteśmy już w innych punktach naszej drogi, ale znowu zdarza nam się siedzieć z Andrzejem i Henrykiem przy mocnej herbacie i od czasu do czasu snuć różne wspólne plany. Patrząc przez okno i mam wrażenie, że czas zatoczył przedziwne koło, przenosząc nas na powrót w miejsce, w którym było nam dobrze razem. Zupełnie jakby to było przedwczo-raj. Zmieniły się tylko dwie rzeczy: wejścia do klatki schodowej strzeże dziś domofon, dzięki czemu nie unosi się już w niej tak intensywny zapach moczu, wchodząc zaś na schody, docieram na piąte piętro znacznie bardziej zasapany niż kiedyś.

Jerzy Illg, Kraków, 2002



Fot. Jana K.



Philip Kapleau i Toni Packer w pociągu do Katowic, sierpień 1975 r. Fot. Andrzej Krajewski

Anna Jedynak

Kamieńczyk 1975

W grupie ludzi dążących w tym samym kierunku zaangażowanie jednych wzmacnia zaangażowanie drugich – działa tu swoista synergia. Tak było na Kamieńczyku.

Gdyby ktoś powiedział mi wcześniej, że trafię do tak niezwykłego miejsca jak dom Urszuli i Andrzeja Urbanowiczów – nie uwierzyłabym. Wiosną 1975 r. kolega zafascynowany buddyzmem zen zaczął mi opowiadać o medytacji, o japońskich klasztorach, o dążeniu do oświecenia, o mistrzach zen i o Philipie Kapleau oraz o grupie osób, które w Polsce praktykują według jego wskazówek. Opowieści te padły na podatny grunt. Przeczytałam trzy pierwsze rozdziały polskiego tłumaczenia *Trzech filarów zen* (przeznaczone do użytku wewnętrznego) Philipa Kapleau i w połowie kwietnia

postanowiłam rozpocząć formalną praktykę. Podkreślana w źródłach potrzeba zaangażowania i wysiłku nie była zniechęcająca – przeciwnie, kazała domyślać się, jak wartościowe są zapewne rezultaty tej praktyki.

Z początkiem wakacji, na początku lipca spakowałam niewielki plecak i ruszyłam na szosę, aby dostać się autostopem w okolice Kielc. Wiedziałam, że tam właśnie, na Kamieńczyku, z dala od ludzkiego gąszczu, przebywają ludzie wspólnie medytujący. Nikt się tam mnie nie spodziewał ani nie miałam żadnej rekomendacji. Na pytania zdziwionych gospodarzy, w jakim celu przybyłam, odpowiadałam, że chcę wspólnie z nimi siedzieć w *zazen*. Pytającymi byli Andrzej Urbanowicz i Urszula Broll-Urbanowicz. Gościło w ich domu jeszcze kilka czy kilkanaście osób, był też mały syn gospodarzy. Zostałam, włączyłam się we wspólne prace i medytację.

Po prostu

Wszystko tam było niecodzienne. Uderzała prostota życia. Nie było elektryczności ani studni. Wodę nosiło się ze wsi pod górę spory kawałek drogi. W domu nie było osobnych izb, lecz tylko obszerny parter i piętro, czy może



*Widok z Kamieńczyka w kierunku Góry Radostowej; nad Lubrzanką unosi się poranna mgła, 1977 r.
Fot. Janusz Korbel*

raczej strych. Mała część rodzinna wydzielona była przepierzeniem, a pozostała przestrzeń użytkowana była wspólnie przez wszystkich. Medytacje odbywały się w małym domku, należącym do nieobecnych sąsiadów, jedynych w najbliższej okolicy. Ustalony był – i przestrzegany – porządek dnia.

Daleko bardziej od warunków życia niezwykle był panujący tam duch ogromnego oddania praktyce. Dla wszystkich było oczywiste, że angażujemy się w coś ogromnie ważnego, co warto jest wszelkimi starań. Panowała atmosfera życzliwości, spokoju i skupienia, ale nie nudy, nie stagnacji ani przymusu. Nikt nikogo nie pilnował, każdy robił swoje i zdawał się całkiem zadowolony z tego, co przychodzi mu robić w tym właśnie momencie. W grupie ludzi dążących w tym samym kierunku zaan-

gażowanie jednych wzmacnia zaangażowanie drugich – działa tu swoista synergia. Tak też było na Kamieńczyku. Twórcami tej grupy byli Urszula i Andrzej przy współudziale przyjaciół. Początkowo zainteresowania tych osób koncentrowały się wokół poszukiwań artystycznych i intelektualnych, o czym wówczas nie wiedziałam. Buddyzm pojawił się jako jedna ze ścieżek, do których te poszukiwania doprowadziły. I zdystansował inne ścieżki. Pochłonął ogromną ilość energii, czasu, środków finansowych, trudów organizacyjnych i osobistej praktyki Urszuli i Andrzeja. Ich przykład był zaraźliwy, oddziaływał na innych i pomagał im rozwinąć ich własne zaangażowanie. Nigdy przedtem ani nigdy potem nie zdarzyło mi się widzieć wśród ludzi świeckich takiej wspólnie wygenerowanej żarliwości.



II Spotkanie w Pracowni, 2009 r., ul. Piastowska 1, Katowice. Od lewej: Anna Jedynak, Bolesław Rok, Nina Orłow, Krzysztof Kosior. Fot. Jan Bereza OSB

Kapitał na dalszą drogę

Przybyłam na Kamięńczyk w szczególnym momencie: niebawem miało się odbyć trzydniowe *zazen* grupowe, wzorowane na klasztornych intensywnych odosobnieniach, praktykowanych także w świeckich ośrodkach na Zachodzie. Miałam okazję wziąć w nim udział. Wszystko na odosobnieniu urządzone jest tak, aby uczestnicy mogli bez reszty oddać się medytacji. Nie prowadzi się rozmów, trzyma się wzrok spuszczonego, medytuje się wspólnie wiele godzin dziennie, nie ma wiele czasu na sen i wypoczynek, w skupieniu spożywa się posiłki, słucha tekstów buddyjskich i wykonuje wyznaczoną pracę. Było to dla mnie potężne doświadczenie, ale i spory wysiłek. Może dobrze, że nie miałam wiele czasu na namysł nad udziałem w odosobnieniu – różne obawy mogłyby mnie od niego powstrzymać.

Dowiedziałam się też na Kamięńczyku, że za kilka tygodni spodziewana jest wizyta rosiego Kapleau z USA, który zatrzyma się w katowickiej pracowni Urszuli i Andrzeja i poprowadzi tam wspólną praktykę. Wszyscy tą wizytą żyli. Wymagała ona pracochłonnych przygotowań w katowickim pomieszczeniu, toteż niebawem Kamięńczyk opustoszał – grupa przeniosła się do Katowic. Miałam okazję być tam razem z innymi i włączyć się w przygotowania, a potem zetknąć się bezpośrednio z rosim i jego asystentami. Wszystkie te zdarzenia pozwoliły mi zbić bezcenny kapitał na dalszą drogę duchową, przy czym nie mniej ważna od kontaktu z nauczycielem była inspiracja ze strony założycieli grupy i możliwość włączenia się we wspólne działanie. Nawet jeśli ludzie w swoich codziennych problemach nie całkiem dorastali do swoich ideałów, jednak dążyli do nich. Przepojony był nimi duch całej grupy. Mimo że nie do końca rozumieliśmy tę ścieżkę i brakowało nam właściwego zrównoważenia różnych jej elementów, wiedzieliśmy, że polega ona nie tyle na tym, aby coś dostać, ile raczej aby coś oddać – oddać złudzenia i zamęt, do których przywykamy i które zarzucić jest trudno, choć powodują różne problemy.

Zmiany

Wielokrotnie wracałam do Katowic na grupowe odosobnienia medytacyjne, zwykle trzydniowe. A latem, co rok lub co dwa, odbywały się dłuższe wiejskie odosobnienia pod kierunkiem przyjezdnego nauczyciela. Kolejne lata przyniosły jednak zmiany. Powstawały inne wspólnoty buddyjskie, nastąpiły zmiany w życiu osobistym Andrzeja i Urszuli, zmieniał się skład grupy. Dołączały nowe osoby, wśród nich i takie, dla których praktyka była już mniej wyraźnym priorytetem i z powodu których Urszula powiedziała przy którejś z kolejnych wizyt nauczycieli, że „teraz jest słabsza świadomość tego, co się dzieje”. Jednak grupa trwa do dziś, mimo kryzysów, jakie przechodził patronujący jej ośrodek z USA. Ten wczesny okres położył pod jej rozwój solidne podwaliny.

Różnie potoczyły się potem losy najdawniejszych jej członków. Ale taki klimat i taki duch, jaki panował w jej najwcześniejszych latach, już się nie powtórzył. Z jednej strony – może to i dobrze. Tak jak burzliwa miłość romantyczna z czasem przechodzi w spokojniejszą, dojrzałą, tak i praktyka duchowa po okresie pierwszej żarliwości osiąga równowagę i harmonijnie włącza się w codzienność i jej sprawy. Albo raczej: obejmuje codzienność i jej sprawy. Z drugiej strony – w tym pierwszym, wczesnym okresie było coś bardzo pięknego i budującego i warto zachować go w pamięci.

Po latach okazało się, że więcej osób jest tego zdania. Po kilku dekadach od tamtych wydarzeń zjechali do Katowic na 70. urodziny Andrzeja weterani polskiego zen, którzy ongiś wkraczali na tę drogę za jego przykładem. Było to bardzo wzruszające spotkanie, niektórych ludzi nie widziało się od wielu lat. Każdy krótko opowiedział o sobie. Różnie potoczyło się nasze życie i rozwój naszej duchowości. Są tacy, którzy kontynuują tę pracę w tej czy innej tradycji, a są i tacy, którzy obecnie jej nie podtrzymują. Ale niemal wszyscy zgadzali się, że okres początków grupy buddyjskiej założonej przez Andrzeja i Urszulę to bardzo szczególny, bodaj czy nie najpiękniejszy czas, jaki pamiętają w swoim życiu.

Anna Jedynak, Warszawa, maj 2021

Alchemia na Piastowskiej

Dzięki Pracowni Katowice wiążą się dla mnie z niepowtarzalnym klimatem epoki wczesnego buddyzmu w Polsce.

Do Katowic przyjechałam po raz pierwszy w 1975 r., aby wziąć udział w programie, legendarnej już wówczas, Pracowni, gdzie malarze Andrzej Urbanowicz i Urszula Broll tworzyli oraz prowadzili *zendo*, miejsce, które można przetłumaczyć jako „Pracownię Ciała-Umysłu”. Przez wiele lat każdego miesiąca zjeżdżaliśmy na Piastowską z całej Polski, aby w grupie około 20 osób siedzieć razem w medytacji. Nasze pragnienie, aby przebudzić się ze snu, motywowało nas do wystawiania naszych młodych ciał na godziny bezruchu, milczenia i wglądania wewnątrz, aby poznać naszą własną *naturę buddy*. Owe historyczne, grupowe *zazen* miały wymiar *Teatru Pustki*. Pustki pełnej przenikających się przestrzeni ciszy. Przestrzeni tu i teraz, w której czas odmierzał dym kadzidła. Na Piastowskiej czas był zapachem gotującej się kaszy, nocnym zgrzytaniem tramwajów, dźwiękiem deszczu oraz wschodzącego dnia. W *zendo* na Piastowskiej cały dzień i cała noc były oddechem *kandzeon*. Wdech/ wydech ożywiał świętą geometrię naszych spotkań. Proste działania, takie jak siedzenie, chodzenie, sprzątanie, jedzenie czy słuchanie objawiały, że w pustce nie ma oka, ucha, nosa, języka, ciała, umysłu, ani tego, co umysł chwytą. W miarowym tętnie bębna nie ma niewiedzy, ani nie ma kresu niewiedzy. Wewnątrz drgającej przestrzeni gongów, w gruchaniu gołębi i wewnątrz naszego oddechu nie ma starości i śmierci, ani nie ma kresu starości i śmierci. Nasze zmęczone, obolałe

od siedzenia w bezruchu, ciała badały, co znaczy, iż nie ma cierpienia, ani przyczyny cierpienia, ani wygaśnięcia cierpienia, ani szlachetnej ścieżki wyprowadzającej z cierpienia. W skrzypieniu podłogi, w szeleście brązowych szat, w tańczącym na ołtarzu płomieniu świecy i jej cieniu nie ma mądrości ani osiągnięcia, ani nie ma niczego do osiągnięcia...

Przestrzeń Pracowni zawierała Dziesięć Kierunków i Trzy Światy, tutaj wszyscy buddowie, bodhisatwowie, mahasatwowie zgłębiali *Wielką Sprawę Życia i Śmierci*.

Kiedy po 35 latach jechałam do Katowic, aby odwiedzić Pracownię, byłam bardzo ciekawa, jak ją zastanę. Pracownia nie jest miejscem, do którego trafia się przypadkowo, wiedzie do niej rytuał wchodzenia na górę wysokimi, przedwojennymi schodami. Kiedy dotrze się już na ostatnie, oficjalne piętro, tych, którzy wstępują wyżej, wita królewskiej pięknosci



Joanna Lasota Eisenstein, Tirunannamalai/
Arunachala, Indie, 2016 r. Fot. Maga Korbel

tkanina zwisająca na całą wysokość piętra. Ta zmiana dekoracji, jak również wspinaczka, przygotowują ciało i umysł podróżnego do przejścia w inny wymiar, w którym czas jest sztuką. Dziś w Pracowni żywy jest kult bogini. Warstwy historii, wątki świadomości, obrazy, pokłady energii ludzi oraz ślady przeszłych wydarzeń tworzą niepowtarzalną, przenikniętą intencją przestrzeń oraz

namacalną, twórczą atmosferę, która przyciąga młodą generację poszukiwaczy i artystów. Dziś *Wielka Sprawa Życia i Śmierci* jest równie pilna, jak przed laty. W Pracowni dokonują się alchemiczne procesy transmutacji, transformacji i integracji, które przynoszą ewolucję świadomości i prowadzą do powstania nowych form.

Joanna Lasota Eisenstein,
Warszawa, 2010/2011



Przyjazd roshiego Philipa Kapleau do Katowic (dworzec kolejowy,) sierpień 1975 r. Od lewej z przodu: Jan Sar, roshi Philip Kapleau, Jacek Kwaśnik, Andrzej Urbanowicz, Stefan Sencerz; z tyłu: „Promyk” Elżbieta Błaszowska, Jarosław Markiewicz, Michał Wyszomirski, Toni Packer, Urszula Broll-Urbanowicz, Wally Muszyński, Sokei Shakya (Casey Frank), Roger Urbanowicz, Aleksander Gordon. Fot. Andrzej Krajewski

Wojciech Eichelberger

Na planecie ciszy

Czuję ogromną ulgę i wzruszenie, jakbym wrócił do domu po bezmiernie długiej podróży. I ogromną wdzięczność dla tych, którzy to miejsce stworzyli.

Tak to pamiętam: zima 1976, zadymione, brudne i ponure centrum Katowic. Stara kamienica na Piastowskiej. Wiele pięter ciemnych, stromych schodów, pachnących kapustą, schabowym, węglowym czadem i moczem. Spoza mijanych drzwi słysząc gniwne okrzyki, płacz dzieci i wrzask telewizorów. Na poddaszu solidne odrapane drzwi w kolorze starego wina. Na nich wizytówka z mosiężnej blachy:



Noworoczny wystrój zendo, Piastowska 1, styczeń 1976 r. Fot. Janusz Korbel

Urszula i Andrzej Urbanowicz. Jeden mały krok przez próg sprawia, że teleportuję się na nieznaną planetę ciszy, czystości i harmonii. Dyskretny zapach świątynnego kadzidła, szarego mydła, wilgotnej podłogi z sosnowej deski i prażonego siemienia. W głębi wąskiego jak tramwaj pomieszczenia siedzi na podwyższeniu i uśmiecha się odlany w czarnym metalu Budda. Obok śniegobiałe lilie w dużym japońskim wazonie. Wzdłuż ścian brązowe maty i medytacyjne poduszki. Czuję ogromną ulgę i wzruszenie, jakbym wrócił do domu po bezmiernie długiej podróży – i ogromną wdzięczność dla tych, którzy to miejsce stworzyli. Od tej pory Andrzej i Urszula na długo stają się adresatami tej wdzięczności i bohaterami mojej wyobraźni. Skupieni i wyciszeni, poruszający się z rzadko spotykaną gracją wydawali się być opiekuńczymi duchami tego niezwykłego miejsca, gdzie atmosfera spokoju mieszała się z wibracją wielkiej i trudnej tajemnicy, a także z klimatem ogromnego, zdeterminowanego wysiłku, jakby żywcem przeniesionego z treningowej sali adeptów sztuk walki. Potem, gdy w wielu różnych *zendo* nie żałowałem krwi, potu i łez, dobrze zrozumiałem, skąd się ten klimat tam wziął. Moja wdzięczność dla Andrzeja i Urszuli osiągnęła swoje apogeum, gdy dowiedziałem się, ile serca, wysiłku, czasu i pieniędzy włożyli w stworzenie tego pierwszego w tej części świata *zendo*, które szybko stało się płodnym rozsadnikiem kilku szkół i odmian polskiego buddyzmu, a także źródłem duchowej i twórczej inspiracji dla wielu wybitnych indywidualności polskiej nauki, sztuki, edukacji i szeroko rozumianej kontrkultury. W pełni doceniam artystyczne osiągnięcia Andrzeja i Urszuli Urbanowiczów, ale z perspektywy już niemal półwiecza *zendo* na Piastowskiej uznać trzeba za najcenniejsze wspólne dzieło tych wybitnych ludzi, którego zbawienne oddziaływanie na ludzkie serca i umysły pod różnymi postaciami trwa nadal i trwać będzie – mimo że materialnie już dawno nie istnieje.

Wojciech Eichelberger

02.09.2020



Noszenie wody, Kamieńczyk, 1980 r. Od lewej: Henryk Smagacz, Nyogen Nowak. Fot. Janusz Korbel

Roshi Reiko
Maria Moneta Malewska

W ciszy, w bezruchu

W 1978 po raz pierwszy usłyszałam o zen. Nie miałam cienia wątpliwości: to właśnie na to czekałam od tylu lat, jak na coś, bez czego nie da się żyć.

Odkąd pamiętam, żyłam w świadomości, że mam skończyć studia, wyjść za mąż i mieć dwoje różnopłciowych dzieci. Traktowałam to jako swego rodzaju powinność, od której nie ma odwołania. Tak miało być. Potem miał być ciąg dalszy, o którym nie przedostawały się do mojej świadomości najmniejsze nawet informacje. Skończyłam studia medyczne, wyszłam za mąż, córka miała już siedem lat, a syn trzy, ale w moim życiu nie działo się nic specjalnego. Ot, zwykła codzienność, życie rodzinne, praca, znajomi i tylko gdzieś bardzo głęboko rosła czasami wręcz bolesna konieczność dotarcia do głębi siebie.

Urodziłam się w katolickiej rodzinie, ale kościelne rytuały nie zaspokajały tego rosnącego pragnienia. W 1978 r. po raz pierwszy usłyszałam o zen. Nie miałam cienia wątpliwości: to właśnie na to czekałam od tylu lat, jak na coś, bez czego nie da się żyć. Wojtek Eichelberger nie tylko opowiedział mi o zen, ale poprowadził w pierwszych krokach mojej praktyki. Pożyczył mi swój egzemplarz książki *Trzy filary zen*. Problemy pojawiły się, kiedy doszłam do 20 minut *zazen*. Nie mogłam ich przekroczyć. W dwudziestej minucie wyrzucało mnie z poduszki, zrywa-

łam się na równe nogi i nie mogłam usiąść ponownie. Zmagałam się z tym kilka tygodni, ale nie przestawałam. Żeby pojawić się na grupowym *zazen*, musiałam wysiedzieć trzy razy po pół godziny z dwiema przerwami na *kinhin*, czyli chodzoną medytację. W końcu udało się i z każdym dniem było łatwiej. Nadszedł dzień, kiedy byłam gotowa na spotkanie z warszawską sanghą. Ulica Noakowskiego, stara kamienica, otwierają się drzwi i wchodzę w świat zen. Nie znam nikogo oprócz Wojtka, który z innymi mężczyznami przygotowuje *zendo*. Wynoszą z dużego pokoju sprzęty, układają poduszki. Podchodzi młoda kobieta i pomaga mi ubrać się w szatę. Z uśmiechem, który pamiętam do dziś, Joasia Lasota opasuje mnie długim czarnym pasem i mówi: „Mamy jeszcze chwilę czasu, wszystko ci pokażę”. Wraz z innymi osobami wchodzimy do *zendo*. Pusty pokój, na podłodze maty, na nich poduszki, ołtarz. Joanna pokazuje mi miejsce. Siadamy. Cisza, w której rozlega się dźwięk dzwonka *inkin*. Wszystko nieruchomieje, rozpoczyna się moja pierwsza runda grupowego cotygodniowego *zazen*. Czuję zapach kadzidła, patrzę na smużkę dymu, na skupionych ludzi, na posążek i na kwiaty na ołtarzu. Wypełniam się ciszą i spokojem. Liczę oddechy i czuję jak uspokaja się serce i umysł. Po trzeciej rundzie przygotowujemy się do śpiewów. Trzymam przed sobą śpiewnik, słucham instrumentów i głosów śpiewających sutrę serca. Łzy zalewają mi oczy, serce bije jak szalone. Wzruszenie rośnie. Łzy płyną przez cały czas śpiewów. Po siedzeniu Joasia Borawska, która używa swojego mieszkania na potrzeby *zendo*, podaje herbatę. Spotykamy się co tydzień. Bardzo szybko codzienne i cotygodniowe medytacje stają się częścią życia. Długo czekałam na nauczyciela. Pomału przywykłam do dłuższego siedzenia na jedno-, dwu-, trzydniowych siedzeniach, aż w końcu przyszła pora na pierwsze siedmiodniowe *sesshin* w Zachełmiu, gdzie grupa miejscowych wyrostków rzuciła kamieniem w okno *zendo*. Pierwsze *dokusan* z roshim Philipem Kapleau,

pierwsze mowy dharmy. Roshi przyjeżdżał do nas raz w roku. To było wielkie wydarzenie. Każdy chciał być jak najbliżej nauczyciela, słyszeć, co mówi, patrzeć na niego, obserwować jego reakcje i doświadczać energii, którą promieniował. Następne *sesshin*, w których uczestniczyłam, odbywały się w Przesiece w Starym Młynie, gdzie mieszkała Joanna Lasota. To było magiczne miejsce. Pamiętam też *sesshin*, kiedy siedzieliśmy w zendo przy ul. Freta, gdzie mieszkania użyczał Jacek Dobrowolski. Ostatnie *sesshin*, w jakim uczestniczyłam jako członek sanghi Bodhidharma, odbywało się na górze Kamieńczyk i było prowadzone przez Zensona. W tym czasie do Polski zaczął przyjeżdżać nowy nauczyciel Gempo uczeń roshiego Mazumiego. Ponieważ rosi Kapleau nie wybierał się już do Polski, postanowiłam, że rozpocznę praktyki właśnie z nim. Coroczne *sesshin* odbywało się w

Sosnówce, zwykle w maju, kiedy kwitły bzy i śpiewały ptaki. Na spotkanie z nauczycielem przyjeżdżali uczniowie z całej Polski. Kiedy później praktykowałam w Japonii, doświadczyłam, że bez względu na to, gdzie odbywało się *sesshin*, zawsze towarzyszyła mu ta sama radosna, a jednocześnie skupiona atmosfera przygotowań. Potem ruch ustawał i w całkowitej ciszy czekaliśmy na pierwszy dźwięk dzwonka *inkin*, który wprowadzał nas w przestrzeń wypełnioną ciszą i bezruchem. Rozpoczynało się misterium podróży w głąb siebie. Słowa nie były potrzebne, wystarczały dźwięki *inkin* i kłapek. Pragnę pokłonić się i podziękować z głębi serca wszystkim, którzy przyczynili się do sprowadzenia zen do Polski i wszystkim moim siostrom i braciom w dharmie.

Roshi Reiko Maria Moneta Malewska,
czerwiec 2021



Uroczystość otwarcia przestrzeni medytacyjnej sanghi Rinzaï Zen Ho Hakubaji, 13 września 2019 r. w otulinie Puszczy Bolimowskiej. Od prawej: roshi Ichï Yoshida, roshi Reiko Maria Moneta Malewska, przewodniczący stowarzyszenia mnichów z Kioto San Kitabayashi. Fot. Marek Janiak

Pustka bez Boga

Zazen w latach pełnego rozkwitu realnego socjalizmu to było coś niepojętego. Bunt poprzez niedziałanie, którego nie była w stanie spenetrować bezpieka.

Kiedy jesienią 1974 r. dostałem z Katowic list od Andrzeja Urbanowicza z zaproszeniem na trzydniowe *zazen*, miałem już w pamięci przedsmak tego, czego mogłem się spodziewać po tym spotkaniu, jednak zupełnie nie zdawałem sobie sprawy, jak to spotkanie zawąży na całym moim życiu.

W pamięć wryły mi się ażurowe schody, które skrzypiały tak, jak i dziś skrzypią, prowadzące do pracowni na strychu, i witraże w oknach klatki schodowej, nieistniejące w powojennej Warszawie, a tu jakby zupełnie oczywiste.

Za drzwiami pracowni przy Piastowskiej 1 w Katowicach geometria i wibracja zmieniały się diametralnie. Było cicho, jak makiem zasiał i pusto, jeśli można tak powiedzieć o przestrzeni, w której na stu metrach kwadratowych przebywało przez kilka dni kilkanaście osób. Człowiek, który trafiał tu z gwarnej dworca kolejowego, doznawał niespotykanej metamorfozy niecodziennym spokojem, panującym pośród zgiełku górniczego miasta. Byliśmy bosi, milczący, skupieni. *Zazen* w latach pełnego rozkwitu realnego socjalizmu to było coś niepojętego. Bunt poprzez niedziałanie, którego nie była w stanie spenetrować bezpieka, bo nie było punktu zaczepienia.

Dwadzieścia osób siedzących od rana do wieczora w całkowitej ciszy, przerywanej niekiedy skrzypieniem desek w podłodze, gdy czterdzieści stóp przemierzało w *kinhin* szlak wyznaczony ciałem niewidzialnego

ouroburosa: od ołtarza ze świecami i kadzidłem wznoszącym się dymem ku nozdrzy nieoświeconego buddy, wzdłuż okien strychu, wychodzących na ulicę Korfantego, z ostrym skretem przy słupie, i potem drogą obok łazienki i kuchni, gdzie wąż łapał się paszczą za ogon i kręcił w kółko przez dziesięć minut – trudno było oskarżyć o cokolwiek.

Co takiego przyciągnęło mnie i kilkadziesiąt innych osób z całej Polski do katowickiej pracowni malarskiej Urszuli Broll i Andrzeja Urbanowicza? Przecież nie ich obrazy, których nie znałem. Co zatem? Buddyzm zen, o którym nie wiedziałem prawie nic? Też nie. Był dla mnie równie egzotyczny, jak zoroastryzm, konfucjanizm czy sufizm, o których czytałem w książkach poświęconych religiom świata, nie potrafiąc jednak uwewnętrznić tych pojęć. Mój umysł ślizgał się po ich powierzchni, nie mając dostępu do środka. Rozczytywałem się wówczas w wykładach Rudolfa Steinera, od których przepalały się moje zwoje mózgowe. Pobrmiewały w nich również echa blisko- i dalekowschodnich filozofii i religii, także buddyzmu, zaszczerpionych na europejski grunt przez ruch teozoficzny, ale istota odmienności tych religii pozostawała mglista. Steiner w swoich wykładach z dokładnością mistyka opisywał inkarnację Chrystusa w Jezusa, która godziła w moje poczucie logiki, lecz w żaden sposób nie przybliżała do oglądu, czym jest. W ludowej Polsce królowała w tamtych czasach alternatywa Bóg i brak Boga. To było jasne jak jedyńka i zero. Nie stawiano jednak pytań, czym jest Bóg i czym jest pustka bez Boga. O pustce w ogóle nie mówiono, bo było to w tamtych czasach politycznie niepoprawne. Socjalizm wyzwalał bowiem pełnię człowieczeństwa.

Dla młodego umysłu szukającego tworzywa do wypełnienia pustki bez Boga, spotkanie z buddyzmem zen było jak otwarcie bramy do innego świata. To było budowanie fundamentu nie tyle rozumienia, ile uwewnętrznienia płytkich doświadczeń językowych i głębszej penetracji znaczeń. Tym fundamentem była pustka bez Boga. Sama pustka. Trzydniowe



Krzysztof Lewandowski

sesje *zazen* organizowane w pracowni na Piastowskiej miały na celu oczyszczenie umysłu z płytkich i nachalnych doświadczeń językowych, oferowanych zarówno na lekcjach religii, jak i w przemówieniach partyjnych dygnitarzy. Ideologia i dogmat były

skorupą, przez którą należało się przebić, aby oczyścić patrzenie i spojrzeć na świat oczami nowo narodzonego.

Pustka była uświadomieniem sobie, że oczy są wciąż zamknięte i że śnimy sen komunistów i kapłanów. Że błakamy się w czyichś snach, a nie krzepniemy we własnej jawie. Doświadczenie pustki zamkniętych oczu było możliwe tylko poprzez ich otwarcie. Co przynosi takie otwarcie? Przede wszystkim jest początkiem patrzenia, widzenia i oceniania po swojemu, gdyż nie ma widzenia bez oceniania, a patrzenia bez widzenia. Pracownia na Piastowskiej była więc w rzeczywistości kolebką wolności wyboru, czym zapełnić pustkę bez Boga.

Krzysztof Lewandowski, wrzesień, 2020



Spotkanie II w 2009 r. Andrzej Urbanowicz (siedzi tyłem), Ania Sencerz, Zbyszek Miłuński, Ania Jedynak, gość (z tyłu za Anią Jedynak), Bolek Rok, Kanzen (z tyłu za Bolkim Rok), Adam Sobota, gość, Krzysztof Kosior, gość, gość, Jarosław Markiewicz, Krzys Lewandowski, Jan Lubicz Przyłuski, Leszek Kulmatycki, Jasiu Sar. Fot. Jan Bereza OSB

Do końca oczu

Wstawałem i chodziłem w *kinhin*, siadałem i znowu wstawałem, zjadłem pyszne ciastko i wypilem czarkę jaśminowej herbaty – i ta jasność się trochę przetarła, zacząłem widzieć ludzi, świece na ołtarzu, fantazyjne dymy wijące się z kadzideł. Ostrożnie, ale i pewnie zszedłem po drewnianych schodach na dół, popołudniowe słońce wydało mi się dalekim kuzynem tego samego światła, które niedawno poznałem, ale trawa była tak zielona, taka niezwykła, drzewa szumiały i poruszały się trochę do przodu i do tyłu, jakby grały w orkiestrze symfonicznej. Przez środek łąki płynął strumyczek, bo widocznie, kiedy my szturmowaliśmy ostatnie okopy, tu padał obfity deszcz. Przez ten strumyczek boso przechodziła Marysia, trzymając przytulone do piersi małe dziecko, była lepsza od wszystkich obrazków na ten temat w kościołach. Stałem i gapiłem się na nią do końca oczu i czułem, że mogę jeszcze dalej. Obok przeszła



Jarosław Markiewicz.

Urszula; „strasznie mnie bolą nogi i biodra”, powiedziała. „To wspaniale”, usłyszałem, że mówię z jakimś entuzjazmem, „ból to wspaniała energia, zaraz zmieni się w błogość”. „Co ci jest Jarek”, zatroszczyła się o mnie Urszula. „Nie wiem. Nie wiem”, usłyszałem znowu ten niesamowity entuzjazm.

Jarosław Markiewicz

Relacja z siedzenia, Kamieńczyk, 1977 r., w „Hipisi w PRL-u”, wydanie drugie, s. 410.



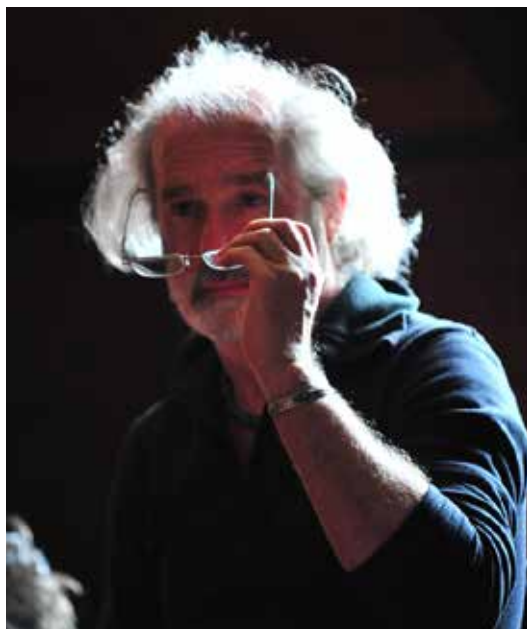
Po grupowym zazen, Katowice, lata 80. XX w. Arch. Jan Sar.

Każdy ma swojego Kapleau

Istniało jakieś głębsze pokrewieństwo, które sprawiło, że spotkaliśmy się. Grupa ludzi, którzy przeczuwali, że – mówiąc metaforycznie – są na coś chorzy, ale do końca nie wiedzieli, na co cierpią i jak się z tej choroby wyleczyć.

Bardzo się cieszę, że dotarłem na Piastowską i mogę się z Wami znowu spotkać. Dziękuję za to, że mogę tu być, a zwłaszcza dziękuję tym, dzięki którym to spotkanie doszło do skutku: Tobie, Andrzejowi i Tobie, Jasiu. Dziękuję za zaproszenie, bo dzięki niemu mogłem zatrzymać się i samemu przyjrzeć z innej już perspektywy temu, co było moim i naszym udziałem w latach 70. Mogę też uświadomić sobie bardziej, jak to doświadczenie na nas wpłynęło i jak nadal nas kształtuje.

Kiedy patrzę wstecz na siebie i na nas, na to, jacy byliśmy i co robiliśmy, to pojawiają się we mnie różne, sprzeczne uczucia i mam do tamtego doświadczenia stosunek bardzo ambiwalentny. Pamiętam jak to się zaczęło. W czerwcu 1974 r. – miałem wtedy 20 lat – znajomy powiedział mi, że jakiś zlot czy spotkanie będzie we wsi Kamieńczyk pod Kielcami. Nie umiał mi powiedzieć, o co chodzi; mówił, że to organizują jacyś artyści, fajni ludzie i żebym tam pojechał. Wybierałem się wówczas na autostopową wólcę po Polsce. Pierwszy kurs, dobrze po południu, złapałem do Krakowa. Kiedy o tym myślałem, jadąc na dzisiejsze spotkanie, to przypomniał mi się tamten wieczór i moment, gdy podejmowałem decyzję gdzieś na szosie pod Kielcami, czy wysiąść z tamtego samochodu, którym jechałem wtedy i ruszyć w nieznaną na poszukiwanie wsi Kamieńczyk. Pamiętam, że nie wysiadłem. Pojechałem dalej, ale przy-



Zbigniew Miłuński, II Spotkanie w Pracowni na Piastowskiej 1, Katowice 2009 r. Fot. Jan Bereza OSB

pomniało mi się intensywne przeżycie, jakiego wtedy doświadczyłem. Było to doznanie natarchywego wezwania, któremu się jednak oparłem. Uległem półtora roku później.

Wspominam te pierwsze przeżycia tak szczegółowo, bo chcę pokazać, że to nie był przypadek; że istniało jakieś głębsze pokrewieństwo, które sprawiło, że spotkaliśmy się. Stanowiliśmy grupę ludzi, którzy przeczuwali i mniej lub bardziej zdawali sobie sprawę z tego, że – mówiąc metaforycznie – są na coś chorzy, ale do końca nie wiedzieli, na co cierpią i jak się z tej choroby wyleczyć. Dowiedzieliśmy się, że jest lekarz, który twierdzi, że wie, na co jesteśmy chorzy i umie leczyć przypadłość, która nas dotknęła. Uwierzyliśmy na słowo i z wielkim oddaniem, wiarą i ufnością oddaliśmy się w ręce owego lekarza. Cała ironia sytuacji polegała na tym, że lekarz też cierpiał na tę samą chorobę i równocześnie był przekonany o tym, że już się z niej wyleczył i nabył wystarczających kompetencji, żeby leczyć innych.

Przedstawiając siebie jako lekarza, potrzebował jakiejś legitymacji, więc powoływał się na swoich nauczycieli oraz wielką duchową tradycję, którą reprezentowali. Równocześnie

kręcił i ukrywał fakt, że choć się uczył i dużo nauczył, to zdaniem swoich nauczycieli jeszcze się nie nauczył i nie wyzdrowiał na tyle, żeby być zdrowy i leczyć innych.

Ten niewygodny sekret, wciąż ukrywany i boleśnie ujawniany w kolejnych, dramatycznych odsłonach, w którego ukrywanie i podtrzymywanie – nieświadomie i świadomie – byliśmy wciągani, ale również sami wciągaliśmy innych i sami, mniej lub bardziej świadomie i z mniejszym lub większym uporem, podtrzymywaliśmy, jest dziedzictwem, które określa wielu z nas po dzień dzisiejszy. Są tacy, którzy potępiają naszego lekarza i czynią go odpowiedzialnym za całe zło, jakie wydarzyło się i wydarza w życiu jego byłych i obecnych uczniów. Są i tacy, którzy pomimo tego, co działo się przez te wszystkie lata z naszym lekarzem i wybranymi przez niego spadkobiercami jego nauk, nadal zaprzeczają prawdzie i podtrzymuje mit o jego wielkości i kompetencjach. Są również i tacy, którzy odcinają się od całej tej sprawy i swojego w niej udziału utrzymując, że ich zdaniem nie ma żadnego znaczenia to, czy nasz lekarz był prawdziwym nauczycielem czy oszustem. Pomimo upływu lat trwa nadal zażarta dyskusja, która się nie kończy, bo to czego w niej brakuje, to uznania faktu, że doświadczenie, które stało się naszym udziałem, nie przytrafiło nam się przypadkiem.

Powiem tak: każdy ma takiego Kapleau, na jakiego sobie zasłużył. W naszym było coś, co nas do niego przyciągnęło. Mieliliśmy lub nadal mamy z nim jakieś pokrewieństwo. Czego nauczyło mnie to doświadczenie? Co muszę i chcę w sobie zmienić? Co mi utrudnia dokonanie tej zmiany? Wydaje mi się, że jedynie podejmując te pytania, odpowiadając sobie na nie uczciwie i wcielając w życie odpowiedzi można dokończyć ten niekończący się spór.

Mój wewnętrzny Kapleau wie lepiej. Jest o tym głęboko przekonany. A jeżeli wejdzie w jakiś szerszy nurt, którego sam nie wymyślił, to jest przekonany, że to, co wybrał jest lepsze od innych rozwiązań, że jest lepszy od innych i patrzy na nich z góry. Rzadko kiedy

zajmuje centralną pozycję, raczej trzyma się tła. To pomaga mu zachować swoje poczucie wyższości. Kiedy piszę ten list do Was, wkrada się subtelnie w to, co robię i nagle zauważam, że zaczynam do Was nie tyle mówić, co się wypowiadać i wyjaśniać, o co w tym wszystkim chodzi z pozycji eksperta, ale oczywiście szanując odmienne zdania. Na pozór. Gdyby ktoś mi nastąpił na odcisk, to mój wewnętrzny Kapleau gotów jest wyciągnąć dwururkę i odstrzelić głowę przy pomocy różnych zabiegów i argumentów, które tego kogoś zdyskredytują i pozbawią wiarygodności. Mój wewnętrzny Kapleau sprawia, że bardzo jest mi trudno poddać się wymaganiom i ukończyć jakiś trening, uznać, że ktoś inny niż ja wie lepiej. To naprawdę trudny koleś i nie jest łatwo żyć z nim pod jednym dachem. Trzeba mu się podporządkować. Jeżeli to zrobisz, da ci do zrozumienia, że jesteś na właściwej drodze, ale daleko ci do ideału – w domyśle – do niego, ale tylko w domyśle, bo prędzej umrze niż się do tego przyzna. Jest wszak uduchowiony i wolny od ego. Jeżeli gdzieś mówi „my”, to jedynie w tzw. „trybie terapeutycznym”. Sam wolny jest od przypadłości, które opisuje. Natomiast jeżeli nie chcesz mu się podporządkować, masz inne zdanie, to masz poważny kłopot. Podważasz autorytet, jesteś krnąbrny, niemoralny, masz niskie, egoistyczne pobudki lub niemoralne intencje, zaślepia cię ego i jedyne, co można z tobą zrobić, to cię wyeliminować – oczywiście dla dobra innych i ze smutkiem. Sam do tego zmuszasz, pomimo znacznych usiłowań i dawanych wielkodusznie szans, wszak nie chcesz się podporządkować jednemu prawdziwemu przewodnikowi, który widzi i wie to, czego ty nie dostrzegasz i nie możesz dostrzec. Wszak jest to zastrzeżone dla tak czy inaczej „oświeconych”.

Pierwsza zwróciła mi uwagę moja żona Ania na przypadłość, na jaką cierpieliśmy i zapewne nadal cierpimy. Jest to najbardziej rozpowszechniona choroba w świecie. Cierpiący na to schorzenie są głęboko przekonani, że jest coś cenniejszego niż żywa istota i jej dobro. To może być złoto, władza, doktryna,

wiara, ideologia, święty spokój czy wygoda. Spotkałem mistrza zen, który oświadczył, że jest gotów poświęcić wszystkich swoich uczniów dla tego jednego, któremu będzie mógł przekazać dhaarmę. Jak się nad tym zastanawiam, to wydaje mi się, że trudno o większy absurd niż ta wypowiedź, ale świat, w którym żyjemy i nasze własne myślenie pełne jest takich absurdów.

Dziękuję za doświadczenie zen, które stało się moim udziałem. Staram się z niego korzystać najlepiej jak potrafię, choć idzie mi z tym raz lepiej, a raz gorzej. Wiele mnie ono nauczyło i nadal uczy. Ciągłe jest żywe. Oprócz trudnych i niepotrzebnych, zawierało wiele przeżyć pięknych i głębokich. Często ich wartość i znaczenie udało mi się zrozumieć dopiero dużo później. Chociażby nocne spotkanie z drzewem, jakie miałem w ostatnią noc *sesshin* prowadzonego przez Philipa Kapleau w 1979 r. Wtedy to spotkanie było dla mnie jedynie przejmującym przeżyciem i potrzeba było wielu lat, żeby się do mnie przebiło; żeby mi uświadomił, że uczy mnie ono i otwiera na doznawanie tego, że żyjemy pośród nieskończonej liczby żywych istot i że my, ludzie, jesteśmy z nimi wszystkimi spokrewnieni.

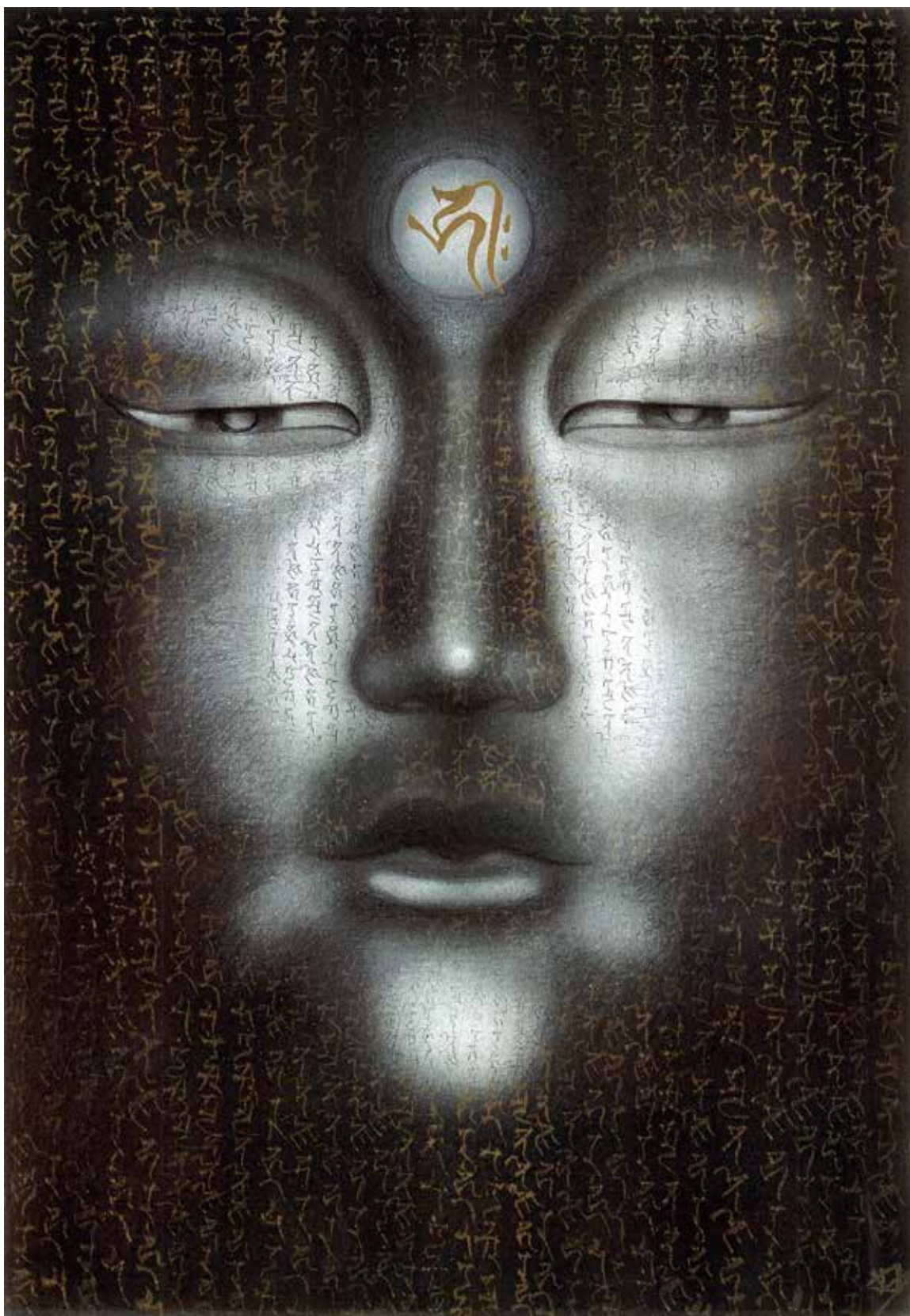
Kiedy to piszę, mam łzy w oczach i znowu boli mnie serce. Słyszę głos, który mówi we mnie: „Czuj i wyrażaj, co czujesz. Niczego nie ukrywaj”.

Dziękuję Wam, że jesteście. To było takie dobre, że mogliśmy się znowu spotkać, zobaczyć. Odnosić więź, która nas łączy. Usiąść w kręgu i wysłuchać, co każda i każdy z nas ma do powiedzenia. Jesteście mi bardzo bliscy. Dziękuję.

Zbigniew Miłunski, październik, 2010



Nyogen Nowak, *Kanzan i Jittoku*
wskazujący na księżyc



Ewa Myoshin Hadydoń, Amida Nyorai

Tadeusz Sławek

Nie chcieliśmy być rękami

W Pracowni, niczym w średniowiecznym skryptorium, brzęczały dźwięki różnych języków. Urszula dyktowała tłumaczenia pism Junga, czytało się angielskie książki poświęcone buddyzmowi i nowej, humanistycznej psychologii, poezję Ginsberga i Snydera, teksty Hessego, Stachury, Fromma. I słuchało muzyki: od śpiewów tybetańskich mnichów po Black Sabbath.

Czasy były szczególne: nieprzewidywalność przyszłości z jej wirami zdarzeń przygodnych i zaskakujących zastępowało przekonanie, iż kształt przyszłości został już nieodwołalnie wytyczony. Wszak jeszcze mieliśmy w pa-

mięci słowa premiera Cyrankiewicza, iż kto podniesie rękę na władzę, temu ręka ta zostanie odrąbana. Mieliśmy więc być krajem ludzi opuszczonych rąk, to jest rąk przywykłych tylko do wykonywania niezbędnych mechanicznych czynności produkcyjnych. Ręce były więc zniewolone, jak te, które należały do robotników, o których w XIX w. w Anglii mówiono po prostu *hands*.

Nie chcieliśmy być rękami. A dokładnie mówiąc – ponieważ ręce te miały być w zamysle władzy zniewolone, przyuczone do kilku czynności, chcieliśmy ręce wyzwolić do czynności innych niż te wyznaczone ideologicznym programem. Zaryzykujemy: chcieliśmy przywrócić rękom wolność działania i tworzenia. Tak, aby świat był ręko-dziełem. Postulat tym ważniejszy, im bardziej władza nasilała presję, im bardziej chyliła się ku przemocy, co udowodnił bez żenady Władysław Gomułka w 1968 r. w brutalnej antysemitkiej kampanii. Gdy rzeczywistość coraz bardziej ufała rękoczynowi (naciskom, stereotypom, przemocy), trzeba było opowiedzieć się po stronie rękodziela (wolności, niespieszności, kreatywności).



Tadeusz Sławek

Świat bez mapy

Władza wyobrażała sobie świat jako dopowiedziany do końca. Przyszłość nie miała nieść niespodzianek – była wypełnianiem kolejnych etapów schematu tzw. „postępu”. „Aby Polska rosła w siłę, a ludzie żyli dostatniej” – to już Edward Gierek, ale myśl ta sama: powstrzymajmy się od poszukiwań na własną rękę, bowiem to, co niezbędne zostało już znalezione, drogi wytyczone, i pozostaje tylko marsz w wyznaczonym kierunku. Trzeba więc było bronić świata niedopowiedzianego, świata bez mapy, w którym otwierają się wolne przestrzenie swobodnego przemieszczania się o niewiadomym punkcie docelowym. Dla takiego świata trzeba dopiero znaleźć odpowiednie słowa, słowa, które nie będą słowami ostatecznymi, zamykającymi sprawę. Chodziło o słowa, które zapytywały, a nie o te, które rościły sobie pretensję do ostatecznych odpowiedzi. Szukać słów i dociekać słów – takie było zadanie: iść w stronę świata niedopowiedzianego.

W tej rzeczywistości dopowiedzianej do końca nie można nie wiedzieć, kim się jest. W dowodach osobistych widniała wówczas rubryka zawód, która wszystko wyjaśniała. W mojej rubryce widniało słowo „filolog”, co czyniło mnie w oczach władzy człowiekiem skończonym, kompletnym, bez niebezpiecznych pustych miejsc i niedopowiedzeń. Gdy mnie kontrolowano przy jakichś okazjach, nieodmiennie pytano, „co to jest filolog?”. Tłumaczyłem mętnie, udając, że wiem, a pytający też udawali, że wiedzą, chociaż żadna ze stron nie była przekonana. Nie wystarczyło bowiem wówczas *po prostu być*, trzeba było bycie swoje uściślić, sprecyzować, zniewolić, sprowadzając do pewnych kategorii. Pracownia uwalniała nasze bycie spod ich władzy. Pozwalała nam *być*, a wtedy rodzi się szczególna wrażliwość i zdolność do przyjaźni.

Promienny bukiet wszechświata

Rzeczywistość wokół była szara. W Katowicach nie tylko metaforycznie, ale dosłownie. Dymy i sadze tłumiły kolory. Kobiety myły

okna dwa razy w tygodniu. Niezwykle, jaskrawe kolory obrazów Andrzeja Urbanowicza, delikatne barwy Urszuli Broll, senne wizje Henryka Wańka były jak czysta szyba – otwierały okno na inne widoki, w których losy ludzi nie są przesądzone, bowiem zadekretowana szarość ich egzystencji może nagle rozbłysnąć powabem czegoś niespotykanego. Tym *czymś* było nadzwyczajne piękno świata. Czeski noblista Jaroslav Seifert mówi o „promiennym bukiecie wszechświata”, który „zanim zachwyci swym pięknem”, przerazi nas nieskończonością (przeł. Leszek Engelking). Tego piękna i tej nieskończoności chciała dociekać Pracownia. A skoro mowa o oknach: do dziś mam tę słynną fotografię (nie wiem, spod czyjej wyszła ręka, może Irka Kuliga) przedstawiającą samotnie medytującego przed wypiętrzającym się przed nim oknem. Lekcją Pracowni było i to, że samotność i przyjaźń nie stoją w sprzeczności. Przeciwnie: samotność jest ćwiczeniem do przyjaźni i jej doskonaleniem.

Przyszedłem tam chyba w roku 1969 za sprawą, być może, Jerzego Illga, może samego Andrzeja Urbanowicza, którego spotkałem na jakiejś wystawie w Katowicach, pewnie nie bez udziału obrazów Henryka Wańka, które obejrzałem na jego wystawie (chyba) w katowickim „Marcholcie”. Przyszedłem jako poszukiwacz słów i pośrednik między słowami. W Pracowni, niczym w średniowiecznym skryptorium, brzęczały dźwięki różnych języków. Urszula, która znała niemiecki jeszcze z wojennej szkoły, dyktowała nie tylko tłumaczenia pism Junga, ale to dzięki niej poznałem słynne dzieło Gustawa Hockego *Świat jako labirynt*, które oficjalnie ukaże się drukiem dopiero po wielu latach. Czytało się angielskie książki poświęcone buddyzmowi (Philip Kapleau i Allan Watts), ale i nowej, humanistycznej psychologii (R.D. Laing), poezje (Allen Ginsberg, Gary Snyder), słuchało muzyki o skali sięgającej od śpiewów tybetańskich mnichów po Black Sabbath (z nostalgią wspominam szpulowy magnetofon marki Grundig należący do Andrzeja). Były inne teksty: Hermanna Hessego, Edwarda Stachury, Ericha Fromma.

Czytałem i tłumaczyłem z innymi, dla innych, ale także dla siebie. Było wiele tekstów, ale wspomnę tylko o dwóch: o *Sutrze serca* i antologii buddyjskich tekstów mądrościowych, które zestawiał Philip Kapleau i wydał pod wspólnym tytułem *Koło życia i śmierci*. Czym były te przekłady? Szkołą, w której doświadczyłem tego, że jest wiele głosów i rozmaitych alfabetów i dźwięków, ale zadaniem tłumacza jest spełnić marzenie o wspólnocie ludzi wzajemnie się rozumiejących. Co za tym idzie, w dużej mierze wyswobodzonych spod władzy ludzi, instytucji i struktur społecznych, które przypisały sobie moc decydowania i myślenia za jednostkę. Wspólnota ludzi czytających wymaga czegoś w rodzaju *wspólnego języka* wartości ustanowionych przez obieg lektur, którymi czytający dzielą się w różnych językach i okolicznościach. Pracownia była wspólnotą ludzi czytających, co jest warunkiem przyszłości demokracji. Z ducha Pracowni wyłaniały się inne, ulotne działania wynikające z tejże wspólnoty. Tak było, na przykład, z teatrem, jaki Grażyna i Marek Leszczyńscy prowadzili na początku lat 70. w swym mieszkaniu w centrum Bytomia. To tam miał swoją premierę *Apoloniusz z Tiany* Charlesa Olsona i *Kruk* Teda Hughesa – bodaj najmocniejszego wówczas głosu poetyckiego. A gdyby spytać, skąd brała się energia nieodzowna dla takich przedsięwzięć, trzeba odpowiedzieć – z poczucia przyjaźni i owej wrażliwości, o której była już mowa. Kiedy po latach, gdy Andrzej powrócił z Ameryki, zaszedłem do Pracowni, miałem wrażenie, że nigdy jej nie opuściłem.

W przestrzeni ponad

Idąc ulicą Mickiewicza skręcało się, nie dochodząc do rynku, w nieistniejącą już dzisiaj ulicę Skośną, gdzie jeszcze wcześniej był stary drewniany most na Rawie, później wstydliwie schowanej pod ziemię, po którym wychodziło się na plac służący jako dworzec autobusowy, gdzie zjeżdżały wymęczone latami służby Ikarusy – ale wszystko to było wcześniej, bo w połowie lat 60. zaczęto prze-

budowywać centrum Katowic i wiele się zmieniło. Nie było już tego wszystkiego, kiedy zachodziłem do Pracowni. A droga do niej nie była łatwa. Trzeba było mozolnie wspiąć się na piąte piętro, ale miało się poczucie, że z każdym piętrem zostawialiśmy za sobą szaryznę rzeczywistości, pustotę języka gazet obowiązującego w publicznym użyciu, obojętność dla tego, co ważne, a o czym na ogół nie chciano pamiętać.

Bo przecież Pracownia mieściła się wysoko, była mansardą, czyli przestrzenią jakby nadmiarową, nadprogramową, nie przeznaczoną dla znormalizowanego życia. Wysokie kamienice mieszczańskie na mansardzie lokowały pokoje dla służby. Na mansardach i strychach wywieszano pranie i przechowywano przedmioty zbędne w salonach, wysłużone, niemodne, wypadłe z obiegu. Ale mansardy przez to zyskiwały wolność; wrywały się z kolein znormalizowania.

A skoro mowa o mansardzie, posłuchajmy, co ma do powiedzenia o niej Ezra Pound, poeta wrażliwy na bogactwo spuścizny Dalekiego Wschodu, o którego eseju na temat kaligrafii chińskiej i chińskiego ideogramu napisanego wraz Ernestem Fenollosą i opublikowanego w 1936 r. rozmawialiśmy w Pracowni.

Mansarda

*Chodź, pożałujmy tych, którym wiedzie się
lepiej niż nam.
I pamiętaj, przyjaciółko, że bogaci
mają służbę, ale nie przyjaciół,
My zaś mamy przyjaciół, a nie mamy służby.
Pożałujmy żonatych i kawalerów,
panien i mężatek.
Świt wbiega na drobnych stópkach
jak ozłocona Pawłowa.
A ja jestem przy mojej upragnionej.
I nie ma w życiu nic lepszego
Niż ta godzina czystego chłodu,
godzina przebudzenia
we dwoje.*

(przeł. Leszek Engelking)

Bogaci mają służbę, ale my mamy przyjaciół – takie zdanie mogłoby wisieć nad drzwiami do Pracowni. Naprawialiśmy w niej swoją obecność w świecie.

Mogłyby to być też słowa, jakie po latach zapisał Andrzej Szuba:

*najpierw zjeździć samego siebie
dopiero potem
last minute*

Pracownia była dla wielu, jeśli nie początkiem, to bardzo ważnym etapem podróży do samego siebie. Ta podróż trwa. Jeszcze.

Tadeusz Sławek

Tekst powstał pierwotnie do publikacji poświęconej pracowni przy Piastowskiej 1 w Katowicach na 60-lecie jej powstania.



Po grupowym zazen, Piastowska 1, Katowice, lata 70. XX w. Od lewej: Marcel Markłowski, Andrzej Urbanowicz, Stefan Sencerz, Andrzej Jedynak, Janusz Korbel; drugi rząd: Zbigniew Miłunski, Włodzisław Duch, Jacek Kwaśnik, Anna Jedynak (Maciejewska), ?, Krystyna Eichelberger (Żebro), Ekjo (Urszula Sapeta), Tomasz Holuj. Arch. Janusz Korbel

Adam Sobota

Piastowska i przekłady buddyjskiej literatury

PRL-owska rzeczywistość, katolickie tradycje i wschodni mistycyzm przepuszczony przez amerykański filtr, wszystko to potykało się o siebie i jakoś koegzystowało.

Kontakty z Andrzejem Urbanowiczem i ludźmi, jakich spotykałem w jego katowickiej pracowni przy ul. Piastowskiej, miały na mnie głęboki wpływ. Chociaż zasadniczo działo się to w drugiej połowie lat 70. ubiegłego stulecia, to intensywność tamtych przeżyć i autentyczne zaangażowanie sprawiają, że dystans czasowy nie ma tu większego znaczenia. Związane z owymi sytuacjami nawet banalne czynności mogły nabierać takiego znaczenia, jakby dotyczyły fundamentalnych kwestii życiowych, a było tak niewątpliwie dzięki niezwyklej energii wytwarzanej przez spotykające się tam osoby. Nie chcę bynajmniej idealizować tych zdarzeń. Było w nich przecież i sporo amatorstwa, naiwności, konfliktu charakterów i tych wszystkich problemów, jakie pojawiają się w działaniach grupowych. Ale nawet takie doświadczenia były równie cenne, gdyż nie tyle ograniczały, co pouczały, ponieważ potrafiliśmy stworzyć dla nich szerszy kontekst.

Muszę przyznać, że nie potrafię sobie teraz dokładnie przypomnieć, z jakiego powodu na początku 1975 r. przyjechałem do Katowic spotkać się z Andrzejem Urbanowiczem. Wcześniej nie znałem nikogo z kręgu jego przyjaciół, ani też nie wiedziałem, co się wokół niego dzieje. Był to jakiś zbieg oko-

liczności wynikający z tego, że zacząłem pracować w muzeum i zajmować się sztuką współczesną. Akurat nastąpiło to w momencie, kiedy wokół Andrzeja organizowała się grupa zdecydowana praktykować medytację zen według wskazówek buddyjskiego nauczyciela Philipa Kapleau. Przyłączyłem się do tych działań i założyliśmy wrocławski oddział tej grupy. Kiedy w 1977 miałem już własne mieszkanie, stało się ono także miejscem medytacyjnych spotkań. Tak było do roku 1981, potem udało się pozyskać do remontu suterenną budynek przy ul. Jastrzębiej, gdzie wrocławska grupa zen spotyka się do dzisiaj.

Postrzegałem to wtedy tak, że spotykają się ze sobą rzeczy ekstremalnie różne i wielkim wyzwaniem jest zobaczyć je w jakimś sensownym powiązaniu. PRL-owska rzeczywistość, katolickie tradycje i wschodni mistycyzm przepuszczony przez amerykański filtr, wszystko to potykało się o siebie i jakoś koegzystowało. Ludzie z różnymi życiorysami i stała improwizacja z poczuciem nielegalności naszych działań. Dla mnie problemem było też to, co wiązało się ze sztuką. Andrzej miał za sobą pewien dorobek jako artysta nowoczesny, a wtedy zarzucił charakterystyczną dla siebie stylistykę malowania i tworzył pejzaże kopiowane z fotografii. Dobrze się to sprzedawało i bardzo pomagało w funkcjonowaniu ośrodka przy Piastowskiej, ale mogło budzić wątpliwości co do wartości. Parę razy o tym dyskutowaliśmy i ta sprawa nigdy nie została jednoznacznie rozstrzygnięta. Podobnie zresztą jak inne sprawy.

Chcę się odnieść szerzej do swojego udziału w tłumaczeniu tekstów dotyczących historii i praktyki buddyzmu zen, z których korzystała nasza grupa. Zajmowałem się tym od roku 1976, kiedy już systematycznie uczestniczyłem w działaniach buddyjskiej grupy, zachęcany przez Andrzeja Urbanowicza, który w pierwszej kolejności dał mi angielski tekst autobiografii HsuYuna (po latach, w normalnym trybie, wydało tę książkę wydawnictwo Pusty Obłok – którego nazwa jest właśnie polskim odpowiednikiem imienia HsuYun–

pod tytułem *Strażnik Dharmy*). Części tłumaczeń dokonywałem samodzielnie, a przy części współpracowałem przede wszystkim z Jackiem Dobrowolskim. Na Piastowskiej już wcześniej tłumaczono różne teksty, m.in. *Koło życia i śmierci* i *Trzy filary zen*, ale skupię się na swoim udziale, gdyż nie chcę nieświadomie i błędnie przedstawiać pewnych faktów.

Tłumaczenia dostarczałem Andrzejowi, który zajmował się ich powielaniem na kserografie i oprawą. Pomagało przy tym oczywiście szereg osób. Techniczna jakość tych edycji była marna, ale były one wielkim osiągnięciem, po pierwsze dlatego, że były to pierwsze źródłowe teksty na temat buddyzmu zen, dostępne większości zainteresowanych (mało kto posiadał czy potrafił prze-

czytać książki angielskie czy niemieckie), a ponadto te wydawnictwa były nielegalne. Tłumaczenia w tej formie były powielane jako niskonakładowe książki; w drugiej połowie lat 70. były to: *Pusty Obłok* (autobiografia Hsu Yuna), *Autobiografia Han Shana* (XVI-wiecznego chińskiego mistrza Ch'an), *Sutra Szóstego Patriarchy*, *Umysł zen – umysł początkującego* Shunriu Suzukiego, *Słowa Dharmy* Toni Packer; (ukazał się też *Elementarz zen Soto*, w którego tłumaczeniu nie uczestniczyłem). Inne teksty ukazywały się w biuletynie „Droga Zen”. Część tłumaczeń nie była publikowana, a używane były w maszynopisie drogą wypożyczeń, albo były czytane w czasie grupowych spotkań w zendo w Katowicach i we Wrocławiu. Były to m.in.: biografia Lin-chi Lu (Rinzai), frag-



I Spotkanie, Piastowska 1, Katowice 2008. Od lewej: Krzysztof Lewandowski, Marcel Markłowski, Anna Jedynak, Lesław Kulmatycki, Adam Sobota. Fot. Hieronim Lis

menty z *Yasenkanna* (Hakuin), *Koło życia* Johna Blofelda, *Golden Age of Zen* Johna Wu, *Ch'an and Zen Teaching* i *Practical Buddhism* Charlesa Luka, *Practice of Zen* C. C. Changa, wyjątki z *Sutry Lankawatara*.

Niektóre z tych tłumaczeń były później poprawiane czy dokonywane ponownie, kiedy w latach 90. kilka wydawnictw okazało zainteresowanie ich wydaniem. Ponownie tłumaczyłem wtedy *Sutrę Szóstego Patriarchy*, autobiografię Han Shana i kilka nowych tekstów. Wtedy zresztą pojawiło się wielu profesjonalnych tłumaczy i otworzył się oficjalny rynek dla takich wydawnictw. Dla mnie było to tylko dopięcie raz zaczętej pracy, gdyż tłumaczenia były dla mnie zawsze zajęciem dodatkowym, podejmowanym bezinteresownie.

Było to jednak wielkie wyzwanie i głębokie doświadczenie, za które jestem wdzięczny. Wcześniej nie zajmowałem się tłumaczeniami, a jedynie studia polonistyczne uwrażliwiły mnie na pewne sprawy związane z posługiwaniem się językiem. Tłumaczyłem z języka angielskiego, w którym musiałem się szybko podciągnąć, ale głównym problemem było to, że angielski nie był językiem oryginałów i mieliśmy do czynienia albo z przekładami, albo z tekstami pisanymi po angielsku przez Chińczyków, dla których nie był to język rodzimy. A więc zwłaszcza tam, gdzie pojawiały się kwestie filozoficzne, starcia argumentów czy fragmenty poetyckie, znalezienie odpowiednika polskiego było dużym wyzwaniem. Nigdy wcześniej nie uświadamiałem sobie z taką ostrością, na czym polega operatywność, uroda, a także zwodniczość języka. Tłumacz musi ostatecznie wybrać na swoją odpowiedzialność pewien sens sformułowań, stosownie do swoich możliwości rozumienia. Mogę tylko powiedzieć, że robiłem, co mogłem (ktoś może tu dodać: niestety).

Adam Sobota, grudzień, 2020

*Obraz obok: Nyogen Nowak, „Bodhidharma”
Kaligrafia - „Buji - Bez trosk.”, - . Murakami
Sohaku, Opat świątyni Enshoji w Obama, pre-
fektura Fukui, Japonia*



Henryk Waniek

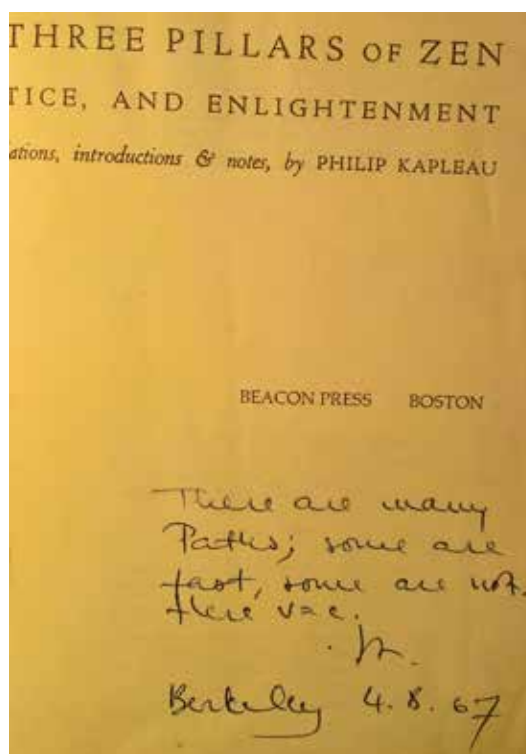
Od początku

Od początku śmierć była blisko, nie tylko dlatego, że urodziłem się w czas wojenny, w jego najbardziej śmiertelnym miejscu. Nie tylko dlatego, że w dzieciństwie moje życie parę razy wisiało na włosku, a w dodatku ciągle ktoś umierał.

W młodości także nie było bezpiecznie. Sam czułem się może mniej zagrożony, ale przypadki śmierci wśród moich rówieśników, w tym również samobójcze, nie dawały mi zapomnieć, że śmierć jest blisko. Miałem już lat 24, zbliżał się powoli kres moich studiów, gdy przyjaciel, który jakimś sprytnym sposobem znalazł się w Stanach Zjednoczonych i kończył studia na University of California w Berkeley, przysłał mi najpierw *The Tibetan Book of the Dead*, a później resztę kanonu tybetańskiej literatury religijnej w kompilacji i redakcji dr W. Y. Evansa-Wentza. Był to jeden z przejawów tego, że przyjaciela musnęła duchowość Wschodu. Wiązała nas szczególnie karmiczna przyczyna, ale było wiele powodów, że i ja się tej duchowości nie oparłem. Literacka wyprawa w rejony umierania - to było coś! Przyjaciel mój musiał już w tym czasie zaawansować się w praktyce zen, skoro 4 sierpnia 1967 r. (taka datę wpisał pod dedykacją) przysłał mi egzemplarz książki *The Three Pillars of Zen...* by Philip Kapleau. Było to już jej drugie wydanie [*the new printing*] z roku 1966. Pozwolę sobie zacytować tę dedykację:

There are many Paths; some are
Fast, some are not.
Here $v=c$
St.
I data, jak wyżej.

To także miało swój magnetyzm, choć z pobieżnego zapoznania się z tą książką najbardziej przykuł moją uwagę zamieszczony w niej tekst, bodaj najkrótszy, liczący zaledwie dziewięć linijek, zatytułowany *To a Dying Man*. To czwarty z listów zawartych w czwartym rozdziale tych Trzech Filarów, noszącym tytuł *Basui's Sermon on One-Mind and Letters to His Disciples*. Ten list do umierającego poruszył moją ciekawość, więc zapoznałem się z książką na tyle solidnie, na ile to możliwe w kontakcie z czymś całkiem nowym. Może nie całkiem, bo z literatury, czasopism i innych komunałów, wiedziałem, że istnieje takie skrzydło buddyzmu, ale nie bardzo mnie ciekawiło. Tymczasem otrzymałem książkę, która była niemal podręcznikiem, bardzo praktycznie pomyślanym. Zresztą w latach późniejszych przekonałem się, że *Trzy filary zen* (i tak to już tu nazywajmy) jest jedną z najlepszych książek (może nawet najlepszą?), propagujących na Zachodzie elementarny poziom buddyzmu zen. Bardzo się w niej zaczytałem i nie oparłem pokusom, które Kapleau



Dedykacja. Arch. Henryk Waniek

tam przemycił z iście żydowską zręcznością. Wobec nieporządku wewnętrznego, w jakim trwał, to znaczy – indolencji wobec lokalnych religii, pomieszanej z przeczuciem utajonego wymiaru rzeczywistości, oraz z głodem doświadczenia duchowego, w książce tej znajdowała się obietnica. Zaczęłem więc wykorzystywać jej praktyczne walory. Nieporadnie, jak to bywa na początku. Co więcej, tej świeżej fascynacji nie ukrywałem i może nawet chciałem – nieco samozwańczo – uchodzić za buddystę. Ale, oczywiście, byłem raczej kim byłem, to znaczy młodym adeptem sztuki, przekonany, że ma do powiedzenia coś ważnego, rwącym się ku czemuś, co nie wiadomo jeszcze czym jest. Rojenia debiutanta zbliżały mnie do kręgu pokrewnych duchów, których w Katowicach nie było tak wiele. Mam na myśli tych przekonanych, że też mają coś do powiedzenia w czasach, gdy rzeczy ważne mówiło się raczej szeptem. Moja komitywa z Andrzejem Urbanowiczem, a też jego żoną

Urszulą Broll, to temat na długą opowieść. Tu ograniczę się do tego, że około roku 1967 zawiązała się między nami współpraca, a w jej rezultacie przyjaźń. W mniejszym stopniu uczestniczyła w tym Urszula, świeżo upieczona matka Rogera, bo macierzyństwo absorbuje. Andrzej był wówczas adeptem alchemii (używał formy *alchymia*) i studiował doktrynę Carla Gustava Junga. Urszula z kolei nie widziała świata poza Krishnamurtim, a przede wszystkim Rudolfem Steinerem i jego antropozofią. Skwapliwie czerpałem z ich wiedzy i całkiem obfitej literatury duchowej. Okultyzm jest dziedziną wielce obrazową, wychodzącą naprzeciw spragnionej wyobraźni i to nas łączyło, choć zarówno *alchymia*, jak i Steiner, nie byli w stanie mnie porwać. Dostrzegałem piękne obrazy i czarujące słowa, ale bez szczególnego pokrycia. W porównaniu z tym wszystkim *Trzy filary...* zapraszały na grunt bardziej realny, wolny od wybujałych fantazmatów. Nie odrzuca-



Warsztat zen, Pracownia na Piastowskiej 1, Katowice, sierpień 1975 r. Po lewej stoi Henryk Waniek.
Fot. Janusz Korbel

ły niczego, ale też nie narzucały. Zachęcały raczej do uważnego wędrowania przez rzeczywistości.

Ten mój buddyzm (gdy się pojawił) Urbanowiczom był bardzo nie w smak. Tybetański jeszcze by uchodził, skoro do ksiąg Evansa-Wentza pisywał przedmowy sam C.G. Jung. Ale zen? Ani trochę. Niemniej, przeczuwając, że w końcu coś trzeba zrobić ze sobą, albo dla siebie, pozwolili się z nim z grubsza zapoznać. I tak, krok po kroku, kawałek po kawałku, brali z tego zen coraz śmielej. W roku 1971 wraz z Januszem i Teresą Korbelami wynajmowaliśmy willę w jednej ze spokojnych katowickich dzielnic, gdzie żyliśmy ponieważ w atmosferze hippisowskiej (ja może mniej, byłem nieco starszy) i jakoś ten buddyzm zen ciągle o sobie przypominał. Zdecydowaliśmy więc, że jedno z piwnicznych pomieszczeń przy ulicy Fitelberga 18 przeznaczymy na rodzaj „sanktuarium”, gdzie w określonych dniach i godzinach będziemy się zbierać na *zazen*. Różne tam osoby siadywały - Korbelowie, rzecz jasna, ja sam, Andrzej Urbanowicz regularnie. Urszula rzadziej. Poza tym mnóstwo młodych przyjaciół – Irek Kulik, Andrzej Szewczyk, Jurek Illg, Brygida Wróbel, Marek Has, chyba Tadeusz Sławek i inni, których pamiętam już niedokładnie. Zresztą niektórzy tylko przelotnie. Ponieważ byłem prowodyrem tej imprezy, predestynowało mnie to niejako do przywództwa, jakkolwiek na przywódcę zupełnie się nie nadaję. Bodaj w tym czasie wraz z Andrzejem przystąpiliśmy do spolszczenia *Trzech filarów zen*, zresztą z miernymi skutkami. Andrzej nie znał angielskiego, a ja jako tłumacz byłem dość niechlujny. Niemniej fala ruszyła. Miała swe fluktuacje, ale nabierała życia. Powstała idea, by z piwnicy na Brynowie przenieść nasze mityngi do pracowni Urbanowiczów. Może tam nie było wygodniej, ale bliżej nieba, bo na piątym, najwyższym piętrze. Równocześnie ogarnęła Andrzeja myśl (za podszeptem Janusza Bersza, poznańskiego artysty,

który zafundował sobie domek w Górach Świętokrzyskich), by zamiast dorocznego wynajmowania letniskowej chaty w Żarkach, postawić sobie własną w sąsiedztwie Bersza. A może nawet uczynić z niej (ale to myśl późniejsza) ośrodek medytacji. Wielu szczegółów tego projektu nie znam, akurat w tym czasie jeździłem sporo za granicę i byłem zajęty sobą. W tym, czego ja nie potrafię, Andrzej okazał się nad wyraz sprawny. Lubił pozycję przywódczą i miał nadzwyczajny, choć swoisty, talent organizacyjny. Tym bardziej, że grono zainteresowanych powiększało się stopniowo i należało to ująć w jakieś ramy. Na spotkania zen zaczęli przyjeżdżać przyjaciele z Warszawy, Krakowa, innych miejscowości. To się dokonywało już bez mojego udziału, który się stał raczej bierny, jakkolwiek wierny. Jednak nie aż na tyle, żebym nie spostrzegł, że w tej mikrospołeczności kiełkuje jakaś hierarchia, czy może tylko nierówność. Ale też różni ludzie degustowali tam zen. Różne psychologiczne motywy unosiły się nad tą gromadą. Możliwe, że rola już to gospodarza lokalu, już to „szefa”, zaczęła być dla Andrzeja niewygodna, więc powstały równocześnie dwie ważne idee. Pierwsza, żeby doprowadzić do realnego spotkania z Philipem Kapleau i w tym celu Andrzej podjął kroki praktyczne. Po drugie zaś, by całe to przedsięwzięcie zalegalizować jako związek wyznaniowy. Jedno i drugie Andrzej realizował z typową dla siebie skutecznością, co jeszcze bardziej wzmocniło jego pozycję „prowadzącego”, jak sam to określał. Wiem, że dla wielu nowicjuszy był wręcz oświeconym mistrzem, w co być może nawet sam uwierzył. W każdym razie był to czas nadzwyczaj owocny, a liczebność naszej grupy wręcz rosła w oczach. Piszę „naszej”, choć wtedy (rok 1972) intensywność zawodowa, małżeństwo, a przede wszystkim wyjazdy zagraniczne, przesunęły mnie na jej obrzeża. Nie mogę pominąć też, że atmosfera dominująca w tym zespole miała swoje cienie. Niesnaski, pomówienia, pochlebstwa

i inne małostki nie całkiem zgadzały się w moim przekonaniu z powściągliwością buddyzmu. Duża część neofitów, naczytawszy się Allana Watts'a czy Daisetz Teitaro Suzukiego była przeświadczona, że zen jest formą niezwyklej ekstremitacji, a może nawet legalizacją absurdu, bez szczególnych wymagań. Mówiąc krótko, mojemu „buddyzmowi” nie było tam najwygodniej. Tymczasem pracownia Urbanowiczów na ulicy Piastowskiej 1 w Katowicach już przemieniała się w regularne *zendo*. Dziarsko brzmiały sutry w języku mniej lub bardziej (choć raczej mniej) japońskim, dźwięczały gongi, jednym słowem dekoracja była na medal. Wizyta Kapleau została już zaaranżowana. Niewątpliwy sukces.

W miarę możliwości uczestniczyłem w sesjach (*sesshin*) i było dla mnie oczywiste, że wezmę udział w spotkaniu, na które przybędzie sam Philip Kapleau i jego prawa ręka Toni Packer. Podniecenie było ogromne. Zgromadziło się kilkadziesiąt osób, ale w zamieszaniu niektóre szczegóły spotkania zawiodły. Na razie jednak w pełnej krasie kostiumu pojawił się roshi, mający po swej prawej ręce wielką fotografię Buddy Siakjamuniego z Kamakury, a po lewej, równie wielką, rzeźby Rodina *Myśliciel*. Z tego miejsca wygłosił swoją homilię. W pierwszej części rolę tłumacza wziął na siebie Andrzej Krajewski. Jednak nie nadążał za retoryką kapłana, więc po przerwie jego miejsce zajął Jacek Dobrowolski, chyba bardziej doświadczony w tej robocie.

Do atmosfery ogólnego tam uniesienia odniosłem się z dystansem. Chyba nie tylko dlatego, że w słowach Philipa Kapleau, które rozumiałem chyba dokładniej niż to tłumaczono, usłyszałem kilka poruszających akcentów. To, że wskazując na kamiennego Buddę z Kamakury, wychwalał jego szlachetność, brzmiało jeszcze sensowniej. Ale gdy zaczął się pastwić nad *Myślicielem* Rodina, coś go chyba poniosło. Wykazał mianowicie oznaki degradacji człowieczeństwa w jego skurczonej sylwetce, duchowy upadek i w ogóle nędzę gatunku. Porównał

go wręcz do małpy. Ta retoryka brzmiała dość płasko. Odmawiała człowiekowi prawa do cierpienia. Każdą pozycję, która nie byłaby *full lotus-posture*, wyrzucała na śmietnik. Zaś całą kulturę Zachodu obwiniała o degenerację, czego przejawem było jej samounicestwienie. Jednym z przykładów miała być samobójcza śmierć Piotra Czajkowskiego. Wszystkie istniejące wtedy biografie rosyjskiego kompozytora jednoznacznie mówiły, że przez własną nieostrożność w czasie epidemii zapadł na cholere, która go uśmierciła. Poza tym nie miałbym nic przeciw małpom, które niewiele ustępują ludziom, a niektórych nawet przewyższają. Nastąpiły dalsze przykłady, a co jeden zdawał się potwierdzać, że roshi, choć żywo przemawia, jest trochę niedouczoney i słuchaczy też miał za niedouków, zresztą może słusznie. Od pewnej chwili cała jego oracja wzięła nutę wręcz demagogiczną, ku nabożnemu zachwytowi malującym się na twarzach obecnych. Zasadą tego *workshopu* było, że po wstępnej zachęcie ci spośród tam zgromadzonych, którzy nabrali przekonania, mieli pisemnie (papier i długopisy czekały w pogotowiu) prosić roshiego o przyjęcie w poczet uczniów. O ile wiem, zrobili to wszyscy obecni i wszystkie próśby przyjęto pozytywnie. (W poczet uczniów zostało przyjętych dwadzieścia kilka osób; w warsztacie brało udział około 100 osób – przyp. red.) Odpowiedzi były również pisemne. Jedynym wyjątkiem byłem ja sam. Co prawda posiadam taką prośbę datowaną na 26 sierpnia 1975, ale gdy już ją napisałem, odłożyłem na bok i napisałem raz jeszcze. Tym razem, że nie mogę ubiegać się o taki zaszczyt, czego bardzo żałuję, ale trudno. Po kilku dniach w kopercie zaadresowanej ręką Urszuli Broll-Urbanowicz otrzymałem odpowiedź. Mam ten list i mogę go tu zacytować:

August 28, 1975

Dear Henry K Waniek,
Roshi Kapleau has asked me to write you the following:

"I was happy to see you at the workshop, because I have been told that it was through you that "THE THREE PILLARS OF ZEN" was introduced into Poland, after you got it from Stanislaw Piaścik.

All of us, including, of course, the Polish and American Sangha are very grateful for you and Stanislaw Piaścik for this highly meritorious deed.

Peace and Joy!

For the Roshi

With greetings and best wishes!

Toni Packer

Zasadniczo zamykało to sprawę, jakkolwiek przez jakiś czas otrzymywałem jeszcze zawiadomienia, zaproszenia na spotkania oraz inne powielane druki na temat już teraz „katowickiej sanghi”. Ale już w większości mieszkalem w Warszawie, w Katowicach bywałem przelotnie, kontakt z Urbanowiczami ustał niemal całkowicie i tylko z drugiej, trzeciej ręki dowadywałem się o stanie rzeczy. Byłem zapraszany na Kamieńczyk, gdzie z pewnymi trudami powstawał planowany ośrodek, ale jakoś się nie składało. Jedną połowę następnego roku spędziłem na stypendium w Italii, wpadłem na chwilę do Polski, aby na drugą połowę udać się do Stanów Zjednoczonych.

Uznałem, że najgodniej będzie dotrzeć do Ameryki drogą wyznaczoną przez Kolumba, czyli morską. Tym bardziej, gdy dowiedziałem się, że w okresie jesiennym (była to już połowa października 1976) północny Atlantyk jest rejonem silnych sztormów. Zanim jednak tych sztormów doświadczyłem, frachtowiec, którym płynąłem, zawinął do portu w Bremerhaven i do pięciu pasażerów dołączyły jeszcze dwie osoby. Załatwiając w kabinie intendenta jakieś sprawunki, zobaczyłem leżącą na stole kartę zameldowania jednej z tych osób. Brigitte D'Ortschy – nazwisko było napisane wyraźnymi literami i coś we mnie zadzwoniło. Czegoś się domyślałem, ale statek już pruł przez kanał La Manche, byłem z dala od domu, gdzie ewentualnie

mógłbym sprawdzić, czy się nie mylę. I do dziś trudno mi zrozumieć, w jaki sposób to nazwisko zapisało mi się w pamięci, skoro było tylko jednym z kilkadziesiątu (w dodatku tylko raz i w miejscu raczej nieważnym) wymienionych w *Trzech filarach zen*. Zrazu więc nie byłem pewny, ale przez dwa tygodnie na pełnym morzu kontakty między pasażerami bardzo się ożywiają. Delikatnie więc naprowadzałem tę starszą panią na intrygującą mnie rzecz. Płynęła do Stanów Zjednoczonych, by następnie kolejną przejechać je wskroś i z Los Angeles (a może innego portu) przepłynąć Pacyfik, kierując się do Japonii. Jakiś defekt błędnika uniemożliwiał jej podróż samolotem. Okazało się bowiem, że Brigitte D'Ortschy jest uczennicą, a może nawet następczynią, roshiego Yasutaniego.

(W tym miejscu przerwałem pisanie, by przy pomocy Google sprawdzić, czy Yasutani-roshi żył jeszcze w roku 1976. Niestety, zmarł trzy lata wcześniej, ale – jaka niespodzianka! – na jego stronie widzę fotografię roshiego w stroju japońskim – w czym towarzystwie? Otóż u jego boku stoi promienna Brigitte D'Ortschy odziana jak najbardziej europejsko. Fotografia musiała powstać wiele lat wcześniej, gdyż dama, z którą prowadziłem rozmowy w messie i na pokładzie, była uroczo posiwiata i już w swoich latach.)

Odbyliśmy wiele rozmów. O sztuce, o życiu, o duchowości oraz (gdy się to już wyjaśniło) o zen. Naturalnie, pojawił się też temat Kapleau. Musiałem wspomnieć o jego wizerunku w Polsce i początkach polskiej sanghi. Jakkolwiek pani D'Ortschy była osobą rozmowną i ciekawą, temat autora *Trzech filarów zen* zbywała powściągliwością. Trudno było nie zauważyć dystansu, taktownego unikania wypowiedzi. To mnie nie tylko zaciekało, ale też jakoś współbrzmiało z moimi wrażeniami. Wylądowaliśmy w porcie Newark zdaje się 31 października i po pamiętnym pożegnaniu pani D'Ortschy udałem się na Manhattan.

Tu cofnę się do lat 1974-75, w których mój

kalifornijski przyjaciel nadal wyposażał mnie w pisma i książki buddyjskie. Wśród nich były powielaczowe skrypty autorstwa Katsuki Sekida, prowadzącego wówczas wraz z Robertem Aitkenem ośrodek zen, gdzieś na Hawajach. A w końcu była i książka *Zen training* tegoż Sekidy, świeżo wydana w 1975 r. przez Weatherhill. Poza innymi rzeczami, odkryłem w niej bezcenną instrukcję dotyczącą zazen, wraz z całym fizjologicznym fundamentem tej praktyki. To był dla mnie milowy krok do przodu. Mówiąc krótko, zawierała ona wszystko, co w *Trzech filarach zen* było tylko czystą literaturą. Sekida dawał jasne wskazówki, jak posługiwać się ciałem, oddechem i umysłem. Jak odnaleźć rytm swego bytu i zmierzać ku *samadhi*. Pomijając inne okoliczności, które temu sprzyjały, udało mi się tę naukę wykorzystać w całości, co chyba w tym miejscu po raz pierwszy zdradzam publicznie. Bo jak dotąd, właściwie nie było komu. Nikt zatem nie potwierdził, że stan, w którym znalazłem się pewnego dnia, można uznać za *kensho-godo*, satori, czy jak by to jeszcze nazwać. I być może wcale tym nie było, ale miało dla mnie wielkie znaczenie, że empirycznie przekonałem się, iż wysiłek i praca w zen, prócz tego co znamy wszyscy – relaks, koncentracja, wyciszenie – prowadzą ku rzeczywistym, psychologicznym owocom.

Trzeba było mieć sporo szczęścia, by w styczniu 1977 r. dowiedzieć się, że w drodze powrotnej z Anglii czy Niemiec, Sekida zatrzyma się na krótko w Nowym Jorku i odbędzie jedyne spotkanie. Spóźniony, zdążyłem tylko na jego końcówkę w sali dość zatłoczonej. O żadnym prywatnym kontakcie nie mogło być mowy, ale wystarczyło zobaczyć. W przeciwieństwie do Philipa Kapleau, który przybył do Katowic w mundurku japońskiego samuraja, choć przecież widać, że z Japonią łączy go najwyżej kompleks przynależności do innej rasy, Katsuki Sekida, nie tylko roshi, ale i najprawdziwszy Japończyk, wystąpił w banalnym europejskim garniturze z krawatem, wcale nie wyglądając na swoje 84 lata, jak później

ze zdziwieniem się dowiedziałem. A w dodatku robił częste dygresje do filozofii Martina Heideggera. To ostatnie zresztą mnie nie zaskoczyło, bo znałem już jego pisma. Człowiek Zachodu będzie miał bliżej do zen, jeśli prawidłowo zrozumie heideggerowskie *Dasein*. Coś takiego pisał i na głos powtórzył ten wielki człowiek, który miał może nawet kompleks Europejczyka.

Wróciłem do Polski nie bardzo ciekaw, jak się rozwija lokalny ruch zen. Przed powrotem zostałem upoważniony, by wskazać kandydata na następne stypendium w *The Kosciusko Foundation*. Z wielu możliwości wybrałem tę, by nakłonić Andrzeja Urbanowicza o złożenie aplikacji. Jego ojciec w Stanach Zjednoczonych, którego po raz ostatni widział jako sześciolatek, stał już nad grobem. Co prawda, w PRL-u wielokrotnie Andrzejowi odmawiano paszportu, ale może tym razem się uda? Udało się. Otrzymał stypendium i paszport. Zanim to nastąpiło, w katowickiej sandze doszło do kataklizmu. Znam to z różnych relacji, a żadna nie jest bezstronna, więc się tym nie będę zajmować. Wszelako to wydaje się pewne, że w karierze roshiego Kapleau istniały fakty podważające jego wiarygodność. Lecz to nie moja sprawa. Andrzej został przez buddyjski kolektyw zdegradowany, rozwiódł się, ze swą nową kobietą udał się do Stanów, również drogą morską. Na całych trzydzieści lat. Ufałem, że kontakt z inną, amerykańską rzeczywistością będzie dla niego przeistaczający.

Od początku śmierć była blisko, podobnie jest i na końcu. Spisałem to wszystko zanim śmierć zbliży się tak, że bliżej nie można. Poza tym, lwia część powyższych słów odnosi się do osób już nieżyjących, a jednak pisząc to, miałem wrażenie, że jeszcze żyją, podobnie jak sprawy, które przecież już dawno są pogrzebane.

Henryk Waniek

Brygida Wróbel-Kulik

Miejsce szczególne

Aura spotkań u Urbanowiczów, letnie pobyty na Kamieńczyku, wspomnienie niczym nieskażonej natury, harmonia wspólnej pracy i bycia razem towarzyszyły mi nieraz w trudnym czasie naszej emigracji.

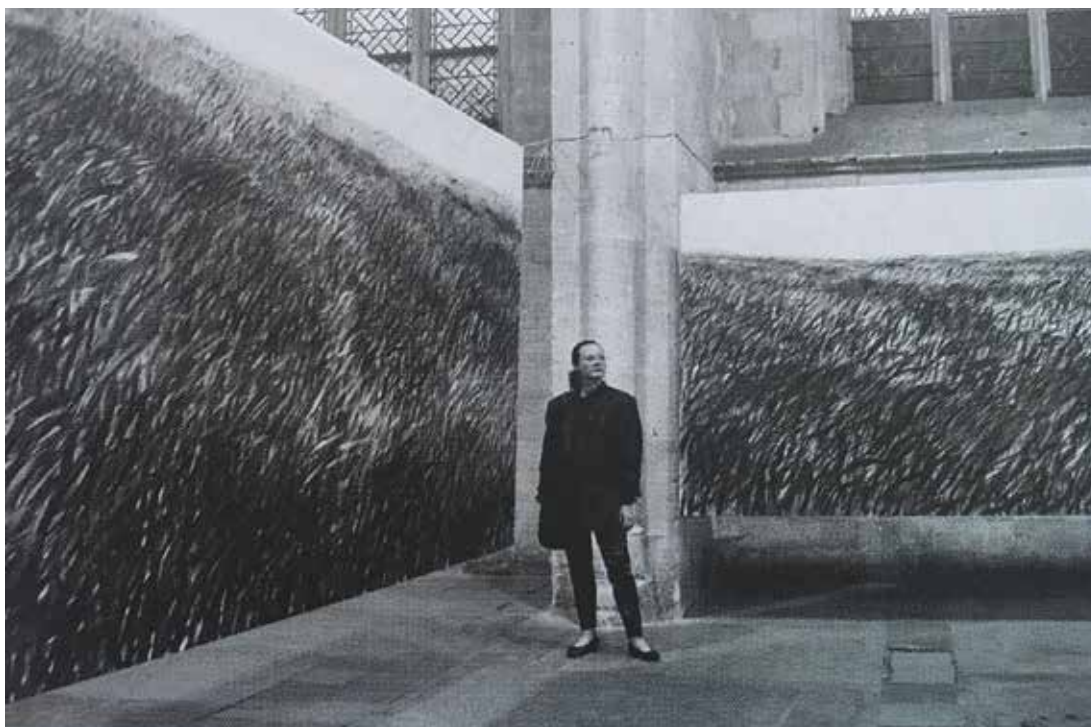
Do katowickiego *zendo* na poddaszu przy ulicy Piastowskiej trafiłam dzięki uprzejmości Irka Kulika. Do dzisiaj twierdzę, że nie mogło mi się wówczas nic lepszego przydarzyć. Spotkałam tam grupę nieprawdopodobnie interesujących ludzi z kręgów artystycznych i intelektualnych, którzy wywarli ogromny

wpływ na kształtowanie mojej młodej osobowości (miałam wtedy zaledwie 20 lat), a także na rozwój mojej przyszłej drogi artystycznej.

Podczas studiów na ASP w Krakowie chętnie uczestniczyłam w medytacjach i *sesshin* w Katowicach u Urszuli i Andrzeja Urbanowiczów lub latem na Kamieńczyku pod Kielcami oraz w *zendo* u Ostaszewskich.

Po studiach i powrocie do Katowic w 1978 r. (od roku 1977 byłam już żoną Irka Kulika) coraz częściej podróżowaliśmy z mężem po Europie, odkrywając jej piękno, a także poszukując ciekawych kontaktów artystycznych.

Udając się w kolejną wspólną podróż artystyczną z wystawami do Tesalonik, Wiednia, Düsseldorfu i Paryża, nie przypuszczaliśmy, że data wyjazdu, 31 sierpnia 1981 r. łączyć się będzie na zawsze z opuszczeniem naszych stron rodzinnych. Zabraliśmy ze sobą jak zawsze dokumenty tożsamości, naszą sztukę, parę rzeczy niezbędnych w podróż oraz swoją otwartość i ciekawość na świat.



Brygida Wróbel-Kulik, Fragment instalacji „Garden”, Maastricht / NL, 1986 r.

W grudniu 1981 r. nasza artystyczna podróż zamieniła się w niezaplanowaną ucieczkę ze świata autorytatywnych decyzji do świata wolnego. Postanowiłam poszerzyć moje doświadczenia zdobyte na krakowskiej ASP w pracowni m.in. u prof. Mieczysława Wejmiana o nowe na Kunstakademie w Düsseldorfie u prof. Güntera Ueckera – artysty jednego z członków Grupy Zero, co ułatwiło mi rozpoczętą już w Polsce drogę pierwszych poszukiwań w kierunku „miejsca szczególnego”, które stało się wiodącym tematem mojej twórczości, a którego źródło wypływało z licznych dyskusji i działań środowiska artystów i intelektualistów naszej sangi.

Już wtedy będąc studentką drugiego roku na ASP w Krakowie, rozpoczęłam prace w pejzażu, Land Art, serią moich prac „Ogródki” (1974–76). Był to wpływ moich letnich eskapad w naturę na Kamieńczyku. Przyczyniło się to w efekcie do wzbogacenia mojego dy-

plomu u prof. Wejmiana z grafiki artystycznej w 1978 r. o zupełnie nowy aspekt prezentacji, mianowicie o fotografię i pokaz dnia. Za ten eksperyment, któremu towarzyszyła seria dziewięciu prac w akwaforcie i akwatincie kolorowej oraz pracy pisemnej „Ogród odzwierciedleniem świata”, otrzymałam wyróżnienie.

Aura spotkań u Urbanowiczów, letnie pobyty na Kamieńczyku, wspomnienie niczym nieskażonej natury, harmonia wspólnej pracy i bycia razem towarzyszyły mi nieraz w trudnym czasie naszej emigracji. W ciągłym poszukiwaniu za podobnie myślącymi, nie przypadkiem znalazłam się w środowisku artystycznym miasta Aachen (Akwizgran) leżącego w trójkącie granic pomiędzy Belgią, Holandią i Niemcami, gdzie mieszkaliśmy do 1986 r.; potem już w Düsseldorfie.

Ku mojemu rozgoryczeniu atmosfera tego skłóconego grona okazała się być, pomimo

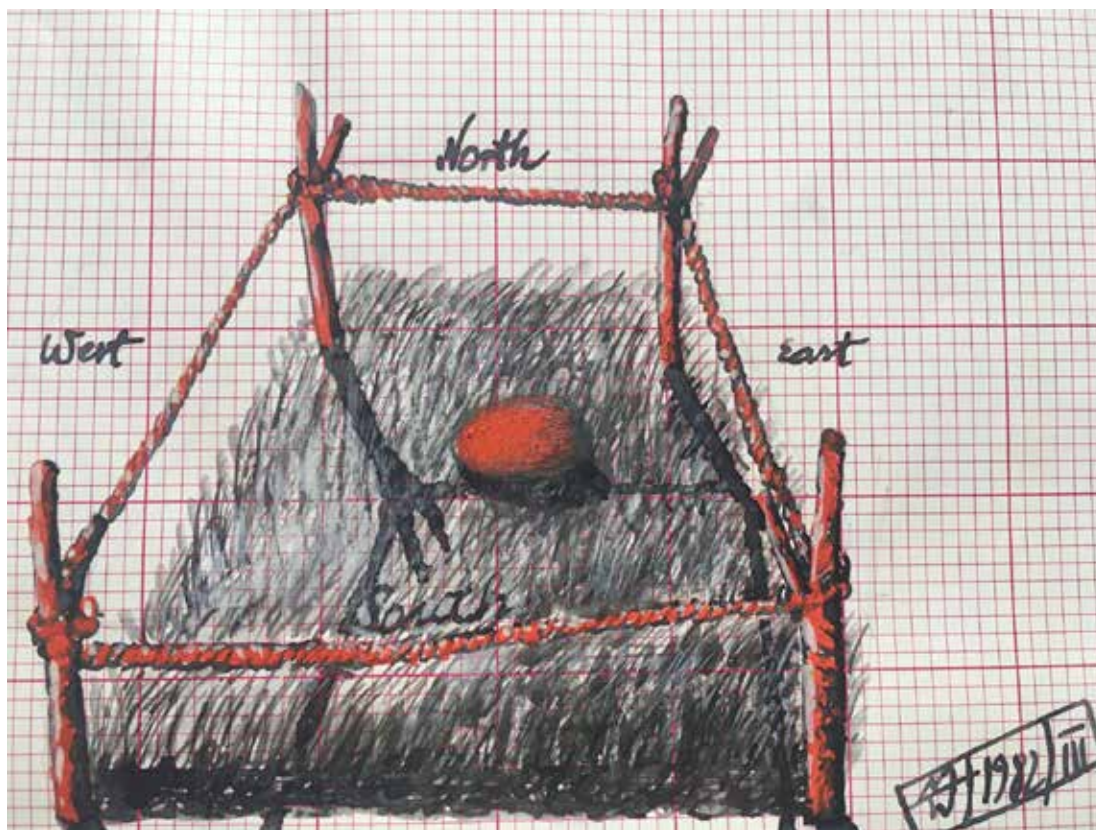


Brygida Wróbel-Kulik, z cyklu „Ogródki”, Land Art, Korbielów / PL, 1974-1976 r.

wolności, z jakiej korzystali, wyjątkowo toksyczna. Wszyscy przeciwko wszystkim, egoizm w jego najsilniejszej postaci. Zjawisko, które było mi wyjątkowo obce. W 1983 r. stałam się współzałożycielką grupy artystycznej 16. artystek w Aachen, pochodzących z różnych stron Europy. Naszą grupę artystyczną nazwaliśmy *Grenzfrauen* (Grenze – granica, Frauen – kobiety), której nazwa wskazywała na geograficzne położenie miasta Aachen i pochodziła od mojego cyklu ośmiu dużych rysunków (140 x 280 cm) „Stany graniczne” (*Grenzzustände*). Szkice do tego cyklu wykonywałam w czasie moich licznych podróży w latach 1978-81. Ich realizacja miała jednak miejsce dopiero od 1983 do 1985 roku. Za ten cykl oraz za działalność w grupie *Grenzfrauen* otrzymałam w 1985 r. Nagrodę Artystyczną Miasta Aachen oraz dostęp do pracowni. Z *Grenzfrauen* rozpoczęliśmy cykl wystaw, m.in. w Suermond – Ludwig Museum w Aachen, we Frauenmuseum w

Bonn i w Koda Stiftung w Maastricht oraz wystawę, która była premierą artystek żyjących w Niemczech w merostwie Cercle Municipal w Luxemburgu w 1988 r. To tylko jeden z przykładów na to, jak wpłynął na mnie pobyt w sandze, na początki mojej działalności artystycznej.

Nasze ostatnie spotkanie z Urszulą Broll miało miejsce w 1991 r. w Przesiece przy okazji mojej indywidualnej wystawy w Galerii Awangarda we wrocławskim BWA oraz w BWA w Kłodzku. Z Andrzejem Urbanowiczem spotkaliśmy się w naszej pracowni w Düsseldorfie, niestety nie pamiętam już roku, ale ostatni raz na mojej indywidualnej wystawie „Ilebiland” w katowickim BWA zimą 2009 r. Było ono jak zwykle serdeczne i pełne wrażeń dla obu stron. Nie omieszkaliśmy odwiedzić przy tej okazji katowickie *zendo*, które mieściło się naprzeciw BWA. Z Andrzejem i Henrykiem Wańkiem spotkaliśmy się również w roku 2003 na wysta-



Brygida Wróbel-Kulik, „Ogródek”, akryl na papierze milimetrowym, Aachen / DE, 1982

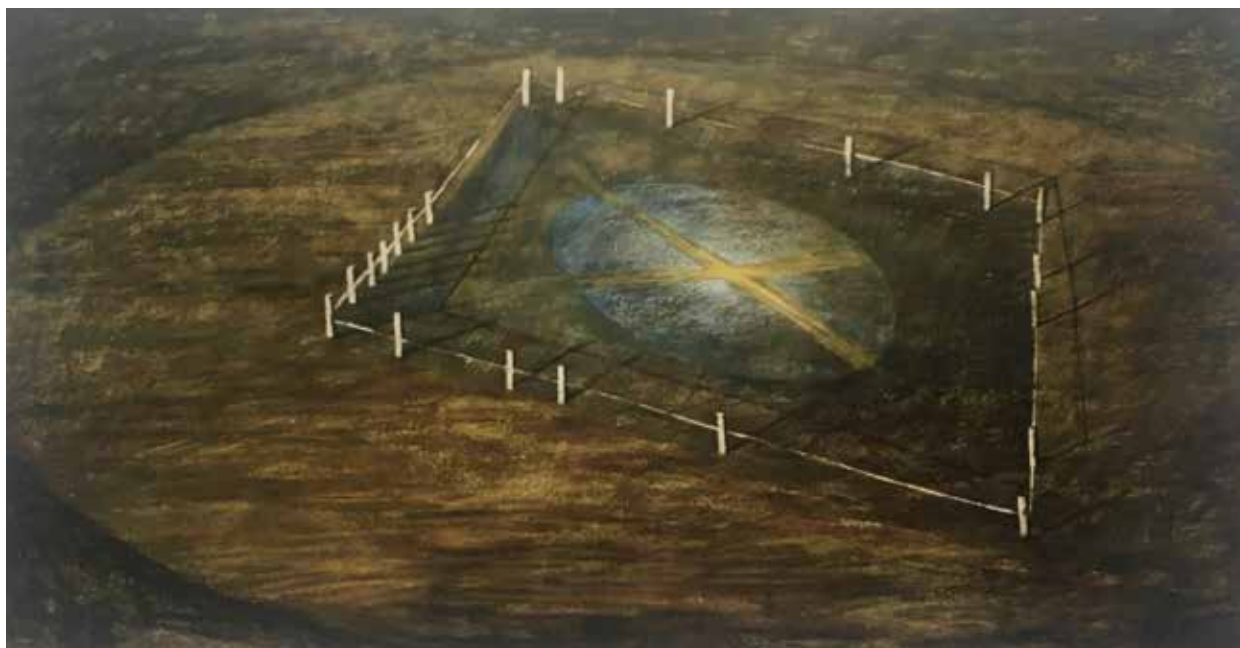
wie „Katowicki underground artystyczny po 1953 roku” w katowickim BWA, w której uczestniczyliśmy razem z Irkiem. Mieliśmy również przypadkowe spotkanie po latach z Henrykiem Wańkiem na wernisażu wystawy „Cartographers” w Centrum Sztuki Współczesnej na Zamku Ujazdowskim w Warszawie w 1998 r., gdzie pokazywałam dwa największe eksponaty: mapy „Atlantis” i „Muroroa”.

Wspominam też Jana Sara, który razem z Włodkiem Nowakiem należał do najmłodszego grona sanghi. Jasia odkryłam wśród licznej publiczności, jaka przybyła na mój wernisaż wystawy „My Little Paradise” w Centrum Sztuki Współczesnej w Gorzowie

Wielkopolskim w 2011 r. Było to pierwsze nasze spotkanie po 35 latach! Jemu zawdzięczamy kontakt do poznańskiej „Przestrzeni” i już dzisiaj cieszymy się na spotkanie w Düsseldorfie.

Jestem pewna, że przynależność do tej wspólnoty, obcowanie z tak wielkimi osobowościami i talentami, to nie tylko ogromne doświadczenie i bogactwo, ale także wielkie wyróżnienie. Mam teraz okazję wyrazić serdeczne podziękowania wszystkim, którzy byli wtedy ze mną.

Brygida Wróbel-Kulik
Düsseldorf 21.02 2021



Brygida Wróbel-Kulik, z cyklu „Stany graniczne” (8 rysunków 140x280 cm) Aachen / DE 1983-1985

**Małgorzata
Ablamowicz-Sobotka**

Początki buddyzmu tybetańskiego Karma Kagyu w Polsce

Początki buddyzmu w Polsce wiążą się z Andrzejem Urbanowiczem i Urszulą Broll-Urbanowicz. Poznałam ją w roku 1984 na spotkaniach z buddyjskimi nauczycielami buddyzmu tybetańskiego.

W 1989 r., kiedy moi francuscy profesorowie z entuzjazmem zaakceptowali pomysł napisania pracy magisterskiej na temat wprowadzenia buddyzmu do Polski, wysłałam do Urszuli list z prośbą o informacje dotyczące jej grupy, która była pierwszą w Polsce i której członkowie zaszczytlili inne szkoły i gałęzie buddyzmu. Urszula odpowiedziała długim i ciekawym listem, który prawie integralnie wykorzystałam w mojej pracy magisterskiej. Listu dzisiaj już nie mam – prawdopodobnie zaginął w moich licznych przeprowadzkach z kraju do kraju. Jednak informacje, jakich mi dostarczyła, całkowicie zachowały się w mojej pracy. Chciałabym więc opisać początki buddyzmu w Polsce w ogóle, jak również początki buddyzmu tybetańskiego, który wzbudził zainteresowanie Urszuli, ale który został wprowadzony w Polsce dopiero przez Władysława Czapnika, członka grupy Andrzeja i Urszuli. Oto relacja Urszuli Broll-Urbanowicz:

Pan Stanisław Piaścik, polski imigrant do Stanów Zjednoczonych, jeden z uczestni-

ków sesshin prowadzonego przez roshiego Yasutaniego, mistrza Philipa Kapleau, przekazał do Polski książkę Philipa Kapleau Trzy filary zen za pośrednictwem artysty malarza, Henryka Wańka. Henryk Waniek przetłumaczył jej pierwszy rozdział, zawierający instrukcje do praktyki zazen, i podarował go Andrzejowi Urbanowiczowi. Zainspirowani tekstem, obaj zaczęli praktykować zazen. W tym samym czasie Urszula Broll-Urbanowicz zakończyła tłumaczenie Drogi białych obłoków Anagariki Govindy, której treść wzbudziła zainteresowanie grupy buddyzmem wadźrajany. Członkowie grupy zdobyli informację, że w Budapeszcie mieszka dr Heteney, który kieruje węgierską misją buddyjską. Przed spotkaniem Urszula i Andrzej żywili nadzieję, że misja mogłaby koordynować działalność wszystkich przyszłych wspólnot buddyjskich w Europie Wschodniej.

Dr Heteney był dziennikarzem, dzięki czemu jeszcze przed 1939 r. miał liczne kontakty z lamami tybetańskimi. Jednak spotkanie rozczarowało Urbanowiczów: Heteney pozostawał pod milicyjnym nadzorem, a misja ograniczała się do jego własnego mieszkania. Poradził Urszuli, aby porzuciła chęć praktykowania wadźrajany na korzyść zen, który nie wymagał częstych kontaktów z nauczycielem i wyjazdów za granicę.

Po powrocie Urbanowiczowie z grupą przyjaciół postanowili przystosować pracownię malarską przy Piastowskiej w Katowicach do praktyki zazen. Codziennie medytowali indywidualnie, a w grupie – raz na tydzień. Choć praktyka była regularna, ciągle zmieniał się stan osobowy grupy: starsi praktykujący odchodzili, nowi przychodzili. W 1974 r. Andrzej Urbanowicz postanowił zorganizować pierwsze kilkudniowe zazen, w celu ustabilizowania grupy. Brakowało jednak warunków dla jego realizacji. Andrzej wybudował więc na Kamieńczyku (Góry Świętokrzyskie) letni domek, w którym uczestnicy sesshin mieli nocować i medytować, a w drugim domku, należącym do artysty Janusza Bersza, przygotowywano posiłki. W sierpniu 1974 r. odbyło się na Kamieńczyku pierwsze sesshin, w którym

uczestniczyło 15 osób (w pierwszym kilkuniedniowym grupowym zazen, w sierpniu 1974 na Kamieńczyku, brało udział 11 osób; w domku Bersza było zendo, a posiłki przygotowywano w domu Andrzeja – przyp. red.).

Po jego zakończeniu Urbanowiczowie wysłali list do Philipa Kapleau, opisujący grupę i jej praktykę. Kapleau natychmiast odpowiedział, zapowiadając wizytę w Polsce przy okazji swojej pierwszej podróży do Europy. (W styczniu 1974 Andrzej wysłał pierwszy list do Kapleau; po zakończeniu pięciodniowego siedzenia w sierpniu przyszedł list od P. Kapleau informujący o przyjęciu zaproszenia do Polski – przyp. red.)

Wiadomość przyciągnęła sporą liczbę zainteresowanych. Aby wszystkim umożliwić spotkanie z Kapleau, sformowała się wokół Urbanowiczów nowa grupa, której zadaniem było przekształcenie pracowni malarzkiej przy Piastowskiej w miejsce spotkania. Członkiem tej grupy był Władysław Czapnik, który wcześniej poznał Urbanowiczów przy okazji tłumaczenia tekstów buddyjskich, i który wkrótce miał odegrać kluczową rolę w powstaniu wspólnoty buddyzmu tybetańskiego Karma Kagyu w Polsce. Prace remontowe w pracowni były intensywne: opróżniono ją z tysiąca książek, utensyliów malarskich, sprzętu i rupieci, zainstalowano elektryczność, pomalowano. W ówczesnej Polsce, pośród ludzi zainteresowanych praktykami duchowymi, nie było nikogo, kto – poza zwykłą składką członkowską – zdołałby sfinansować jakiegokolwiek przedsięwzięcie wynikające z rozrastania się grupy praktykujących. W przypadku grupy Andrzeja Urbanowicza, właśnie on pokrywał decydującą część kosztów utrzymania i prac remontowych, dzięki obrazom, które od czasu do czasu udawało się sprzedać. Ci, którzy nie byli w stanie wesprzeć finansowo projektu, pracowali z prawdziwym poświęceniem i entuzjazmem. Koszty podróży Philipa Kapleau i towarzyszących mu osób zostały podzielone ze wspólnotą niemiecką.

W sierpniu 1975 r. roshi Kapleau wraz z Toni Packer i mnichem Sokei odwiedzili Polskę. Grupa Urbanowicza sprawiła na Philipie

Kapleau tak głębokie wrażenie, że postanowił przeprowadzić czterodniowe sesshin. Uczestniczyło w nim czterdzieści osób (w pierwszym sesshin uczestniczyły dwadzieścia cztery osoby (wraz z gośćmi). Tylko tyle mat można było zmieścić w zendo – przyp. red.).

Na prośbę Kapleau Andrzej Urbanowicz kierował grupą praktykujących aż do 1978 r., do momentu wyjazdu Andrzeja do Stanów Zjednoczonych. W tym okresie organizował kilka sesshin i finansował liczne przedsięwzięcia, np. zakup przedmiotów i posążków do medytacji, remonty, powielanie tekstów buddyjskich. Ta ostatnia działalność zasługuje na uwagę: powielanie odbywało się w epoce przed pojawieniem się fotokopiarki i było uważane przez władze za działalność nielegalną, grożącą poważnymi sankcjami. Andrzej sam powielał teksty, które przechowywał w swoim mieszkaniu. Kopie zalegające stosami w oczekiwaniu na sprzedaż, były przyczyną ogromnego napięcia nerwowego. Dopiero w chwili rejestracji grupy napięcie ustąpiło. 15 grudnia 1980 r. grupa została zalegalizowana pod nazwą Związek Buddystów Zen „Sangha”.

W 1978 r. Andrzej Urbanowicz opuścił Polskę. Kierownictwo grupy zostało powierzone Januszowi Korbelowi, a później Wojciechowi Eichelbergerowi. Wszystkie akcesoria buddyjskie zakupione przez Andrzeja przeszły na własność grupy.

W tym miejscu kończy się relacja Urszuli Broll-Urbanowicz. W latach 1984-85 Urszula i jej syn Roger uczestniczyli, podobnie jak paru innych członków ZBZ „Sangha”, w wykładach Olego Nydahla, nauczyciela buddyzmu tybetańskiego Karma Kagyu i jednego z najważniejszych uczniów XVI Karmapy, głowy szkoły Karma Kagyu. Wkrótce potem Roger Urbanowicz wyjechał do Stanów Zjednoczonych i osiedlił się w jednym z centrów koreańskiego zen w Bostonie.

Mimo że Władysław Czapnik, członek grupy Andrzeja Urbanowicza przygotowującej spotkanie z Philipem Kapleau, kontynuował praktykę zazen, poszukiwał jednak innego kierunku w buddyzmie. Jeden z jego przyjaciół z grupy zen, Tomasz Hołuj, poinformował

go o bardzo aktywnym nauczycielu wadźrajany w Danii. Władysław wysłał do niego list z opisem swoich doświadczeń duchowych. Ole Nydahl postanowił natychmiast odwiedzić go w Krakowie. Wizyta miała miejsce prawdopodobnie na początku roku 1976, a następnie już parę miesięcy później, w październiku. Pierwsze spotkanie odbyło się w małym dwupokojowym mieszkaniu Władysława i jego rodziny. Oprócz nich obecni byli Łukasz Trzciniński, Maryla Marchut, Ryszard Guzy, Marek Hass i Danuta Hansen. Ole przedstawił szkołę buddyzmu tybetańskiego, którą reprezentuje, udzielił wszystkim obecnym schronienia i polecił codzienne praktykowanie medytacji „Na cztery podstawowe prawdy”. Podczas drugiej wizyty Ole udzielił schronienia trzynastu osobom i przekazał medytację na XVI Karmapę i „Trzy światła”. W 1978 r. Ole był powtórnie zaproszony i przyjechał do Polski w marcu i listopadzie. W marcu grupa zainteresowanych liczyła 40 osób. Ole udzielił instrukcji do medytacji na Awalokiteśwarę, jak również do medytacji na Wadźrasattwę i do praktyki pokłonów. Spotkanie przyciągnęło zainteresowanych z innych miast w Polsce,

gdzie wkrótce zostały zapoczątkowane kolejne grupy wadźrajany. Na uwagę zasługują trzy osoby, które szczególnie przyczyniły się do rozpowszechnienia buddyzmu tybetańskiego w Polsce: Marek Sawicki z Warszawy, Jan Gęgało ze Szczecina i Waldemar Zych z Radomia. Władysław Czapnik związany był również z początkami buddyzmu koreańskiego: na jego zaproszenie przybył do Krakowa Soen Sa Nim Seung Sahn, mistrz szkoły Chogyę, wokół którego utworzyła się wkrótce polska grupa Zen Chogyę, z ośrodkiem w Falenicy koło Warszawy (Soen Sa Nim przyjechał do Polski na zaproszenie mieszkającego w Krakowie Antoniego Szoski – przyp. red.). Punktem zwrotnym w historii buddyzmu w Polsce jest wprowadzenie stanu wojennego 13 grudnia 1981 r. Buddyzm zen i buddyzm tybetański zaczęły cieszyć się ogromnym zainteresowaniem, a napływ chętnych do praktyk buddyjskich, szczególnie buddyzmu zen Chogyę i buddyzmu tybetańskiego Karma Kagyu, stał się masowy.

Małgorzata Ablamowicz-Sobotka,
listopad 2010



Zazen grupowe, zendo w Pracowni na Piastowskiej 1, Katowice, wiosna 1975 r. Od lewej: Marek Hass, Hieronim Lis, Andrzej Urbanowicz. Fot. Janusz Korbel

Wszystko jest jednym

Studenci dostali od roshiego Kapleau koan „mu” jako osobistą praktykę. Po kilku dniach napięcie i frustracja spowodowały, że uczestnicy sesshin zaczęli muceć na głos, trochę z odcieniem hysterii. Nagle dobiegł z oddali głęboki odzew krowy na łące – muuu!

Dobrze pamiętam to miejsce na poddaszu, przy Piastowskiej w Katowicach, chociaż upłynęło ponad 30 lat od czasu, kiedy tam bywałem. Trudno jest pamiętać zbyt wiele po tylu latach, ale początki mojej praktyki zen jednak dobrze zapamiętałem. Jednocześnie cały tamten etap kilku lat był dla mnie wyjątkowy. Są w życiu momenty zwrotne i dla mnie to był rok 1976. Pracowałem wtedy jako asystent naukowy w Instytucie Okrętowym Politechniki Szczecińskiej. Ukończyłem budowanie mieszkania na strychu, koło rynku Turzyn, i rozpocząłem staż naukowy na Politechnice Warszawskiej, który zakończył się dla mnie doktoratem kilka lat później. Był właśnie lipiec, wakacje. Spędzałem godziny na swoim świeżo zbudowanym balkonie, popatrując z góry na Turzyn, i fascynowałem się książką wydaną jeszcze przed wojną *Nauki Ramana Maharshi*. Do tego czasu nie zajmowałem się w ogóle religią. Siedziałem niejako „na płocie” nie zajmując stanowiska po żadnej stronie w sprawach religii i polityki, uznając, że w zakłamaniu tamtych czasów i tak się prawdy nie dowiem, a na osobiste dociekania nie czułem żadnej motywacji. I niespodziewanie wpadła mi w ręce ta książka, nawet nie pamiętam, jak i skąd. Zafascynowała mnie w niej możliwość absolutnej wolności poprzez osobistą praktykę, a nie jako ewentualna dorowizna systemów społecznych czy instytucji religijnych. Tak mnie to zassało, że przez kilka dni żyłem w

podekscytowaniu. Któregoś dnia znalazłem się na prywatce i rozgadałem się na tematy omawiane w książce do również niezbyt trzeźwego sąsiada na kanapie. Kilka dni później stanął w drzwiach mieszkania młody człowiek z brodą i z chałupniczo wydaną książką pod pachą. Przedstawił się jako Rysiek Ratajczak, mówiąc, że jego brat twierdzi, iż ja też zajmuję się zen. To do jego brata gadałem na prywatce, jak się okazało. Nigdy nie słyszałem przedtem słowa zen. Rysiu miał pod pachą *Trzy filary zen* Kapleau, przetłumaczone przez Jacka Dobrowolskiego, jeśli dobrze pamiętam. Już od paru lat nieduża grupa ludzi spotykała się na medytacje i dyskusje u Andrzeja na Piastowskiej i kilka osób, przede wszystkim Jacek, tłumaczyło niektóre książki buddyjskie z angielskiego, głównie wydane przez Zen Center w Rochester. Przegadaliśmy z Rysiem wiele godzin. Później także pojawili się inni. Moje mieszkanie w Szczecinie było ulokowane blisko uczelni, a więc przychodzili i wychodzili różni młodzi ludzie, głównie studenci i pracownicy naukowci. Wkrótce pojechałem do Warszawy, aby pracować nad doktoratem i uczestniczyć w pierwszych siedzeniach w medytacji u Joasi, obecnie Eichelberger, w Warszawie i na Piastowskiej w Katowicach. Później były jeszcze siedzenia cotygodniowe w mieszkaniu Jarka Markiewicza i „Promyczka”, też w Warszawie, no i siedmiodniowe *sesshin* na Kamieńczyku, na wzgórzu za wsią, w Kieleckiem.

Na Piastowskiej i na Kamieńczyku różne osoby zajmowały się organizowaniem kilkudniowych medytacji. Poza Andrzejem i Urszulą był jeszcze Włodek i paru innych. Byłem świadom różnych dyskusji i sporów na tematy, ale ja tylko wchodziłem na *sesshin* i wychodziłem po. Dla mnie poddasze na Piastowskiej to była po prostu pracownia malarska Andrzeja, a Kamieńczyk to była jego dacha. Byłem wdzięczny, że Andrzej i Urszula udostępniali nam swoje miejsca i że inni poświęcali czas i energię na organizowanie i harmonizowanie kilkudniowych siedzeń. Zdawałem sobie sprawę, że w porównaniu z nimi nie mam pojęcia, co się wokół dzieje i że właściwie to pasożytuję na wysiłku innych. Nie czułem się w prawach, aby zabierać głos. Poza tym dla mnie wszystko było dobrze. Rzadko więc zabiera-

łem głos w sprawach sanghi. Robiłem prace, które przypadały mi w udziale, siedziałem w medytacji, kiedy była na to pora, a potem szedłem swoją drogą. Zaprzyjaźniony amerykański psycholog i student zen stwierdził, że mam osobowość wilka stepowego z książki Hermana Hessego. Jedną nogą żyję poważnie w sprawach rozwoju duchowego, a drugą w materializmie tego świata i nie przywiązuję się ani do miejsc, ani do ludzi. Chociaż z ludźmi to pewnie nie do końca jest prawda. Są ludzie w moim życiorysie, z którymi mam ciągle zamiar się spotkać, pomimo że się z nimi obecnie nie komunikuję. Niektórzy już, niestety, odeszli z tego świata.

Nastroj na naszych polskich *sesshin* był zawsze bardzo na serio, co pomagało w skupieniu, ale też tworzyło pewien stan napięcia. Na Piastowskiej było mało miejsca i spaliśmy na matach, na których też siedzieliśmy w medytacji. No i były zawsze kolejki do jedynej ubikacji. Pomimo ciasnoty i podstawowego wyposażenia, były to poważne *sesshin* i wspaniały był duch uczestników.

Kilka lat później byłem na wielu *sesshin* w Rochester w USA i w Toronto w Kanadzie, i chociaż budynki i pomieszczenia do praktyk były świetnie wyposażone i studenci byli całkiem poważni, nigdy już nie doświadczyłem tego nastroju czystej determinacji, jaka była na Piastowskiej i na Kamieńczyku.

Byłem także na wielu *sesshin* w Sogen-ji w Okayama i Bukoku-ji w Obama, w Japoni, i tam także nie było takiej determinacji. Oba miejsca były nastawione na studentów spoza Japonii i mało było tam studentów japońskich. Część osób z Zachodu była na serio, ale część była tam tylko dlatego, że nie mogli znaleźć sobie miejsca w swojej społeczności we Francji, Hiszpanii czy Holandii. Zastanawiałem się, jak ci studenci mogli wytrzymać trzy *sesshin* w miesiącu w Sogen-ji, nie mając praktycznie żadnej wewnętrznej motywacji. Byli tam jednak także dojrzały mistrzowie zen, roshi Tangen w Bukoku-ji i Hodzio-san w Sogen-ji. Mistrzowie kompensowali swoimi osobowościami bezwład tych zamglonych studentów. W Polsce takiego bezwładu nie było. Wszyscy byli bardzo na serio, niektórzy może nawet zbyt na serio, ale to było właśnie wspaniałe.

Brałem także udział w budowie Kamieńczyka. *Zendo* było na piętrze i zrobiłem tam dREW-

niane schody. Było mało miejsca i schody wyszły trochę strome. Z wchodzeniem nie było kłopotu, ale niektórzy nieraz potykali się, schodząc albo zjeżdżali na pośladkach. Pomagałem także w przybijaniu papy na dachu i w dźwiganiu kamieni na ścieżki, ale to już było bez większych zdarzeń.

Niektórzy pewnie pamiętają *sesshin* na Kamieńczyku, chyba z Toni Packer, kiedy to krowa na łące uczyła nas, jako się naprawdę praktykuje. Niektórzy studenci otrzymali od roshiego Kapleau koan „mu” jako osobistą praktykę. Po kilku dniach napięcie, frustracja i ciągle skupianie się na koanie spowodowały, że uczestnicy zaczęli muczeć na głos, trochę nawet z odcieniem hysterii. Po jakimś czasie nadleciał z oddali głęboki odzew krowy: muuuu!

Najpierw zapadła kompletna cisza, a po chwili całe *zendo* wybuchnęło głośnym śmiechem. Ta krowa już na pewno rozwiązała swój koan, po tylu latach. W końcu nie wszyscy w Polsce są wegetarianami. Ciekawą osobą był także duży czarny pies, wegeterianin, zdaje się, że miał na imię Chiński Generał. Siedział przy drodze i obserwował nadchodzących. Jakoś wiedział, kto jest swój i pozwalał przejść bez warknięcia, chociaż przechodziliśmy obok niego niemalże na palcach.

Wyścig po dokusan

Dwa lata po skończeniu doktoratu uznałem, że komuna już się kończy i jako inżynier robię się powoli zastały. Spodziewałem się rozruchów politycznych, które by jeszcze zwiększyły ten zastój. Aby zdobyć proste narzędzia do pomiaru ciśnień, musiałem jeździć ze Szczecina do Łodzi i Gliwic. Nadszedł czas na kolejną zmianę w moim życiorysie – emigrację. W większości moich dotychczasowych doświadczeń, także zen, brała udział studentka architektury Politechniki Szczecińskiej, Basia Ciszewska. W kwietniu 1980 r. wyemigrowaliśmy razem do Toronto, gdzie wciąż mieszkamy. Jeszcze w Londynie wzięliśmy ślub i żyje nam się dobrze razem do dzisiaj. Wybraliśmy Toronto z uwagi na bliskość do Rochester w USA. Roshi Kapleau miał swój główny ośrodek zen w Rochester i mogliśmy tam jeździć samochodem kilka razy w roku. To około trzy godziny jazdy. W tamtych czasach było w Kanadzie znacząco

mniej policji i mandaty były niższe, a więc jazda do Rochester zajmowała mi mniej czasu. *Sesshin* w Rochester były także bardzo serio, ale atmosfera była inna. Nie było już tej czystości dążenia do czegoś, jaka była w Polsce, przynajmniej ja tak to odbierałem. Atmosfera była zwykle napięta i najbardziej nie lubiłem wyścigów na *dokusan*, czyli na rozmowę z nauczycielem. Tylko pewna liczba studentów mogła się dostać na *dokusan* i trzeba było zdążyć zająć właściwe miejsce. Warunki do medytacji były bardzo dobre i wszystko było zorganizowane niemal do poziomu pyłka kurzu na podłodze. Jeździliśmy do Rochester kilka razy w roku, na *sesshin* i różne uroczystości. Po około pięciu latach mojej systematycznej pracy z zen roshi Kapleau uznał, że nigdy jeszcze nie miał tak nieudanego studenta. Stwierdził, że pomimo poważnej pracy nie zrobiłem żadnych postępów.

Jednocześnie poczęła mnie frustrować praca w firmie, gdzie brałem udział w budowaniu tuneli wiatrowych do badań samochodów. Basia orzekła, że skoro od wielu lat chciałem pojechać do Azji, to dlaczego nie teraz. Po krótkim wahaniu rozstałem się z firmą, zostawiłem Basię w Toronto i poleciałem do Japonii. Zostałem zaakceptowany na kilkumiesięczny trening w klasztorze Rinzai Sogen-ji w Okayama. Sogen-ji zbudowano około 400 lat temu jako ośrodek treningowy i klasztor przy cmentarzu rodzinnym lokalnego shoguna. To ładny ośrodek, a roshi Harada jest wspaniałym nauczycielem. Wiedziałem, że kilka miesięcy to niewiele czasu, więc z niemal absolutnym poświęceniem praktykowałem w czasie kilkugodzinnych, codziennych medytacji i na trzech comiesięcznych *sesshin*. Jedno było siedmiodniowe, z typową dyscypliną i dwa pięć-

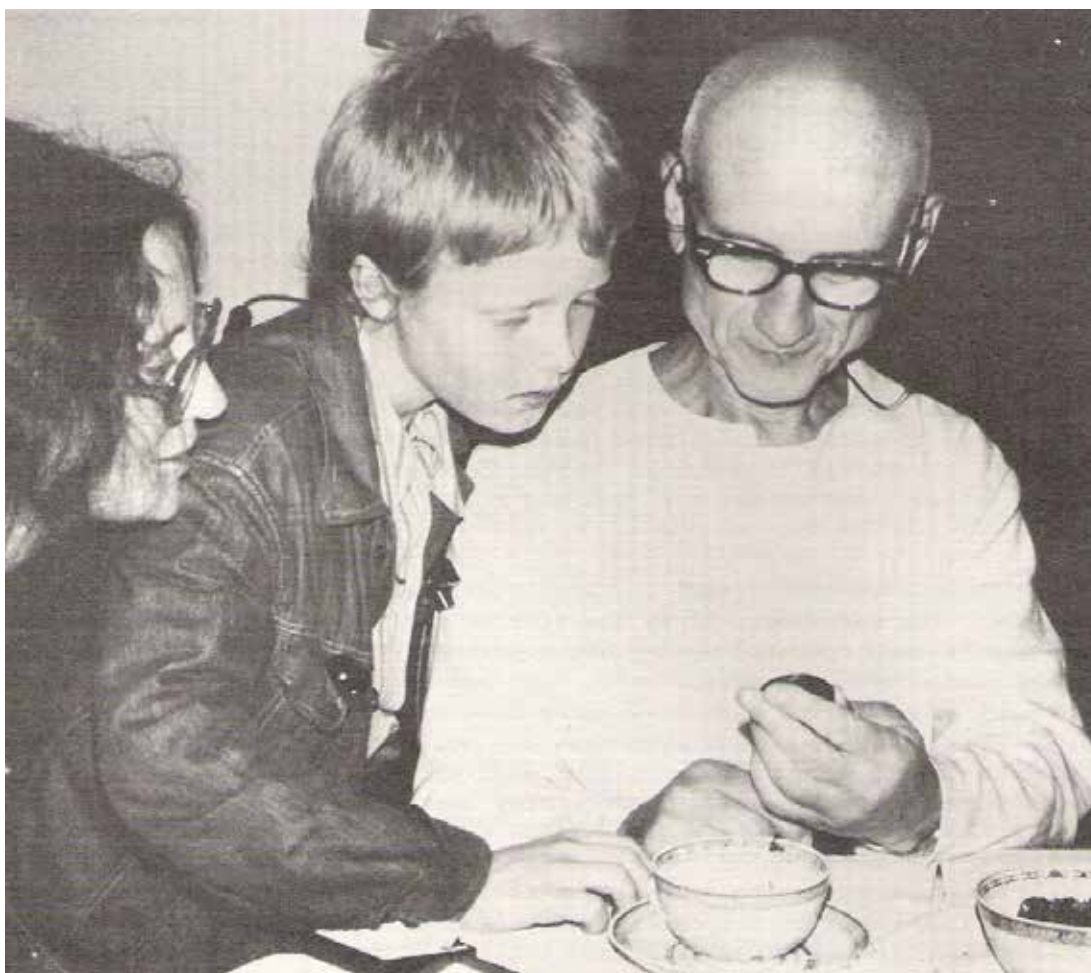


Kamieńczyk, 1975 r. Nyogen (Włodek Nowak), Jacek Kwaśnik, Janusz Korbel, Teresa Korbel, Andrzej Urbanowicz. Arch. Jan Sar

ciodniowe, kiedy można było w przerwach nawet rozmawiać. Po każdym siedzeniu był dzień wolny od zajęć. Dyscyplina w Sogenji była poważna, ale prawie niezauważalna. Wszystko było po prostu zharmonizowane i należało tylko niejako płynąć z prądem. Miejsca do siedzenia wyznaczał roshi i kiedy był czas na *dokusan*, należało wstać, zrobić zwrot i szeregiem dreptać do pomieszczenia, gdzie czekaliśmy na swoją kolej. Każdy miał swoje miejsce i zagwarantowaną rozmowę z nauczycielem. Nie było żadnej konieczności, aby się przepychać czy frustrować.

Niektóre wydarzenia były bardziej znamienne niż inne. Jedno z nich było zaskakująco pouczające i kontrastowało z obyczajami w USA. Mnich nadzorujący całokształt prac i organizację klasztoru, czyli Daijo, był z pochodzenia Amerykaninem i spędził w japońskich klasztorach wiele lat. Był doświadczonym

mniczem, ale jednocześnie miał podejście do studentów dość despotyczne. Wyjechał do Japonii, kiedy był jeszcze nastolatkiem, i znalazł się w jednym z niewielu wciąż istniejących, tradycyjnych klasztorów treningowych. Metody treningowe i sposób codziennego bytowania zależą w każdym klasztorze od osobowości nauczyciela. Jego pierwszy klasztor znajdował się w górach, daleko od miasta. Większość klasztorów japońskich zamieniła się obecnie w kościoły i w miejsca odwiedzin dla turystów. Daijo opowiedział mi część swojej historii z klasztoru, o swoich dalszych dążeniach, rozwoju duchowym. W tamtym klasztorze były tradycyjne obyczaje sprzed wieków. Obowiązywało prawo starszeństwa i starszy był nie ten, kto miał więcej lat, ale ten, kto przybył pierwszy, choćby nawet o minutę wcześniej. Jednocześnie „starszy” mógł uderzyć „młodszego” za na-



*Urszula Broll-Urbanowicz, Roger Urbanowicz, Philip Kapleau. Pracownia, wrzesień 1975 r.
Fot. Ireneusz Kulik*

wet drobne przewinienia czy niesprawności. Daijo przyzwyczaił się do rękoczynów i nie mógł się tego pozbyć. Zalaż się w Sogen-ji, kiedy zmarł jego nauczyciel w poprzednim klasztorze, i w nowym miejscu miał problem ze swoim zachowaniem. Rękoczyny nie były akceptowane w Sogen-ji. Daijo był agresywny i często podnosił głos na mnichów. Działal mi na nerwy, ale starałem się to ignorować. Wbrew temu, co wiele osób myśli o praktykach medytacyjnych, życie w klasztorach nie zawsze jest symbolem braterstwa i harmonii. Kiedy się dużo medytuje i mało śpi, nerwy są nieraz napięte bardziej niż w zwykłym życiu. Poza tym praca nad sobą ma na celu zniwelowanie naszych nagromadzonych w podświadomości różnego typu emocji, które wytworzyliśmy myślą, mową i uczynkiem. Normalnie życie w Sogenji było spokojne i pogodne. Wszystko było zharmonizowane i rozkład dnia był tak rozplanowany, żeby był czas na medytację i na odpoczynek. Pracowaliśmy tylko w dni poza *sesshin* i tylko trzy godziny dziennie. Resztę czasu poświęcaliśmy na medytację, studia i odpoczynek. Czulem się dobrze z ogoloną głową, ale od czasu do czasu moje ego domagało się powrotu do bardziej typowego trybu życia. Zastanawiałem się, czy nie poszukać innego klasztoru, żeby przestać znosić zachowania Daijo. Nie brałem wtedy pod uwagę, że to ja i moje emocje, czyli moje ego są problemem, a nie Daijo. Któregoś dnia postawiłem się mu stanowczo. Doszło do agresywnej wymiany słów między nami, a mnisi i reszta studentów rozsiedli się na trawie i śmiali wesoło, zadowoleni, że nareszcie Daijo trafił na swój kamień. Po tej awanturze uznałem, że nie mogę tam dalej pozostać. W Rochester Zen Center ludzie byli wydalani za dużo mniejsze wykroczenia. Zostawiłem więc całe towarzystwo, spakowałem plecak i już byłem w bramie klasztornej, kiedy sobie uświadomiłem, że powinienem przynajmniej pożegnać się z roshim i podziękować za gościnę i nauki. Zjawił się po pół godzinie i najpierw zrobił ceremonialną herbatę. Minęła mi już irytacja, ale byłem wciąż zdecydowany odejść. Byłem pewien, że roshi tego oczekuje. Wysłuchał, co się wydarzyło, upewnił się, że nie było żadnych rękoczynów, a tylko wymiana ostrych słów. Popijaliśmy herbatę, odpowiadałem na różne pytania związane z awanturą. W koń-

cu zapytał: „Pomyśl, co jest takiego w tobie, że kilka głośniejszych słów cię tak irytuje? Czy rozumiesz?”. Oczywiście rozumiałem. Roshi opowiedział mi część historii Daijo, o dawnych metodach treningowych. Miał nadzieję, że ktoś kiedyś postawi się Daijo, co mu pomoże pozbyć się agresywnych zachowań. Zamknął sprawę stwierdzeniem, że „Daijo uzewnętrznił swój nastrój, a ty swój. Nic się więc takiego nie wydarzyło, tylko nie używajcie rąk czy nóg”. Polecił mi się rozpakować i wrócić do zajęć. Dwa miesiące później przesiedziałem z moim już przyjacielem Daijo w kawiarni hotelowej kilka godzin i przegadaliśmy nasze doświadczenia. Praktykujemy zen właśnie dlatego, że nie jesteśmy doskonali, a więc wszystko jest OK, dopóki nie wyrządzamy trwałej szkody innym ani sobie. A to, że ktoś coś powiedział jakimś głosem, nie powinno być traktowane inaczej niż upuszczenie ciśnienia przez zawór bezpieczeństwa. (...)

Ty siedź, ja zamiętę

Z Sogen-ji pojechałem pociągiem do Bukoku-ji, do roshiego Tangena. Przyjechałem tylko na dziesięć dni, w tym siedem na *sesshin*, następnie do Hong Kongu i dalej do Nepalu, Indii, Birmy i Tajlandii. W Bukoku-ji kolejne zaskoczenie. Było już ciemno, kiedy pojawiłem się w bramie klasztoru i tylko jedno pomieszczenie na piętrze w jednym z budynków było słabo oświetlone. Domyśliłem się, że jest to *zendo* i czas wieczornej medytacji. Po chwili z mroku wyłonił się starszy Japończyk w szacie mnicha. „Gregory?” Domyśliłem się, że jest to roshi Tange. Zaprowadził mnie do pomieszczenia z podłogą przykrytą japońską matą. Wskazał palcem miejsce na macie, mówiąc kiepską angielszczyzną: „Ty tu śpi. Ja po materac.” Zaprotestowałem, że sam mogę przynieść, ale nie chciał nawet słyszeć: „Ty zmęczony, podróżował, czekaj” i odszedł w ciemność. Po chwili wrócił, dźwigając zwinięty materac. Byłem zaskoczony takim traktowaniem studenta. Kiedy szedłem w kierunku budynku *zendo*, pojawił się roshi i razem szliśmy do góry, usiłując coś mówić. Zauważyłem na schodach parę dość dużych kłębków kurzu. On też zerknął i mówi, że dobrze by to było zamieść. Natychmiast się odwróciłem, aby

iść po szczotkę, ale zatrzymał mnie, mówiąc: „Ty siedź i praktykuj, ja zamiotę”. W ośrodku amerykańskim nie tylko nie można było sobie wyobrazić roshiego sprzątającego podłogę, ale nawet kurzu gdziekolwiek przed *sesshin*. Kiedy się już rozprostowywaliśmy po siedmiu dniach pracy nad swoimi zadaniami, roshi skinął: „Chodź, chodź”. Poszedłem za nim do jego części mieszkalnej i tam mi wręczył przez siebie napisaną, japońską kaligrafię z pieczętkami jego i Bukoku-ji. Kaligrafia oznacza *oneness*, wszystko jest jednym. Po dziś dzień nie wiem, skąd takie wyróżnienie. Podziękowałem i następnego dnia opuściłem klasztor, jak wstępnie zaplanowałem.

Z Bukoku-ji pojechałem pociągiem do Tokyo i stamtąd do Hongkongu, gdzie kilka dni później spotkałem się z Basią, która przyleciała z Toronto. Po kilku dniach poleciliśmy do Katmandu w Nepalu, skąd wybraliśmy się na Kopan Hill, gdzie spędziliśmy kilka dni praktykując medytację i słuchając wykładów lamów tybetańskich. Następnie podróżowaliśmy, odwiedzając różne znaczące w buddyzmie miejsca. Byliśmy w Bodgaja w Indiach, gdzie Budda doszedł do oświecenia, w Lumbini w Nepalu, gdzie się urodził, w Kusinagar, gdzie rzekomo zmarł, i w paru innych miejscach. Następnie poleciliśmy do Birmy, gdzie odwiedziliśmy Mandalay Pagan z setkami pagód i stolicę Rangun. Płynęliśmy statkiem po rzece Irrawaddy. Z Birmy poleciliśmy do Tajlandii, a stamtąd z powrotem do Hongkongu. Basia wróciła do Toronto, a ja jeszcze raz na *sesshin* do Bukoku-ji. I znów na koniec roshi wręczył mi swoją kaligrafię *now, here* (teraz, tutaj). Zajęło mi sporo lat, aby zrozumieć sens tych obu kaligrafii i traktuję je jako specjalne zadanie od nauczyciela. Oprawiłem je, wiszą w naszym domowym zendo.

Po powrocie z Azji wróciłem do tzw. normalnego życia inżyniera w Kanadzie. Dostałem

pracę jako kierownik grupy inżynierskiej w rządzie prowincji Ontario, gdzie spędziłem dziesięć lat, a później wróciłem do budowania tuneli wiatrowych, głównie w Europie i w USA. Odwiedzałem Europę kilka razy w roku, głównie Niemcy, Szwajcarię, Szwecję, Anglię i Francję. Od trzynastu lat prowadzę usługi inżynierskie jako firma jednoosobowa i mam się dobrze. Do zen w wydaniu amerykańskim już nie wróciłem od czasu powrotu z Japonii. Zainteresowałem się problemami otaczającego mnie świata; dlaczego wciąż tyle wojen i nędzy, jakie jest pochodzenie człowieka, historia cywilizacji itd. Zainteresowania zaprowadziły mnie na Bimini na Karaibach, na Antarktykę i Szpitsbergen, i dały mi pewne doświadczenia, które by można określić jako mistyczne. Ciąg dalszy to egipski gnostycyzm, Księga I-Ching.

Bardzo dobrze, że buddyzm stał się normalnym zjawiskiem w Polsce. Istotne, aby stał się stylem życia, a nie kolejną falą fascynacji, jak w wielu krajach, włącznie z Japonią. Prawdziwa praktyka to jest ciągle studiowanie życia okiem zen, w każdej sytuacji. Należy widzieć świat takim, jakim naprawdę jest „tu, teraz” i że „wszystko jest jednym”. A wszystko to zaczęło się na Piastowskiej w Katowicach. Dla mnie zaczęło się to 34 lata temu i teraz jestem pewien, że nigdy ani nie przestanę praktykować, ani się nie zatrzymam w poszukiwaniu rzeczywistego obrazu naszego świata. Czasy nadchodzą ciekawe, i trudne i ciągle jest dużo do zrobienia i zrozumienia. Tak więc na razie muszę poprzestać na tych paru obrazkach z życiorysu.

Z głębokim szacunkiem za wasz wysiłek i sprowadzenie buddyzmu zen do Polski i do naszego życia,

Grzegorz Szewczyk

Toronto, 28 października 2010

Zen na poddaszu. Przyczynek do recepcji buddyzmu w Polsce

Artykuł jest próbą przedstawienia dziejów recepcji buddyzmu w powojennej Polsce, jako elementu przenikania nad Wisłę zjawisk charakterystycznych dla cywilizacji zachodniej (atlantyckiej) w 2. połowie XX w.

Przedstawione zostały główne, pozauniwersyteckie ośrodki i grupy, w których podejmowano próby praktyk buddyjskich oraz osoby, które przyczyniły się do popularyzacji różnych odmian buddyzmu, ze szczególnym uwzględnieniem nurtu zen i roli, jaką w jego rozpowszechnianiu w Polsce odegrał amerykański nauczyciel buddyzmu zen Philip Kapleau. Przedstawiono również działania prowadzone przeciwko polskim buddystom przez policję polityczną oraz drogę prowadzącą do rejestracji i tym samym zalegalizowania działalności pierwszej wspólnoty buddyjskiej w Polsce, co nastąpiło dopiero w 1981 r.

Pierwszymi buddystami, którzy w XIX w. na dłużej zagościli nad Wisłą, byli Kałmuci i Buriaci służący w armii carskiej i wysyłani do garnizonów w „przywiślańskim kraju”. W okresie młodopolskim, na przełomie XIX i XX w. zainteresowanie buddyzmem docierało z Zachodu, gdzie pojawiło się w kręgach artystycznych i literackich, jednak była to najczęściej wtórna recepcja, często pomieszana z innymi religiami i nurtami duchowości azja-

tyckiej, które przenikały za pośrednictwem tłumaczeń modnych wówczas na Zachodzie publikacji dotyczących szeroko pojętych religii i kultur Dalekiego Wschodu¹. W okresie międzywojennym badania nad buddyzmem podjęto przede wszystkim w trzech ośrodkach uniwersyteckich – Krakowie, Lwowie i w Warszawie, a tamtejsi orientaliści m.in. tłumaczyli teksty buddyjskie z języków oryginalnych, przede wszystkim z sanskrytu i języka palijskiego. W latach 30. osobne zajęcia z filozofii buddyjskiej prowadzone były m.in. na Uniwersytecie Warszawskim. Obok naukowej refleksji nad systemami filozoficznymi i religiami Azji, na różnych płaszczyznach przenikała popularna recepcja buddyzmu. Założone z inicjatywy Wandy Dynowskiej Polskie Towarzystwo Teozoficzne w Warszawie prowadziło spotkania i organizowało prelekcje popularyzujące różne nurty duchowości Wschodu, w tym również buddyzmu². Elementy buddyzmu pojawiały się również w kręgach innych, modnych w okresie międzywojennym, towarzystw teozoficznych i łóz ezoterycznych, które skupiały nie tylko złańionych duchowych przeżyć artystów, ale również członków elit, biznesmenów i niektórych oficerów. Rozwój tych grup przerwała wojna. Warto zaznaczyć, że był to odprysk pierwszej recepcji buddyzmu w Europie, oparty przede wszystkim na tzw. therawadzie, jednej z najstarszych szkół buddyjskich, od języka kanonu, w którym spisano większość pism, nazywanego również „buddyzmem palijskim”. Na tej fali w latach 30. zaczęły docierać do Europy kolejne szkoły: dalekowschodnia mahajana (*mahāyāna*), czyli tzw. buddyzm wschodni oraz tybetańska wadžrajana (*vajrayāna*), tzw. buddyzm północny³.

Na podstawie zachowanego materiału źródłowego i nielicznych wspomnień trudno dziś odpowiedzieć na pytanie, jak liczne były środowiska, w których po zakończeniu wojny, poza obiegiem uniwersyteckim, interesowano się buddyzmem czy też podejmowano praktyki buddyjskie. Z pewnością pojedyncze osoby, a być może nawet kilkusobowe gru-

py, kontynuowały swoje przedwojenne zainteresowania. Na pewno byli wśród nich i ci, dla których buddyzm był czymś więcej, niż tylko intelektualną przygodą, skoro w kwietniu 1953 r. do Ministerstwa Oświaty trafiło podanie mieszkańca Krakowa, który zwrócił się z pytaniem, czy może w urzędowych dokumentach, w rubryce „wyznanie”, zmienić zapis z „rzymskokatolickie” na „buddyjskie”. Oznajmił również, że o zmianie wyznania wcześniej poinformował listownie sekretariat dalajlamy w Lhasie⁴.

Pierwszą, poświadczoną grupą pasjonatów buddyzmu był krąg osób skupiony wokół Władysława Misiewicza. Ten urodzony w 1910 r. we Lwowie bibliotekarz, księgarz i poliglota, już w okresie międzywojennym interesował się religiami i kulturami Dalekiego Wschodu. Był również członkiem Lwowskiego Towarzystwa Teozoficznego. Podczas kampanii wrześniowej służył w kawalerii. Ranny pod Iłowem, niedaleko Sochaczewa, trafił do niewoli. W obozie jenieckim nawiązał znajomość z austriackim strażnikiem, podobnie jak on pasjonatem religii orientalnych, a co więcej, przekonany zwolennikiem nauk Buddy. Po ucieczce z obozu na początku 1940 r. wrócił do rodzinnego Lwowa. Tam spędził lata okupacji. Po zakończeniu wojny Misiewicz zamieszkał w Radomiu, gdzie pracował jako księgarz i bibliotekarz. Od 1967 do 1977 r. był kierownikiem czytelnicy naukowej w Miejskiej (od 1975 Wojewódzkiej) Bibliotece Publicznej w Radomiu. Jednocześnie kontynuował swoje przedwojenne pasje⁵. Na własne potrzeby zbierał i tłumaczył literaturę buddyjską, a jego unikalny księgozbiór liczył setki, a z czasem tysiące tomów publikacji, artykułów i odpisów z tej tematyki. Z mieszkającym w Gliwicach Piotrem Bonińskim w 1949 r. wspólnie założyli nieformalne Koło Przyjaciół Buddyizmu, którego celem miały być studia nad buddyzmem i popularyzacja nauk Buddy w świetle treści kanonu palijskiego⁶. Początkowo członkowie Koła spotykali się wyłącznie w zaprzyjaźnionym gronie, by od końca lat pięćdziesiątych przejść do spotkań półoficjalnych, organizując odczyty

i wykłady publiczne, choć nigdy nie zarejestrowano działalności Koła⁷.

Gliwiczanie Piotr Boniński znał język niemiecki, dzięki czemu był autorem licznych przekładów tekstów (*sutr*) buddyjskich opublikowanych wcześniej w języku Goethego. W 1962 r. Misiewicz i Boniński zaczęli wydawać pismo „Ehi Passiko”, noszące podtytuł „Biuletyn Listowy Koła Przyjaciół Buddyizmu w Polsce”. W odstępach około półrocznych opracowywano kilkadziesiąt stron maszynopisu, który w odpisach rozsyłano do około dwudziestu, z czasem trzydziestu osób w kraju. Jednocześnie Misiewicz i Boniński korespondowali ze stowarzyszeniami i badaczami buddyzmu na Zachodzie, a artykuły Misiewicza i Bonińskiego ukazały się w zachodnich periodykach i czasopismach. Współpracę dwójki pasjonatów buddyzmu przerwała w 1968 r. śmierć Bonińskiego⁸. Misiewicz był również autorem polskiego tłumaczenia *Word of the Buddha* Nyanatiloki, które ukazało się jako maszynopis powielony w South Bend (USA)⁹.

Jeszcze w połowie lat 70. XX wieku funkcjonariusze Służby Bezpieczeństwa uważali Radom za główny ośrodek buddyzmu w Polsce, gdzie – według ich szacunków – kilkanaście osób studiowało naukę Buddy i prowadziło korespondencję z buddystami z zagranicy. Misiewicz był postrzegany jako „największy entuzjasta tego ruchu” i lider grupy złożonej przede wszystkim z młodzieży, której miał imponować „wiedzą i odczytaniem oraz kontaktami utrzymywanymi z mieszkańcami dalekich, egzotycznych krajów”¹⁰. Po 1977 r., będąc na emeryturze, Misiewicz poświęcił się tłumaczeniom klasycznych tekstów buddyjskich i opracowywaniu słownika polsko-palijskiego. Doczekał końca komunizmu. Zmarł w 1997 r. w Radomiu. Rodzina przekazała jego księgozbiór do zbiorów Biblioteki Wydziału Orientalistycznego Uniwersytetu Warszawskiego¹¹.

Nic jednak nie wskazuje, by Misiewicz i jego przyjaciele praktykowali buddyzm, a ich zainteresowania ograniczały się raczej do

refleksji intelektualnej. Zapytany po latach, czy przeżył buddyjskie oświecenie, stanowczo zaprzeczył, stwierdzając, że czuje się katolikiem, a buddyzm stanowił dla niego jedynie zbiór zasad moralnych¹². Pomimo to z pewnością miał kontakt z osobami próbującymi praktyk buddyjskich. Waldemar Zych zapamiętał, że jesienią 1977 r. Misiewicz podarował mu broszurę na temat buddyzmu tybetańskiego wraz z adresem w Krakowie, pod którym odbywały się spotkania formacyjne połączone z medytacją¹³. Było to już jednak dwa lata po tym, jak w katowickim mieszkaniu Andrzeja Urbanowicza odbyły się słynne warsztaty zen z udziałem Philipa Kapleau. Można postawić tezę, że grupa skupiona wokół Andrzeja Urbanowicza była pierwszą, aktywną wspólnotą buddyjską na ziemiach polskich.

Andrzej Urbanowicz przyszedł na świat 28 kwietnia 1938 r. w Wilnie. Tam, w kamienicy przy ul. Krzywe Koło pod numerem 27 mieszkał do 1945 r. Jego ojciec Edmund był zawodowym żołnierzem, oficerem Korpusu Ochrony Pogranicza. Matka Halina, z domu Gottschalk była artystką, absolwentką Wydziału Sztuk Pięknych Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie. Ojciec po klęsce wrześniowej w 1939 r. dostał się do niewoli. Po 1945 r. pozostał na Zachodzie. Jesienią 1947 r. Halina Urbanowicz, wraz z matką i dziećmi na zawsze opuścili miasto nad Wilią. Pod koniec 1947 r. trafili do Raciborza, gdzie Halina znalazła posadę w tamtejszym muzeum. Andrzej szybko usamodzielniał się. W maju 1955 r. zdał maturę, po czym z pozytywnym wynikiem złożył egzaminy na Akademię Sztuk Pięknych w Krakowie. W maju 1956 r. w Katowicach, podczas wernisażu katowickiej grupy artystycznej ST-53, poznał starszą o dziewięć lat artystkę Urszulę Broll. Rok później Urbanowicz i Broll wzięli ślub. Urszula jakiś czas jeszcze mieszkała w rodzinnym domu przy ul. Klonowej, zaś Andrzej dzielił czas pomiędzy Kraków a Katowice, by z czasem na stałe przenieść się do miasta nad Rawą. Urbanowiczowie szukali dla siebie mieszkania, a przede wszystkim pracowni, w której

mogliby realizować swe twórcze i zawodowe pasje¹⁴.

Na początku 1960 r. zaadaptowali na ten cel stary, przez lata nieużywany strych w kamienicy przy ul. Piastowskiej w Katowicach, a jednocześnie rozpoczęli starania o pozyskanie mieszkania znajdującego się piętro niżej. W czerwcu 1965 r. zameldowali się już pod nowym adresem, wciąż jednak mieszkając u rodziców¹⁵. Jeszcze w tym samym roku, w listopadzie na świat przyszedł ich syn Jan Roger¹⁶. W 1969 r. przeprowadzili się ostatecznie na Piastowską, gdzie zamieszkała z nimi również Halina Urbanowicz, matka Andrzeja¹⁷. W międzyczasie Andrzej skończył studia i stał się dyplomowanym artystą. W kwietniu 1963 r. w warszawskiej Galerii Sztuki Nowoczesnej „Krzywe Koło” miała miejsce pierwsza samodzielna wystawa jego prac¹⁸.

Codziennymi bywalcami poddasza byli między innymi: student Akademii Sztuk Pięknych, a następnie młody adept sztuki Henryk Waniek, filmowiec Antoni Halor i Zygmunt Stuchlik, w 1957 r. usunięty z akademii, po tym, jak władze uczelni dowiedziały się, że studiował wcześniej w seminarium duchownym. Grupę przyjaciół łączyły wspólne zainteresowania artystyczne oraz fascynacje szeroko pojętymi „naukami tajemnymi”, ezoteryką, parapsychologią i duchowością Wschodu. Spotkania połączone z dyskusjami o religii, sztuce i filozofii szybko stały się popularne poza hermetycznym kręgiem piątki stałych bywalców. Organizowano, często w szerszym gronie, prywatne wernisaże, akcje artystyczne, domowe pokazy filmowe i koncerty, a wszystko to bez protekcji i oficjalnego przyzwolenia władzy¹⁹.

Życie katowickich artystów płynęło jakby podwójnym nurtem. Obok oficjalnych spotkań i wernisaży w Biurze Wystaw Artystycznych i państwowych galeriach, podejmowano liczne działania nieinstytucjonalne, często spontaniczne, podążające za modą i trendami nadciągającymi zza „żelaznej kurtyny”.

Właściciele pracowni na poddaszu przy ul. Piastowskiej, jak również odwiedzający ich przyjaciele, funkcjonowali poniekąd na marginesie katowickiego środowiska artystycznego. Urbanowicz wyłamywał się z szablonu, w który próbowano wpasować pracowników i studentów zamiejscowego II Wydziału Grafiki Propagandowej Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie z siedzibą w Katowicach²⁰. W środowisku katowickich plastyków uchodził za ekscentryka, alienującego się od pozostałych, niektórzy członkowie Związku Polskich Artystów Plastyków uważali go za niezrównoważonego psychicznie²¹.

W drugiej połowie lat 60. Urbanowicz i jego przyjaciele coraz bardziej fascynowali się literaturą ezoteryczną, czemu sprzyjały kontakty towarzyskie i znajomości z osobami przejawiającymi podobne pasje i zainteresowania, m.in. z Janem Hadyną, Władysławem Czapnikiem i Mariuszem Tchorkiem oraz pomoc katowickiego antykwariusza i bukinyisty Józefa Lacha²². W grudniu 1967 r., krótko przed Bożym Narodzeniem, w pracowni na poddaszu Antoni Halor, Urszula Broll, Zygmunt Stuchlik, Henryk Waniek i Andrzej Urbanowicz powołali do życia grupę artystyczną *Oneiron*. Nazwę, którą tłumaczono jako „śnialnia”, wymyślił Waniek. Pięcioro przyjaciół postanowiło urzeczywistnić swoje dotychczasowe poszukiwania artystyczne i duchowe, tworząc coś w rodzaju ezoterycznego kręgu, którego członków łączyły wspólne fascynacje z pogranicza sztuki, religii i filozofii. Czytano i tłumaczono dzieła poświęcone magii i alchemii, gnostyckie traktaty i książki dotyczące szeroko pojętej duchowości. Przekazywano sobie m.in. przetłumaczone na język polski i przepisane na maszynie fragmenty książki *The Three Pillars of Zen (Trzy filary zen)* Philipa Kapleau, którą Henryk Waniek otrzymał latem 1967 r. wraz z przesyłką pocztową od Stanleya Heyn-Piaścika z Berkeley. Tłumaczono również pisma Laozi (Lao-Tsy), „Tybetańską Księgę Umarłych”, „Teksty Piramid”, przedruki i skrawki literatury ezoterycznej, która wielką falą zalewała

ogarnięty kontrkulturową rewolucją Zachód, a za „żelazną kurtyną” dostępna była jedynie w nielicznych bibliotekach i na antykwarycznych półkach. Pomiędzy 1965 a 1973 r. udało się im przetłumaczyć pięć dużych książek i niezliczoną liczbę mniejszych tekstów. Pierwszymi tłumaczami byli członkowie grupy „Oneiron”. Później dołączyli do nich gościnnie m.in. Tadeusz Sławek i Jerzy Prokopiuk. Początkowo teksty przepisywano przez kalkę na maszynie do pisania, a znajomy intrologator pomagał nadać luźnym kartkom kształt przypominający książkę. Z czasem udało się, oczywiście nielegalnie, skorzystać z pomocy osób znających się na poligrafii i powołano do istnienia podziemne mini wydawnictwo²³.

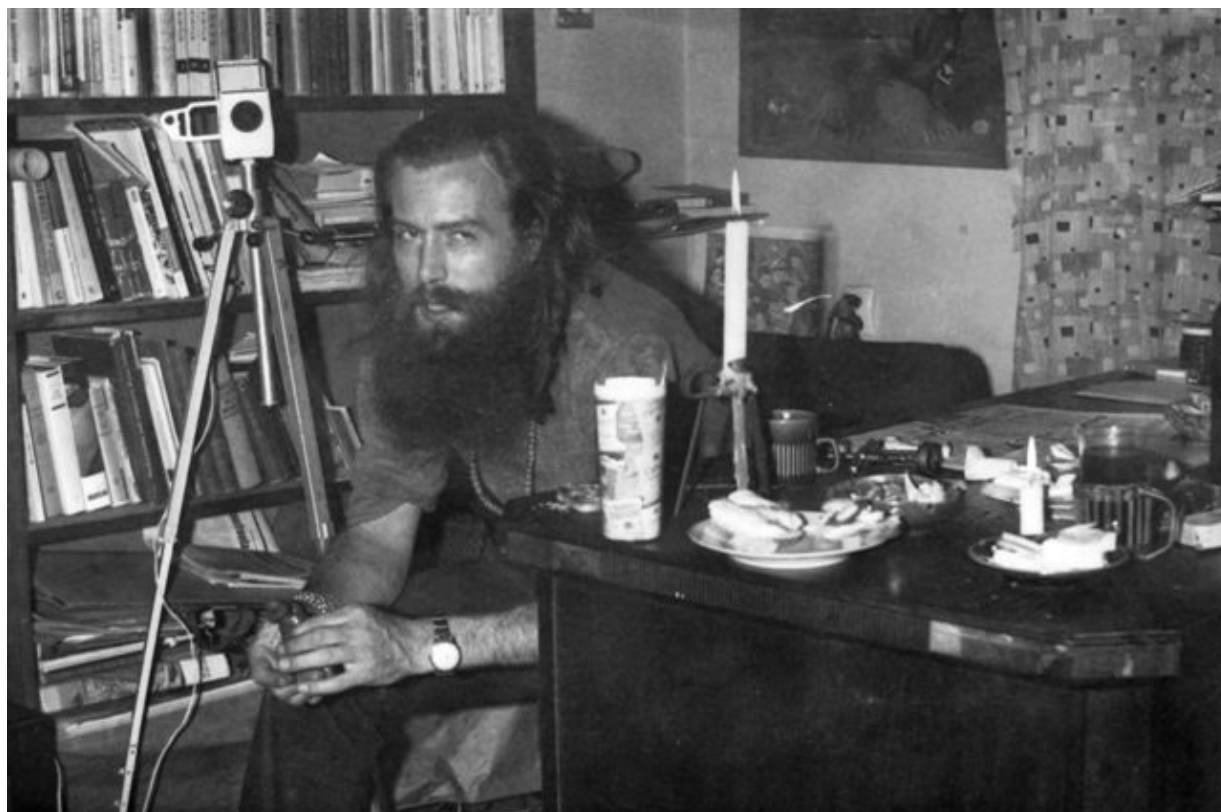
Zainteresowania członków *Oneironu* były odpryskiem kolejnej fali recepcji buddyzmu na Zachodzie, tzw. *Zen boom*, przypadającego na koniec lat 60. i lata 70. XX wieku, a którego korzenie sięgały jeszcze okresu międzywojennego. Popularyzatorami zen byli m.in. japoński myśliciel Daisetz Teitaro Suzuki, którego eseje o buddyzmie zen wprowadziły ten nurt myśli buddyjskiej w świat człowieka Zachodu oraz brytyjski pisarz Alan Wilson Watts, autor, mającej dziś status klasycznej, wydanej w 1936 r. książki *The Spirit of Zen* i o 21 jeden lat późniejszej, popularnej wśród ruchów kontrkulturowych *The Way of Zen*²⁴. Po drugiej wojnie światowej z krytyką społeczeństwa konsumpcyjnego i tradycji dominujących w cywilizacji euroatlantyckiej spłótły się elementy różnych kultur i religii wschodnich, tworząc żywiołową, nierozzerwalną, choć z pozoru chaotyczną całość. W kulturze masowej, modzie, stylu życia zaznaczyły się wyraźnie szokujące, szybkie i nieodwracalne zmiany. Młodzież epoki buntu lat 60. tworzyła alternatywne struktury społeczne, alternatywne hierarchie wartości, alternatywne style życia. Recepcja buddyzmu, hinduizmu i ich mutacji w Ameryce Północnej i Europie Zachodniej była fenomenem, który od lat 60. XX wieku zakreślał coraz większe kręgi²⁵.

W tym samym czasie Urbanowicz i niektórzy z bywalców katowickiego poddasza eksperymentowali z mało znanymi w ówczesnej w Polsce środkami otwierającymi szerzej „drzwi

percepcji”. Palili suszone konopie, szperali w starych podręcznikach zielarstwa i farmacji, w poszukiwaniu lokalnych surogatów narkotycznych używek. Próbowali odurzać się skórkami bananowymi, gałką muszkatolową i halucynogennymi grzybami, choć nierzadko zamiast spodziewanych halucynacji kończyło się na bólach żołądka. Urbanowicz eksperymentował z czerwonym muchomorem²⁶. Zdzisław Beksiński, który przyjaźnił się z katowickimi artystami skupionymi wokół Andrzeja Urbanowicza, we wrześniu 1969 r. pisał w liście do Marii Turlejskiej: „Czy ma Pani źródło (choćby przez syna) na zdobycie trochę LSD? Moi undergroundowcy domagają się narkotyków, już sobie ułożyli wszystko jak potrzeb[eb]a, mieszkają po dziesięciu, śpią ze sobą na zmianę i ze swoimi dziećmi, jak też psami, kotami etc., nie myją się, nie golą, ale narkotyków nie mają. Posłałem im trochę kokainy i morfiny, ale nic więcej nie miałem, a to niemożliwe. Więc kupują lub kradną banany i suszą łupy, co potem ćmą w fajkach,

a po tym nie ma wizji, »lecz tylko nogi drętwieją«, jak mi wyznał jeden z nich. Swoją drogą to zupełna granda, że nie można dostać narkotyków w sklepach!”²⁷.

W grudniu 1971 r. rozpoczęto na poddaszu przy ul. Piastowskiej wspólne, cotygodniowe spotkania połączone z medytacją zen. Podobne w tym samym składzie odbywały się również w niewielkim domku w dzielnicy Katowic, Brynowie. Jednocześnie coraz częściej eksperymentowano z LSD, którego zdobycie od końca 1971 r. przestało być większym problemem. Już wcześniej eksperymenty z LSD prowadzili niektórzy psychiatrzy, np. Andrzej Janicki, dyrektor szpitala psychiatrycznego w Stroniu Śląskim, który dopuszczał do udziału w tych doświadczeniach jedynie zaufane osoby. Wśród nich m.in. także Andrzeja Urbanowicza²⁸. Kawałeczki papieru nasączone LSD otrzymywano również w listach nadsyłanych zza „żelaznej kurtyny”, a wraz z liberalizacją



Andrzej Urbanowicz na Piastowskiej 1, Katowice, początek lat 70. XX w. Fot. Janusz Korbel

polityki paszportowej i zwiększeniem możliwości wyjazdów na Zachód nasączone  rodkiem pastylki lub kawałki papieru przywozili artyści i ich przyjaciele. Na poddaszu przy Piastowskiej zainicjowano działalność Ligii Spostrzeżeń Duchowych, której pierwsze litery odnosiły się wprost do substancji psychoaktywnej zsyntetyzowanej w 1938 r. przez szwajcarskiego chemika Alberta Hofmanna. Bywalcy pracowni artystycznej Urszuli Broll i Andrzeja Urbanowicza w Katowicach przez jakiś czas nawet wymieniali się bezinteresownie LSD. Osoba, która przywoziła ten narkotyk w większych ilościach, po prostu dzieliła się nim ze znajomymi²⁹.

Otwarty dom, seanse narkotyczne, coraz silniejsze bodźce i doznania z jednej strony, z drugiej wewnętrzna potrzeba spokoju i wyciszenia, a także bez wątpienia popularność orientalnych religii, wszystko to złożyło się na przemianę, która doprowadziła Andrzeja Urbanowicza i jego przyjaciół do buddyzmu. Sam Urbanowicz przyznał po latach, że po-

czątek lat 70. był dla niego bardzo trudnym okresem. Pomimo zenitu artystycznych możliwości, wciąż brakowało miejsca i czasu na wyciszenie i poświęcenie się pracy twórczej. Narastała frustracja. Zachęcony przez przyjaciół oraz pod wpływem lektur i własnych przemyśleń postanowił rozpocząć praktykę samokontroli metodą buddyzmu zen. Udało mu się zdobyć adres amerykańskiego nauczyciela buddyzmu zen Philipa Kapleau, który nie tylko odpowiedział na list, ale przesłał stosowną literaturę. W sierpniu 1973 r. Andrzej Urbanowicz postanowił zakończyć swoje „wędrowki” z LSD, ściął włosy i jak wyznał, „wszystko poza buddyzmem straciło dla niego sens”³⁰.

Niedługo potem pracownia przy Piastowskiej zostaje przekształcona na miejsce medytacji, a przed jej drzwiami ustawiono dwie figury strażników Dharmy, stojące zazwyczaj przy świątyniach buddyjskich³¹.

Jeszcze w 1971 r. Urbanowicz kupił starą  hłopską chatę na wzg rzu Kamieńczyk w



Zdjęcie zrobione po sessin, Kamieńczyk 1978 r. Fot. Janusz Korbel

Na zdjęciu od prawej: Jacek Kwaśnik, Andrzej Urbanowicz, Teresa Korbiel, Jacek Ostaszewski, Maurycy G recki, Jacek Dobrowolski, Anna Sencerz (Falk), Jeremi Maślankowski (Kanzen), Ryszard Tyborowski, Joanna Borowska-Jungst (Eichelberg), Adam Sobota, Grzegorz Szewczyk, Ryszard Ratah, Urszula Sapeta (Ekyo), Urszula Broll-Urbanowicz, Leopold Lisicki, Krystyna Eichelberg z d. Żebro, Joanna Lasota (Eisenstein), Zenon Rochowski, Jan Sar, Toni Packer, Włodzimierz Nowak (Dharmian, Nyogen), Wojciech Eichelberg, Romuald Czepulkowski, Krystyna Kurzy cz (Andrews), Henryk Smagacz, Anna Andrzejewska (Klegon), Piotr Jankowski, Anna Maciejewska (Jedynak), Bolesław Rok, Janusz Wroński, Konrad Jungst, Marcel Markłowski, Tadeusz Woron. Od lewej, osoby siedzące: Jarosław Markiewicz, Tomasz Ho uj, Andrzej Jedynak, Stefan Sencerz, Ewa Jankowska, Dagmara von Biel, Małgorzata „Klara” Pi rkowska, Małgorzata Ostaszewska, Zbigniew Misiak.

Mącholicach Kapitulnych k. Masłowa na Kielecczyźnie. To właśnie tam, najczęściej latem, spotykali się przyjaciele i znajomi artyści z całego kraju, a także goście z zagranicy. Kiedy na poddaszu w Katowicach oraz w podkieleckich Mącholicach Kapitulnych zaczęto regularnie organizować warsztaty poświęcone teorii i praktyce buddyzmu, zainteresowani nimi przybywali z różnych stron Polski³². W ten sposób kształtowała się pierwsza w Polsce wspólnota buddyjska³³. Fakt ten nie umknął uwadze Milicji Obywatelskiej i Służby Bezpieczeństwa.

Na początku 1973 r. na biurko naczelnika Wydziału IV Komendy Wojewódzkiej MO w Katowicach Lucjana Pikuły trafiło pismo sporządzone w Departamencie IV Ministerstwa Spraw Wewnętrznych w Warszawie, w którym informowano, że „towarzysze węgierscy” poinformowali o kontakcie listownym, który Urszula i Andrzej Urbanowiczowie nawiązali z węgierskim orientalistą dr Ernestem (Ernő) Hetényi, liderem budapeszteńskiej organizacji buddyjskiej Arya Maytreia Mandala i szefem Instytutu Buddyjskiego w Budapeszcie³⁴. List został wysłany ze stolicy Węgier w październiku 1972 r. Hetényi zaprosił Urbanowicza do siebie, jednak ostatecznie do Budapesztu pojechała tylko Urszula Broll. Służba Bezpieczeństwa zainteresowała, Urbanowiczowi odebrano tzw. wkładkę paszportową umożliwiającą podróże do krajów demokracji ludowej. Nie otrzymał również paszportu na wyjazd czasowy do Szwecji, o który starał się od czerwca 1972 r., gdyż podejrzewano, że może stamtąd próbować przedostać się, via Niemcy Zachodnie, do ojca i siostry mieszkających w USA i nie wrócić już do kraju³⁵. W październiku 1973 r. jego nazwisko umieszczono na liście osób, którym na wniosek Wydziału II Komendy Wojewódzkiej MO w Katowicach zostały zastrzeżone wszelkie wyjazdy zagraniczne³⁶. Ponownie odmówiono mu paszportu w styczniu 1976 r., co uzasadniono tym, że „kieruje nielegalnym związkiem religijnym w kraju” i wyjazdy zagraniczne mogą posłużyć do „przemytu literatury bezdebitowej i kontak-

tów z przedstawicielami buddyzmu”³⁷.

Na początku 1976 r. Służba Bezpieczeństwa rozpoczęła starania o pozyskanie tajnych współpracowników wśród mieszkańców kamienicy przy ul. Piastowskiej³⁸. Jednocześnie funkcjonariusze Wydziału „W” Komendy Wojewódzkiej MO w Katowicach regularnie czytali korespondencję Urbanowicza i jego żony, skrzętnie notując adresy osób zapraszanych bądź kontaktujących się w kwestiach związanych z buddyzmem. W połowie 1976 r. lista opracowana przez Służbę Bezpieczeństwa liczyła 52 adresy. Również na podstawie opracowań Wydziału „W” sporządzono osobne listy osób zapraszanych na warsztaty zen organizowane przez Urbanowicza w mieszkaniu przy ul. Piastowskiej w Katowicach, a w miesiącach letnich w gospodarstwie na wzgórzu Kamieńczyk w Mącholicach Kapitulnych³⁹. Urbanowicz nieświadom kurateli, jaką roztoczyła nad nim Służba Bezpieczeństwa, poszerzał spektrum swoich praktyk (patrz na stronie obok komentarz Jana S. nr 1). Do Katowic przyjeżdżali na sesje połączone z medytacją goście z Warszawy, Krakowa i Wrocławia. Jesienią 1973 r. rozpoczęła działalność nielegalna, artystyczna oficyna wydawnicza. Materiały powielano w suterenie przy ul. Ligonii w Katowicach. Niecałe pół roku później, w lutym 1974 r., ukazał się pierwszy numer periodyku buddyjskiego „Droga”, który od czwartego numeru zmienił nazwę na „Droga Zen”. Do wiosny 1978 r. udało się opublikować dziewięć numerów, w tym jeden również w wersji angielskojęzycznej⁴⁰.

Dzięki kontroli korespondencji Urbanowicza, funkcjonariusze SB dowiedzieli się, że od 1 do 5 sierpnia 1974 r. w Mącholicach Kapitulnych odbył się „zjazd Buddystów”⁴¹. Ustalono m.in., że goście Urbanowicza dojeżdżali na wzgórze Kamieńczyk na własną rękę. Najpierw przeważnie pociągiem do Kielc, stamtąd autobusem PKS bezpośrednio do Mącholic Kapitulnych lub autobusem miejskim do Masłowa, skąd przy sprzyjającej pogodzie można było dotrzeć na miejsce pie-

chołą. Podczas pobytu wszystkich obowiązywały te same zasady postępowania, a także ściśle ustalony porządek dnia: o 6.00–7.30 pobudka, mycie się, czas na skupienie lub medytację, następnie przygotowanie posiłku; 7.30–11.30 – śniadanie, prace pomocnicze i przygotowawcze; 11.30–12.30 – medytacja; 12.30 – obiad i po obiedzie czas wolny; 17.00–18.00 – medytacja; 18.00 – kolacja; 21.00–22.00 – medytacja i od 22.00–6.00 cisza nocna (z wyjątkiem sobót). Na wspólne posiłki przygotowywano wyłącznie pokarmy wegetariańskie. Jedzenie między posiłkami było wykluczone, dozwolone były wtedy wyłącznie napoje. Planowano bardzo intensywne medytacje, przy jednocześnie skromnych posiłkach, niewielu godzinach snu i ogólnym wyciszeniu. Wśród uczestników panowało przekonanie, że początek sierpnia, a więc czas, kiedy księżyc zmierza do pełni, zapewni nie tylko dobrą pogodę, ale przyniesie również wzmoczenie sił vitalnych. W tym pięciodniowym spotkaniu przygotowanym rzekomo w oparciu o reguły obowiązujące we wspólnotach buddyjskich zen wzięło udział ponad dziesięć osób. Podobne spotkania postanowiono organizować regularnie⁴².

Trochę inaczej wyglądały warsztaty zen organizowane w mieszkaniu Urbanowiczów w Katowicach, gdzie – ze względu na specyfikę życia miejskiego – rygory czasowe nie były tak ostre, a spotkania trwały krócej. Za każdym razem obowiązywał jednak ścisły zakaz palenia papierosów, spożywania alkoholu i przyjmowania jakichkolwiek środków odu-

rzających. Klasztorny tryb życia, rygorizm i ścisłe, literalne traktowanie zaleceń wy czytanych w buddyjskich publikacjach nie wszystkim przypadły do gustu. Zwłaszcza młodzi hipisi szybko rezygnowali, zniechęceni długimi i wyczerpującymi medytacjami. Również stali bywalcy coraz rzadziej zaglądali na Piastowską. (patrz poniżej komentarz Jana S. nr 2). Nie wszyscy chcieli angażować się w budowanie buddyjskiej wspólnoty⁴³.

W piątek 22 sierpnia 1975 r. w Warszawie wylądował samolot, z którego wysiadł Philip Kapleau. Amerykański nauczyciel buddyzmu zen z Rochester skorzystał z zaproszenia wyznawców z Polski. W podróży towarzyszyła mu grupka pomocników i współwyznawców, m.in. Toni Packer i Wally Muszyński z Chicago. Po krótkim pobycie w stolicy goście wyruszyli w stronę Górnego Śląska. Następnego dnia byli już w Katowicach. Wizyta odbiła się szerokim echem w środowiskach artystycznych i akademickich, do których coraz silniej przenikała z Zachodu moda na religie orientalne. Wywiad z Kapleau zamieścił nawet tygodnik „Polityka”⁴⁴.

W tym czasie pracownia Urbanowiczów przekształcona została w *zendo* – miejsce specjalnie przystosowane do praktykowania medytacji *zazen*. W poniedziałek 25 sierpnia 1975 r. na poddaszu przy ul. Piastowskiej zgromadziła się prawie setka osób z całej Polski. Nie dla wszystkich starczyło miejsca w niewielkiej pracowni. Liczba przyjaciół i znajomych, którzy chcieli zobaczyć i wysłuchać autora *The Three Pillars of Zen*,

Komentarz 1: Zarówno Andrzej, jaki i Urszula, byli w pełni świadomi, że ich poczynania są obserwowane przez SB. Szczególnie po ukazaniu się pierwszego zeszytu „Droga”; Andrzej, (zerwał z anonimowością, powszechną w nielegalnej działalności wydawniczej owego czasu), był przygotowany, że w każdej chwili może zostać aresztowany. Wiem o tym z rozmów z Andrzejem, w 1974 r. – przyp. Jan Sar.

Komentarz 2: Andrzejewska Ania (Kaśka)*, Antoniak Zbyszek (Kobra), Dobrowolski Jacek*, Eichelberger Wojtek*, Górski Paweł, Hołuj Tomek*, Illg Jerzy (Misjonarz)*, Kozera Marek, Kurzyca Krystyna*, Kwiecień Jasiu (Duch), Lasota Joasia*, Lewandowski Krzysz*, Lewowicki Stasiu, Lisicki Leopold (Poldek), Markiewicz Jarek*, Markłowski Marcel, Mazij Marek, Ostaszewski Jacek*, Piórkowska Małgosia (Klara)*, Prokop Alicja (Elis)*, Rozbicki Tomek, Sar Jasiu*, Urbanowicz Andrzej*. Oczywiście nie wymieniałem wszystkich hippisów, którzy wielokrotnie brali udział we wspólnej praktyce medytacji.

* - osoby występujące w drugim wydaniu książki „Hipisi w PRL-u”, K. Sipowicz, Warszawa 2015.
- przyp. Jan Sar.

przerosła możliwości lokalowe gospodarzy. Gość z Ameryki był wówczas dla polskich miłośników nauk Buddy prawdziwą legendą i postrzegany był jako duchowy przywódca. Zapewne nikt z obecnych nie zdawał sobie sprawy, że prawo Kapleau do nauczania było już wtedy kwestionowane, a liczni buddyści w USA i Zachodniej Europie odżegnywali się od jego osoby. Głosy w tej sprawie były zresztą podzielone. Dla wielu praktyków buddyzmu zen był on kompetentnym nauczycielem⁴⁵.

W każdym razie dla pierwszych polskich wspólnot buddyjskich wizyta Kapleau nad Wisłą była nie lada wydarzeniem. Mistrz przyjął adeptów do grona swoich uczniów i namaścił Urbanowicza na lidera. Od 28 sierpnia do 1 września w Katowicach odbyło się historyczne, pierwsze w Polsce *sesshin*, czyli okres intensywnej, kilkudniowej medytacji zen pod kierunkiem nauczyciela. Dwa dni później Philip Kapleau i towarzyszące mu osoby odleciały do USA z katowickiego

lotniska w Pyrzowicach. Wizyta Kapleau niewątpliwie wyznacza początek istnienia buddyzmu w Polsce w jego zorganizowanych i liczebnie znaczących przejawach. (patrz poniżej, komentarz Jana S. nr 3). Niecały miesiąc później, 27–28 września 1975 r. w Katowicach odbyło się zebranie założycielskie Koła Zen. Opracowano pierwszy projekt statutu⁴⁶. Trzon większości polskich grup buddyjskich, które zaczęły powstawać w następnych latach w całym kraju, stanowili ludzie, którzy rozpoczęli swoją praktykę w katowickim Kole Zen bądź nawiązali kontakt z jego członkami⁴⁷.

W następnych miesiącach regularnie spotykano się zarówno w pracowni Urbanowiczów w Katowicach, jak i w Mąchociach Kapitulnych. (patrz poniżej, komentarz Jana S. nr 4). Każdy z uczestników takich spotkań przynosił z sobą śpiwór i poduszkę. Zbierano składki, z których kupowano komponenty do przyrządzenia jarskich potraw. Kobiety i mężczyźni spali w osobnych pokojach. Rygorystycznie

Komentarz 3: Niewątpliwie przyjazd Philipa Kapleau do Polski stanowił wydarzenie przełomowe, ale od pierwszego, pięciodniowego grupowego zazen na Kamieńczyku w sierpniu 1974 r. (zawiązała się wówczas grupa, która później przekształciła się w Koło Zen) do momentu przyjazdu do Polski Philipa Kapleau odbyło się w pracowni na Piastowskiej około 10 trzydniowych grupowych zazen, połączonych zazwyczaj z warsztatami wprowadzającymi w praktykę medytacji. Myślę, że bardziej zorganizowanych i częstszych działań, jak w tym okresie tzn., na przełomie 1974 i 1975 r. już później raczej nie było. Oprócz trzydniowych grupowych zazen odbywała się raz w tygodniu wspólna praktyka w Katowicach, Wrocławiu, Opolu i Warszawie.

Geneza grupy medytacji buddyjskiej, która powstała w pracowni na Piastowskiej, różni się zasadniczo od procesu powstawania następnych grup. Gdy Kapleau przyjechał do Polski w 1975 r. istniała już dobrze zorganizowana grupa, której początki sięgały końca lat 60. Tymczasem w Wikipedii, w haśle Philip Kapleau, można było przeczytać: „W czasie jego pierwszej wizyty w Polsce w 1975 uformowała się grupa osób, która w grudniu 1980 uzyskała status prawny jako Związek Buddystów Zen „Sangha”. ”

W przypadku późniejszych grup buddyjskich można tak napisać, że przyjazd nauczyciela, zaproszonego przez jedną, lub kilka osób, stanowił moment uformowania się grupy.

Sformułowanie, w powyższym cytacie jest nieprecyzyjne i prowadzi do powstawania błędnego obrazu minionych wydarzeń (https://pl.wikipedia.org/wiki/Buddyzm_w_Polsce i [Philipa Kapleau](#)). (W styczniu 2020 r. hasła te zostały częściowo poprawione i występują już w nich Urszula Broll-Urbanowicz i Andrzej Urbanowicz). Andrzej Urbanowicz był tym, który obudził buddyzm w Polsce do życia. Z czasem osoby związane z grupą na Piastowskiej zapoczątkowały, poprzez zapraszanie innych nauczycieli, powstawanie, nowych grup buddyjskich - przyp. Jan Sar.

Komentarz 4: Regularne spotkania zen odbywały się w Pracowni przy ul. Piastowskiej od grudnia 1971 r. W późniejszym okresie, ale jeszcze przed przyjazdem Philipa Kapleau do Polski, regularnie spotykano się również w afiliowanych grupach zen we Wrocławiu, Opolu i Warszawie. Mąchocice (Kamieńczyk) ożywały tylko na okres letnich ferii szkolnych, gdy Roger (syn Urszuli i Andrzeja) miał wakacje - przyp. Jan Sar

przestrzegano zasad dyscypliny, a zajęcia odbywały się przeważnie w ciszy, nie było więc żadnych skarg ze strony sąsiadów, a tym bardziej konieczności interwencji milicji i innych służb porządkowych⁴⁸. Urbanowicz bynajmniej nie zamierzał łamać prawa. W 1976 r. wraz z przyjaciółmi zdecydował, by zalegalizować działalność Koło Zen jako grupy wyznaniowej. W tym celu zmodyfikowano i poprawiono dotychczasowy wewnętrzny statut i 7 czerwca 1976 r. Andrzej Urbanowicz w Urzędzie do Spraw Wyznań przy Urzędzie Wojewódzkim w Katowicach złożył wniosek o rejestrację Stowarzyszenia Buddyjskiego „Koło Zen” – Wspólnoty Buddyjskiej w Katowicach⁴⁹. W informacji sporządzonej miesiąc później przez SB stwierdzono wyraźnie, że „Wydział Wyznań Urzędu Wojewódzkiego w Katowicach oraz Ministerstwo Spraw Wewnętrznych stoi na stanowisku nie wyrażenia zgody na zalegalizowanie tego stowarzyszenia”⁵⁰. Urbanowicz otrzymał odpowiedź odmowną, jednak bez stwierdzenia *expressis verbis*, że ma zaprze-

stać wszelkiej aktywności. Postanowiono więc kontynuować działalność na dotychczasowych zasadach, bez specjalnej konspiracji i ukrywania się. Przyjęto oficjalną nazwę Stowarzyszenie Buddyjskie „Koło Zen” – Wspólnota Buddyjska w Katowicach, którą posługiwano się przede wszystkim w korespondencji prywatnej, gdyż formalnie organizacja o takiej nazwie przecież nie istniała⁵¹. Ponieważ buddyści nie posiadali w PRL określonego statusu prawnego, Urbanowicz – zdaniem funkcjonariuszy SB Wydziału IV Komendy Wojewódzkiej MO w Katowicach – w dalszym ciągu pozostawał „liderem nielegalnego związku religijnego”. W sprawozdaniach nadmieniano najczęściej, że systematycznie organizował w swoim mieszkaniu spotkania o charakterze ceremonii religijnych, nie posiadając wymaganych zezwoleń, przez co „dopuszczał się wykroczenia ciągłego w stosunku do istniejącego w Polsce prawa wyznaniowego i przepisów ustawy o zgromadzeniach”⁵². Ponadto wciąż podejrzewano, że uczestnicy spotkań religijnych



Sesshin z roshim Philipem Kapleau, Kamieńczyk 1980. Fot. Janusz Korbel

zażywają narkotyki, co było zresztą nieprawdą, przynajmniej w odniesieniu do samego Urbanowicza, który od czasu konwersji na buddyzm zaniechał przyjmowania jakichkolwiek substancji psychoaktywnych⁵³.

13 stycznia 1976 r. do drzwi Wydziału ds. Wyznań Urzędu Wojewódzkiego w Katowicach zapukał funkcjonariusz Wydziału IV katowickiej SB kpt. Teodor Sołtysiak, który długo i wnikliwie dopytywał się o podstawy buddyzmu, zasady moralne i funkcjonowanie tego rodzaju wspólnot, a zwłaszcza sytuację prawną buddyzmu w Polsce i możliwość jego ewentualnej rejestracji. Urzędnik Wydziału ds. Wyznań przyznał, że w PRL pojawili się pojedynczy wyznawcy buddyzmu, lecz ich działalność nie została jeszcze do tej pory zalegalizowana, stąd jakiegokolwiek zebranie czy zgromadzenie winno być poprzedzone każdorazowo stosownym zezwo-

leniem Wydziału ds. Wyznań. W przeciwnym wypadku zebranie byłoby nielegalne. Odpowiedź tę kpt. Sołtysiak skrętnie odnotował w raporcie sporządzonym po przeprowadzonej rozmowie. Pozornie niegroźne praktyki Andrzeja Urbanowicza urosły tym samym do niezgodnej z prawem działalności antypaństwowej. Sam artysta został nazwany „kierownikiem nielegalnego wyznania buddyjskiego na terenie Katowic”, który w swoim mieszkaniu przy ul. Piastowskiej systematycznie organizował spotkania i uprawiał „bliżej nierozpoznane praktyki z wyznawcami z całej Polski”. Niecały tydzień później, 19 stycznia 1976 r. w Wydziale IV SB KW MO w Katowicach podjęto decyzję o rozpoczęciu obserwacji Urbanowicza i jego przyjaciół oraz przeprowadzeniu dokładnej analizy dotychczas pozyskanych informacji. Założono osobną teczkę, tzw. kwestionariusz



Zen w Młynie, Przesieka. 1984. Fot. Włodzisław Duch

ewidencyjny, którą oznaczono kryptonimem „Budda”⁵⁴.

Wśród osób, które utrzymywały kontakt z Andrzejem Urbanowiczem, znaleźli się mieszkańcy m.in. Warszawy, Krakowa, Wrocławia, Zielonej Góry, Poznania i Szczecina. Byli to w większości młodzi ludzie, wśród których przeważali studenci lub świeżo upieczeni absolwenci uczelni artystycznych i uniwersytetów. Wśród tych ostatnich dominowali studenci lub już dyplomowani humaniści, zwłaszcza filozofowie⁵⁵. Warszawa, z racji swej stołeczności, wyrastała na centrum zen. Również tam „odkryto” teksty Kapleau, którego *Three Pillars of Zen* przywiózł z pobytu w USA Tomasz Stańko. Książka okazała się bestsellerem wśród części bohemy artystycznej ówczesnej Warszawy, głównie za sprawą poety i malarza Jarosława Markiewicza⁵⁶.

Nie tylko popularność Kapleau przyczyniła się do recepcji buddyzmu w gierkowskiej Polsce. Prawie równocześnie w Krakowie zawiązała się grupa buddystów skupiona wokół Władysława Czapnika i Tomasza Hołuj, którzy fascynowali się tantryzmem buddyjskim i buddyzmem tybetańskim. Na ich zaproszenie w październiku 1976 r. odwiedził Polskę Ole Nydahl, wyznawca buddyzmu Diamentowej Drogi tybetańskiej linii Karma Kagyu. Spotkanie z nim odbyło się w mieszkaniu Czapnika, które od tego momentu stało się miejscem regularnej praktyki medytacyjnej, a sam Nydahl od tej pory był częstym gościem w Krakowie⁵⁷. Był to początek wspólnoty, która w styczniu 1984 r. została wpisana do rejestru stowarzyszeń i związków religijnych w PRL jako Stowarzyszenie Buddyjskie Karma Kagyu w Polsce⁵⁸. Tomasz Hołuj był współtwórcą grupy muzycznej Osjan, której członkowie również przeżywali fascynację buddyzmem, wzięli udział w koncercie dla przyjaciół zorganizowanym właśnie na wzgórzu Kamieńczyk w Mącholicach Kapitulnych⁵⁹.

W 1976 r. droga do zalegalizowania działalności buddystów, zarówno w Krakowie, jak i tych skupionych wokół Andrzeja

Urbanowicza, była jeszcze daleka. Co więcej, postanowiono ukrócić „nielegalny proceder”. W styczniu 1976 r. Urbanowicz został wezwany na rozmowę do Wydziału ds. Wyznań Urzędu Wojewódzkiego w Katowicach, podczas której ostrzeżono go o grożących mu konsekwencjach „uprawiania niezgodnych z prawem praktyk” oraz nakazano natychmiastowe zaprzestanie działalności publicznej do czasu zalegalizowania związku wyznaniowego. Jednocześnie Służba Bezpieczeństwa w dalszym ciągu kontrolowała artystę. W wypadku niezastosowania się do otrzymanych poleceń, postanowiono by podczas kolejnego spotkania grupy, wkroczyć do mieszkania i pracowni przy ul. Piastowskiej, rozwiązać zgromadzenie, a Urbanowicza skierować przed Kolegium ds. Wykroczeń⁶⁰. Na początku lutego 1976 r. opracowano dotychczas uzyskane informacje o Urbanowiczu i prowadzonej przez niego „nielegalnej działalności w związku religijnym” i przesłano je do naczelnika Wydziału III Departamentu IV MSW w Warszawie⁶¹. Jednocześnie obserwowano, co dzieje się w kamienicy. Bez rezultatów. Spokój i cisza spotkań były sprzymierzeńcami bywalców poddasza⁶².

Latem 1976 r. zastępca komendanta wojewódzkiego MO ds. SB w Katowicach płk. Piotr Juszczyk poinformował władze partyjne o działalności Urbanowicza i założonego przezeń „nielegalnego wyznania buddyjskiego”⁶³. Z zachowanych źródeł wynika, że nie bardzo wiadano, jak zakwalifikować sympatyków buddyzmu. W streszczeniu kwestionariusza ewidencyjnego „Budda” sporządzonym w styczniu 1977 r. napisano, że „ponieważ w czasie trwania warsztatów »Zen« nie celebrowano obrządków typowo religijnych, czczących jakiegoś konkretnego Boga, Wydział Wyznań Urzędu Wojewódzkiego w Katowicach, jak również Departament IV stoi na stanowisku niewyrażenia zgody na zalegalizowanie tego stowarzyszenia, nie mając jednocześnie żadnych konkretnych zastrzeżeń co do ich działalności. (...) Wobec powyższego działalność grupy sympatyków buddyzmu skupionych wokół osoby A[ndrzeja] Urbanowicza nie leży w kompetencji Wydz[iału] IV. Należy jedynie

zainteresować Wydz[iał] Kryminalny KMMO [Komendy Miejskiej MO] w Katowicach, celem stwierdzenia, czy w czasie spotkań uczestnicy nie narkotyzują się”⁶⁴. Jednocześnie, wobec niestwierdzenia jakichkolwiek przejawów politycznego zaangażowania się katowickich buddystów, funkcjonariusze Służby Bezpieczeństwa coraz częściej skłaniali się do zaniechania dalszego rozpracowywania Urbanowicza⁶⁵. Jak przyznał sam Urbanowicz, zasadą obowiązującą uczestników praktyk zen było całkowite odcinanie się od spraw politycznych, a szczególnie od jakichkolwiek kontaktów z Komitetem Obrony Robotników czy Ruchem Obrony Praw Człowieka i Obywatela, nawet pod rygorem wykluczenia z grupy. W zasadzie jedynym „przestępstwem”, którego dopuszczano się, był druk zawiadomień o planowanych warsztatach i materiałów opracowywanych na podstawie posiadanej literatury, przede wszystkim krótkich przedruków z literatury obcojęzycznej⁶⁶.

W marcu 1978 r. podczas jednego ze spotkań Koła Zen w Katowicach żywo dyskutowano nad tłumaczeniem wykładów Hakuuna Yasutaniego „Osiem podstaw buddyizmu zen”, w których m.in. poddano krytyce nauczanie Kapleau. Grupa zaczęła się dzielić na zwolenników i przeciwników podążania drogą nauczyciela z Rochester⁶⁷. Jednocześnie cieniem na działalności całej grupy położyły się problemy osobiste Urbanowicza. Rozpadło się jego małżeństwo, a fakt ten w 1978 r. potwierdzono rozwodem. Urszula na dobre powróciła do panińskiego nazwiska Broll, Andrzej zaś związał się z inną kobietą i coraz częściej opuszczał Katowice. W ciepłe miesiące zaszywał się w Mąchocicach Kapitulnych, pomieszkiwał również czasowo w Warszawie, dokąd ostatecznie przeprowadził się w drugiej połowie roku⁶⁸. W tej sytuacji niektórzy zarzucili mu zdradę ideałów buddyizmu i domagali się wycofania się z kierowniczej roli w grupie⁶⁹. Nie chcąc bardziej zaogniać i tak już dlań zapewne nieprzyjemnej sytuacji, Urbanowicz postanowił usunąć się, przynajmniej do czasu uregulowania spraw rozwodowych. 8 maja 1978 r. podczas zebrania Koła Zen w Katowicach

został odsunięty z funkcji przewodniczącego. Od tego czasu coraz częściej zaczął myśleć o wyjeździe do Ameryki. Nie odsunął się co prawda całkowicie od praktykowania zen, ale coraz więcej czasu spędzał na malowaniu obrazów i załatwianiu formalności związanych z wyjazdem⁷⁰.

W połowie 1978 r. złożył wniosek paszportowy o wyjazd do USA, gdzie mieszkał jego ojciec Edmund Urbanowicz, którego nigdy nie poznał. Kiedy zaczęła się wojna, Andrzej miał zaledwie cztery miesiące. Ojciec trafił do niewoli niemieckiej, a po wojnie pozostał na Zachodzie, najpierw we Francji, skąd wyjechał do USA. W Stanach mieszkała również Anna, starsza siostra Andrzeja, która poinformowała go, że ojciec cierpi na zaawansowaną chorobę nowotworową i chciałby bardzo zobaczyć się z synem przed śmiercią. Andrzej już zresztą wcześniej próbował spotkać się z ojcem, kiedy ten mieszkał jeszcze w Paryżu. W trakcie studiów na krakowskiej ASP, w 1957 r. złożył podanie o paszport w nadziei otrzymania zgody na wyjazd do Francji. Decyzja zastępcy komendanta KWMO w Krakowie w tej sprawie była jednak odmowna i Urbanowicz paszportu nie otrzymał⁷¹. Ponieważ Urbanowicz faktycznie wycofał się w tym czasie z wszelkiej działalności we wspólnocie buddyjskiej, którą współtworzył, a jego wyjazd z kraju niósł nadzieję na jeszcze większą dezintegrację grupy, mjr Jerzy Birnbach z Wydziału IV KWMO w Katowicach wniósł o anulowanie zastrzeżenia wyjazdów czasowych za granicę⁷². Na początku grudnia 1978 r. Andrzej Urbanowicz wraz z nową towarzyszką życia wyjechał z Polski. Dopiero na początku 1982 r. funkcjonariusze SB uznali, że Urbanowicz nie wróci już do kraju⁷³. W lutym tego roku w Wydziale IV KWMO w Katowicach zdecydowano o zakończeniu prowadzenia rozpracowania Urbanowicza i materiały zgromadzone w ramach prowadzenia kwestionariusza ewidencyjnego o kryptonimie „Budda” złożono w archiwum⁷⁴. Urbanowicz przebywał w USA trzynast lat. Wrócił do Polski w 1991 r., już po upadku komunizmu. Nie wstąpił jednak do żadnego z licznie istniejących już wów-

czas w Polsce związków i stowarzyszeń buddyjskich i do praktyk buddyjskich powracał incydentalnie. Zmarł 22 sierpnia 2011 r. w Szklarskiej Porębie. Ceremonia pogrzebowa odprowadzona została zgodnie z buddyjskim rytuałem⁷⁵.

Przed opuszczeniem Polski, w listopadzie 1978 r., Urbanowicz wyznaczył na swojego następcę Andrzeja „Janusza” Korbela, wówczas asystenta na Wydziale Architektury Politechniki Śląskiej w Gliwicach, swojego wieloletniego przyjaciela i jednego z pierwszych członków założycieli śląsko-kieleckiej wspólnoty buddyjskiej. Po opuszczeniu przez Urbanowicza Katowic spotkania buddystów połączone z warsztatami zen odbywały się jeszcze przez jakiś czas na poddaszu przy ul. Piastowskiej w Katowicach, gdzie mieszkała Urszula Broll. Spotkaniom, na które w weekendy zjeżdżali się goście z różnych stron Polski, przewodniczył najczęściej Andrzej Korbel. Latem kontynuowano spotkania w Mącholicach Kapitulnych⁷⁶.

Spotkaniami buddystów zainteresowali się funkcjonariusze Wydziału IV KW MO w Kielcach. Podporucznik Czesław Wurszt zaczął regularnie odwiedzać Andrzeja Korbela, kiedy ten przyjeżdżał do Mącholic Kapitulnych i zapewne liczył, że znajomość z funkcjonariuszem Służby Bezpieczeństwa będzie mógł wykorzystać do zwiększenia szansy na zalegalizowanie działalności grupy. Podczas jednego z tych spotkań w dniu 13 listopada 1978 r. ppor. Wurszt zaproponował sformalizowanie wzajemnych relacji, na co Andrzej Korbel zgodził się i potwierdził własnoręcznie sporządzonym zobowiązaniem do współpracy. Chyba jednak nie przywiązywał większego znaczenia do owej konspiracji, skoro jako pseudonim obrał po prostu swoje imię. Już wówczas częściej posługiwał się imieniem Janusz. Stosowne zobowiązanie podpisał imieniem Andrzej⁷⁷. Jako tajny współpracownik został zarejestrowany pod numerem KI-1669⁷⁸. Ponieważ ciągle krążył pomiędzy Mąholicami Kapitulnymi, Katowicami a Bielskiem-Białą,

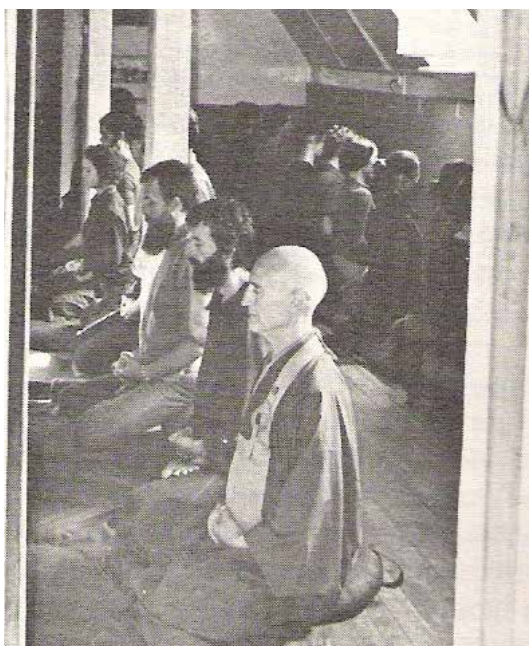
postanowiono, że wszelkie informacje będzie przekazywał listownie. Jak wynika z lektury przesłanych listów, Korbel starał się przede wszystkim przybliżyć założenia i program wspólnoty buddyjskiej, zamieszczał wypisy z własnych tłumaczeń oraz odnośniki do dostępnej w Polsce literatury i czasopism⁷⁹. Nie ukrywał zresztą swoich kontaktów ze Służbą Bezpieczeństwa. Wojciech Eichelberger zapamiętał, że kilkakrotnie rozmawiał z nim na ten temat, choć nie precyzował, jaki charakter miała ta współpraca⁸⁰.

Coraz większą rolę odgrywała już w tym czasie warszawska wspólnota buddyjska. Latem 1978 r., pod nieobecność Urbanowicza i Urszuli Broll, z poddasza przy ul. Piastowskiej wywieziono do Warszawy zgromadzone tam przedmioty rytualne, figury i książki. Od teraz miały służyć warszawskiemu Kołu Zen⁸¹.

Latem 1979 r. Philip Kapleau ponownie odwiedził Polskę. 11 sierpnia wylądował na warszawskim Okęciu⁸². Po trzydniowym pobycie w Warszawie wraz z grupą wyznawców na dłużej zatrzymał się w Mąholicach Kapitulnych, gdzie prowadził kilkudniowe warsztaty zen oraz zwiedzał okolice Gór Świętokrzyskich. 25 sierpnia 1979 r. opuścił Polskę i, kontynuując podróż po Europie, udał się do Bukaresztu⁸³. W tym samym roku nakładem wydawnictwa „Czytelnik” ukazało się „Wprowadzenie do buddyzmu Zen” Daisetz Teitaro Suzuki, ze wstępem Carla Gustava Junga, w przekładzie Małgorzaty i Andrzeja Grabowskich, które natychmiast zniknęło z półek⁸⁴.

W tym pionierskim okresie, przed 1980 r., wspólnoty buddyjskie w Polsce były tolerowane przez władze, nawet jeśli działały nieoficjalnie. Wydaje się, że traktowano je jako margines, mimo wszystko mniej groźny od zaangażowania w działalność polityczną. Jednak dopiero po przemianach, które przyniósł sierpień 1980 r., sympatycy buddyzmu uzyskali wreszcie możliwość legalizacji swoich działań. Dosłownie w przeddzień porozumień sierpniowych, latem 1980 r. Kapleau ponownie zawitał nad Wisłę, zaproszony

przez warszawską grupę teatralną Akademia Ruchu. Tym razem do jego wizyty przychyliło się Ministerstwo Kultury i Sztuki. Buddyjskiemu nauczycielowi w podróży nad Wisłę towarzyszyli Bob Schrei i Walter Muszyński. Kapleau przebywał w Polsce od 6 do 27 sierpnia, tradycyjnie zatrzymując się na dłużej w Mąchocicach Kapitulnych, gdzie zorganizowano warsztaty zen i tygodniowe *sesshin*. Przed przyjazdem do Polski pismo z prośbą o spotkanie w sprawie zalegalizowania działalności grupy swoich wyznawców w Polsce wysłał do kierownika Urzędu do Spraw Wyznań ministra Jerzego Kuberskiego. 26 sierpnia 1980 r. razem z Andrzejem Korbelem został przyjęty przez Kuberskiego. Podczas spotkania zwrócili się oni z prośbą o poparcie działań na rzecz legalizacji „Koła Zen – Wspólnoty Buddyjskiej”, której liderem był Korbel. Minister Kuberski



Pierwsze sessin w Polsce, 28 sierpień – 01 wrzesień 1975 r., zendo w pracowni przy ul. Piastowskiej 1, Katowice. W lewym rzędzie: Philip Kapleau, Jacek Ostaszewski, Andrzej Urbanowicz, Władysław Czapnik, Izabella Sawik (Dorabalska), Jan Sar, Stefan Sencerz, Tomasz Hohuj. W prawym rzędzie: Aleksander Gordon, Urszula Broll-Urbanowicz, Maria Mazur, Promyk (Elżbieta Błaszowska), Janusz Korbel, Nyogen (Włodzimierz Nowak), Teresa Korbel, Jarosław Markiewicz, Małgorzata Ostaszewska, Wally Muszyński. Fot. Ireneusz Kulik

rzekomo okazał zdziwienie, że działalność buddystów w Polsce do tej pory nie została zalegalizowana; zapewniał swoich gości, że sam interesuje się praktykami zen (*sic!*), przychylił się do ich prośby i obiecał pomóc. Następnego dnia Kapleau wraz z towarzyszącymi mu osobami opuścił Polskę i odleciał do Hiszpanii⁸⁵.

Pomimo przychylności ze strony ministra Kuberskiego legalizacja działalności wspólnoty napotkała na przeszkody formalno-prawne, gdyż statut, opracowany jeszcze przez Urbanowicza i złożony w Urzędzie do Spraw Wyznań, wymagał licznych korekt. Modyfikacji statutu podjął się Wojciech Eichelberger z Warszawy, który wyrastał na nowego lidera wspólnoty⁸⁶.

Andrzej Korbel otrzymał od Philipa Kapleau w 1980 r. zaproszenie do odwiedzenia ośrodka zen w Rochester, w stanie Nowy Jork (USA), z którego skorzystał, zwłaszcza, że wyjazd do USA przygotowywał już wcześniej, w ramach stypendium doktoranckiego. Wizyta u ministra Kuberskiego zapewne okazała się pomocna w szybkim otrzymaniu paszportu, bo już miesiąc później Korbel pobierał nauki w Rochester⁸⁷. W tym samym czasie Rochester Zen Center odwiedził Wojciech Eichelberger, gdzie spotkał się z Korbelem. Po ich powrocie zintensyfikowano działania zmierzające do legalizacji⁸⁸. Wreszcie 15 grudnia 1980 r., po pięciu latach starań Wspólnota Buddyjska Zen w Polsce została wpisana do rejestru stowarzyszeń, jako stowarzyszenie wyznaniowe posiadające osobowość prawną, o zasięgu ogólnopolskim, którego członkowie przyjmują i uznają duchowe przewodnictwo Philipa Kapleau⁸⁹. W oficjalnym informatorze wspólnoty przyznano, że „rejestracja poprzedzona została rozmowami prowadzonymi z ministrem J[erzym] Kuberskim i jego pełnomocnikami przez rosiego Kapleau oraz członków Zarządu Wspólnoty. W czasie tych rozmów Wspólnota spotkała się z dużą przychylnością i akceptacją ze strony Urzędu [do Spraw Wyznań]”⁹⁰.

W połowie stycznia 1981 r. w Warszawie na koordynatora prac zarządu wybrano Wojciecha Eichelbergera. Andrzej Korbel pozostał wśród liderów wspólnoty, jako osoba odpowiedzialna za redakcję publikacji i informatora oraz koordynację pracy wydawniczych⁹¹. Na początku lutego tego roku Wspólnota Buddyjska Zen w Polsce, z tymczasową siedzibą w Warszawie przy ul. Noakowskiego została wpisana jako związek wyznaniowy do Rejestru Stowarzyszeń i Związków Religijnych i tym samym zyskała osobowość prawną⁹². W marcu zmieniono nazwę stowarzyszenia na Związek Buddystów Zen – Sangha w Polsce⁹³. Przewodniczącym zarządu był wówczas Wojciech Eichelberger⁹⁴. Andrzej Korbel został opiekunem ogniska stowarzyszenia w Katowicach i 1 kwietnia 1981 r. podpisał w Wydziale ds. Wyznań Urzędu Wojewódzkiego w Katowicach stosowne ślubowanie⁹⁵.

Główną siedzibą związku była od teraz Warszawa, gdzie miejscem spotkań i medytacji był początkowo prywatny lokal na Starym Mieście zwany Zendo Trzech Obłoków. Letnie *sesshin* organizowano w Przesieciu koło Jeleniej Góry, gdzie w jednym z domów powstał ośrodek związku. Latem 1982 r. zorganizowano tam wielkie *sesshin* z udziałem około 150 osób⁹⁶ (brało udział 50 osób - przyp. Anna Jedynak). Kapleau, który w latach 80. regularnie odwiedzał Polskę, prowadził warsztaty zen oraz siedmiodniowe grupowe *sesshin*, ponadto przewodniczył świętom i ceremoniom przypadającym na czas jego wizyt. Ponadto dwa razy do roku odwiedzali Polskę jego uczniowie z Rochester⁹⁷ (wg mojej pamięci niegdy nie było tak częstych wizyt regularnie i w długim okresie czasowym. Mogło się tak zdarzyć sporadycznie - przyp. Anna Jedynak). W 1985 r. otwarto miejsce praktyk (*zendo*) w Warszawie Falenicy. W tym samym roku rozpoczęło działalność wydawnictwo „Pusty Obłok”, którego pierwszą publikacją była książka Philipa Kapleau „Zen. Świt na Zachodzie” w przekładzie Jacka Dobrowolskiego⁹⁸.

Legalizacja umożliwiła działalność zgodnie z prawem, jednak nie pozbawiła czujnej

„opieki” ze strony Służby Bezpieczeństwa. Po zamknięciu w lutym 1982 r. kwestionariusza operacyjnego kryptonim „Budda” dalsza kontrola sympatyków buddyzmu prowadzona była w ramach sprawy o kryptonimie „Ewangeliści”⁹⁹.

Pod koniec 1983 r. Związek Buddystów Zen – Sangha w Polsce liczył 215 członków, z której to liczby najwięcej, bo aż 51 mieszkało na terenie województwa warszawskiego, 30 – katowickiego i 24 – jeleniogórskiego. Spotkania połączone z medytacją odbywały się w dziesięciu miejscach w Polsce. W większości były to mieszkania prywatne, wśród nich wciąż figurowało poddasze przy ul. Piastowskiej w Katowicach¹⁰⁰. W latach 80. doszły kolejne wspólnoty: Stowarzyszenie Buddyjskie Zen Czogie w Polsce (zarejestrowane w 1981 r.)¹⁰¹, Stowarzyszenie Buddyjskie Karma Kagyu w Polsce (zarejestrowane w 1984 r.)¹⁰² i Stowarzyszenie Buddyjskie Kandzeon (zarejestrowane w 1987 r.)¹⁰³. Prawdziwy przełom przyniósł jednak początek lat 90., czemu sprzyjała liberalizacja prawa o związkach wyznaniowych i stowarzyszeniach oraz moda na duchowość orientálną. W maju 1995 r. powstała Polska Unia Buddyjska zrzeszająca większość buddyjskich związków wyznaniowych w kraju. Dziś zapewne już tylko nieliczni pamiętają, że początkiem buddyjskich praktyk w Polsce były wieczorne rozmowy i lektury grupy przyjaciół spotykających się na poddaszu przy ul. Piastowskiej w Katowicach.

Bogusław Tracz

luty 2021

Artykuł był publikowany w 2018 r. przez Biuro Badań Historycznych IPN w: Studiach i Materiałach, XVI/2018 i zgodnie z wymogami artykuł zawierał również słowa „kluczowe” i „streszczenie”. Na potrzeby niniejszego opracowania nie umieściliśmy tych części opracowania, natomiast pozostałe części włącznie z obszerną bibliografią oraz przypisami (jako końcowymi, a nie dolnymi) są umieszczone (red.)

Bibliografia

- Akademia Sztuk Pięknych w Krakowie. 50-lecie Wydziału Grafiki Filii w Katowicach 1947–1997*, oprac. i red. T. J. Grabowski et al., Katowice, 1997
- Andrzej Urbanowicz. *Galeria Sztuki Nowoczesnej*, Warszawa 1963
- Buddyzm w zachodnim kręgu kulturowym. *Teoria - praktyka – interpretacje*, red. G. Francuz, M. Raniczkowski, Opole 2011
- Fic L., *Buddyzm w kulturze Zachodu*, Lublin 2016
- Giełdoń-Paszek A., *Andrzej Urbanowicz (1938–2011)*, Katowice 2014
- Grzebałkowska M., *Beksińscy. Portret podwójny*, Kraków 2014
- Kałębsiak Ł., *Przyjaciele pożegnali Andrzeja Urbanowicza*, tekst na portalu <http://katowice.wyborcza.pl> (dostęp: 18 II 2018 r.)
- Karczewski L., *Buddyzm Japoński i Tybetański w Polsce*, „Przegląd Religioznawczy” 1992, nr 1
- Karpowicz P., *Buddyzm na Zachodzie (w II połowie XX wieku). Buddyzm w Polsce* [w:] *Buddyzm*, wybór tekstów i oprac. J. Sieradzan, W. Jaworski, M. Dziwisz, Kraków 1987
- Kosior K., *Buddyzm w Polsce*, „Nomos” 1997, nr 18–19
- Kosior K., *Wprawienie w ruch koła Dharmy na Zachodzie. Początki recepcji buddyzmu w Europie Zachodniej*, „Nomos” 1997, nr 18–19
- Kosior K., *Krótką historią buddyzmu w Europie*, „Annales Universitatis Mariae Curie-Skłodowska Lublin – Polonia” 2002, Sectio I, vol. 27, nr 9
- Kossakowski R., *Budda w kulturze konsumpcji. Rzecz o spotkaniu Wschodu i Zachodu*, Toruń 2011
- Kowalczyk R., *Buddyzm na Zachodzie. Rys historyczny* [w:] *Buddyzm w zachodnim kręgu kulturowym. Teoria - praktyka – interpretacje*, red. G. Francuz, M. Raniczkowski, Opole 2011
- Krajewska M., *Buddyzm Diamentowej Drogi w Polsce. Narracje o początkach*, Bydgoszcz 2016
- Krajewska M., *Dżinsy, t-shirt i mnisie szaty. O recepcji buddyzmu w Polsce*, „Humaniora” 2013, nr 2
- Krzeszowska E., Urszula Broll i Andrzej Urbanowicz – katowicka awangarda lat powojennych [w:] *Oblicza sztuki na obszarze obecnego województwa śląskiego w latach 1945–1975*, red. T. Dudek-Bujarek, Katowice 2017
- New Religions and New Religiosity*, ed. by Eileen Barker og Margit Warburg, Aarhus 1998
- Niewiadomska E., *Podziemie na poddaszu przyciągało Beksińskiego i inkarnację Nerona*, tekst opublikowany na portalu www.gazeta.pl (dostęp: 25 VI 2010 r.)
- Nyanatiloka, *Słowo Buddy według kanonu palijskiego. Człowiek dzieło. Indeks terminów palijskich*, [s]polszczył Władysław Misiewicz, South Bend 1960
- Paleczny T., *Kontestacja. Formy buntu we współczesnym społeczeństwie*, Kraków 1997
- Podgajniak G., *Władysław Misiewicz (1910–1997)*, „Biuletyn Kwartalny Radomskiego Towarzystwa Naukowego” 1999, z. 3–4
- Podgajniak G., *Z żałobnej karty. Władysław Misiewicz (1910–1997)*, „Poradnik Bibliotekarza” 1998, nr 5
- Rucki M., *Kto ma satori, ma wszystko. Daisetz Teitaro Suzuki (1870–1966) i jego anglojęzyczna prezentacja zenu*, Warszawa 2012
- Sobiecki D., *Polscy buddyści*, „Argumenty” 1987, nr 18
- St-53. *Twórcy, postawy, ślady*, red. J. Lipońska-Sajdak, A. Niesyto, Katowice 2003
- Suzuki D. T., *Wprowadzenie do buddyzmu Zen*, Warszawa 1979.
- Tokarski S., *Orient i kontrkultury*, Warszawa 1984
- Tracz B., *Katowicka ścieżka Zen*, „CzasyPismo” 2012, nr 1 (1)
- Tracz B., *Pozytywnie ustosunkowany uczeń Philipa Kapleau*, „CzasyPismo” 2016, nr 1(9)
- Urbanowicz A., *Dotknięcia. Ślady* [w:] *Oneiron. Ezoteryczny krąg artystów z Katowic*, red. P. Mrass et al., Katowice 2006
- Wanick H., *Przeciw ubezwłasnowolnieniu. Oneiron* [w:] *Katowicki underground artystyczny po 1953 roku*, red. J. Zagrodzki, Katowice 2004
- Zagrodzki J., *Katowicki underground od Strzebińskiego do Bellmera* [w:] *Katowicki underground artystyczny po 1953 roku*, red. J. Zagrodzki, Katowice 2004

Zięba M. S., *Buddyzm* [w:] *Powszechna encyklopedia filozofii*, t. 1, red. A. Maryniarczyk et al., Lublin 2000.

Przypisy:

1. K. Kosior, *Wprawienie w ruch koła Dharmy na Zachodzie. Początki recepcji buddyzmu w Europie Zachodniej*, „Nomos” 1997, nr 18/19, s. 183–187; Idem, *Buddyzm w Polsce*, „Nomos” 1997, nr 18/19, s. 189; M. S. Zięba, *Buddyzm* [w:] *Powszechna encyklopedia filozofii*, t. 1, red. A. Maryniarczyk et al., Lublin 2000.
2. K. Kosior, *Buddyzm w Polsce...*, s. 189.
3. Idem, *Krótką historią buddyzmu w Europie*, „Annales Universitatis Mariae Curie-Skłodowska Lublin - Polonia” 2002, Sectio I, vol. 27, nr 9, s. 172–173.
4. Archiwum Akt Nowych w Warszawie (dalej: AAN), Urząd do Spraw Wyznań (dalej: UdSW), 37/1286, Pismo Jana Gracy do Ministerstwa Oświaty, Kraków, 10 IV 1953 r., k. 2. Pismo przekazane zostało do Urzędu do Spraw Wyznań, który poinformował w odpowiedzi, że „w myśl obowiązujących przepisów nie podaje się w dowodach osobistych i innych dokumentach tożsamości wyznania, ponieważ jest ono prywatną sprawą obywatela”. Ibidem, k. 3.
5. G. Podgajniak, *Władysław Misiewicz (1910–1997)*, „Biuletyn Kwartalny Radomskiego Towarzystwa Naukowego” 1999, z. 3/4, s. 125–128; Eadem, *Z żałobnej karty. Władysław Misiewicz (1910–1997)*, „Poradnik Bibliotekarza” 1998, nr 5, s. 27–28.
6. Kanon palijski to najstarszy istniejący korpus pism buddyjskich, zapisany w języku zbliżonym do tego, którym posługiwał się historyczny Budda. Składają się nań teksty kanoniczne buddyjskiej szkoły therawada (hinajana), ułożone w języku pali i spisane w I w. n.e. na Ceylonie.
7. K. Kosior, *Buddyzm w Polsce...*, s. 190.
8. Ibidem, s. 190–191; *New Religions and New Religiosity*, ed. by E. Barker, M. Warburg, Aarhus 1998, s. 84.
9. Nyanatiloka, *Słowo Buddy według kanonu palijskiego. Człowiek dzieło. Indeks terminów palijskich*, [s] polszczył Władysław Misiewicz, South Bend 1960.
10. Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej w Katowicach (dalej: AIPN Ka), 036/2020, Buddyzm w Polsce. Notatka sporządzona przez inspektora sekcji II Wydz. IV KWMO w Katowicach st. sierż. szt. J. Mołędę, Katowice, 13 I 1976 r., k. 22–22v.
11. G. Podgajniak, *Misiewicz Władysław (1910–1997)*, „Biuletyn Kwartalny Radomskiego Towarzystwa Naukowego” 1999, z. 3/4, s. 127.
12. D. Sobiecki, *Polscy buddyści*, „Argumenty” 1987, nr 18.
13. K. Kosior, *Buddyzm w Polsce...*, s. 191.
14. A. Giełdoń-Paszek, *Andrzej Urbanowicz (1938–2011)*, Katowice 2014, s. 3–4; O artystycznych pasjach i dokonaniach Urszuli Broll i Andrzeja Urbanowicza zob. E. Krzeszowska, *Urszula Broll i Andrzej Urbanowicz – katowicka awangarda lat powojennych* [w:] *Oblicza sztuki na obszarze obecnego województwa śląskiego w latach 1945–1975*, red. T. Dudek-

Bujarek, Katowice 2017, s. 307–323.

15. AIPN Ka, 036/2020, Notatka służbowa na podstawie książki meldunkowej w PRN w Katowicach, Katowice 12 II 1975 r., k. 13.
16. AIPN Ka, 036/2020, Notatka służbowa dot. akt paszportowych, Katowice 14 I 1976 r., k. 24.
17. AIPN Ka, 036/2020, Analiza materiałów operacyjnych dot. Andrzeja Urbanowicza, Katowice 16 I 1976 r., k. 30.
18. A. Urbanowicz, *Dotknięcia. Ślady* [w:] *Oneiron. Ezoteryczny krąg artystów z Katowic*, red. P. Mrass et al., Katowice 2006, s. 43. Katalog wystawy zob. *Andrzej Urbanowicz. Galeria Sztuki Nowoczesnej*, Warszawa 1963.
19. E. Niewiadomska, *Podziemie na poddaszu przycięgało Beksińskiego i inkarnację Nerona*, tekst opublikowany na portalu www.gazeta.pl (dostęp: 25 VI 2010 r.); H. Waniek, *Przeciw ubezwłasnowolnieniu. Oneiron* [w:] *Katowicki underground artystyczny po 1953 roku*, red. J. Zagrodzki, Katowice 2004.
20. Dzisiejsza Akademia Sztuk Pięknych w Katowicach, od I IX 2001 r. jest samodzielną placówką naukowo-dydaktyczną. Uczelnia powstała w 1947 r., początkowo, jako Oddział Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych we Wrocławiu. W 1951 r. uczelnia na krótko usamodzielniała się, jako Państwowa Wyższa Szkoła Sztuk Plastycznych w Katowicach, ale już rok później, włączono ją w struktury Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, jako II Wydział Grafiki Propagandowej. Zob. *Akademia Sztuk Pięknych w Krakowie. 50-lecie Wydziału Grafiki Filii w Katowicach 1947–1997*, oprac. i red. T. J. Grabowski et al., Katowice, 1997, *passim*.
21. AIPN Ka, 036/2020, Ręczny dopisek kpt. B. Radosza na notatce służbowej z dn. 22 X 1964 r., k. 9v; Ibidem, Doniesienie nr 3 TW ps. „Goja”, Katowice 4 II 1975 r., k. 10; Ibidem, Analiza materiałów operacyjnych dot. Andrzeja Urbanowicza, Katowice 16 I 1976 r., k. 30.
22. A. Urbanowicz, *Dotknięcia. Ślady...*, s. 47; A. Giełdoń-Paszek, *Andrzej Urbanowicz* ..., s. 5–6.
23. A. Urbanowicz, *Dotknięcia. Ślady...*, s. 45.
24. K. Kosior, *Krótką historią buddyzmu...*, s. 174; M. Rucki, *Kto ma satori, ma wszystko. Daisetz Teitaro Suzuki (1870–1966) i jego anglojęzyczna prezentacja zenu*, Warszawa 2012.
25. S. Tokarski, *Orient i kontrkultury*, Warszawa 1984, s. 5; T. Paleczny, *Kontestacja. Formy buntu we współczesnym społeczeństwie*, Kraków 1997, s. 72; P. Karpowicz, *Buddyzm na Zachodzie (w II połowie XX wieku)*. *Buddyzm w Polsce* [w:] *Buddyzm*, wybór tekstów i oprac. J. Sieradzan, W. Jaworski, M. Dziwisz, Kraków 1987, s. 28–30. Na temat historii recepcji buddyzmu na Zachodzie zob. R. Kossakowski, *Budda w kulturze konsumpcji. Rzecz o spotkaniu Wschodu i Zachodu*, Toruń 2011, s. 111–133.
26. E. Niewiadomska, *Podziemie na poddaszu...*
27. List Zdzisława Beksińskiego do Marii Turlejskiej z 1 X 1969 r., cyt. za: M. Grzebałkowska, *Beksiński. Portret podwójny*, Kraków 2014, s. 132–133.
28. M. Grzebałkowska, *Beksiński. Portret...*, s. 133.
29. E. Niewiadomska, *Podziemie na poddaszu...*; M. Grzebałkowska, *Beksiński. Portret...*, s. 133.
30. Andrzej Urbanowicz, *Dotknięcia. Ślady...*, s. 133.

31. A. Giełdoń-Paszek, *Andrzej Urbanowicz...*, s. 18.
32. AIPN Ka, 036/2020, Pismo naczelnika Wydziału IV KWMO w Kielcach do naczelnika Wydziału IV KWMO w Katowicach dot. grupy wyznawców buddyzmu działającej na terenie Kielc, Kielce, 18 II 1975 r., k. 17.
33. Trudno się zatem zgodzić z Malwiną Krajewską, która napisała, że „W Polsce pierwsze nieformalne grupy związane z buddyzmem zaczęły powstawać w latach 60. XX wieku”. M. Krajewska, *Dżinsy, t-shirt i minisie szaty. O recepcji buddyzmu w Polsce, „Humaniora”* 2013, nr 2, s. 123.
34. AIPN, Ka 036/2020, Pismo zastępcy naczelnika Wydziału IV Dep. IV MSW płk. W. Fenickiego do naczelnika Wydziału IV KWMO w Katowicach, Katowice, 6 III 1973 r., k. 70.
35. AIPN Ka 036/2020, Notatka służbowa dot. przesłanego przez Wydział III Biuro „W” dokumentu z NRF przez NN nadawcę do Andrzeja Urbanowicza, Katowice, 14 III 1973 r., k. 59.
36. AIPN Ka 036/2020, Szyfrogram nr 15321, 29 X 1973 r., k. 14; Ibidem, Notatka służbowa dot. akt paszportowych, Katowice, 14 I 1976 r., k. 24; Ibidem, Analiza materiałów operacyjnych dot. Andrzeja Urbanowicza, Katowice, 16 I 1976 r., k. 30v.; Ibidem, Notatka służbowa dot. wyjaśnienia przyczyn zastrzeżenia wyjazdów zagranicznych Andrzeja Urbanowicza, Katowice, 20 I 1976 r., k. 34.
37. AIPN Ka, 036/2020, Uzasadnienie odmowy wydania paszportu Andrzejowi Urbanowiczowi, Katowice 20 I 1976 r., k. 36.
38. IPN Ka, 036/2020, Pismo zastępcy naczelnika Wydziału IV do naczelnika Wydziału „C” KWMO w Katowicach dot. udzielenia informacji czy wśród mieszkańców zamieszkających w Katowicach przy ul. Piastowskiej 1 znajduje się czynna sieć TW, Katowice, 20 I 1976 r., k. 29.
39. AIPN Ka, 036/2020, Wykaz dokumentów „W” nadanych przez Andrzeja Urbanowicza, Katowice 13 I 1975 r., k. 11. Większość odpisów (178 pozycji za okres od 16 XII 1969 do 10 I 1977 r.) z perlustracji korespondencji od i do Urbanowicza, zniszczono komisyjnie na początku 1977 r. Ibidem, Wykaz dokumentów „W” dot. sprawy krypt. „Budda” zniszczonych w obecności komisji, Katowice 15 I 1977 r., k. 92–93.
40. A. Giełdoń-Paszek, *Andrzej Urbanowicz...*, s. 18.
41. AIPN Ka, 036/2020, Pismo kpt. E. Świątkowskiego do naczelnika Wydziału IV KWMO w Kielcach, Katowice, 1 VII 1974 r., k. 69.
42. AIPN Ka, 036/2020, Dokument „W” nr 1891/3 z dn. 12 VI 1974 r., Katowice, 29 VI 1974 r., k. 71–72.
43. AIPN Ka, 036/2020, Notatka z rozmowy z Andrzejem Urbanowiczem przeprowadzonej w dn. 21 IX 1978 r., Katowice, 25 IX 1978 r., k. 89.
44. Archiwum Państwowe w Katowicach (dalej: AP Kat), Urząd Wojewódzki w Katowicach, Wydział ds. Wyznań, 1/730, Informacja o praktyce Zen w Polsce, k. 33; „Polityka” 1975, nr 51–52.
45. B. Tracz, *Katowicka ścieżka Zen*, „CzasyPismo” 2012, nr 1, s. 153.
46. AP Kat, Urząd Wojewódzki w Katowicach, Wydział ds. Wyznań, 1/730, Informacja o praktyce Zen w Polsce, k. 33.
47. L. Karczewski, *Buddyzm Japoński i Tybetański w Polsce*, „Przegląd Religioznawczy” 1992, nr 1 (163), s. 82.
48. AIPN Ka 036/2020, Notatka z rozmowy z A. Urbanowiczem przeprowadzonej w dn. 21 IX 1978 r., Katowice, 25 IX 1978 r., k. 89.
49. AIPN Ka, 036/2020, Informacja dot. Stowarzyszenia Buddyjskiego „Koło Zen – Wspólnota Buddyjska”, Katowice, 8 VII 1976 r., k. 84v; Ibidem. Streszczenie kwestionariusza ewidencyjnego nr 31850 krypt. „Budda”, Katowice 13 I 1977 r., k. 94v.
50. AIPN Ka, 036/2020, Informacja dot. Stowarzyszenia Buddyjskiego „Koło Zen – Wspólnota Buddyjska”, Katowice, 8 VII 1976 r., k. 85.
51. AIPN Ka, 036/2020, Notatka z rozmowy z A. Urbanowiczem przeprowadzonej w dn. 21 IX 1978 r., Katowice 25 IX 1978 r., k. 89–90.
52. AIPN Ka, 036/2020, Wniosek o założenie kwestionariusza ewidencyjnego, Katowice, 19 I 1976 r., k. 1v.
53. AIPN Ka, 036/2020, Notatka dot. A. Urbanowicza na podstawie dokumentów „W”, Katowice 17 I 1976 r., k. 32.
54. AIPN Ka, 036/2020, AIPN Ka, 036/2020, Wniosek o założenie kwestionariusza ewidencyjnego, Katowice, 19 I 1976 r., k. 1.
55. AIPN Ka 036/2020, Informacja dot. A. Urbanowicza, Katowice 30 I 1976 r., k. 40.; Ibidem, Streszczenie kwestionariusza ewidencyjnego nr 31850 krypt. „Budda”, Katowice 13 I 1977 r., k. 94v.
56. Wywiad z W. Eichelbergerem przeprowadzony 14 III 2016 r., w posiadaniu autora.
57. M. Krajewska, *Buddyzm diamentowej drogi w Polsce. Narracje o początkach*, Bydgoszcz 2016, s. 49; K. Kosior, *Buddyzm w Polsce...*, s. 192; Krzysztof Kosior błędnie podaje datę wizyty Olego Nydahla na październik 1975 r.
58. AAN, WdSW, Decyzja o wpisaniu do rejestru stowarzyszeń i związków religijnych Stowarzyszenia Buddyjskiego Karma Kagyu w Polsce, Warszawa, 27 I 1984 r., k. 8.
59. B. Rok, wkładka do płyty „Ossian”.
60. AIPN Ka, 036/2020, Analiza materiałów operacyjnych dot. Andrzeja Urbanowicza, Katowice, 16 I 1976 r., k. 31–31v.
61. AIPN Ka, 036/2020, Pismo przewodnie ppłk. L. Pikuly do naczelnika Wydz. III Dep. IV MSW w Warszawie, Katowice, 3 II 1976 r., k. 38.
62. AIPN Ka, 036/2020, Notatka urzędowa sporządzona przez Jacka Krausa funkcjonariusza Wydziału Kryminalnego KWMO w Katowicach, Katowice, 5 VI 1976 r., k. 80–80.
63. AIPN Ka, 036/2020, Pismo przewodnie do informacji dot. nielegalnego wyznania buddyjskiego przesłanej do kierownika Wydziału Administracyjnego KW PZPR w Katowicach tow. J. Korczyńskiego, Katowice, 8 VII 1976 r., k. 83.
64. Streszczenie kwestionariusza ewidencyjnego nr 31850 krypt. „Budda”, Katowice 13 I 1977 r., k. 95.
65. Ibidem.
66. AIPN Ka, 036/2020, Notatka z rozmowy z Andrzejem Urbanowiczem przeprowadzonej w dn. 21 IX 1978 r., Katowice, 25 IX 1978 r., k. 89.
67. A. Urbanowicz, *Dotknięcia. Ślady...*, s. 153.
68. AIPN Ka, 0025/2450, t. 1, Notatka służbowa z rozmowy z A.K. dot. wyznania buddyjskiego, Kielce, 25

IX 1978 r., k. 10.

69. AIPN Ka, 036/2020, Notatka z rozmowy z A. Urbanowiczem przeprowadzonej w dn. 21 IX 1978 r., Katowice, 25 IX 1978 r., k. 90.

70. AIPN Ka, 0025/2450, t. 2, Notatka służbowa inspektora Wydz. IV KWMO w Kielcach ppor. Cz. Wurszta ze spotkania z TW „Andrzej” dn. 13 XI 1978 r., Kielce, 15 XI 1978 r., k. 1v.

71. AIPN Ka, 036/2020, Notatka służbowa dot. akt paszportowych, Katowice, 14 I 1976 r., k. 24v.

72. AIPN Ka, 036/2020, Wniosek o anulowanie zastrzeżenia wyjazdów za granicę, Katowice, 28 IX 1978 r., k. 87.

73. AIPN Ka, 036/2020, Notatka służbowa dot. A. Urbanowicza, Katowice, 18 I 1982 r., k. 96.

74. AIPN Ka, 036/2020, Notatka informacyjna z opracowania pod względem ewidencyjno-operacyjnym i archiwalnym akt sprawy kwestionariusza ewidencyjnego kryptonim „Budda”, Katowice 25 II 1982 r., k. A; Ibidem, Wniosek o zaniechanie prowadzenia kwestionariusza ewidencyjnego, Katowice, 18 II 1982 r., k. 4; Ibidem, Notatka dot. kwestionariusza ewidencyjnego krypt. „Budda”, Katowice 22 II 1982 r., k. 97–97v.

75. Aleksandra Giełdoń-Paszek, *Andrzej Urbanowicz (1938–2011)*, Katowice 2014, s. 21; Łukasz Kałębsiak, Przyjaciele pożegnali Andrzeja Urbanowicza, tekst na portalu <http://katowice.wyborcza.pl> (dostęp: 18 II 2018 r.).

76. AIPN Ka, 0025/2450, t. 2, Notatka służbowa inspektora Wydz. IV KWMO w Kielcach ppor. Cz. Wurszta ze spotkania z TW „Andrzej” dn. 19 XII 1978 r., Kielce 21 XII 1978 r., k. 4; AIPN Ka, 0025/2450, t. 2, Informacja nr 3/79 spisana ze słów TW ps. „Andrzej”, Kielce 13 VI 1972 r., k. 26.

77. AIPN Ka, 0025/2450, t. 1. Zobowiązanie, [13 XI 1978 r.], k. 8.

78. AIPN Ka, 00185/1. Karta rejestracyjna: Andrzej Korbela s. Witolda ur. 19 IX 1946, pakiet EAKOI Ka 10/43, nr karty 950.

79. Więcej o działalności i współpracy A. Korbela, zob. B. Tracz, *Pożytywnie ustosunkowany uczeń Philipa Kapleau*, „Czasypismo” 2016, nr 1(9), s. 176–183.

80. Wywiad z W. Eichelbergerem przeprowadzony 14 III 2016 r., w posiadaniu autora

81. A. Urbanowicz, *Dotknięcia. Ślady...*, s. 153–154.

82. AIPN Ka, 0025/2450, t. 2, Notatka służbowa inspektora Wydz. IV KWMO w Kielcach ppor. Cz. Wurszta, Kielce, 14 VIII 1979 r., k. 32.

83. AIPN Ka, 0025/2450, t. 2, Informacje nr 5/79 spisana na podstawie relacji ustnej TW ps. „Andrzej”, Kielce, 20 IX 1979 r., k. 34.

84. D. T. Suzuki, *Wprowadzenie do buddyzmu Zen*, Warszawa 1979.

85. AIPN Ka, 085/12, Notatka ze spotkania ppor. A. Pilarczyka z TW ps. „Artysta”, Katowice 29 IX 1980 r., k. 30–31; AIPN Ka, 0025/2450, t. 2, Informacje nr 2/80 spisana z relacji ustnej TW ps. „Andrzej”, Kielce 14 VIII 1980 r., k. 40–41.

86. AIPN Ka, 085/12, Notatka ze spotkania ppor. A. Pilarczyka z TW ps. „Artysta”, Katowice 29 IX 1980 r., k. 30.

87. Ibidem, k. 30–31

88. Wywiad z W. Eichelbergerem przeprowadzony 14

III 2016 r., w posiadaniu autora.

89. L. Karczewski, *Buddyzm Japoński...*, s. 82.

90. AP Katowice, Urząd Wojewódzki w Katowicach, Wydział ds. Wyznań, 1/730, „Informator Wspólnoty Buddyjskiej Zen w Polsce” 1981, zima, nr 1, k. 44.

91. Ibidem, k. 45–46.

92. AAN, UdSW, 132/258, Zaświadczenie dot. związku wyznaniowego Wspólnota Buddyjska Zen w Polsce, Warszawa, 3 II 1981 r., k. 160.

93. AP Kat, Urząd Wojewódzki w Katowicach, Wydział ds. Wyznań, 1/730, Informator Wspólnoty Buddyjskiej Zen w Polsce, 1981, wiosna, nr 2, k. 51.

94. AAN, UdSW, 132/258, Zaświadczenie dot. Wojciecha Eichelbergera, Warszawa, 29 VI 1981 r., k. 163.

95. AP Kat, Urząd Wojewódzki w Katowicach, Wydział ds. Wyznań, 1/730, Ślubowanie, k. 40; Ibidem, Kwestionariusz dla osób piastujących duchowe stanowiska kościelne, k. 41–42.

96. Wywiad z W. Eichelbergerem przeprowadzony 14 III 2016 r., w posiadaniu autora

97. Leszek Karczewski, *Buddyzm Japoński...*, s. 82; Wywiad z W. Eichelbergerem przeprowadzony 14 III 2016 r., w posiadaniu autora.

98. Philip Kapleau, *Zen. Świt na Zachodzie*, Warszawa 1985.

99. AIPN Ka 036/2020, Wniosek o zaniechanie prowadzenia kwestionariusza ewidencyjnego, Katowice, 18 II 1982 r., k. 4.

100. AAN, UdSW, 132/258, Dane statystyczne Związku Buddystów Zen Sangha w Polsce wg stanu na dzień 31 XII 1983 r., Warszawa, 28 I 1984 r., k. 157.

101. AAN, UdSW, 132/232, Decyzja o wpisaniu do rejestru związków wyznaniowych Urzędu do Spraw Wyznań pod nr 17 związku wyznaniowego pn. Stowarzyszenie Buddyjskie Zen Czogie w Polsce, Warszawa, 23 VI 1981 r., k. 105.

102. AAN, UdSW, 132/233, Decyzja o wpisaniu do rejestru związków wyznaniowych Urzędu do Spraw Wyznań pod nr 20 związku wyznaniowego pn. Stowarzyszenie Buddyjskie Karma Kagyu w Polsce, Warszawa, 27 I 1984 r., k. 7–8.

103. AAN, UdSW, 132/235, Decyzja o wpisaniu do rejestru związków wyznaniowych Urzędu do Spraw Wyznań pod nr 26 związku wyznaniowego pn. Stowarzyszenie Buddyjskie Kandzeon, Warszawa, 9 I 1987 r., k. 57.



Nyogen Nowak, Wół 2021

Trzy historie

Buddyzm stawał się dla mnie instrumentem zmieniania świata, a nie tylko samego siebie. Wtedy jeszcze wierzyłem, że jakiegokolwiek mosty są w ogóle do zbudowania.

Historia zewnętrzna

Dorastałem pod koniec lat 60. Myślałem wtedy pewnie w taki sposób, w jaki dzisiaj myślą alterglobaliści, z tą różnicą, że wtedy nie za bardzo miałem przeciwko czemu protestować. Nie było kapitalizmu, wolnego rynku, konsumpcjonizmu, instytucji finansowych i wielu dzisiejszych wynalazków. Było za to nasze „wspaniałe” państwo PRL, gdzie wszystko zastałem poukładane tak, że nawet nie wyobrażałem sobie, że cokolwiek i kiedykolwiek da się zmienić. Protestowałem przeciwko nudnej normalności. I na tej drodze moich protestów pojawiali się ludzie, którzy nie byli ani nudni, ani normalni. Jak patrzę na stare zdjęcia, to widzę tam twarze tych, którzy jeszcze teraz otwierają we mnie to coś, co zostało przysypane przez wiele następnych lat. Przysypane milczeniem.

Być może gdzieś na uboczu polskich spraw zwykłych uczestniczyłem w jakimś grupowym przebudzeniu, które połączyło niezrealizowane wcześniej potrzeby pewnej generacji, przede wszystkim te hippisowskie, kontrkulturowe. Ten niezrealizowany potencjał pokolenia '68, który zaczął się przejawiać dopiero pod koniec lat 70., w naturalny sposób wykorzystał kanał buddyjski do tego, żeby zaistnieć jako wspólnota, żeby połączyć to wszystko, co było rozproszone, istniało niejako w ukryciu, w umysłach poszczególnych ludzi. Na świecie odbywało się to stopniowo i dlatego różne nurty myślenia alternatywnego nawet nie mogły się łączyć,

stanowiły całkiem różne światy. Ale ówczesna Polska to był kraj, w którym wszystko, co najciekawsze było zabronione i pewnie to właśnie spowodowało, że różne środowiska alternatywne potrzebowały nawzajem swojego wsparcia, tworząc tę piękną iluzję nowego, wspaniałego świata. Choć niektórym z tych środowisk wydawało się, że w katolickim kraju, który był w dodatku komunistyczny, szukanie drogi życia w buddyzmie, który nie miał nic wspólnego z naszą polską tradycją, to jakieś kompletne nieporozumienie. Jednak ci, którzy teraz patrzą na mnie z tych starych zdjęć, potrzebowali wspólnoty. No i ją sobie stworzyliśmy. A później każdy poszedł w swoją stronę.

Zresztą już na samym początku lat 80. zaczęły mnie wciągać inne światy i w coraz mniejszym stopniu byłem prawowiernym buddystą. Z tego okresu pamiętam różne rozmowy, które, szczególnie po wprowadzeniu stanu wojennego, stawały się coraz bardziej istotne. Na ile buddyzm ma tworzyć wyizolowaną wyspę w społeczeństwie, nawet jeśli jest to wyspa szczęśliwości? Czy może jednak powinniśmy wywierać wpływ na to, co dzieje się w Polsce, choćby budując symboliczne mosty łączące tę wyspę szczęśliwości z resztą świata? Byli tacy, którzy uważali, że nie ma sensu nawet próbować zmieniać całego społeczeństwa, trzeba przede wszystkim skupić się na tym, by zmieniać siebie. Ci rzeczywiście uciekali, tak dosłownie, w sensie zewnętrznym, natomiast w sensie wewnętrznym szukali swojej nowej drogi rozwoju. Niekoniecznie związanej z aktywnym uczestnictwem w życiu. Byli też ci, którzy wybierali drugą opcję, czyli budowanie mostów. Tu mi było znacznie bliżej, bo buddyzm stawał się dla mnie instrumentem zmieniania świata, a nie tylko samego siebie. Wtedy jeszcze byłem przekonany, że te drogi są całkowicie różne. Wtedy jeszcze wierzyłem, że jakiegokolwiek mosty są w ogóle do zbudowania.

To mniej więcej wtedy zaczęły się mocniejsze kontakty z różnymi grupami artystycznymi i droga poprzez kolejne kręgi kultury alternatywnej. W połowie lat 80. stało się widoczne,



*II Spotkanie, Pracownia, ul. Piastowska 1, Katowice, 2009 r. Od lewej: Krzysztof Lewandowski, Bolesław Rok.
Fot. Jan Bereza OSB*

że istnieje pewne środowisko i pewne wspólne wartości. Jednym z efektów tego olśnienia było zaistnienie wydawnictwa Pusty Obłok w znacznie szerszym niż tylko buddyjskim kontekście. Gdyby dobrze poszukać, to wiele wydarzeń, przekonań, które później, w latach 90., przebiły się do świadomości publicznej, miało swoje korzenie w tym, co można nazwać środowiskiem „Pustego Obłoku”. Z kolei to środowisko Pustego Obłoku z drugiej połowy lat 80. miało swoje korzenie w tym, co zdarzyło się w pierwszej grupie buddyjskiej w ‘75. Miałem po prostu szczęście, że wtedy w tym uczestniczyłem. Bo dziś już nie powiem, że taka była moja karma.

Historia wewnętrzna

Moje przedszkole zawsze było bez granic. Moje zabawki też nie miały granic. Mogłem bawić się tak, jak chciałem, mogłem mówić

cokolwiek, a po chwili zmieniać zdanie. Ten mój mały globalny świat dzielił się na tych, którzy coś mają, i tych, którzy nie dostali. Przyglądałem się sobie uważnie, bo chciałem być akceptowany, bo przede wszystkim chciałem się podobać. Potrafiłem uwierzyć we wszystko, a później nawet nie wiedziałem, w co uwierzyłem. Miałem też oczywiście swoje kolorowe koraliki, słodkie cukierki, błyszczące światełka, które ustawiałem na ołtarzach wielkich świątyń jako tajemnicze symbole globalnego przedszkola. Modliłem się na codziennych wernisażach. I tylko czasem pojawiała się mgliste poczucie, że jest jednak inny świat. Właśnie to poczucie niewystarczalności życia w granicach przedszkola bez granic przeniosło mnie w końcu do innego świata. Nie było to łatwe, chociaż zawsze przeczuwałem, że inny świat istnieje we mnie samym.

Moim naturalnym stanem było uśpienie.

Rozbudzenie wymagało wysiłku, przeciwstawienia się entropii. Inni wypełniali ten mój świat różnymi wyobrażeniami – o Bogu, niebie, piekle. Ale przecież o rzeczywistości „po tamtej stronie” świata dobrze mówi samo tylko milczenie. Milczenie nie jest związane z żadną religią, choć jest istotą każdej z nich. Milczenie jest wolne, religia zaś jest duchowością zorganizowaną – posiada niezmienną doktrynę, kult i hierarchiczną organizację. Milczenie wyrażałem poprzez prawdę, wiarę, nadzieję, miłość, odwagę, cierpliwość, współczucie, wrażliwość na piękno. To otworzyło mój „inny świat”, w którym starzenie się, cierpienie, lęk przed śmiercią, jakby intuicyjnie przewyciężałem. Milczenie wyprowadzało mnie z szaleństwa.

Ale też czasem świadomie wybierałem zło, kłamstwo, jakąś mistyfikację. Wybierałem słowa. Bo to przecież było ciekawsze. Bo przecież nigdy nie wiedziałem, co jest prawdą. To słowa mają tę demoniczną moc zakrywania prawdy. Jak pisał poeta: „odkąd słowa wymknęły się ze złotych ust, odtąd niebo i ziemia pełne są splątanych dzikich róż”. Później już od słów nie mogłem się uwolnić, chociaż jak nigdy przedtem niezliczone rzesze mistrzów słowa – pisarzy, polityków, aktorów i dziennikarzy – pokazywały mi, że słowa są tylko wygodnym narzędziem indoktrynacji. Ale im bardziej lekkomyślnie, a może raczej przemyślnie, używali tych słów, tym bardziej ich słuchałem, jakby rzeczywistość byli kapłanami prawdy. Choć wiem, że prawdą nie można uwieść nikogo.

Próbowałem i krzyczałem. Próbowałem i milczałem. Gdzieś, w czymś planie stworzenia mnie, zabrakło miejsca na zmysł prawdy. Rozpoznaję smaki, widzę kolory, słyszę dźwięki, lecz gdy chcę poznać prawdę, to okazuje się, że do tego celu mam tylko słowa. A one jakoś nie dają pewności. Wciąż ulegałem halucynacjom, miały mnie rozmaite miraż. Poddawałem się tym pięknym złudzeniom, które zaspokajały nieodgadnione potrzeby i pragnienia. Słuchałem swoich pięknych słów i zapominałem o tym, że nie widzę księżyc, a tylko palec na ten księżyc wskazujący.

Historia współczesna

Gdy udaje mi się uciszyć słowa, to mam wrażenie, że zanurzam się w obszar doświadczenia pierwotnego, w świat dźwięków, rytmu i żywiołów. Tak właśnie uciekam od świata nasyconego trującymi wyziewami poglądów i wyobrażeń, pomysłów i interesów. Z natury jestem bowiem człowiekiem milczącym. Ale ostatnio zdarza mi się to coraz rzadziej. Gdy widzę coś, gdy zaczynam obserwować, to od razu rusza burza słów, a później łapię się na tym, jak usiłuję potwierdzić wymyśloną interpretację, znaleźć najlepsze zastosowanie, jak przekonuję siebie, innych. Wtedy krzyczę. Wtedy chcę, żeby inni mnie słuchali.

Tyle, że nie ma już słuchaczy w świecie, który powoli zamienia się w wielkie targowisko, gdzie każdy wrzeszczy najlepiej jak potrafi, żeby przyciągnąć uwagę innych i przy okazji zrobić jakiś mały interes. Cóż można zresztą usłyszeć, gdy wszyscy jednocześnie zachwalają swój towar, w świecie przepełnionym miliardami gardeł, nasyconym wytworami nowoczesnej cywilizacji, w chaosie splątanych dźwięków i towarów. Ten globalny wrzask, niepostrzeżenie niwelujący wszelkie różnice, staje się powoli rytmem naszego wspólnego szaleństwa. I skoro wszystko jest dozwolone, bo demokracja, niczym pelzająca entropia, zrównała wszelkie wartości, to pozostaje tylko ostatecznie skapitulować przed globalnym nieodróżnicowaniem. Zniknęli już ostatni prorocy. Magma politycznej poprawności niepostrzeżenie przekształciła się w infantylny bełkot o zadziwiająco zgodnym brzmieniu. Satysfakcja dla wszystkich gwarantowana.

Rozmiękają struktury, które w rozpaczliwym poszukiwaniu kolejnych nawróconych głoszą ustami najbogatszych i najpiękniejszych powszechną równość i braterstwo. Oplącemy cały świat globalną siecią komputerową – mówią – a wszyscy będą mieli równe szanse i dostęp do wiedzy, która uszczęśliwi i wzbogaci. Nakarmimy głodnych i napoimy spragnionych. Każdy może usłyszeć to, co pragnie. Czy nasze tłuste gazety, spasione wylewającymi się reklamami i setkami arty-

kułów sponsorowanych, są jeszcze w stanie za czymś się opowiadać? Spreparowane informacje, błyskawicznie rozprzestrzeniające się we wszystkich telewizjach świata, o kolejnym nieślubnym dziecku kolejnego celebryty. Komputerowe kino akcji w multipleksach. Performance choćby na sekundę przyciągający zbiorowym oddawaniem moczu.

I choć wszystko obumiera krok po kroku, to chcemy wierzyć, że jednak ktoś zaprowadzi nas do raju. Z ufnością poddajemy się aksamitnej tyranii nowego totalitaryzmu, w pielgrzymce z jednego supermarketu do drugiego, odwołując się do naszej wewnętrznej mocy, którą głęboko chowamy w portfelu. Czy stojąc w obliczu raju elegancko zapako-

wanego, z solidnie przytwierdzoną etykietą, nie utwierdzamy się przypadkiem w przekonaniu, że to nowe zniewolenie globalne zostało ustanowione przecież dla naszego dobra? I podczas gdy bezsilne grupy straceńców w różnych częściach świata domagają się na nowo wolności i sprawiedliwości, nowy bezład globalny staje się polem działania nieskoordynowanych ze sobą sił. Destabilizacja i elastyczność to nowy paradygmat ziem niczyjej. Rozpłynięcie się w morzu postmodernistycznej nieokreśloności to mój nowy paradygmat. Byle w milczeniu.

Bolesław Rok,
listopad 2010



Toni Packer i Andrzej Urbanowicz, Kamieńczyk 1978 r. Fot. Włodzisław Duch

Nyogen Nowak

Pierwszy powiew

Pracownia na Piastowskiej była jednym z tych niewielu okien, przez które można było zaczerpnąć świeżego powietrza w zatęchłej atmosferze oficjalnego marksizmu czy ciasnoty filozoficznej Kościoła katolickiego.

„Nyogen-san”, zwrócił się do mnie kapłan dużej świątyni soto na północy Japonii, kiedy przed wykładem o malarstwie zen (zenga) zawieszałem swoje zwoje w sali Buddy „jeśli opowiesz o tym jak to się stało, że zostałeś buddyjskim mnichem, to dla wszystkich

Japończyków zebranych tutaj będzie to potwierdzenie, że ich kultura ma wielką wartość. Japończycy obecnie nie mają wewnętrznej pewności co do wartości swojej tradycyjnej kultury.”

Kiedy we wrześniu 1971 roku, na urodziny moja matka wręczała mi „Buddhacaritę” (Poemat o życiu Buddy) Aśwaghoszy, nie przypuszczałem jak wielki impakt będzie miało to wydarzenie. Dwa lub trzy lata później zupełnie wykończony Zbigniew Beksinski lawinowym wręcz gradem pytań z pogranicza sztuki i mistyki Dalekiego Wschodu, którymi zasypywałem go w listach podając mi adres pracowni na Piastowskiej rzucił krótko na koniec naszej korespondencji „czep się Urbanowicza ale nie wiem czy go zastaniesz bo Urbanowicz buduje dom gdzieś pod Kielcami, i może go nie być”. Andrzej Urbanowicz był, była też



Kamieńczyk, 1979 r. Od lewej: Joanna Lasota, Nyogen Nowak, Anna Klegon. Fot. Janusz Korbel

Urszula oraz autentyczny ewenement pracownia na Piastowskiej, w której od jesieni 1976 roku do czasu pierwszego wyjazdu do Stanów do ośrodka zen w Rochester w 1980 roku mieszkałem. 40 lat później dosłownie na drugim końcu świata w świątyni zen, mówiłem o początkach buddyzmu w Polsce i o pracowni na Piastowskiej do ponad 100 osobowej grupy Japończyków.

Chociaż jak mawiało się nasz kraj uchodził za najweselszy z baraków w całym wschodnim bloku to wesołości tej niejednokrotnie brakowało świeżego powietrza. Atmosfera siły przewodniej narodu, dorabiania się i morza wódki w której zawsze można było popłynąć w razie życiowych niepowodzeń nie pozwalała na szersze spojrzenie. Pracownia na Piastowskiej była jednym z tych niewielu okien, jeśli nie jedynym, jeśli chodzi o alternatywny światopogląd, przez które można było zaczerpnąć świeżego powietrza w zatęchłej atmosferze oficjalnego marksizmu czy ciasnoty filozoficznej Kościoła Katolickiego. Pierwszym powiewem tego była oczywiście sama sztuka Urszuli i Andrzeja, która nawiązywała do artystycznej tradycji Dalekiego Wschodu nie tyle poprzez inspirację czy oczarowanie jakąś nieznaną egzotyczną formą jak było to w okresie XIX-wiecznego modernizmu kiedy często powierzchowne inspiracje japonizmem można odnaleźć w sztuce Pankiewicza, Wyczółkowskiego czy Boznańskiej, lecz poprzez długi proces poszukiwań duchowych, poczynając od okultyzmu, Junga, Steinera, mistyków Zachodu, Gurdjieffa i hinduizmu aż do tradycji buddyjskiej, co już samo w sobie było czymś niezwykle w okresie gierkowskiego PRL-u. Urszula zresztą do końca życia pozostała wierna tej tradycji zarówno w swoim życiu jak i sztuce czego dowodem są jej „medytacyjne akwarele” - odzwierciedlenie odwiecznej energii, która przenika wszystko. Obydwoje dysponowali olbrzymim księgozbiorem z zakresu sztuki buddyjskiej, jak i kolekcją buddyjskich figur: chińskich, japońskich i tybetańskich które Andrzej namiętnie wykupywał gdzie tylko się dało przeznaczając na to gros swych finansów. To właśnie tam

po raz pierwszy miałem okazję się zetknąć ze sztuką zen dzięki książce Yasuichi Awakawa „Malarstwo Zen” (Die Malerei des Zen-Buddhismus w niemieckiej wersji) której to fragmenty Urszula, władająca biegle tym językiem tłumaczyła. Obrazy Hakuina, Fugaia, Suio, Isshi czy Miyamoto Musashiego oraz kaligrafie Jiuna, o niezwyklej sile nie poruszyły mnie do tego stopnia jak niezwykle kolorystyka i tajemna atmosfera, emanująca z tybetańskich mandali. Jednak ziarno zostało zasiane, już pierwsze spotkanie w 1983 roku w Los Angeles z koreańskim malarzem zen a później moment kiedy w Muzeum Isetan w Tokio podczas jednej z wystaw stanąłem przed oryginałami Hakuina, Fugaia, Jiuna, Miyamoto Musashiego zmienił wszystko. Swoboda oraz energia tuszu (bokki), którą w żywy sposób tętniły te prace namalowane 200 lub 300 lat wcześniej była zastrzykiem energii i większą inspiracją do praktyki zazen niż niejeden tekst zen, nie wspominając o skomplikowanej literaturze sutr i sjastr. Dopelnieniem tego stało się spotkanie Harady Tangena-roshiego, jego słowa zachęty do malowania zenga, nie wspominając już wielu kaligrafiach (san), którymi opatrzył moje obrazy na przestrzeni ponad trzydziestoletniego okresu praktyki zazen pod jego kierunkiem. Wszystko to było wskazaniem drogi, którą później się udałem.

Początkowe spotkania w grupie przyjaciół w Pracowni w latach 1973-74 stopniowo przekształcały się w regularną praktykę i stały się zaczątkiem bodajże pierwszej w Europie Wschodniej buddyjskiej grupy, która po 75 roku przekształciła się w formalną organizację buddyjską szkoły zen. Przy tej okazji warto wspomnieć, że Pracownia, a później już Pracownia-zendo na Piastowskiej stała się też centrum duchowej literatury drugiego obiegu. Takie teksty jak: „Sutra VI Patriarchy”, „Shobogenzo Zuimonki” Dogena, „Autobiografia Mistrza Hsu Yuna”, „Trzy Filary Zen” czy też rodzaj periodyku „Droga” (później znanego jako „Droga Zen”) w których publikowanych było wiele tekstów źródłowych chińskiej i japońskiej tradycji zen należały do tego rodzaju literatury, która

w okresie PRL-u przed formalną rejestracją buddyjskiej grupy nigdy nie miałyby szans na oficjalne ukazanie się na rynku księgarskim. Jest to niestety wciąż mało znany i chyba nadal niezbyt doceniany fakt lecz warto pamiętać, że te podziemne wydawnictwa buddyjskie, przy ówczesnych ograniczeniach językowych i wydawniczych były jedyną fachową literaturą dotyczącą buddyzmu zen dostępną w naszym kraju. Nie inaczej można nazwać nasze siedzenia, najpierw w pracowni wśród przyjaciół Urszuli i Andrzeja połączone z czytaniem „Tybetańskiej Księgi Śmierci”, a później słynne parodniowe „sesshin w Berszówce” w lecie 1974 roku na Kamieńczyku, a następnie po pierwszym sesshin z Philipem Kapleau w Katowicach formalne zazen grupowe w stylu Rochester Zen Center z którym nawiązaliśmy kontakt oraz ponad dwumiesięczne treningi na Kamieńczyku pod Kielcami, gdzie nasze ciągoty ku tradycyjnym formom praktyki zen, były sprawnie przycinane przez wizytujących nas amerykańskich nauczycieli, którzy jak się wydaje pochłonięci byli koanem „Jak zamerykanizować zen i sprawić by wyskoczył on ze swych orientalnych ozdobników”. Oczywiście nieuchronnie pojawia się pytanie co stałoby się gdyby wówczas ta wielka energia, entuzjazm i oddanie, które Urszula i Andrzej rozbudzili poprzez swą działalność

wśród dziesiątków ludzi trafiła na autentycznego mistrza z jakiejś azjatyckiej tradycji buddyjskiej. Czy wszystkie te nieporozumienia, niesnaski i konflikty, które w naturalny sposób towarzyszyły powstawaniu tej grupy potoczyłyby się tak samo czy inaczej? Dziś trudno oczywiście spekulować na ten temat, lecz z pewnością można zaryzykować twierdzenie, że wielką szkodą stało się to, że nie udało się nam wówczas nawiązać bezpośrednich związków z azjatyckim buddyzmem. Buddyzm poznawaliśmy niejako z drugiej ręki za pośrednictwem amerykańskich nauczycieli zen, których duchowy poziom jak i znajomość buddyjskiej kultury i sztuki daleko odbiegały od standardów prawdziwych mistrzów, jakich i dziś wciąż jeszcze można spotkać na Dalekim Wschodzie. Ktoś może powiedzieć, że mogłoby to prowadzić do kulturowych zderzeń o jakich często się słyszy od ludzi Zachodu praktykujących w Japonii, Indiach, Korei czy Tybecie. Jednak po ponad 30-letnim pobycie w Japonii śmiem twierdzić, że miałyby to większą wartość niż tkwienie na peryferiach amerykańskiego buddyzmu. Na szczęście dla wielu z nas Pracownia na Piastowskiej i inspiracja jaką tam otrzymaliśmy była początkiem dalszej Drogi i to w najszerszym tego słowa znaczeniu za co z pewnością Urszuli i Andrzejowi należą się słowa wdzięczności i uznania.

Nyogen Nowak (Włodzimierz Nowak)
Shingetsu-an, Sendai, Japonia



Nyogen Nowak „Hotei” Kaligrafia: „Subete Yosh -Wszystko jest dobre.” - Harada Tangen - roshi. Opat świątyni Bukkokuji w Obama, prefektura Fukui, Japonia.

Stefan Sencerz

*Nikt nie idzie
tą drogą –
tego jesiennego wieczoru*

Łapanie oceanu w sieć

*esej na temat
nieutrwalności (anitta),
nie-jaźni (anatta)
i pustki (shunyata)*

I

Czasami psy, czy też, jak je lubię nazywać, Damy, budzą mnie długo przed świtem. Krótka jazda samochodem na Wyspę Mustangów i zaczynamy wędrówkę. Panie podążają za mną w doskonałej formacji, w dobrym rytmie, nie za szybko i nie za wolno. Pani Sappho po wschodniej stronie, w pobliżu oceanu. Panna Molly po zachodniej stronie, gdzie jest bardziej sucho. Ich łapy kręcą się w tym eterycznym rytmie, który dawno temu zainspirował kogoś do namalowania znaku *yin-yang*. Często nie ma tu nikogo. Czasami „ja” wtapia się w rytm kroków i fal. Czasami „ja” znika, nawet jeśli tylko na chwilę. Wszystko staje się rozległe, spokojne i jasne. Czuję się, jakbym wkroczył w świat słynnego Mistrza haiku Matsuo Basho:

Matsuo Basho (1644–1694)

Jest wiele tłumaczeń tego haiku. Japoński znak *hito*, użyty w pierwszej linii, dosłownie oznacza mężczyznę lub osobę. W związku z tym niektórzy tłumaczą tę linię jako „żadna osoba”, „ani jedna dusza”, „żaden człowiek”, a nawet „żaden człowiek oprócz mnie”. Wkrótce stanie się oczywiste, że „nikt” jest o wiele lepszym wyborem. Basho używa również w tym haiku japońskich znaków *michi ya*. *Michi* jest zwykle tłumaczona jako „ścieżka”, a w połączeniu z *ya* jako „droga”.

W rzeczy samej, zarówno teksty taoistyczne, jak i mahajana buddyzm używają tego samego znaku w odniesieniu do fundamentalnej rzeczywistości *tao*. Mówi się często, że *tao* jest puste. Ale co to znaczy w kontekście tego haiku? Czy poeta mówi, że ścieżka (którą podróżuje), jest chwilowo pozbawiona ludzi? Czy chce powiedzieć, że idzie samotnie swą poetycką ścieżką? Czy sugeruje, że czuje się samotny w swojej podróży? Można zaakceptować każdą z tych interpretacji. Ale czy one wyczerpują znaczenia tego haiku? Będąc znakomitym poetą, Basho używa słów w piękny, wieloznaczny i wielowarstwowy sposób. A może droga jest pusta również w głębszym, metaforycznym, a nawet mistycznym sensie.



Fotografie dołączone przez autora są częścią eseju

II

Warto pamiętać, że Basho był buddystą w tradycji mahajany. Istnieją nawet współczesne mu obrazy przedstawiające go w szatach mnicha zen. W buddyzmie termin *shunyata*, zwykle tłumaczony jako pustka, wskazuje rzeczywistość leżącą u podstaw świata pozorów. W szczególności wszystkie szkoły i tradycje buddyjskie akceptują doktrynę *zależnego powstawania* (Sanskrit *pratītyasamutpāda*; Pali *paticcasamuppāda*), która twierdzi, że żadne zjawisko nie ma samowystarczającego istnienia i wszystkie są zależne od siebie nawzajem. Jak wyraża to *Majjhima Nikaya Sutra*:

*Gdy to jest, tamto jest
Gdy to powstaje, tamto powstaje
Gdy to nie jest, tamto nie jest
Gdy to ustaje, tamto ustaje.*

Odwrotną stroną tej doktryny jest teza, że żadne zjawisko nie ma samowystarczającego i niezależnego istnienia ani wiecznej natury. Na przykład *Sutra Serca Doskonałej Mądrości* (*Prajna Paramita Hridaya*) stwierdza, że wszystko co istnieje, nie posiada samowystarczającej i niezależnej natury, a zatem:

*Forma jest pustką (shunyata), pustka jest formą.
Pustka jest niczym innym jak formą;
forma jest niczym innym jak pustką.
Podobnie uczucia, spostrzeżenia, wyobrażenia,
czynniki kompozycyjne i świadomość są puste.*

*Wszystkie zjawiska są puste,
nie ma narodzin ani śmierci,
nie ma bytu ani nieistnienia,
nie ma skalań i nie ma czystości
nie ma wzrostu i nie ma rozkładu.*

Tak więc nie jest zaskoczeniem, że doktryna pustki (*shunyata*) i doktryna zależnego powstawania zostały utożsamione przez różnych myślicieli buddyjskich; na przykład przez największego filozofa szkoły *Madhyamaka*, Nagarjunę (ok. 150-250 n.e.) w jego *Mulamadhyamakakarika* (24.18-19):

*Cokolwiek powstaje zależnie
jest określone jako puste.
Dlatego też zależna atrybucja
jest środkową drogą.*

*Nie ma niczego
co by nie było zależne.
I dlatego nie ma niczego
co by nie było puste.*

III

Istnieją uderzające podobieństwa między „metafizyczną i mistyczną mapą”, jaką można znaleźć w sutrach buddyzmu mahajany i „metafizyczną i mistyczną mapą” w klasycznych tekstach taoizmu. Już na samym początku *Tao Te Ching* zauważa, że najbardziej fundamentalna rzeczywistość *Tao* wykracza poza wszystkie słowa i pojęcia:

*Droga, którą możesz iść
nie jest prawdziwą drogą.
Imię, które możesz powiedzieć
nie jest prawdziwym imieniem.*

*Niebo i ziemia
zaczynają się w nienazwanym:
Nazwa jest matką
dziesięciu tysięcy rzeczy.*

*Tak więc ten, kto nie ma pragnień
widzi to, co jest ukryte.
A ten kto ma pragnienia
widzi tylko to, czego chce.*

(Lao Tze, *Tao Te Ching*)

Kiedy, począwszy od pierwszego wieku, za panowania dynastii *Han*, nauczyciele buddyjscy zaczęli przybywać do Chin, odkryli podobieństwa pomiędzy taoistycznymi tekstami i ich własnym buddyjskim sposobem wyrażania wzajemnych zależności pomiędzy „absolutną prawdą” o pustce (*shunyata*) i „konwencjonalnymi prawdami” na temat pozorów i dziesięciu tysięcy rzeczy. Z kolei

chińscy taoiści postrzegali buddyzm jako zagraniczną formę rodzimego taoizmu. W konsekwencji kanoniczne pisma buddyjskie były często tłumaczone na język chiński przy użyciu słownictwa taoistycznego. Z czasem obie tradycje połączyły się w tak zwany buddyzm ch'an i jego japoński odpowiednik zen. Jest to tradycja, która całym sercem przyjęła doktrynę „dwóch prawd” na temat jednej rzeczywistości - shunyatta-jako-forma i forma-jako-shunyatta. Ta tradycja przyjęła również buddyjsko-taoistyczne sposoby wyrażania tej doktryny.

Trzeba podkreślić, że byłoby błędem traktować „prawdę” o pustce-shunyata-tao i „prawdę” o pozorach i dziesięciu tysiącach rzeczy jako prawdy opisujące dwie różne sfery rzeczywistości lub dwa odrębne światy. Raczej są to dwa różne sposoby „widzenia”, „konceptualizacji” i wyrażania prawd o tej samej rzeczywistości. Przypomnijmy sobie, jak to wyraża *Prajna Paramita Hridaya*: „pustka jest niczym innym jak formą; forma jest niczym innym jak pustką”. Podobnie taoistyczne źródła nigdy nie sugerują, że pojęcia i słowa dosłownie tworzą nowe rzeczy, nowe światy, i nową rzeczywistość. Raczej tworzą nowe sposoby „widzenia” tego, co jest rzeczywiste.

Możemy się obudzić do tej rzeczywistości. Możemy się obudzić do lepszego sposobu „widzenia” tej rzeczywistości. Aby to zrobić, musimy przekroczyć wszelkie uprzedzenia, włącznie z pojęciem pustki, i porzucić wszelkie iluzje, włącznie z iluzją „ja”.

IV

Jakieś dwadzieścia lat temu zacząłem uczyć filozofii w małym college'u Corpus Christi w Texas, położonym na wybrzeżu Zatoki Meksykańskiej. Było nas tylko dwóch, niewiele kursów do uczenia, niezbyt wielu chętnych studentów i mieliśmy wiele obaw, jeśli chodzi o nasz program. W szczególności, czy będziemy w stanie go rozwinąć i z czasem zaoferować dobry program z naszej dyscypliny. Pewnego dnia mój kolega wszedł do mojego biura i zapytał: „A może byśmy coś przy-

gotowali z filozofii wschodniej?”. „Nigdy nie prowadziłem takiego kursu, nie wiedziałbym, od czego zacząć”, odpowiedziałem. „Daj spokój”, nalegał. „Masz tu półki pełne książek o buddyzmie, hinduizmie i taoizmie. Chodzisz na medytacyjne rekolekcje z nauczycielami buddyjskimi. Na pewno jesteś w stanie coś wymyślić. Z pewnością studenci będą zainteresowani i kurs wystartuje”. I tak się zaczęła moja kariera jako „uczonego” lub przynajmniej nauczyciela filozofii wschodniej.

Czasami moi studenci zapytują, dlaczego różne teksty (zarówno hinduskie, jak i buddyjskie) twierdzą, że ostateczna rzeczywistość *brahmana*, *shunyata*, *tao* lub jakkolwiek chcemy to nazwać, nie da się wyrazić słowami. Nie jest to wyjątkowe dla Wschodu, odpowiadam. Również na Zachodzie mówimy czasami, że próba uchwycenia boskości w słowach jest jak łapanie oceanu w sieć rybacką. Tego się nie da zrobić. A jednak, jeśli masz dobrą sieć i wiesz co z nią zrobić, możesz w nią złapać wiele interesujących rzeczy. Z pewnością możemy żeglować i pływać w oceanie. I do tej pory dowiedzieliśmy się, że z niego wyszło całe życie.

Czasami ktoś pyta, dlaczego teksty buddyjskie twierdzą, że *atman*, czyli jaźń lub ego, nie istnieje. Zajęło mi sporo czasu, zanim wpadłem na dobry pomysł, jak można wyjaśnić, co buddyzm implikuje twierdząc, że ego nie istnieje. Co ciekawe, ocean znów pomógł.

Warto zaznaczyć, że nie chodzi tu o indywidualność; z pewnością istnieją indywidualne strumienie życia-i-świadomości. A przynajmniej mowa o indywidualnych strumieniach świadomości ma sens z punktu widzenia, który buddyści nazywają konwencjonalnym (lub „względny”) punktem widzenia. Buddyzm raczej odrzuca tezę, że istnieje coś „stałego” i niezmiennego, coś, co rzekomo podpira wszelkie zmiany i trwa w czasie bez żadnych zmian.

Spójrzmy na nadpływające fale, mówię. Możemy je zidentyfikować, policzyć i nawet śledzić ich ruchy. A jednak nie ma ani jednej

kropli wody, która płynie z falą i pozostaje z nią przez całą jej podróż. Krople wody poruszają się w górę i w dół i wcale się do nas nie zbliżają; a jednak, jak się zdaje, fala zbliża się do nas.

jemy znaleźć coś solidnego i niezmiennego. Tak jakby w rzeczywistości coś takiego było. I na tym właśnie polega czeplanie się iluzji ego.



Powiedzieć, że istnieje jaźń, ego lub *atman*, byłoby równoznaczne z powiedzeniem, że istnieje jakaś specjalna kropla wody, esencja fali lub jej „dusza”, podróżująca z nią tak długo, jak ta fala trwa. To by znaczyło, że fala trwałaby jako ta sama fala tylko tak długo, jak jej „dusza” (to znaczy ta jedna kropla wody) trwałaby w niej. W rzeczywistości nic takiego nie istnieje. Ciągłe na nowo, chwila po chwili, każda fala odrzuca całą wodę, która stanowiła tę falę ułamek sekundy wcześniej. A jednak, pomimo tych wszystkich zmian „wzór” (lub kształt fali) zostaje zachowany, i przez to fale trwają i kontynuują swą podróż. Buddyjskie sutry mówią, że coś takiego dotyczy również ludzi. W rzeczywistości dotyczy to wszystkiego. Nic stałego, nic solidnego, nic sztywnego; wszyscy jesteśmy jak fale toczące się po powierzchni oceanu. A jednak próbujemy lgnąć do naszych złudzeń, próbu-

Czasami ktoś zadaje inne pytanie. W tej metaforze, co reprezentuje ocean? Siła oceanu jest niesamowita. Podobnie jak jego spokój, kiedy jest spokojny. Wspaniała metafora dla tej mocy (lub cokolwiek to jest), która według wielu świętych tekstów leży u podstaw wszystkich widzialnych i niewidzialnych rzeczy. Hindusczy myśliciele nazywali to *brahmanem* i uznawali za uniwersalnego ducha. Myśliciele buddyjscy nazywają to *shunyata*. Nie ma powodu by przypuszczać, że *shunyata* automatycznie oznacza uniwersalny umysł. Ale istnieje wiele tekstów sugerujących, że przebudzenie do świata pustki (*shunyata*) rozwiązuje nasze problemy i prowadzi nas do ostatecznego wyzwolenia. Tak jest, ponieważ po przebudzeniu zdajemy sobie sprawę, że jesteśmy i byliśmy w stanie nirwany od niepamiętnych czasów. Dlatego właśnie *shunyata* została wzniesiona w kręgach bud-

dyjskich do pozycji czegoś, co zasługuje na najwyższą cześć i oddanie. Dlatego właśnie *shunyata* jest czasami określana jako Buddha Dharmakaya lub Ciało Prawdy Buddy.

Wydaje się, że wiara w ego ogranicza nas również psychologicznie. Istnieje popularne powiedzenie w kręgach buddyjskich, że „jedyną funkcją ego jest służyć sobie”; widocznie ego-ja jest przeszkodą do osiągnięcia czegokolwiek, co ma wartość.



*kolejny świt...
z nadzieją na wspaniałość
wstępuję w psie gównu*

V

Początkowo doktryny pustki (*shunyata*) i braku ja (*anatta*) miały przede wszystkim wymiary metafizyczne. Wskazywały one na głęboką (lub absolutną) prawdę o rzeczywistości. Mają one także wymiar epistemologiczny i psychologiczny. Z epistemologicznego punktu widzenia, ego „wyłania się”, gdy używamy pojęć. Tak więc, aby przekroczyć ego, musimy „opróżnić nasze umysły” i przekroczyć wszystkie koncepcje, w tym koncepcje ja i pustki. Ponownie cytując Nagarjunę:

*Budda mówi, że pustka oznacza
odrzućenie wszystkich opinii.
Ci, którzy wierzą w pustkę
są nieuleczalni*

Rzeczywiście, słyszałem kiedyś historię o poecie, który pisał co najmniej jedno przyzwoite haiku, przez setki dni z rzędu. Był tak dumny z tego osiągnięcia, że podzielił się nim z dobrym przyjacielem; pozornie niewinna rzecz. A jednak jego przywiązanie do „osiągnięcia” zatopiło otaczające go piękno. W efekcie przez wiele tygodni nie był w stanie napisać nawet jednego porządnego haiku; najwyraźniej „kara” za dopuszczenie ego na scenę i jego grzech dumi!

VI

W słynnej dyspucie opisanej w 17. rozdziale *Diamentowej Sutry* Subhuti, jeden z najbliższych uczniów Buddy (który już osiągnął poziom mędrca-*arahat*) pyta o praktykę przewycięzania pragnień i przelotnych myśli, która powinna doprowadzić do osiągnięcia doskonałego przebudzenia. Budda odpowiada, że należy pielęgnować tylko jedną myśl: „kiedy osiągnę najwyższą doskonałą

mądrość, uwolnię wszystkie czujące istoty z cierpienia i doprowadzę je do wiecznego pokoju w nirwanie”.

Jak dotąd rozmowa pozostaje na poziomie „konwencjonalnej prawdy”. To znaczy, oni wciąż mówią o istotach, które muszą zostać uwolnione i o przebudzonych *bodhisattwach* poświęcających się dla innych. Natychmiast Budda dodaje jeszcze jedną warstwę do tego nauczania; mianowicie wprowadza „perspektywę” prawdy absolutnej:

Jeśli ten zamiar i ślubowanie [aby wyzwolić wszystkie cierpiące odczuwające istoty] są szczerze, te odczuwające istoty są już wyzwolone. A dlaczego Subhuti? Ponieważ, gdyby Bodhisattwa-Mahasattwa miał na myśli takie arbitralne koncepcje, jak ja i nie-ja, żywe istoty, lub uniwersalne ja, nie można by go nazwać Bodhisattwą-Mahasattwą. A dlaczego, Subhuti? Bo w rzeczywistości nie ma odczuwających istot, które mogą być wyzwolone i nie ma nikogo, kto mógłby rozpocząć praktykę prowadzącą do osiągnięcia doskonałego przebudzenia (*Anuttara-samyak-sambhodi*). Każdego dnia, każdej nocy, przyływ zostawia na piasku dziesiątki tysięcy meduz. Zwracam jedną do oceanu, myśląc, kto zwraca uwagę, kto śpiewa sutry, kto zwraca rybę do wody, co to znaczy uratować wszystkie i

wypełnić ślubowanie *bodhisatwy*?

„Gdy ktoś jest naprawdę zbawiony, wszyscy są zbawieni” kiedyś powiedział mój nauczyciel. Według Sutry „w rzeczywistości nie ma odczuwających, cierpiących istot i nie ma istot, które je ocalają”. Ale to przeczy rozumowi. Właśnie teraz, przede mną na piasku, usycha mnóstwo ryb. A więc co to znaczy uratować wszystkie?

Co by się stało, gdyby mój śpiew był mocny jak grzmot, ostry jak diament, przecinający wiele i jedno, przecinający wszystko, przecinający każdą iluzję, co by wtedy pozostało? Więc próbuję *Om Mani Padme Hum! Namu Amida Butsu! Namu Dai Bosa! Sho Say Myo Kichi Jo! Prajna Paramita Hridaya* i każdą mantrę, każdą dharani, każdą sutrę, którą znam. Co to znaczy uratować wszystkich? Słońce zapada za horyzont, ale światło trwa, jak wspomnienia wszystkich złych uczynków i niektórych dobrych. Wciąż daleko do spokoju. To, co nazywamy „ja”, powraca do pustego domu.

*próbując złapać wiatr...
palce się przesuwają
poprzez pustą przestrzeń*



VII

Tego ranka, gdy przekraczałem most przerzucony ponad Lagunę Madre, nagle straciłem zdolność patrzenia w tył. Sprawa była dość prosta; moje lustro wsteczne odczepiło się z przedniej szyby, spadło na deskę rozdzielczą i na podłogę. Zwróciłem się do moich słodkich Pań rozpostartych na tylnym siedzeniu: „Widzicie, kochane, odkąd ściąłem włosy i wziąłem udział w odosobnieniu medytacyjnym, różne rzeczy odpadają. Na przykład włosy po odcięciu, potem sufit w moim mieszkaniu po deszczu, a teraz lustro w środku jazdy. Można by się zastanawiać, co będzie następne?”

„Wszystkie złożone rzeczy są nietrwałe”, powiedziała Safo cytując Buddę. „Zgadza się, panno Artsy-Shmartsy”, uznałem jej mądrość i dobre wykształcenie. „Więc pewnego dnia to ciało też odpadnie i może ktoś lub coś ruszy dalej. Przynajmniej w to wierzę. Ale zobaczmy”.

„Będziemy cię pamiętać”, powiedziała Miss Molly.

„Doceniam ten sentyment”, odpowiedziałem, choć miałem wątpliwości, jak się sprawy rozwijają w Bardo Thodol (czyli w stanie „pomiędzy”). Dla większości z nas pamięć nie zostaje z nami. Gdyby jednak ktoś mnie chciał zapamiętać, proszę umieścić to na urnie z moimi prochami (lub gdziekolwiek byś chciał to umieścić):

Filozof i poeta

Weganin

Miłośnik jazzu

Chciał być mnichem zen

Chodził ze swoimi psami

Po przemyśleniu, pieprz to! To zdecydowanie za dużo słów. Wystarczy: „Chodził z psami”.

Stefan Sencerz



Trzy psy. Fot. Jana K.

Irek Kulik

Trzy pory roku

Janie, dzięki za ten dokument sprzed 46 lat! W załączeniu przesyłam zdjęcie „Trzy Pory Roku”, kompozycja z 1972 r. Miejsce: sala medytacyjna w dawnej pracowni Andrzeja i Urszuli. Tu też później odbyły się osobiste nauki z roshim Kapleau. Andrzej traktował tę pracę jako symbol/alegorię tamtych czasów, początki Piastowskiej. Ten fotodokument, który mi przesłałeś, ma swoją silną wymowę. Praca była prezentowana m.in. na wystawie w BWA w Katowicach „Katowicki Underground Artystyczny”, w części poświęconej *zendo* na Piastowskiej. Ta właśnie wystawa była podkreśleniem magicznego znaczenia tamtego miejsca, kumulacji szczególnych energii, które emanowały ze spotkań i międzyludzkich kontaktów, których rezultatem były pokazane na wystawie dzieła. Andrzej życzył sobie tę pracę mieć w swoich zbiorach, w intencji przyszłej „Pracowni”, nad którą teraz pracujesz. Mieliliśmy się wymienić pracami, ale do tego nie doszło, mimo że Andrzej w towarzystwie swojej kolejnej żony odwiedzał nas kilkakrotnie w naszej pracowni w Düsseldorfie.



*Zazen grupowe, Pracownia, 1975 r. Od lewej: Marek Leszczyński, Ireneusz Kulik, Jan Sar, Andrzej Urbanowicz.
Fot. Janusz Korbel*

Drogi Janie,

Moja pamięć tamtych czasów naszych spotkań i wspólnych medytacyjnych doświadczeń przewija się jako najbardziej znaczące, energetyczne wydarzenie czasów mojej młodości biografii. Ten okres stawania się „dojrzałym” jest dla mnie ciągle, nawet teraz w przełomowym roku 2021, ważnym odnośnikiem do którego mierzę swoje zamiary – teraz.

Odwaga i ciekawość przemian nieświadomie stała się towarzyszem mojej drogi. Nie zawsze było mi wiadome dlaczego jest teraz tak jak teraz jest - nawet w kontekście osobistych rozczarowań i życiowych trudności, miałem wewnętrzne przeczucie, że nie jestem sam. To dało mi moc płynącą z wyzwolonej wewnętrznej energii. Nie wiedziałem wtedy jak to nazwać, ale byłem pewny, że to nienazwane, towarzyszy mi i emanuje również z innych wtedy tam poznanych i spotkanych postaci.

Ten wewnętrzny niepokój, który mi wtedy permanentnie towarzyszył próbowałem wypowiadać medialnie, szukałem swojego znaku. Zdobyłem się na ten gest nieśmiały, ale dostatecznie wewnętrznie motywowany. Z jednej strony to medytacyjne wyciszenie, a z drugiej strony ekspresja, którą znajdowałem wyrażając się językiem sztuki.

Było więc, jak patrzę z perspektywy czasu, prawie mi dane, bo wewnętrznie motywowane, że spotkałem Urszulę Broll, Andrzeja Urbanowicza i tych których nie sposób teraz wymienić, a przecież byli towarzyszami mojej, naszej drogi – tego życiowego przedsięwzięcia.

Urszula i Andrzej, oni oboje byli pełni wewnętrznych duchowych poszukiwań i jako artyści byli doświadczonymi osobistościami, których motywacją było poszukiwanie prawdy i wolności.

Czułem to w ich dziełach i w ich artystycznych manifestach; jak gdyby powinnością wiedzącego jest oznajmianie prawdy, w przypadku artystów błogosławionych talentem bywa to w obrębie Sztuki pewnym znaczącym fenomenem.



*„Trzy Pory Roku”, 1972 r., sala medytacyjna w dawnej pracowni
Andrzeja i Urszuli. Fot. Ireneusz Kulik*

Tutaj to co nas złączyło i zafascynowało było przekonanie o konieczności wewnętrznej praktyki, ćwiczeń medytacyjnych.

I tak też się stało. Pracownia Andrzeja i Urszuli stawała się miejscem medytacyjnych spotkań. W miarę upływu czasu przychodziło na nasze cotygodniowe spotkania coraz więcej zainteresowanych postaci. Powstało zendo.

Przygotowania do spotkania z Roshim Kapleau trwały prawie cały rok. Był to z pewnością ważny i ciężki czas, ale nasze wysiłki zaowocowały. Odbyło się pierwsze sessin.

Ja sam poświęcając się wypowiedzianiem jakiegoś uniwersalnego znaku byłem i jestem naznaczony tamtymi duchowymi doświadczeniami. Robię to z przekonania, że tą wewnętrzną prawdę trzeba głosić, bez względu na tak zwany publiczny sukces. Nie w znajdowaniu jego poklasku, ale w poszukiwaniu i w procesie przemian.

Nasze drogi się rozeszły. Andrzej i Urszula wyjechali z Katowic. Po wielu latach spotka-

liśmy się znowu.

Okazją tą była wystawa „Katowicki Underground Artystyczny” w Katowickim BWA, w roku 2003.

Inicjatorem był Andrzej i z pewnością Henryk Waniek, który mimo postawy „pewnego dystansu” do prekursorskich wydarzeń „Pracowni”, tym razem nie odmówił swojej kuratorskiej dorady jako artysta i świadek tamtych czasów.

Pokazałem swoje fotomedialne dzieła.

Jaki wpływ na moją twórczość wywarły nasze rozmowy z Henrykiem, Ursulą i Andrzejem oraz wspólne temporalne działania artystyczne z moją przyszłą żoną Brygidą Wróbel nie mogę przecenić. Zawdzięczam tym czasom i tej naszej wspólnej z wieloma towarzyszami naszej zenistycznej drodze bardzo wiele.

Do dzisiaj jesteśmy tym przesyceni i inspirowani.

Ireneusz Irek Ir Kulik





Wystawa „Katowicki Underground Artystyczny” w katowickim BWA, 2003 r. Fot. Ireneusz Kulik



W pralce zen

Kilkanaście osób utworzyło nową buddyjską sanghę, której Seung Sahn nadał imię „Myong” czyli „Jasna”. Samo miejsce zaś określił jako „pralkę zen”, w której winno odbywać się pranie na sucho. Warto zaznaczyć, że jako emigrant w Nowym Jorku mistrz pracował początkowo przy naprawie pralek.

Zanim trafiłem do sanghi w Katowicach, z buddyzmem zen zetknąłem się po raz pierwszy jako student krakowskiej ASP, kupując książkę Daisetz Teitaro Suzukiego *Essays In Zen Buddhism (First Series)* z tajemniczymi dla mnie jeszcze wtedy dziesięcioma obrazkami pasterskimi zamieszczonymi na końcu tomu. Książka ta jak na owe czasy (rok 1970) kosztowała mnie sporo, 90 zł. Jednak w jej zawartości, z którą pobieżnie się zapoznałem, obok wspomnianych rycin znalazłem coś tak zaskakującego, jak bezpostaciowa medytacja, *satori* czy koan, że nie bacząc na cenę, postanowiłem ją nabyć. Dodam, że od tej pory książki o zen zawsze mi towarzyszyły w mojej praktyce.

Kolejny etap spotkania zen wiąże się z moimi dwoma przyjaciółmi z rodzinnego Bytomia, Stanisławem Zgołą i Markiem Leszczyńskim, którzy przede mną trafili do katowickiej grupy praktykujących zen. Staszek był górnikiem, który interesował się psychoanalizą. Z kolei z Markiem współtworzyliśmy kabaret w liceum. Po maturze Marek zajmował się eksperymentalnymi projektami z dziedziny teatru i plastyki. W czasach studenckich, kiedy w każde święta i wakacje bywałem u rodziców w Bytomiu, zawsze spotykaliśmy

się razem, by rozmawiać o pojawiających się na horyzoncie ideach artystycznych, czy też – szeroko pojętych – humanistycznych. W tych dyskusjach pewnego razu pojawił się zen i katowicka grupa artystów, pisarzy oraz intelektualistów skupiona wokół Urszuli Broll i Andrzeja Urbanowiczów, spotykająca się regularnie na praktyce siedzenia zen w ich pracowni plastycznej przystosowanej na te okazje jako *zendo*. Wkrótce i ja dołączyłem do towarzystwa zen, wprowadzony tam przez moich bytomskich przyjaciół. Bardzo szybko udzielił mi się duch tej grupy. Było w tym jakieś oczarowanie, coś na kształt pierwszego satori. Praktyka zen i jego filozofia z miejsca mnie olśniły. Wcześniej prowadziliśmy z Markiem i Staszkiem rozmowy na tematy religijne, między innymi w ujęciu Junga, gdzie przewijały się tematy magii i alchemii, a także hinduistycznej jogi, którą Marek ćwiczył. Ostatecznie jednak wyborem stał się zen. Nieco później, już jako nieformalny członek grupy katowickiej, dowiedziałem się o podobnych ezoterycznych zainteresowaniach, jak również o idącej za nimi praktyce Andrzeja i Urszuli, poprzedzającej ich wejście w zen. Nawiasem dodam, że kiedy po latach mogłem przeczytać o tym w katalogu *Oneiron*, poświęconym ezoterycznemu kręgowi artystów z Katowic, byłem pod dużym wrażeniem dokonań Andrzeja i Urszuli na tym polu, wraz z szeregiem znanych dziś artystów. Jednak w tamtych czasach liczył się tylko zen.

Pociągała mnie w nim duchowość codzienności, prostota zazen i paradoksy praktyki z koanami. Elektryzowała mnie również buddyjska pustka jako smak wszechrzeczy i zjawisk, możliwa do doświadczenia na drodze praktyki. Moja praktyka dharmy zaczęła się pod koniec roku 1974. Jednak prawdziwego smaku katowickiego zen doświadczyłem podczas swojego pierwszego trzydniowego sesshin w lutym 1975 r. Był to spory wysiłek, który dzieliłem wspólnie z innymi, swoście pionierski eksperyment, podczas którego całkowicie zaufałem Andrzejowi wraz z jego wtedy jeszcze książkowym mistrzem,

Roshim Kapleau, autorem słynnej książki *Trzy filary zen*, od której, jak wiadomo, to wszystko się zaczęło. Podczas lutowego sesshin Andrzej był głównym prowadzącym z nieodłącznym atrybutem, jakim jest kij zen – *kyosaku*. Swoim wyglądem, z okazałą brodą i niewzruszoną postawą, przypominał niektórych chińskich patriarchów, których portrety znamy z rycin. Dzień składający się z serii intensywnych, półgodzinnych *zazen* przerywanych *kinhin*, czyli krótkim spacerem wokół *zendo*, *samu* (praca zen) oraz śpiewów zaczynał się wczesnym rankiem, o godz. 5, a kończył o 21. Jak zapisałem później w notatkach „*Atmosfera była napięta, ponieważ razy kyosaku padały nagle na nasze plecy. Wczesnie rano, by nas obudzić, w południe, żeby dodać energii, zaś podczas ostatnich wieczornych siedzeń, żeby nie upadać przed metą. I tak oto, kropla po kropli, minuta po minucie drążyliśmy skalę ego*”.

Pamiętam, jak podczas *kinhin* wstając z obolałych kolan patrzyłem na zawieszone na ścianie zdjęcie figury Buddy, którego widok dodawał mi otuchy do dalszej praktyki, która przecież jako droga środka nie była aż tak daleko idącym poświęceniem. Kiedy wróciłem do Krakowa po tym treningu zen, odczuwałem stan niezwykłego uduchowienia, z którego w entuzjastycznych słowach zdałem sprawę swojemu przyjacielowi, malarzowi żywo zainteresowanemu zen. Z kolei przed żoną musiałem ukrywać ślady po uderzeniach *kyosaku*. Niestety, moja praktyka nie spotkała się z jej aprobatą, co stanowiło zimny prysznic na mój entuzjazm neofity. W związku z tymi przeżyciami, wiele lat później w swoich działaniach artystycznych posługiwałem się biograficzną metaforą „mój kontrowersyjny guru”, pod którą kryła się między innymi postać Andrzeja.

Twór ekskluzywny

Mój kontakt z katowicką sanghą został na jakiś czas zawieszony przez wyjazd do Nowego Jorku. Niemniej nagromadzona tam energia duchowa przesądziła o całym dzie-

więciomiesięcznym pobycie w USA. Niemal w przeddzień wyjazdu w notatniku zapisałem: „*Krótko przed odlotem do Nowego Jorku uczestniczyłem w spotkaniu na temat zen, które odbyło się w Kole Filozoficznym na Uniwersytecie Jagiellońskim. Prowadził je Andrzej. Tematem spotkania była książka Philipa Kapleau „Trzy filary zen”- dla mnie przypomnienie tego, co wcześniej już znałem, a jednocześnie inspiracja na daleką podróż*”. Wylądowałem w Nowym Jorku 16 marca 1975 r. Był to mój pierwszy bezpośredni kontakt z Zachodem, a jednocześnie w pewnym sensie z krainą, skąd buddyzm zen przyszedł do Katowic. W notatkach z tamtego czasu wyrażam się entuzjastycznie na temat bogactwa wschodnich tradycji religijnych, których ośrodki, a także księgarnie oferujące bogaty wybór książek, można spotkać w tej metropolii. Jednak moje zainteresowania były zdecydowanie ukierunkowane na zen. Wkrótce po przyjeździe zacząłem poszukiwać kontaktu z miejscami praktyki. Wybierając się do Nowego Jorku, posiadałem adres do ośrodka Philipa Kapleau w Rochester, w stanie New York, który otrzymałem od Andrzeja, wraz z ogólną informacją o ośrodkach afiliowanych w różnych miastach Stanów. Na miejscu zdobyłem również numer telefonu do ośrodka w Rochester oraz napisałem list, w którym uprzednio przedstawivszy się z powołaniem na katowickie kontakty, zapytywałem o możliwość kontaktu z członkami sanghi w Nowym Jorku. Ponieważ długo nie otrzymałem odpowiedzi, postanowiłem zadzwonić do Zen Center i otrzymałem list podpisany przez Jaya Thompsona z adresami osób związanych z ośrodkiem zen. Telefonując pod wybrane adresy, natrafiłem na Donalda D., który poznał mnie z Roshim Eido Tai Shimano, rezydującym w „International Zen Studies Society - New York Zendo Shobo Ji”. Ośrodek Rosiego Eido, który powstał w 1968 r., zrobił na mnie niezapomniane wrażenie. Obszerne główne zendo sąsiadowało z niewielką – na około 20 osób – salą medytacyjną, z której rozsuwane, szklane, panoramiczne drzwi prowadziły do ogrodu zen urzą-

dzanego wedle klasycznych zasad. Niemal wciśnięty pomiędzy nowojorskie wieżowce, stanowił miniaturową oazę spokoju, podobny w tym do drzewka *bonsai*.

W głównym zendo znajdował się ołtarz zło- tego Buddy Nauczającego. Podczas otwar- tych publicznych spotkań, po wstępnym, półgodzinnym zazen oraz recytacji Namu Dai Bosa, zebrani słuchali wprowadzenia do praktyki, wygłaszanego przez samego Eido Tai Shimano bądź w zastępstwie przez jego ucznia. Moja pierwsza wizyta szczęśliwie zbiegła się z kazaniem o historii ośrodka i praktyce. Potem mistrz odpowiadał na py- tania zgromadzonych. Padło między innymi pytanie, czy zen jest jakimś ekskluzywnym tworem? Można się było domyślić, że za- pewne powodem były wyrafinowane w swo- iście japońskim stylu wystrój oraz atmosfera miejsca, a także dostojna aparycja i gesty mi- strza. W odpowiedzi Roshī wskazał na zazen jako praktykę uważności w wykonywaniu zwykłych czynności, ukazując w ten sposób, że zen nie jest dla wybrańców, lecz dla tych wszystkich, którym ta praktyka odpowiada. Tego samego dnia, dzięki Donaldowi mia- łem zaszczyt uczestniczyć w towarzyskim spotkaniu przy herbach z roshim i grupą naj- bliższych jego uczniów. Donald przedstawił mnie i poinformował o naszej polskiej grupie zen w Katowicach, co zważywszy na czasy „żelaznej kurtyny”, robiło wrażenie na zebranych. Odtąd zendo w nowojorskim ośrodku Shobo-Ji na środkowym Manhattanie na ja- kiś czas stało się miejscem mojej praktyki.

Nie trwało to jednak długo. Los chciał, że pewnego dnia w księgarni Samuel Weiser Bookstore, do której często zaglądałem w poszukiwaniu książek zen, zauważyłem skromny plakat zapraszający do koreańskie- go ośrodka Won Gak Sa. Pojechałem pod wskazany adres, na czwarte piętro biurowca, gdzie, ku mojemu zaskoczeniu, znalazłem się od razu na progu zendo. Dostałem materia- ły informacyjne i zaproszenie do udziału w praktyce, kiedy tylko będę miał czas i ochotę. Zaskoczyła mnie ta bezceremonialność kon- trastująca z japońskim formalizmem, z jakim

miałem do czynienia w ShoboJi. Zaskoczony byłem tym bardziej, że moja wizyta zbiegła się z drugim dniem sesshin. Przerwywanie sesshin, jak i powracanie nań w trakcie jego trwania, nie było zabronione w Won Gak Sa. Koreański ośrodek, który pełnił jednocześnie rolę świątyni dla zamieszkałej w Nowym Jorku koreańskiej społeczności, stanowił spory kontrast z tym, czego miałem okazję doświadczyć w stonowanej, estetycznej at- mosferze ShoboJi. Zaskoczyła mnie pstroka- ta kolorystyka wnętrza świątyni, bogato zdo- biony ołtarz, malowidła buddyjskie wykona- ne tuszem na ścianach, a także sala dharmy wyściełana błękitnym dywanem z czerwonymi i żółtymi poduszkami do medytacji.

Spotkanie z mistrzem też nie obyło się bez niespodzianek. Podczas swojej drugiej wizy- ty zastałem Jerry’ego – ucznia zen, a zarazem jednego z opiekunów ośrodka i koreańskiego mnicha, którego w pierwszej chwili wziąłem za mistrza z fotograficznego portretu wiszą- cego w sali dharmy. Jerry, podobnie jak wie- lu moich amerykańskich znajomych, był mile zaskoczony informacjami o buddyzmie zen w Polsce. Znał również książkę Kapleau i był na spotkaniu z nim w Cambridge. Samego mistrza Seung Sah Soen Sa Nima poznałem w trakcie trzeciej wizyty, podczas jednego z okresowo odbywających się w ośrodku przyjęć. Okazało się, że mistrz słyszał już o mnie od Jerry’ego. Powitał mnie bardzo ser- decznie, a ponieważ akurat był w drodze na *sesshin* w New Haven, zaproponował, bym pojechał razem z nim. Wraz z jego uczniem udaliśmy się samochodem w czterogodzin- ną podróż, podczas której Soen Sa Nim za- chowywał się bardzo swobodnie, w niczym nie przypominając dostojnego mistrza zen. Zadawał mi różne pytania dotyczące Polski oraz naszej grupy zen. Do New Haven przy- jechaliśmy w sobotę wieczorem. Nazajutrz o godz. 5 rozpoczął się ostatni dzień *sesshin*. Tej niedzieli uczestniczyłem w rozmowie *do- kusan* z Soen Sa Nimem, byłem monitorem i na koniec pozowałem do wspólnego zdjęcia z uczestnikami trzydniowego odosobnienia.

Moda na zen

Ostatnim etapem mojej amerykańskiej „podróży zen” było wymarzone Zen Center of Rochester, prowadzone przez legendarnego Philipa Kapleau. Po uprzednim listownym uzgodnieniu mojego pobytu, pojawiłem się tam jako uczestnik warsztatu zen, szóstego grudnia. W notatniku napisałem: „Z Nowego Jorku do Rochester, autobusem czy pociągiem, jedzie się 8,5 godziny. Zanim się tam znalazłem, wcześniej listownie poinformowałem ośrodek zen o moich planach. W odpowiedzi na mój list Sokei Shakya serdecznie mnie zapraszał na odbycie warsztatu. (...) Był początek grudnia - tradycyjnie już w ośrodku jest to miesiąc pełen zajęć: 6 grudnia workshop, 8 grudnia Dzień Oświecenia Buddy, 16 grudnia zaczynało się tygodniowe sesshin Rohatsu, bezpośrednio po którym odbywały się przygotowania do obchodów Nowego Roku. Wszystko razem składało się na to, że mój pobyt w Rochester musiałem rozłożyć na dwa etapy - przed i po sesshin, które przeznaczone jest dla ścisłego grona członków ośrodka, a i tak zwykle bywa przepełnione. I tak, w sobotę rano, 6 grudnia 1975 r. o godz. 8.30 przyjechałem do Rochester. Padał deszcz. Warsztat rozpoczynał się o 9.00. Nie miałem więc wiele czasu, żeby na własną rękę szukać ulicy Arnold Park, gdzie mieścił się ośrodek. Już dobrze zmoczony wziąłem taksówkę.

Lekko podenerwowany przekroczyłem w końcu próg Zen Center, o którym tak wiele słyszałem w Katowicach. W ośrodku było gwaro i rojno od przybyłych, załatwiających formalności związane z zapisem na warsztat, przyglądających się wywieszonym na tablicy zdjęciom i różnym dokumentom z życia sanghi oraz oczekujących na rozpoczęcie. Gdzieś z głębi pomieszczeń dochodziły łagodne dźwięki japońskiego fletu shakuhachi, które wcześniej znałem już z płyty kupionej w Nowym Jorku.

Na warsztat zen w Rochester zawsze zjawia się komplet 50. osób. Przyjeżdżają, czy też przylatują, z całych niemal Stanów i z po-

bliskiej Kanady. Zanim zacząłem załatwiać formalności, starałem się najpierw odnaleźć Sokei. Pomógł mi w tym jeden z monitorów. Wszedłem w głąb zendo, gdzie w pokoju przylegającym do części administracyjnej zobaczyłem serdecznie uśmiechniętego, masywnie zbudowanego Sokei, który, przyglądając mi się z zaciekawieniem, jednocześnie powitał mnie jako gościa z Polski, z którą łączyły go ciepłe wspomnienia ludzi i zdarzeń z niedawnej wizyty w katowickiej sandze. Korzystając z jego protekcji nie musiałem płacić za warsztat 30 dolarów, które stanowiły dla mnie niewielką sumę. Zaoszczędzone w ten sposób pieniądze wydałem w rochesterskiej księgarni Ox-Cart Bookstore. Rosiego Kapleau nikt nie musiał mi pokazywać, znałem go ze zdjęcia i rozpoznałem natychmiast, gdy tylko go zobaczyłem rozmawiającego z jednym z monitorów. Jeszcze przed rozpoczęciem warsztatu Sokei przedstawił mnie rosiemu. Warsztat rozpoczął się od wykładu. Wszyscy usiedliśmy na krzesłach ustawionych w sali subzendo, która na ten czas zamieniła się w salę wykładową. Na frontowej ścianie znajdował się posązek siedzącego Buddy oraz kopia rzeźby „Myśliciel” Augusta Rodina. Obok nich była tablica z diagramami koła podzielonego średnicą, koła z kropką w środku, koła pustego oraz podzielonego promieniami. Przed wykładem Roshi poprosił wszystkich zgromadzonych, aby po kolei, wstając z miejsca, krótko się przedstawili. Każdy miał podać swoje nazwisko, powiedzieć, skąd przybywa oraz czym się zajmuje.

We wprowadzeniu Roshi poruszył sprawę różnych typów zen, a także mody na zen i jego komercjalizacji jako japońskiego produktu. Zwrócił uwagę również na jednostronne podejście w zenie intelektualnym, tak zwanym „beat zen” oraz dewocyjnym. Następnie omawiał kwestie związane ze znalezieniem właściwego mistrza na drodze początkującego. Jego zdaniem, ponieważ początkujący adept zen nie jest w stanie zweryfikować oświecenia, dlatego najlepsze, co może zrobić, to polubić mistrza tak, jak lubi się dobrze, sympatycznego człowieka lub przyjacie-

la. Ten fakt, co podkreślił, jest bardzo ważny dla dalszej pracy z mistrzem. Jednocześnie przestrzegał przed samotnym zapuszczaniem się zbyt daleko bez mistrza. Z drugiej strony, jak zauważył, początkujący ma do pewnego stopnia prawo do błędzenia i kiedy znajdzie się na właściwej ścieżce, mistrz sam niejako pojawi się w odpowiednim momencie jego praktyki. Jak również początkujący ma prawo poznawać różnych mistrzów, zanim zdecyduje się na praktykę pod okiem jednego z nich. Dla owocnej praktyki ważne jest jednak, aby po dokonanej wyborze całkowicie skupić się na naukach tego, którego wybrał. Zwrócił też uwagę na to, by samemu nie pracować nad koanem, gdyż jedynie mistrz jest w stanie określić czas i charakter koanu, który będzie odpowiedni dla danej osoby. Następnie mowa była na temat oświecenia

zen. Wskazał na moment oświecenia, który nie oznacza końca praktyki, lecz jej nieustającą kontynuację, co symbolizował diagram koła podzielonego na nieskończenie wiele promieni. Mówił o tym, że oświecenie jest sięgnięciem w najgłębsze pokłady wszelkiego dualizmu, który w rzeczywistości nie istnieje, stworzony przez nasze dyskursywne i różnicujące myślenie. Tak się dzieje w przypadku podstawowego dla wielu religii dualizmu bóg-człowiek, co symbolizował diagram koła podzielonego na dwie połówki. U mistyków, między innymi w tradycji chrześcijańskiej, istnieje wyjście z dualizmu poprzez stopienie się obu elementów w jedności „ja”, obrazowo przedstawione na diagramie koła z kropką w jego centrum, ilustrującym ja we wszechświecie. W zen droga do zniknięcia wszelkich przeciwieństw prowadzi do prze-



Pierwsza wizyta Soen Sa w Polsce, 1978 r., spacer w parku Chorzowskim. Od lewej: Roger Urbanowicz, Andrzej Urbanowicz, Urszula Broll-Urbanowicz, Kanzen (Jarosław Maślankowski), Soen Sa, Antoni Szoska, Merrie Fraser, Marcel Markłowski, ?, Nyogen (Włodzimierz Nowak), Joanna Lasota, Ryszard Tyborowski. Fot. Włodzisław Duch

kroczenia owego „ja”, zilustrowanego przez pusty okrąg, a następnie okrąg podzielony możliwie wieloma promieniami, oznaczający nieustającą praktykę codziennej uważności w przeżywaniu każdego „tu i teraz”. Mowa była również o różnicy postaw między Wschodem i Zachodem, plastycznie uwidocznionych w figurach siedzącego w wyprostowanej postawie Buddy symbolizującego oświecone poznanie, wolne od przywiązań, w kontraście do zachodniego „Myśliciela” skulonego i podpierającego głowę, symbolizującego wieczny niepokój i cierpienie, będące, wedle buddyjskiej tradycji, wynikiem przywiązania do myślenia.

Po tym wprowadzeniu przeszliśmy do głównego zendo by odbyć dwie krótkie rundy zazen wraz z kinhin i użyciem kyosaku, wedle uprzedniej instrukcji jednego ze starszych uczniów mistrza Kapleau. Następnie rosi odpowiadał na pytania. Odbyła się także krótka lekcja jogi, polegająca na masażu mięśni poddanych wcześniej wysiłkowi zazen, prostowaniu kręgosłupa oraz - na życzenie jednej z uczestniczek - ćwiczenie łagodzące ból głowy. Po posiłku i krótkiej sjeście odbyła się 30-minutowa runda zazen, kończąca warsztat miłym akordem, jakim było wysłuchanie fragmentu utworu muzyki klasycznej. Następnie uczestnicy warsztatu zostali poinformowani o zasadach przyjmowania na członka sanghi oraz o programach treningowych odbywających się kilka razy w roku.

Podczas mojego pobytu Roshy przy różnych okazjach wspominał Polskę. W mowie podczas warsztatu poruszając temat, jak znaleźć właściwego mistrza, wskazał na przykład grupy katowickiej, która żarliwością swojej praktyki doprowadziła do jego przyjazdu. Podkreślił również trudne warunki, w jakich praktyka w Katowicach się odbywała. Chodziło między innymi o lokalizację zendo w samym centrum administracyjno-handlowym miasta, z całym jego miejskim gwarem, a także o mieszczące się na strychu ciasne zendo. Z jego wypowiedziana temat polskiej sanghi można było wywnioskować, że zrobiła ona na nim wielkie wrażenie.

Po skończonym warsztacie, korzystając z wyróżnienia jako gość z Polski, miałem możliwość uczestniczyć w nieformalnym, towarzyskim spotkaniu członków sanghi z Roshim. Odbywało się ono w salonie z kominkiem, w wynajętym domu, w którym mieszkało kilka rodzin związanych z ośrodkiem. Kiedy zostałem przedstawiony jako gość z Polski, atmosfera wokół mojej osoby od razu się ożywiła. Wszyscy już wiedzieli o historycznej wizycie Kapleau w naszym kraju. W trakcie rozmowy Sokei wręcz stwierdził, że łączy go z Polską karmiczny związek z poprzednich wcieleń. Tak więc, mimo że byłem tu po raz pierwszy, poczułem się swojsko. Przed wyjazdem, w rozmowie z Roshim wyraziłem chęć ponownych odwiedzin oraz pragnienie zostania jego uczniem. Z tej okazji również zgoliłem głowę”.

Referat o pustce

Moja wizyta w Rochester nastąpiła pod koniec pobytu w Stanach. Po powrocie do kraju, w marcu 1976 r. zostałem oficjalnym listem podpisanym przez Andrzeja przyjęty na członka-kandydata Koła Zen Wspólnoty Buddyjskiej w Katowicach. W ten sposób sformalizowałem swoją pozycję w katowickiej sandze. Okres od marca do września tegoż roku stał się dla mnie czasem praktyki i przemyśleń. Uczestniczyłem wtedy w siedzeniach u Jacka i Małgosi Ostaszewskich, które odbywały się w ich mieszkaniu w Krakowie. W tym czasie również spotykałem się często z Markiem Hasem, opowiadając mu o moich spotkaniach zen w dalekich Stanach. Z rozmów tych wynikła moja decyzja, by zaprosić do Polski poznanego w Nowym Jorku koreańskiego mistrza zen, Seung Sahn Soen Sa Nima. Z czasem okazało się, że spotkanie z nim było karmicznym wydarzeniem na mojej drodze duchowej. Do Polski przywiozłem jeszcze niewydany tom korespondencji Seung Sahna z jego uczniami, jak również inne materiały pomocne w praktyce koreańskiej szkoły son. W pierwszych listach do Seung Sahna otwarłem cały

bagaż spraw dotyczących praktyki i życia rodzinnego. W odpowiedzi najczęściej „do-stawałem (współczującym) kijem” i otrzymywałem kolejne *kong-any* („kong-an” to po koreańsku „koan”) do rozwiązania. Wreszcie zdecydowałem się napisać list z propozycją odwiedzenia naszego kraju. 6 czerwca 1977 r. mistrz odpisał: „Dziękuję za zaproszenie do Polski, wraz z moimi uczniami, w przyszłym roku. Proszę cię, abyś wysłał formalne zaproszenie. Oczekuję spotkania z tobą i twoją grupą zen... Chce cię poznać Jakub i inni. Kiedy przyjedziesz do Ameryki? Wielu ludzi twierdzi, że w twoim kraju nie ma zbyt wiele wolności. Jak zatem możliwe są praktyka zen i religia? Jestem tym zainteresowany”. Kiedy w połowie kwietnia 1978 r. Seung Sahn przyleciał wraz z sześcioma uczniami do Warszawy, został najpierw podjęty przez warszawską grupę członków Koła Zen Wspólnoty Buddyjskiej. Zawdzięczałem to swoim kontaktom z katowicką sanghą, za pośrednictwem jej krakowskiego ośrodka w domu Ostaszewskich. Tam też poznałem Andrzeja Czarneckiego wraz z żoną Joanną, którzy z kolei pomogli mi w organizacji pobytu Seung Sahna wraz z uczniami w Krakowie, dysponując własnym domem, malowniczo położonym w obszernym sadzie na wzgórzu w Przegorzałach. W domu Czarneckich panowała w tych dniach atmosfera radosnego święta. Kilkanaście osób utworzyło nową buddyjską sanghę, której Seung Sahn nadał imię „Myong” czyli „Jasna”. Samo miejsce zaś określił jako „pralkę zen”, w której winno odbywać się pranie na sucho. W tym miejscu nie od rzeczy będzie zaznaczyć, że jako emigrant w Nowym Jorku pracował początkowo przy naprawie pralek...

Niezwyczajnie uroczyście został Seung Sahn przyjęty przez sanghę w Katowicach. Dopięta na ostatni guzik organizacja tego spotkania zrobiła duże wrażenie na gościach ze Stanów. Tutaj też mistrz wygłosił uroczystą mowę, którą według buddyjskiej tradycji w Chinach, skąd pochodzi zen, mistrzowie wygłaszali tylko przy specjalnych okazjach. Oznacza ona „wspólne zebranie w celu sprawdzenia

Dharmy”. Od tej pamiętnej wizyty mistrza Seung Sahna w Polsce, moja praktyka zen związała się na dłuższy czas z koreańskim „son”. Z czasem jednak przeobraziła się ona w autobiograficzną legendę, która okolicznościowo znajduje wyraz w moich działaniach artystycznych pod postacią swoście „ko-anicznego” performance, którego formułę mógłbym określić jako „referat o pustce”.

Antoni Szoska

grudzień, 2010



Roshi Seung Sahn (1927-2004). Fot. ze strony internetowej Buddhist Review Tricycle



Urszula i Roger Urbanowicz, Kamieńczyk, 1974 r. Arch. Roger Urbanowicz

Andrzej Witkowski

Dotknięcie

Jak uczeń chłonałem intensywnie istnienie ludzi, kolorów, obrazów, rzeczy, słów, dźwięków, zapachów farby. Wszystkiego tego, co się działo w pracowni na Piastowskiej.

Na przełomie lat 60. i 70. przez kilka lat włóczyłem się po Polsce, przebywając w różnych środowiskach, głównie wśród hipisów. Czuję się jedynym z nich. Podczas kolejnego pobytu w Gliwicach, od Kasi, „Szczura” oraz „Monsignore” (pseudonimy hipisowskie), dowiedziałem się, że znają ciekawe miejsce i małżeństwo z nim związane. Wybraliśmy się w czwórkę do Katowic. Trudno mi, po tylu latach, sprecyzować, kiedy to dokładnie było – może rok 1970, początek 1971 – gdy po raz pierwszy pojawiłem się w pracowni Urszuli Broll i Andrzeja Urbanowicza. Nigdy bym nie przypuszczał, że otworzy to przede mną tak wiele i jednocześnie zmieni się w jedną z najdłuższych i najbardziej dla mnie owocnych przyjaźni. Spotkania w pracowni na Piastowskiej 1 podzieliłbym na kilka okresów.

Pierwszy, około roczny, dość nieregularny między innymi ze względu na moją włóczęgę, to czas sprzed mego pobytu w więzieniu („siedziałem” w 1972/3, moją lekturą były „622 Upadki Bunga”, książka istotna ze względu na mój powrót do Katowic). Pamiętam z tamtego okresu spokój Urszuli, jej pytania, dyskusje z „Pawełkiem” (hipis) i jego nieodłącznego Bakunina, rozmowy z Andrzejem oraz klimat wolności samego miejsca i empatii osób tam przebywających. Dla mnie, oprócz włóczęgi-hipisowania, to czas pojawienia się „Demiana” H. Hessego i „Koła śmierci”

P. Kapleau (prezent od Andrzeja i Urszuli – w czarnej oprawie). Dlaczego wspominam tak różne książki, których oczywiście było więcej? To od nich, od rozmów, głównie z Andrzejem, i pytań Urszuli rozpoczynały się moje zazwyczaj już bardziej samodzielne „odnajdywania”. Jakaś książka, rozmowy bez tabu, niekiedy pojedyncze słowo, słuchanie dyskusji – uchylały jakieś furtki. Po latach wiem, jak było to ważne, ale wówczas jeszcze nie zdawałem sobie z tego sprawy.

Po prostu lubiłem tam bywać, chłonać atmosferę, dzielić się swymi młodzieńczymi, buntowniczymi przemyśleniami. Kilka razy przyjeżdżałem z kimś, najczęściej jednak sam. Jak dziś to bym określił – po coś w rodzaju „ładowania akumulatora” na włóczęgę, po wiedzę i coś trudnego do określenia. Po otwartość, którą nazwałbym nauką obecności. Jak uczeń, chłonałem intensywnie istnienie ludzi, kolorów, obrazów, rzeczy, słów, dźwięków, zapachów farby, wszystkiego tego, co się działo w pracowni na Piastowskiej. Me włóczęgo-hipisowanie i to, co „wnosiłem”, zaczynały coraz lepiej ze sobą współgrać. Nie byłem oczywiście jedynym z *hippies*, którzy wśród wielu innych osób bywali w tamtym czasie w pracowni Urszuli i Andrzeja.

Drugi okres, kilkuletni to lata 1973-78. Choć wciąż nieregularnie, jednak już częściej przyjeżdżałem na Piastowską 1. Przeważnie sam. To okres tonowania nie tylko mej rzadszej już włóczęgi po kraju, regulowanej kolejnymi odkryciami. To także, według mego odczucia, „dominacja” koloru białego w pracowni. Spotkanie tam nowych, interesujących osób, kolejnych inspiracji. Zmiana mego sposobu myślenia. Co, przede wszystkim, pomagało mi rozbijać kolejne, błędne wyobrażenia o sobie. To okres różnorodnych odniesień Andrzeja, nie tylko literackich. Przykładowo, książki Meyrinka. Inspiracje związane z buddyzmem zen. Zadomowienie się – choć czasami bywałem długo milczący, czując się częścią tego, co w danej chwili istniało – w jakże już świadomie bliskim dla mnie miejscu. Pamiętam gry w szachy z małym

Rogerem. Wielogodzinne pobyty, do późnej nocy. Litry wypijanej herbaty. Ciche, pełne spokoju obecności. Czarnego dużego psa, wylegującego się obok. Świadomość nie tyle czegoś, tłumaczeń czy dysertacji, ile bardzo subtelnych, ledwo zauważalnych sugestii. Wchodząc powoli po schodach na poddasze Piastowskiej, odnajdywałem się stopniowo jakby w odmiennym stanie percepcji. Wkraczałem w atmosferę tamtego miejsca. Każdy z pobytów coś we mnie zmieniał. Miałem poczucie przeżycia czegoś istotnego. Większą uwagę w sobie.

Okres intensywnego włóczęgo-hipisowania powoli dobiegał końca. Łagodniałem w stosunku do świata i ludzi. Ożeniłem się, urodziła się pierwsza córka. Około 1979 r. wyjechałem po raz pierwszy na kilka lat za granicę, do Budapesztu. A jednak otwartość tamtego miejsca promieniowała. Moje kolejne samodzielne „odnajdywania” w znacznym stopniu się ukierunkowywały, pokrywając się zarówno z zainteresowaniami kontrkultury (młodość hipisowska), jak i z tymi z pracowni na Piastowskiej. Wyjazdy, od kilkumiesięcznych po kilkuletnie, do kilku krajów, zbiegły się w znacznym stopniu z okresem pobytu Andrzeja w Stanach. W latach 90., wraz z pojawieniem się drugiej córki, wróciłem do kraju na stałe.

Trzeci etap trwa od ok. 1992/3 r. do (?) dziś. Pamiętam, jak pewnego dnia moja starsza kilkunastoletnia córka wróciła późnym popołudniem i oznajmiła, że była na ciekawej wystawie w częstochowskim BWA, która na pewno mnie zainteresuje, gdyż w jej odczuciu posiada odpowiadający mi klimat. Zaintrygowany faktem, że córka w taki sposób ją poleca, następnego dnia wybrałem się do BWA. Była to, jak się okazało wystawa twórczości Andrzeja Urbanowicza. Do dziś nie wiem, czy to myśl Andrzeja, że mieszkam w Częstochowie (o czym wiedział), czy intuicja mej córki, a może zwykły przypadek lub jeszcze coś innego sprawiły, że na mej ścieżce ponownie urealnił się adres Piastowska 1.

Ucieszyłem się bardzo, chociaż nie spotkałem na wystawie Andrzeja. Napisałem o tym do niego. I jakby nie istniała wieloletnia przerwa, zjawilem się któregoś dnia na poddaszu w pracowni. Co ciekawe, dzięki temu, co wyniosłem wcześniej między innymi z rozmów z Andrzejem, spotkań ludzi, włóczęgi, wiele z mych własnych samodzielnych odnalezień, podczas mych kolejnych spotkań z Piastowską 1, stało się ich potwierdzeniem. Dotyczyło to np. Ewangelii Tomasza, A. Wattsa, S. Grofa, taoizmu, symbolu labiryntu, jaskini, itd. Moje przyjazdy do Katowic nie ograniczały się jednak do tego. Znów pojawiły się nieznane mi, inicjacyjne książki, np. *Zdążyć przed Apokalipsą*, *Bohaterowie i groby*, *Słownik chazarski*, *Inne miasto*, *Kosmiczny spust*. Co ciekawe, a jednocześnie istotne – ilekroć przywoziłem do Andrzeja jakąś odkrytą przez siebie kolejną książkę, np. Kolankiewicza lub *Słownik symboli* Cirlota, okazywało się, że są mu znane. Mój pobyt w pracowni, czasem przejazdem, kilkadziesiąt minut, niekiedy znacznie dłużej, był i nadal pozostaje dla mnie dotknięciem otwartości. Jakiegoś swoistego spokoju, a jednocześnie inspiracji, wsłuchiwania się, czy to podczas spotkania wielu osób z jakiejś okazji, czy po prostu w rozmowie z Andrzejem. Coraz silniej uświadamiałem sobie, co połączyło mnie z Piastowską 1. Odpowiedź pojawiła się w jednym zdaniu: „*intencja jest kluczem*”. Kolejne spotkania, podobnie jak wcześniejsze, choć niektóre z nich wychodziły już poza obręb pracowni – otwierały inną, nieznaną mi różnorodność. Na przykład drobna przygoda z Oneironem, poznanie kolejnych osób, środy „hermesowe” w Bellmer Cafe. Uczyły niekontrolowanego słuchania, patrzenia, odczuwania. Nadal lubię włóczęgę, jednak już tylko od kilku do kilkunastodniowej. Dostrzegam wokół zmiany. To, co kiedyś było inspiracją znaną bywalcom i przyjaciółom pracowni, przyciąga kolejne pokolenia. Ilekroć przyjeżdżam na Piastowską 1, choć ostatnio rzadko, niezmiennie odkrywam jak żywe to miejsce, w którym przeróżne wydarzenia miały i mają swe korzenie. Miejsce to,

kiedyś jedno z niewielu, wciąż pozostaje miejscem wolnej, odkrywczej myśli. Nierozłączne już z osobą przyjaciela, Andrzeja Urbanowicza. Nie sposób przecenić związku z tym miejscem wielu różnych twórców – inicjatorów, w tym interesujących kobiet, będących zarazem jego muzami. 1 października 2010 r. byłem w Warszawie na koncercie „Osjan + goście”. Najważniejszym z „gości” okazał się japoński aktor *butoh* Daisuke Yoshimoto. Wśród publiczności spotkałem kilkoro przyjaciół z Piastowskiej 1 oraz przyjaciół z czasów mego

hipisowania, a także kilku młodszych. Czyż może być lepszy dowód, jak istotne okazały się – nie tylko dla mnie – spotkania z ludźmi i wydarzeniami związanymi z pracownią.

Andrzej Witkowski

15 października 2010 r.

*pod nagim drzewem
muchomor się czerwieni
jesień bezwstydną*



„Misjonarz” Jerzy Illg, „Prorok” Józef Pyrż, „Belfegor” Andrzej Witkowski
w Muzeum Historii PRL, 2015 r. Arch. Andrzej Witkowski



Janusz Korbel i Urszula Broll-Urbanowicz w Pracowni, Katowice, 1972 r. Arch. Jan Sar

Lesław Kulmatycki

Łyk świeżego powietrza

Zazwyczaj, kiedy ktoś wierzy w jakąś szczególną religię, jego postawa zwraca się pod coraz to bardziej i bardziej ostrym kątem w kierunku od niego. W naszej drodze wierchołek kąta jest zawsze zwrócony w kierunku nas samych.

Shunryu Suzuki

Miejsce stworzone przez Urszulę i Andrzeja Urbanowiczów o lata świetlne wyprzedzało szereg pomniejszych inicjatyw, które z czasem miały się pojawiać w całej Polsce.

Zbyszek Thielle подарował mi *Trzy filary zen* Philipa Kapleau. Stoi na półce do dzisiaj: format A4, twarda okładka z tektury w kolorze szarym, 154 strony drukowane na jakimś ówczesnym powielaczu, który z mozołem na nieco żółtawym papierze powielał literki nie do końca czytelne. Na samym początku tego egzemplarza w nocy o polskim przekładzie zdanie: „Pierwszą sprawą, o której należy jasno powiedzieć, jest to, że przekład niniejszy dokonany został bez wiedzy i zgody wydawcy tej książki, Philipa Kapleau”. W moim egzemplarzu czerwonym tuszem ktoś (zapewne Andrzej Urbanowicz) skreślił „bez wiedzy i zgody” na „za zgodą i wiedzą”. Taka czerwona notka ilustruje ówczesną „niereczywistą rzeczywistość” nie tylko PRL-owskiej prowizorki, ale też pewnej bezzadności, która udzielała się nam wszystkim. Dalej w nocy podpisanej przez Andrzeja Urbanowicza w grudniu 1973 r. można się dowiedzieć, że próby przekładu trwają od dłuższego czasu i nadal jest to tylko robocza wersja dla

potrzeb „kilkunastu ludzi w naszym kraju”, a „w pracach przekładowych uczestniczyli (w kolejności alfabetycznej): Urszula Broll, Andrzej Janusz Korbel, Grażyna Leszczyńska, Henryk Waniek. Koordynacją całości oraz redakcją zajmował się Andrzej Urbanowicz...”. Wówczas na owe dopiski w ogóle nie zwróciłem uwagi, gdyż wiedziałem, z jakim tekstem mam do czynienia i byłem Zbyszkowi niezmiernie za niego wdzięczny. Później jeszcze rozmawialiśmy na te tematy, bo sam tym się interesowałem. Zresztą od początku mojej pracy w Szpitalu dla Nerwowo i Psychicznie Chorych w Lubiążu, którą rozpocząłem 1975 r., moje relacje z ówczesnym dyrektorem, znakomitym psychiatrą Zbigniewem Thielle były prawie partnerskie. To była moja pierwsza praca po studiach i od razu, trochę ku mojemu zaskoczeniu, nasza rozmowa zeszła na jogę, zen i Grotowskiego. Pamiętam jedną z pierwszych wizyt w gabinecie Zbyszka, kiedy w prawie pustym pokoju były tylko maty i poduszki do siedzenia oraz gramofon z płytami. Siedzieliśmy na podłodze i rozmawialiśmy nie tylko o tym, co mam robić i czego oczekuje ode mnie na oddziale uzależnień, ale też o wspólnie poznanych osobach i miejscach. Nie ukrywam, że ten niekonwencjonalny dyrektor szpitala w koszuli w kwiaty, dżinsach i sandałach zrobił na mnie wrażenie. Raczej guru czy lider komuny hippisowskiej niż szef sporej instytucji zdrowotnej. To podczas tego spotkania dowiedziałem się o Andrzeju Urbanowiczu z Piastowskiej 1 w Katowicach. Mimo że na ten temat sporo wiedziałem, m.in. od Stanleya (Stanisława Ścierskiego), to trochę prowokacyjnie spytałem go, czy zen to jakaś religia. On na to, że tam w Katowicach, to trochę na to wygląda, ale zachęcił do sprawdzenia na własnej skórze.

Zanim jednak pozwoliłem sobie na taką poufałość ze Zbyszkim, to dwa słowa o tym, jak doszło do spotkania z jakże nietypowym dyrektorem szpitala. Otóż na początku lat 70. byłem członkiem eksperymentalnego teatru studenckiego i zetknąłem się w czasie tych trochę „nawiedzonych” prób teatral-

nych z ćwiczeniami koncentracji i oddechu, nie do końca dla mnie zrozumiałymi. Ich źródłem były książki, do których szybko dotarłem – *Joga, indyjski system leczniczy* Kuvalayanandy i Vinekara oraz *Teoria i metodyka ćwiczeń relaksowo-koncentrujących*. W obu jako znawca jogi pojawiał się Tadeusz Pasek. Znalazłem Tadeusza w Lubiążu, gdzie pracował. Z Wrocławia do Szpitala dla Nerwowo i Psychicznie Chorych w Lubiążu były tylko dwie godziny autobusem PKS, więc bez problemu go odnalazłem, poznaliśmy się i z pasją zająłem się własnym treningiem. Było jeszcze kilka wizyt i po wcześniejszym treningu – przygotowaniu Tadeusz zaproponował mnie na swoje miejsce jako kinezyterapeutę właśnie na oddziale uzależnień, który był w jakimś sensie „dzieckiem” dyrektora szpitala Zbigniewa Thiellego. Był on zwolennikiem leczenia dobrowolnego i próbował stworzyć oddział na nieco innych zasadach niż te, które wówczas funkcjonowały. Uważał, że uzależnienie to nie problem słabej woli, ale niewystarczającej

inspiracji w odszukaniu swojej pasji i życiowej drogi, dlatego w jego autorskim modelu leczenia nie było krat i drzwi bez klamek, ale przede wszystkim zróżnicowana oferta zajęć. Był też zwolennikiem dalekowschodnich metod pracy z ciałem i umysłem, stąd joga, medytacja i dalekowschodnie sporty walki. Tadeusz rekomendował mnie na swoje miejsce w Lubiążu wiedząc o kontynuacji pracy w klinice w Poznaniu, gdzie mieszkał.

Kubel lodowatej wody

Wyjazd na Piastowską 1 i udział w pierwszym wprowadzeniu do medytacji zen był dość sztywny. Miałem nawet list polecający od Zbigniewa Thielle, który z dumą wręczyłem Andrzejowi i chyba wówczas mnie zapamiętał od samego początku, bo przypominam sobie to wprowadzenie Andrzeja w zendo na strychu, kiedy pokazywał i opisywał jakieś ćwiczenia fizyczne przed przyjęciem pozycji medytacyjnej, a ja już wtedy dość solidnie wprowadzony przez Paskę w jogowe asany



Pierwsza strona pamiątkowego biuletynu przyjaciół praktykujących w Polsce buddyzm zen, pod kierunkiem roshiego Kapleau



Pierwsza strona Drogi Zen / zima 1975-wiosna/ 1976. Katowice, Piastowska 1

raczej zignorowałem te średniej trudności wygibasy Andrzeja. To go trochę wybiło z roli „nauczyciela zen” i pamiętam, jak mnie zbeształ za brak dyscypliny w wykonywaniu poleceń. Wiedział, że zajmuję się jogą i że jestem po AWF-ie, więc wyczułem, że moje nieposłuszeństwo go zirytowało, bo bardzo wyraźnie powiedział do mnie przy innych: „To, że jesteś po AWF-ie i ćwiczysz jogę, nie znaczy, że tutaj masz nie wykonywać tego, co należy”. Trochę zrobiło mi się głupio, poczułem się, jakby ktoś wylał na mnie kubel lodowatej wody. Byłem przekonany, że właśnie tacy ludzie są idealni dla wzajemnej tolerancji, wolności i przyzwolenia na bycie sobą, a poczułem się, jak w wojsku; notabene przez rok po studiach byłem na rocznej służbie wojskowej, więc absurd kaprałowskiej dyscypliny był mi dobrze znany. Tak czy inaczej, z czasem uznałem, że tu jestem gościem i są pewne reguły, które powinienem uszanować. Incydent raczej mnie zmobilizował, toteż pozwoliłem sobie na chyba dwa przyjazdy na trzydniowe siedzenia, chyba około 10-12 rund po 35 minut każda. Pamiętam też wielką determinację Włodka Nowaka (obecnie Nyogena) w pilnowaniu dyscypliny i jego mocne pokrzykiwania. Było to z jednej strony na swój sposób barwne i inne w szarej rzeczywistości, ale z drugiej odczuwałem w sposobie zachowywania wielu tam osób rodzaj namaszczenia czy misyjności, a było to już po wizycie roshiego Kapleau. Czasami mnie to śmieszyło, bo wyobrażałem sobie, że gdyby owa polska sangha miała konkurować z japońską co do zewnętrznych rygorów praktyki, to ta japońska, nie mówiąc o amerykańskiej, byłaby bez szans. Dla porównania, ale to już dużo później, gdy powróciłem do Polski w latach 90., widziałem, że podobnie zachowywali się świeżo upieczeni nauczyciele szkoły iyengarowskiej. Stawali się jakby „małymi Iyengarkami”, którzy gnietli uczniów kolanami, pokrzykiwali i stwarzali atmosferę wyjątkowości swojej misji. Ta trochę sztuczna, bo zewnętrzna dyscyplina też w jakimś stopniu mnie pociągała, ale na pewno odrzucało mnie to, co nazwałbym „ze-

nowskim namaszczeniem”, które niektórzy z czasem nazywali „smrodem zen”.

Kto lepszy, kto bardziej oświecony?

Nie bardzo widziałem siebie zanurzonego w pseudobuddyjskim sosie religijnym. W jakimś momencie ortodoksyjna nauka roshiego Kapleau nie była dla mnie do zaakceptowania. To wychodziło w różnych momentach kontaktu z katowickim zendo, ale też w rozmowie z niektórymi uczestnikami siedzeń. Szczególnie pytania o byciu pasowanym na ucznia i związanej z tym *dziukai*, czyli ceremonii przyjęcia do wspólnoty buddyjskiej. Ale dla mnie od początku było jasne, szczególnie po przeczytanych słowach w przedmowie do „Trzech filarów zen”, gdzie Kapleau pisał: *„Zen jest religią posiadającą jedyną w swoim rodzaju metodę treningu ciała-umysłu, treningu, którego celem jest satori, to znaczy samourzeczywistnienie. W tej książce podjąłem próbę przekazania na wskroś religijnego charakteru i ducha Zen, a nawet jego rytuałów i symbolów, jego wezwań do serca w nie mniejszym stopniu niż wezwań do umysłu, gdyż jako Buddyjska Droga Wyzwolenia, Zen jest z całą pewnością religią”*. Wcześniej odrzuciłem swoją katolicką przeszłość i jej dogmatyczność, więc nie bardzo chciało mi się przedstawiać na buddyjskie dogmaty, aby wchodzić w coś, co jakoś podobnie dla mnie brzmiało z tymi wszelkimi ołtarzykami i rytuałami. Może tego nie było wiele w porównaniu z rytuałami katolickimi, ale dawało się to wyczuć. Dlatego z czasem, kiedy spotkałem osoby mniej prące ku buddyzmowi, a regularnie spotykające się w mieszkaniu Adama Soboty na Kwiskiej we Wrocławiu, uświadomiłem sobie, że religijna otoczka przy zen nie ma żadnego znaczenia i nikt mnie nie rozlicza z takich czy innych gestów. Zacząłem się interesować tym, co oferuje szeroko rozumiany Daleki Wschód w odniesieniu do praktyk w relacji umysł-ciało. Kierowany też potrzebą szerszej wiedzy, szczególnie w odniesieniu do praktyk ezoterycznych, mistycznych oraz religii dalekowschodnich, podjąłem

uniwersyteckie podyplomowe studia filozoficzno-religioznawcze, które pozwoliły mi na uporządkowanie wątpliwości w rozróżnianiu podstawowych pojęć i określeń. To mi pozwoliło też inaczej spojrzeć na kolejne odsłony ewoluującej mądrości stojącej za doświadczeniem określanym jako „stan buddy”. Od tamtego czasu jestem przekonany, że sam Sakjamuni w swoich poszukiwaniach nie zakładał żadnego formalnego związku religijnego, podobnie jak w chrześcijaństwie Jezus nie zakładał żadnego kościoła. To inni zrobili to za nich w konkretnym swoim interesie, co do tego nie mam wątpliwości. Gdy przyjrzyć się temu, czym się chcieli podzielić z innymi, to ich intencją było coś zupełnie odwrotnego do tego, co później w ich imieniu powoływano. W buddyzmie te wszystkie *mahajany*, *hinajany*, *therawady* czy *wadźrajany* tylko udowadniają późniejsze zagubienie kolejnych pokoleń. Kto bliższy prawdzie, kto lepszy, kto bardziej oświecony? Toć to dopiero g.... zen. Przecież te podziały różnych grup buddyjskich, które zaistniały w późniejszych latach w Polsce, i towarzysząca temu atmosfera i pomówienia, to tylko dowód na to, że w istocie swej ów *zazen* i wysiedzane godziny, tygodnie, miesiące czy lata może nie do końca były tym, czym być powinny.

Czynił gassio jedną ręką

Wracając jednak do kontaktu z Andrzejem i Piastowską 1, to po zakończeniu swej misji w Lubiążu rozpocząłem pracę we Wrocławiu na dziennych oddziałach jako kinezyterapeuta Specjalistycznego Zespołu Psychiatrycznej Opieki Zdrowotnej we Wrocławiu. W tym czasie nie tylko uczestniczyłem w siedzeniach zarówno w Katowicach czy na Kamieńczyku, ale również zachłannie studiowałem wszystko, co miałem możliwość zdobyć lub kupić za spore pieniądze w drugim obiegu. Do dzisiaj mam spory komplet ówczesnej literatury zenowskiej przygotowywanej na Piastowskiej 1. Wspomnę tylko o kilku: *Koło śmierci*, czyli wybór z pism buddyzmu zen i z innych źródeł dokonany przez Kapleau w tłumaczeniu

Tadeusza Sławka; *Pusty obłok. Autobiografia chińskiego mistrza zen Hsu Yuna* w tłumaczeniu Adama Soboty; *Umysł zen, umysł początku* Shunryu Suzuki w tłumaczeniu Jacka Dobrowolskiego, Adama Soboty, Jacka Ostaszewskiego i Urszuli Broll-Urbanowicz; teksty *Zen Bow jako Droga zen*; pełna wersja *Trzech filarów zen* Philipa Kapleau.

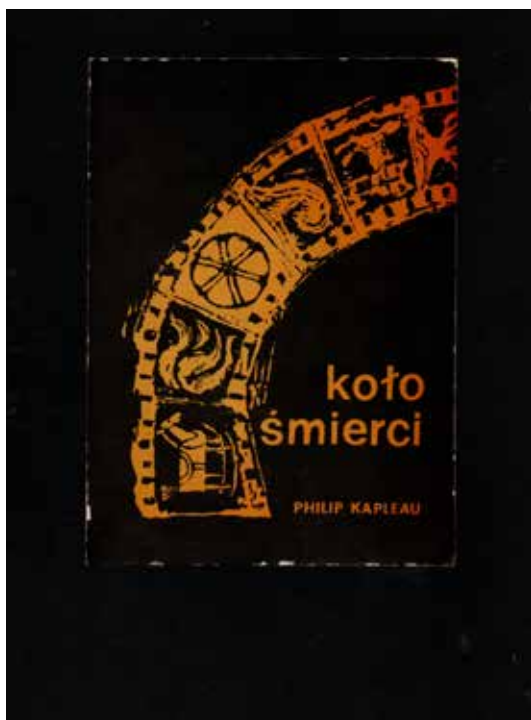
Najbardziej autentyczny zapis, jaki mi pozostał z tamtego czasu, umieszczony jest w 132-stronicowej *Drodze zen*, czyli „biuletynie listowym przyjaciół poświęconym urzeczywistnieniu dharmy w codziennym życiu” / zima 1975-wiosna 1976 / Katowice, Piastowska 1. Czytając wypowiedzi „trzonu” grupy inicjującej powołanie sanghi w Polsce oraz relację z przybycia mistrza zen (od 22 sierpnia do 3 września 1975 r.), odczuwa się nie tylko doniosłość wydarzenia, ale też pewną religijną egzaltację dość typową dla wyznawców guru czy mistrza. Wystarczająco naoglądałem się i nasłuchałem relacji z przyjazdów różnych „mistrzów duchowych”, aby teraz czytając ponownie biuletyn z Piastowskiej 1 nie dostrzegać tego u zwolenników zen w Polsce gierkowskiej. Pozwolę sobie przytoczyć kilka opisów zamieszczonych w *Drodze zen* z 1976 r. Gdy Kapleau przybywa na lotnisko w piątek 22 sierpnia 1975 r. około 14.30 samolotem z Toronto, to już w Warszawie wieczorem udaje się na spacer po Starym Mieście, gdzie wstępuje do kościołów, m.in. kościoła jezuitów. Po wyjściu z kościoła według relacji osoby towarzyszącej miał powiedzieć w katolickim kraju takie słowa: „*Chrystus na krzyżu jest cierpiący, a więc oddzielony od siebie, od Boga i od ludzi. Gdy wisiał na krzyżu, wołał: „Boże, Boże, czemuś mnie opuścił?”*. *Między Chrystusem a Bogiem było rozdzielenie, dualizm. Modląc się do takiego symbolu, oddzielamy się zamiast się łączyć, uciekamy w świat oddzielności i cierpienia. Buddha jest natomiast symbolem tego, kto wie czym i gdzie jest, symbolem spokoju, wszechogarniającej jedności i miłości, symbolem tego, czym sami w istocie jesteśmy, symbolem naszej Prawdziwej Natury. Składając pokłon przed Buddhą, skłaniamy się przed naszą*

wrodzoną Doskonałością i Pełnią”. Po czym roshi dodaje jeszcze: „Ale jest to buddyjski punkt widzenia, z którym można się zgadzać lub nie”.

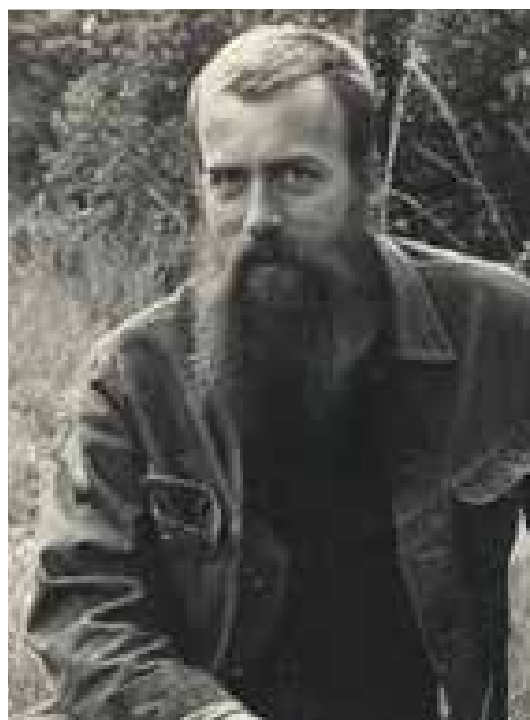
Albo dość kuriozalny opis zachowania roshiego: „Gdy wychodziliśmy czy wchodziliśmy skądkolwiek, zauważało się, że z zachowania Rosiego nie wynika bynajmniej, że należy mu się pierwszeństwo, jakkolwiek z piękną naturalnością reagował na okazywany szacunek: przekraczał po prostu próg drzwi i wchodził, lub zajmował miejsce, gdy chciał je zająć. Gdy chciał przejść przez zablokowane przez kogoś drzwi, po prostu czynił gassio jedną ręką i z lekko pochyloną głową przechodził. Była w tym taka siła i spokój”.

Jest też fragment z cytowanej „Drogi zen”, kiedy w czasie drogi z Katowic do Oświęcimia roshi miał spytać o publikacje na temat zen w Polsce i wówczas ktoś z towarzyszących mu osób mówi: „Niestety, było mało, a pośród tych niewielu sporo dezinformujących. Wspominamy o publikacji PZWL na temat relaksu i tzw. „szkole koralika” zalecającej

wpatrywanie się w coś takiego podczas medytacji”. Fragment ten wiele mówi o „wyższościowym” podejściu do wszystkiego, cokolwiek kto inny na ten temat wykladał, pisał czy organizował. Można byłoby zadać pytanie, dlaczego zen namaszczone przez zamerykanizowanego roshiego ma być prawdziwy, a nie ten poznany z kraju narodzin i działania Buddy? Nyogen w swoim liście z Japonii też o to pyta. Zdaję sobie sprawę z delikatności poruszanego tematu oraz stojących za tym bardzo wyrazistych osobowości konkretnych ludzi, niemniej warto też szerzej i bardziej krytycznie spojrzeć na pojawianie się w PRL-u różnych, nie do końca ujawnionych religii czy systemów duchowych. Przecież wiadomo, że dwa ideologiczne bastiony ówczesnej polskiej ideologii, z jednej strony ten polityczny, a z drugiej religijny, niechętnie przyjmowały na swój grunt owe dziwolągi z Dalekiego Wschodu. Dlatego wielu światłych i odważnych ludzi w latach 60. i 70. próbowało owe zenistyczne medytacje, jogowe relaksacje i taoistyczne kon-



Okladka Kółka śmierci w tłum. Tadeusza Sławka i red. Andrzeja Urbanowicza



Andrzej Urbanowicz, Leśniczówka Pocięcha, 1978 r. Fot. Jarosław Markiewicz

centracje przemycać pod przykrywką zdrowotno-edukacyjną. Miałem okazję obserwować to z obu stron i śmiałem twierdzić, że „koralikowy” podręcznik *Teoria i metodyka ćwiczeń relaksowo-koncentrujących* wydany w 1969 r. pod redakcją profesora Wiesława Romanowskiego z merytorycznym nieocenionym wkładem Tadeusza Paska nie tylko spopularyzował sam termin „zen” i nadał mu oczywisty, ludzki wymiar, ale też w pewnym sensie ta książka umożliwiła Andrzejowi z Piastowskiej I zrobienie kroku dalej. Właśnie wkład Tadeusza Paska, ale też sporej grupy innych wówczas znanych i poważanych autorów umożliwił wydanie tego podręcznika w Państwowych Zakładach Wydawnictw Lekarskich, jednym z najpoważniejszych naukowych wydawnictw do dzisiaj.

Satori raczej dla siebie

Pod koniec życia Andrzeja rozmawiałem z nim o tym wątku i patrzył na te ezoteryczno-religijne wymiary swojego poddasza już z innej perspektywy. Obracał się nie tylko w artystycznych środowiskach Oneironu, ale też orientował się doskonale w wielu innych inwazjach „zgniłego kapitalizmu” do zdrowego organizmu rodzimego socjalizmu. Mówiliśmy przede wszystkim o drugiej połowie lat 70. Inna była jego katowicka perspektywa starszego kolegi, a inna moja, wrocławska. Wszystko, co piszę na temat moich doświadczeń z tamtego okresu ani na milimetr nie umniejsza roli Urszuli i Andrzeja Urbanowiczów w stworzeniu takiego miejsca. Było ono wyjątkowe i o lata świetlne wyprzedzało szereg pomniejszych inicjatyw, które z czasem miały się pojawiać w całej Polsce. Od siebie mogę otwarcie powiedzieć, że dla mnie to był najbardziej twórczy okres realizowania swoich pomysłów. Miałem szczęście do rozumiejących mnie ludzi, którzy wyczuwali moje intencje, a ja czułem się wystarczająco odważny i wolny, aby przedstawiać im swoją wizję pracy. Po wspomnianym Zbyszku Thielle kolejną osobą z którą dobrze rozumieliśmy się, był

doktor Bernard Spisła, znany wówczas psychiatra wrocławski, który również upatrywał korzyści terapeutyczne we włączeniu w program oddziałów dziennych treningów relaksacyjnych, jogi i zen. Zaprosił mnie do współpracy; miałem wyjątkową możliwość sprawdzenia w praktyce przydatności tych prostych ćwiczeń koncentracji u osób borykających się z problemami natury psychologicznej. Przy Gdańskiej 2, gdzie mieściły się dzienne oddziały psychiatryczne powstała całkowicie dla moich zajęć relaksacyjno-medytacyjnych „sala ciszy”, gdzie jednorazowo mogło uczestniczyć 10 pacjentów, a wieczorami była udostępniana do prowadzenia zajęć z jogi i zen dla studentów wrocławskich uczelni z problemami nerwicowymi. To, że osoby te wychodziły z zajęć odprężone i uspokojone, to był ten oczekiwany argument za tym, że warto na początku otwierać się na tego rodzaju inność, a satori to raczej zachować dla siebie.

U źródeł

Warto jeszcze wspomnieć o wrocławskim środowisku i parateatralnym zjawisku owych lat. To centrum Wrocławia, w samym rynku, gdzie pod koniec lat 60. z Opola przenosi się ze swoim teatrem Jerzy Grotowski. Dla mnie to w dużej mierze doświadczenia parateatralne prowadzone przez jego zespół wywodzący się z różnych kultur. To był kulminacyjny okres działań postteatralnych Grotowskiego, a jego uwieńczeniem jeszcze przed stanem wojennym w 1981 roku była realizacja „Teatru Źródeł”. Grotowski przed rozpoczęciem kilkudniowego działania wskazuje na punkt wyjścia powiązany z przełamaniem w sobie „dwóch murów”. Jeden jest w nas samych, drugi przed nami. Pierwszy dotyczy introspekcji w odczuwaniu w sobie „zapomnianych energii”, a drugi dotyczy percepcji w przełamywaniu barier oddzielających nas od rzeczywistego i bezpośredniego postrzegania „tego, co jest” oraz wskazuje na ewentualne inspiracje dla tego uczestnictwa nawiązujące do technik źródłowych „... jak

techniki misteryjne, joga (istnieje dramatyczno-muzyczna forma jogi pod nazwą bauli), zjawiska z pogranicza japońskiego zen i teatru no, procesy przeistoczenia (nawiedzenia) w kulturach murzyńskich, niektóre techniki indiańskie...". Podczas działań w Brzezince Grotowski niczym mistrz medytacji w ruchu obserwuje i testuje, na ile intensywna „joga przestrzenna” wygasza umysł dyskursywny i pozwala świadomości na pozostawanie w neutralności, a podczas krótkich rozmów sprawdza, na ile uczestnik jest już gotowy osiągnąć „ten oczekiwany stan”. Jego eksperymentalna praca miała sporo wspólnego z tym, co można było wyczytać w podręcznikach zen. „*W przedsięwzięciu Teatr Źródeł nie stawiamy sobie słynnego pytania, jak zatrzymać potok naszego umysłu, tę dziwną mieszaninę myśli, wspomnień, marzeń, wyobrażeń, uczuć, fantazji. Patrząc na siebie z zewnątrz, nie mogę naprawdę wiedzieć, czy, obiektywnie, zatrzymałeś ten potok, ale mogę wiedzieć, czy milczysz. Cisza zewnętrzna, jeśli ją zachowujesz, przybliży cię do ciszy wewnętrznej*”. Podobnie jak podczas sesji jogi u Paska, czy podczas sesshin na Kamieńczyku pytałem wówczas siebie jako uczestnika tych działań, czy ich istotą jest jedynie cisza umysłu, czy może coś więcej? Wówczas zdawałem sobie sprawę, że największą przeszkodą jest sam umysł i dla odnalezienia i doświadczenia „swojej unikalnej techniki” wyciszającej owe poruszenia umysłu, podobnie jak w jodze czy zen potrzebny jest czas. Piszę o tym z dumą i wdzięcznością za umożliwienie takiego życiowego startu w dekadzie gierkowskiej.

Ferment w grupie

Z czasem zelżało moje zainteresowanie buddyzmem zen, gdyż uważałem, że dokładnie to samo, a może nawet precyzyjniej jest rozpisane w jodze. Intuicyjnie interesowała mnie forma „spokojnego siedzenia” czy „spontanicznego działania w ruchu” bez żadnej dogmatycznej oprawy. Stąd z czasem moje bliższe zainteresowanie zen Toni Paker czy podejściem do wewnętrznej ciszy

Jiddu Krishnamurtiego. Jeszcze jeździłem do Katowic, ale gdy 28 marca 1978 r. w czasie spotkania członków koła zen doszło do rozłamu na tle „dogmatycznym”, a ściślej „podstaw wiary w buddyzmie” w interpretacji między Yasutanim a Kapleau, to odpuściłem sobie. Było wokół konfliktu trochę pretensji, przerzucania się winą, jakby cały wysiłek z *zazen* stracił swoją bezinteresowność. Ponieważ było to skrzętnie przemilczane przez tych, którzy o tym wiedzieli, czyli prowadzących katowickie zendo, to inni uznali to za zdradę. W tle pojawia się afera obyczajowa, co wywołuje jak to ktoś opisał „*ferment w poważnej i purytańskiej grupie*”. W rezultacie Andrzej zostaje usunięty z funkcji prowadzącego, co prawdopodobnie przyspiesza rozłam oraz przeniesienie (jak to opisano w bardzo okazałym graficznie opracowaniu *Oneiron* wydanym w 2006 w Katowicach) „*figur strażników, jak również innych przedmiotów rytualnych, figur i książek oddanych tylko w czasowe użytkowanie*” i dodane, że „*Ten haniebny czyn do tej pory nie został naprawiony*”.

I tak czar poddasza prysnął, Andrzej wyjechał, figurki zmieniły siedzibę, a wraz ze stanem wojennym świadkowie i uczniowie początków buddyzmu zen w Polsce rozproszyli się po świecie. Gdy w 1982 r. znalazłem się na długie lata w Sydney, dana mi była możliwość spotkania rosiego Roberta Aitkena, do czego się przyczynił Jan Sar, który też w tamtych latach mieszkał w Sydney. Dla mnie osobiście jego podejście do zen bez tego całego „duchowego namaszczenia” było jakby z innego świata. A może to inna, bardziej wyuluzowana atmosfera australijskich adeptów zen wokół swojego mistrza taką iluzję mi tylko dawała? Niebawem też doleciała Marysia Mazur z dziesięcioletnim synem Mikołajem i była to namiastka katowickich doświadczeń. Na koniec, dzieląc się swoimi refleksjami wokół początków zen w Polsce, chciałbym przytoczyć fragment wypowiedzi jednej z osób z tych szczególnych dni goszczenia Kapleau w Polsce w 1975 r.: „*Czerwony krążek słońca nad dyskiem hali sportowej i*

konturami kopalni „Katowice” przedzierał się przez zadymione i nieco jeszcze zamglone powietrze. Staliśmy przed LOT-em w oczekiwaniu na autobus. Przez moment wszystko jakby nierealne. Oni... tutaj... w tym miejscu... Rosi mówi, „Musicie koniecznie co tydzień wyjeżdżać na świeże powietrze. To jest istotne”. Po chwili jest autobus”. Prorocze słowa, aktualne i teraz, w 2021 roku.

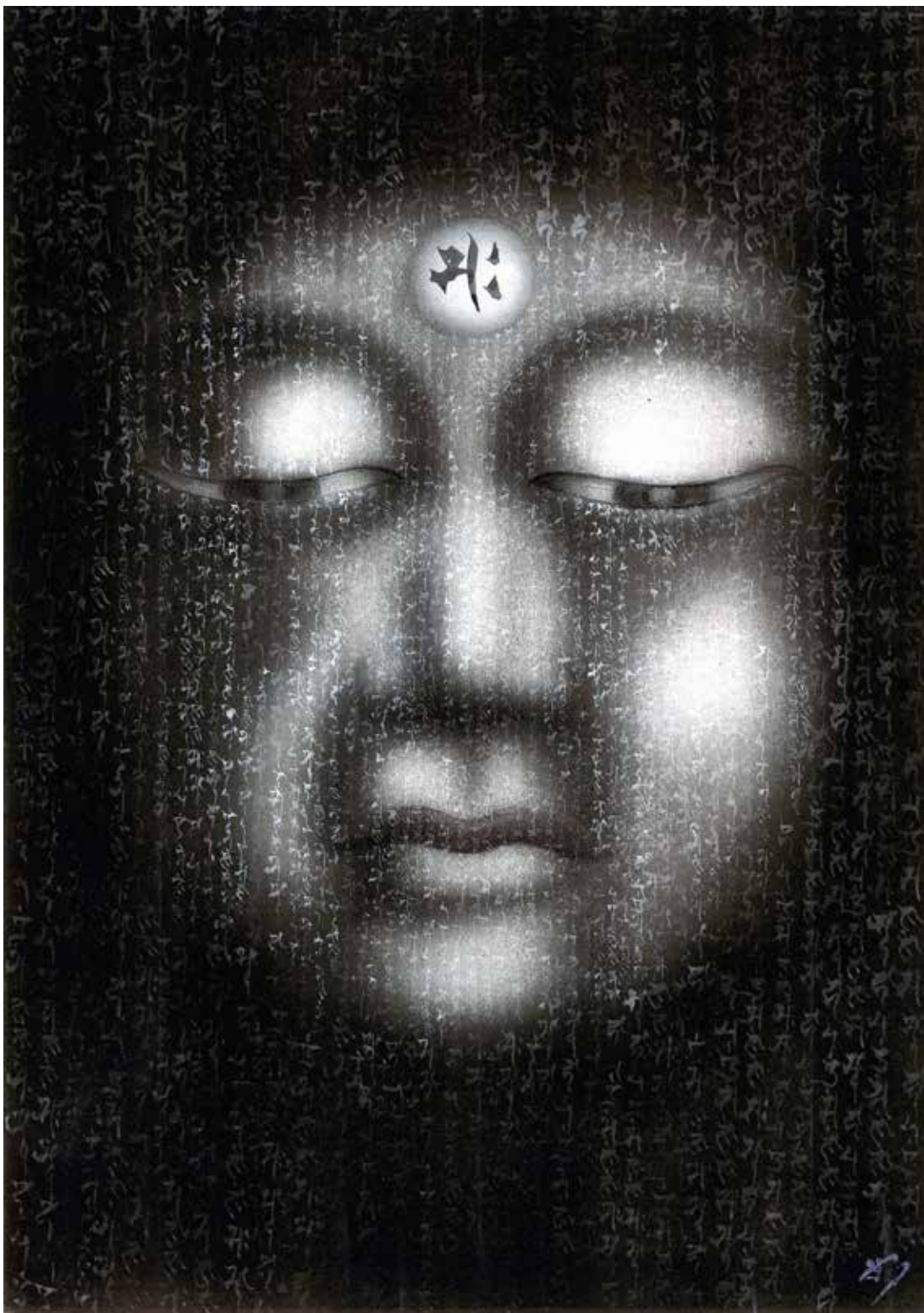
Lesław Kulmatycki

Pamięci Zdżicha

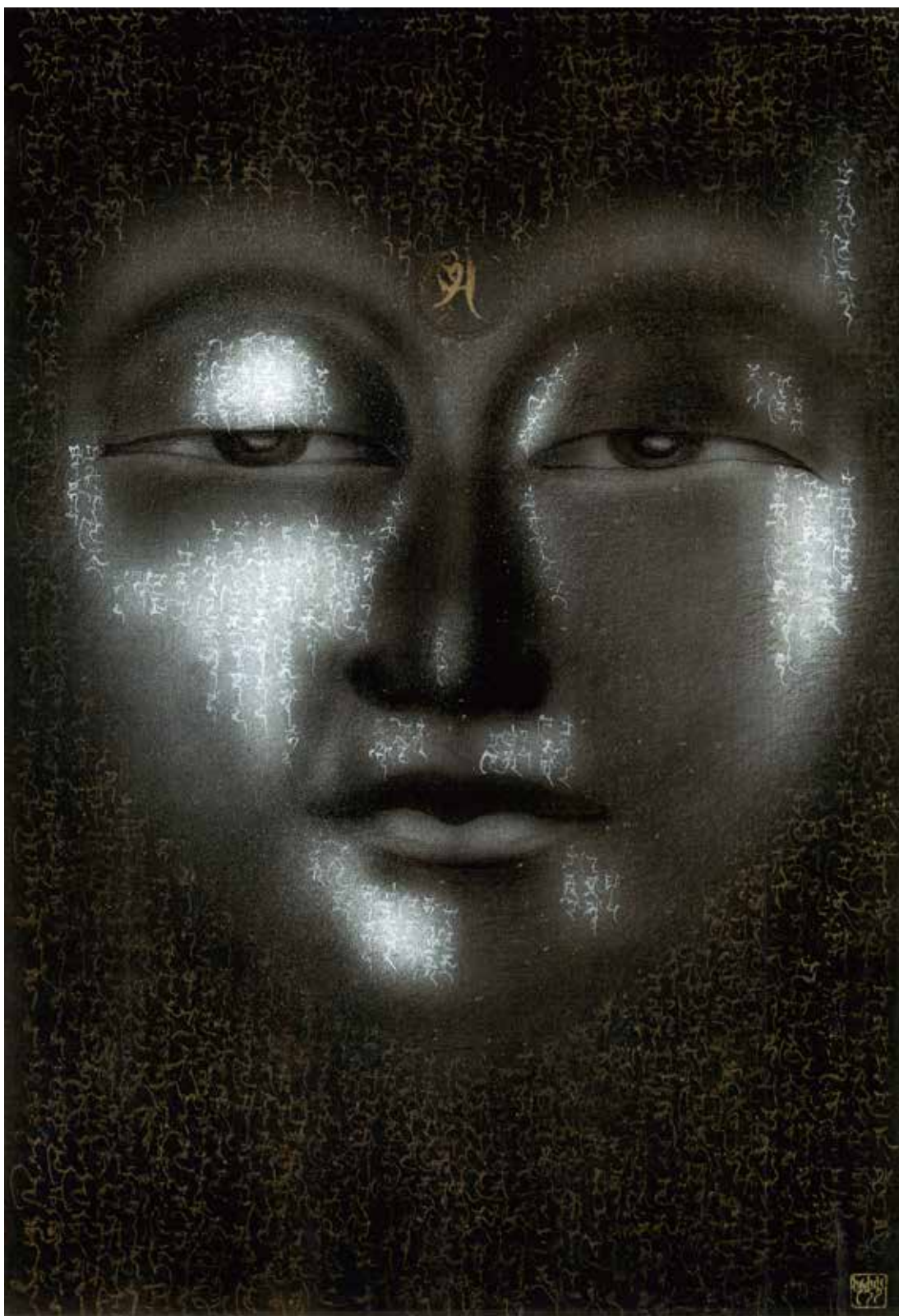
Opisane tu początki zen w Polsce z perspektywy wrocławskiej dedykuję pamięci mojego przyjaciela Zdzisława Burzyńskiego, który właśnie w latach 70. zjawiał się na Gdańskiej 2, gdzie powołałem swoją „salę ciszy” i na jednym z wieczornych wprowadzeń do medytacji dowiedział się o Piastowskiej 1. Ja niebawem wyjechałem w świat, gdzie między innymi spotkałem roshiego Aitkena, a Zdżichu znalazł swoją buddyjską drogę i stał się członkiem, a z czasem liderem wrocławskiego oddziału Związku Buddystów Zen „Bodhidharma”. Wiele rozmawialiśmy o swoich wyborach, były inne, ale też dzięki tym wspólnym doświadczeniom owych lat mieliśmy swoiste poczucie więzi.



Urszula Broll, *Chodźmy na drugi brzeg*, 1967 r., akwarela, papier, 62x49 cm. Arch. Roger Urbanowicz



Ewa Myoshin Hadydoń, Seihi Bosatsu



Ewa Myoshin Hadydoń, Kanzeon Bosatsu, skr: Avalokitesvara

Autorzy tego numeru

Jan Mirosław Bereza OSB – ur. 1955 w Warszawie, zm. 2011 w Lubiniu; mgr filozofii i teologii, benedyktyn w opactwie w Lubiniu. W latach 1999-2002 przeor tego klasztoru. Stworzył Ośrodek Medytacji Chrześcijańskiej i Dialogu Międzyreligijnego. Związany był z Benedyktyńską Komisją do Dialogu Międzyreligijnego na płaszczyźnie Monastycznej DIM-MID. Przez 10 lat członek Komitetu Episkopatu Polski ds. Dialogu z Religiami Niechrześcijańskimi. Autor książek: *Sztuka codziennego życia* (Poznań 1997), *Myśli codziennego umysłu* (Poznań 2007), *Posty i tosty* (Znak 2010). Współpracował z czasopismami „i” – miesięcznik trochę inny, „Charaktery”, „Życie duchowe”, „Znak”, „Tygodnik Powszechny”, „Albo-Albo”, kanadyjskim kwartalnikiem „Z pomocą”.

Jacek Dobrowolski – autor tomu wierszy *Partytury*, poematu *Raróg* i komedii wierszem *Dziewanna* prezentowanej w Teatrze Polskiego Radia z Danutą Stenką w roli głównej. Na podstawie obu utworów Nikolet Burzyńska skomponowała mini-operę „Labirynt Orfeja” dla Warszawskiej Opery Kameralnej. Tłumacz wierszy Ezry Pounda, Gary Snydera i Boba Dylana drukowanych w „Odrze”. Publikował opowiadania w „Twórczości” i „Odrze” oraz ok. 130 esejów i recenzji. Tłumacz kilkunastu książek o buddyzmie, sutr, tekstów zen i wadźrajany, a także mów wielu nauczycieli rozmaitych tradycji medytacyjnych od 1975 r. Prowadził zendo ZBZ „Sangha” w Warszawie (1978-1985). Współpracownik BBC 1989-2019 r. Redaktor polskiej sekcji portalu Study Buddhism Alexa Berzina. Brązowy medal Gloria Artis 2005 r.

Włodzisław Duch – ur. 1954 w Kwidzynie, profesor nauk fizycznych specjalizujący się w informatyce stosowanej, neuroinformatyce, sztucznej inteligencji, uczeniu maszynowym, kognitywistyce i neurokognitywnych technologiach. Podsekretarz stanu w Ministerstwie Nauki i Szkolnictwa Wyższego w latach 2014-2015. Jest członkiem redakcji kilkunastu międzynarodowych specjalistycznych czasopism, opublikował ponad 350 specjalistycznych i ponad 200 popularnych artykułów na różne tematy, jest współautorem lub redaktorem 26 książek. Żonaty, ma syna i córkę oraz czwórkę wnuków.

Wojciech Eichelberger – psycholog, psychoterapeuta, coach, buddysta zen. W pomaganiu ludziom praktykuje podejście integralne, uwzględniające ciało, energię, psychikę i duchowość. Współtwórca Instytutu Psychoimmunologii – IPSI oraz portalu Positive Life. Autor wielu bestsellerowych książek i poradników oraz warsztatów on-line.

Ewa Hadydon – (buddyjskie imię Myoshin) ukończyła PWSSP we Wrocławiu. W 1981 roku rozpoczęła praktykę zazen w grupie ZBZ „Sangha”. Od 1989 roku praktykowała zen pod kierunkiem Harady Tangena Roshiego w Japonii. Tam zainteresowała się buddyjską sztuką, szczególnie twarzami buddyjskich posągów w świątyniach Kioto i Nary oraz sztuką kaligrafii starożytnego hinduskiego skryptu siddham (jap. Bonji - niezwykle wyrefinowaną formą kaligrafii). Spotkanie z Tokuyama Kijunem (zm. w 1992 roku), jednym z największych artystów i kaligrafów siddham, od którego otrzymała szereg rad, zachęt a także ważnych tekstów, sprawiło, że na jej obrazach zaczęły pojawiać się kaligrafie siddham, którymi zapisywała dharani i mantry. W 1992-93 otrzymała stypendium Międzynarodowego Stowarzyszenia Kultury Buddyjskiej w Kioto (International Association of Buddhist Culture in Kyoto) na studiowanie buddyjskich posągów Kioto i Nara. W 2006 roku studiach Ewa Hadydon otrzymała formalny przekaz (jap. denju) siddham w tradycji buddyjskiej szkoły tendai od Mistrza Goto Nindena, opata świątyni Shosoin w Yamadera, jednego z głównych nauczycieli siddham w szkole tendai. Od 1989 roku wraz ze swym mężem Nyogenem Nowakiem mieszka w Sendai. Członek ZPAP.

Jerzy Illg – ur. 1950 w Poznaniu, polski filolog, publicysta, krytyk literacki i wydawca, nauczyciel akademicki, redaktor naczelny Społecznego Instytutu Wydawniczego „Znak”. Trafił do Znaku w roku 1983, gdy w stanie wojennym wyrzucono go z Uniwersytetu Śląskiego. Od roku 1992 jest redaktorem naczelnym Wydawnictwa Znak. W latach 1990-97 redagował pismo literacko-artystyczne „NaGłos”. Organizował Krakowskie Spotkania Poetów i seminaria poetyckie „Amerykanie w Krakowie”, był dyrektorem programowym Festiwalu Miłosza. Opublikował m.in. *To miasto jest wszędzie. Kraków w poezji XX wieku* (2001), *Wiersze z Marcówki* (2003), *Mój znak. O noblistach, kabaretach, przyjaźniach, książkach, kobietach* (2009 i 2019), rozmowy z Josifem Brodskim, Andriejem Tarkowskim, Andrzejem Szczeklikiem, Stanisławem Radwanem, *Ulice San Francisco. Śladami Sokoła maltańskiego* (2021) i antologię *Mój przyjaciel wiersz* (2021).

Anna Jedynak – prof. dr hab., pracuje na Wydziale Filozofii UW. Sekretarz Rady Naukowej Collegium Invisibile. Wolontariuszka Fundacji „Dobrze, że jesteś”. Autorka kilku książek i wielu artykułów. Zajmuje się poznawczą rolą języka, jego związkami z doświadczeniem, teorią komunikacji oraz wpływem filozofii Wschodu na zachodnie koncepcje filozoficzne ostatnich dekad. Praktykuje medytację buddyjską, ćwiczy *qigong*, upowszechnia porozumienie bez przemocy. Ma dwoje dzieci i wnuczkę.

Jimin Anna Klegon (Ania Andrzejewska) – ur. 1954 w Warszawie. Skończyła studia orientalistyczne na UW. W połowie studiów zaczęła opuszczać środowisko hippisów i zbliżyć się do buddystów. Dotarła na Piastowską, na Kamieńczyk i do Przesieki, gdzie mieszkała trzy lata. Wyjechała do USA do Ośrodka Zen w Rochester. Wyszła za mąż za tamtejszego kapłana zen. Potem opuściła Zen Center, zaczęła praktykować wadźrajanę, wyjechała do Bostonu. Jej mąż, porzuciwszy szaty, kontynuował praktykę duchową jako człowiek świecki. Weszła w świat wipassany na 12 lat, w świat jogi, w świat nauczania, w świat dzieci i pracy, w hospicjach, szkołach, więzieniach. Potem znowu na 11 lat w zen. Mieszka z mężem w Bostonie. Ponownie studiuje sanskryt i nadal rano i wieczorem praktykuje medytację.

Ireneusz Kulik – ur. 1946 w Katowicach. Fotografik. Uprawia rysunek, film, refleksje teoretyczną. Ukończył studia architektury w Gliwicach. W połowie lat 70. przełamywał tradycyjnie usposobioną fotografię śląską w kierunku bardziej nowoczesnym, m. in. *Memoiry 75*. Uczestniczył w życiu katowickiego undergroundu, dokumentował zdarzenia, wykonywał fotografie do wydawnictwa Galerii PSP-ZPAP. Od połowy lat 70. współpracował z Ryszardem Tabaką. Wspólnie organizowali w Katowicach wystawy i spotkania. W ramach działalności w grupie Fota-Medium-Art zorganizowali wystawę i sympozjum „Stany graniczne fotografii” (1977). Wspólnie z Ryszardem Tabaką otworzyli Galerię 2, w której miały miejsce ważne wystawy m. in. „Czerń i biel” oraz „Od zera do nieskończoności, od nieskończoności do zera” (1980). Współpracuje z pismem artystycznym „Format”. Obecnie mieszka w Dusseldorfie, gdzie zajmuje się sztuką fotomedialną i prowadzi działalność dydaktyczną oraz kuratorską.

Brygida Wróbel-Kulik – ur. 1952 w Chorzowie. Studiowała w Krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych i na Akademii Sztuk Pięknych w Düsseldorfie. Otrzymała Nagrodę Miasta Akwizgran za osiągnięcia w dziedzinie sztuk plastycznych. W 2000 r. znalazła się w gronie siedmiu nominowanych do prestiżowej nagrody im. Gabriele Munter Preise. Jej formy wyrazu artystycznego to grafika, rysunek, malarstwo, książka artystyczna, instalacje. Swą twórczość podporządkowała idei topografii miejsca, idei kreowania własnej przestrzeni. Od 1976 r. bierze udział w licznych wystawach indywidualnych i zbiorowych na całym świecie. Jest współzałożycielką międzynarodowej Grupy Artystycznej „Grenzfrauen” (Kobiety przygranicza). Od 1981 r. mieszka z mężem w Niemczech, jest matką córki Miriam (architektka).

Lesław Kulmatycki – ur. 1951 w Kłodzku. Dr hab., profesor AWF Wrocław. Studia z zakresu kultury fizycznej, religioznawstwa i psychoterapii. Od ponad 40 lat zajmuje się filozofią i praktyką zen i jogi. Jogę studiował w Instytucie Jogi Kaivalyadhama w Indiach i aszramach Satyanandy w Australii. W latach 2009-2018 prowadził Katedrę Nauk Humanistycznych Promocji Zdrowia oraz powołał pierwsze i jedyne w Polsce Podyplomowe Studia Technik Relaksacyjnych, pierwsze w Polsce Podyplomowe Studia Psychosomatycznych Praktyk Jogi. W 2018 r. wraz ze specjalistami Zakładu Indologii współtworzył pierwsze Podyplomowe Studia Jogi Klasycznej przy Uniwersytecie Wrocławskim. Autor prac naukowych oraz książek o relaksacji, jodze i medytacji.

Joanna Lasota Eisenstein – nauczycielka *feng shui* od 1999 r.

Krzysztof Lewandowski – mgr inż. inżynierii środowiska (PW), ekonomista (WSEiZ), tłumacz, wydawca, publicysta, redaktor, muzyk. W latach 1985-1990 dyrektor buddyjskiego wydawnictwa „Pusty Obłok”, potem współwłaściciel Wydawnictwa Głodnych Duchów i właściciel wydawnictwa „Latawiec”. Był redaktorem naczelnym czasopism „Zielony Sztandar” i „Alter” oraz portali czystakraina.pl i swietoradosci.org.pl, tłumacz książek popularno-naukowych, artykułów naukowych o tematyce ekonomicznej, stały współpracownik „Polska The Times”, wykładowca ekonomii w WSZ SW i UW. Autor słuchowisk radiowych, opowiadań oraz artykułów o tematyce monetarnej. Od czasu pandemii organizator krótkich łańcuchów dostaw zdrowej żywności dla mieszkańców Warszawy i kierownik undergroundowej sceny muzycznej „Złoty Osioł” w Warszawie. Z buddyjską tradycją zen związany od 1974 r. Członek Towarzystwa Rozwoju Pedagogiki Rudolfa Steinera.

Hieronim Lis – ur. 1933 w Ostrowie Wielkopolskim, w konserwatywnej rodzinie rzemieślniczej. 1939-43 sieroctwo wojenne. 1944-45 więzień obozu Gross-Rosen. Pionier Ziem Odzyskanych. Absolwent Wydziału Architektury PWr. Architekt i urbanista powiatowy w powiecie kieleckim. Bezpartyjny. Aktywista NSZZ Solidarność. Internowany w stanie wojennym. Obecnie na emeryturze.

Leopold Lisicki – mgr pedagogiki. Certyfikowany specjalista psychoterapii uzależnień. Ukończył Akademię Pedagogiki Specjalnej w Warszawie. Od 27 lat pracuje jako terapeuta uzależnień, a także prowadzi zajęcia promujące zdrowy sposób życia w szkołach. Od początku lat 70. praktykuje zen i pełni funkcje monitora w Związku Buddystów Zen „Bodhidharma”.

Jarosław Markiewicz – ur. 1942 w Wysokim Litewskim, zm. 2010 w Warszawie – malarz i poeta. W 1969 założył Teatr Robotniczy, a w stanie wojennym w 1982 konspiracyjne pismo „Przedświt”. Założył również „Kościół Naturalnej Obecności”.

Roshi Reiko Maria Moneta Malewska – spadkobierczyni Darmy Rosiego Saidana Oi. Prowadzi sanghę Rinzaï Zen Ho Hakubajï. Lekarz psychoterapeuta, pracuje z dorosłymi i młodzieżą. Autorka kilku książek, m.in. *Zamiatając skały, czesząc mech*, w której opisuje swoją praktykę w japońskim klasztorze, do którego jeździła na kilka miesięcy w roku przez 10 lat. W 2019 r. w otulinie Puszczy Bolimowskiej otwarto wybudowane przez nią miejsce odosobnienia, w którym prowadzi praktykę zen. Odbywają się też medytacje on-line, na które zaprasza wszystkich, którzy pragną wyciszyć swój umysł i otworzyć serce. rinzaïzen.pl

Maria Mazur – ur. 1949 w Sanoku. W latach, gdy bywała w pracowni na ulicy Piastowskiej i mieszkała w Kielcach, często gościła przyjaciół z sanghi buddyjskiej, zmierzających na Kamieńczyk w Górach Świętokrzyskich. Pracowała w Zakładzie Ekologii i Ochrony Środowiska Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Kielcach (obecnie Uniwersytet Humanistyczno-Przyrodniczy Jana Kochanowskiego), jako nauczyciel akademicki. Przez ostatnie 33 lata przebywa wraz z synem Mikołajem w Sydney.

Zbigniew Miluński – ur. 1954, filozof, nauczyciel psychologii procesu A. Mindella. Pracuje jako psychoterapeuta, trener i konsultant w zakresie rozwoju osobistego, komunikacji interpersonalnej, rozwiązywania konfliktów i rozwoju organizacji. Od lat prowadzi autorskie warsztaty rozwoju osobistego.

Nyogen Włodzimierz Nowak – ur. 1956 we Wrocławiu. W wieku 15 lat zainteresował się buddyzmem i sztuką buddyjską. W 1974 r. rozpoczął praktykę zazen. W 1980 został wyświęcony na mnicha zen w jednym z amerykańskich ośrodków zen, a potem powtórnie w Japonii na kapłana tradycji zen *soto*. W 1982 r. w Los Angeles koreański mnich zen zapoznał go z malarstwem *zenga*. W roku 1983 po raz pierwszy wyjechał do Japonii, aby spotkać swojego nauczyciela Haradę Tangena, opata świątyni Bukkokuji w prefekturze Obama, od którego w 2011 r. otrzymał *shiho* (przekaz dharmy). Kontakt z obrazami i kaligrafiami japońskich mnichów zen oraz zachęty, które otrzymał od swojego mistrza zen i innych kapłanów, spowodowały, że malarstwo *zenga* stało się częścią jego praktyki. W 1995 r. otrzymał stypendium, które umożliwiło mu praktykowanie malarstwa zen z The Yokohama Zenkoji Scholarship Foundation for International Buddhist Study (Międzynarodowej Fundacji Buddyjskich Studiów Zenkoji w Yokohamie). Od 1989 r. mieszka w Sendai. Członek ZPAP.

Ryszard Ratajczak – ur. 1950 w Szczecinie. Wyrzucony z Liceum Pedagogicznego po rozruchach marcowych w 1968 r., za co dyrekcji był wdzięczny. Uczył się w szkole muzycznej, w klasie kontrbasu. Grał jazz i *free improvisation*, występował w studenckim teatrze i pantomimie. Po 1975 r. pracował w różnych leśnictwach jako leśnik, i spędził pewien czas na Kamieńczuku, gdzie odkrył wyższość wody ponad medytacją i wyższość medytacji ponad religią. W 1980 wyjechał do Australii, gdzie studiował japoński i antropologię, udzielając się jednocześnie w kręgach teatralnych i muzycznych w Perth, Western Australia, a także w tamtejszej grupie zen. Od 1985 r. mieszkał w Sydney. Od 1995 r. pracował jako bibliotekarz na University of Sydney, w oddziale starodruków i manuskryptów (Rare Books and Special Collections). Zm. 2017 w Sydney.

Bolesław Rok – prof. w Akademii Leona Koźmińskiego, przedsiębiorca. Trafił do buddyzmu w połowie lat 70. na Kamieńczuku, choć ścieżka, która go tam doprowadziła, była dość nieoczekiwana i zarośnięta. Kilka lat później znalazł wiele innych dróg, niektórymi nawet próbował iść. Był zapalonym ekologiem,

szczęśliwym przedsiębiorcą, aktywistą społecznym, edukatorem dla innych i dla siebie. Wydawał książki i posiłki w restauracji. Pisał i mówił, ale przede wszystkim zmieniał. Często zaczynał coś całkiem nowego i jeszcze częściej kończył. Jak napisała o nim we wspomnieniu Małgorzata Bocheńska „uwielbiał kobiety, póki nie stawały się babami. We wszystkim, co podejmował i w czym doradzał, w sumie (zawsze na stro- nie) osiągał sukces. No cóż, filozof, teoretyk organizacji”.

Jan Sar – ur. 1954 w Poznaniu. W latach 70. współtworzył i pracował na rzecz buddyjskiej wspólno- ty zen, w pracowni Urszuli Broll i Andrzeja Urbanowicza w Katowicach i na Kamieńczyku w Górach Świętokrzyskich. Wiele lat mieszkał poza Polską. Od 1998 r. ponownie mieszka w Poznaniu, założył rodzinę, pracował w Domu Dziecka. W latach 2010–2013 prowadził zajęcia z medytacji w poznańskim areszcie śledczym. Obecnie na emeryturze, udziela się w duszpasterstwie chorych, jest szafarzem.

Stefan Sencerz – ur. w Warszawie, przyjechał do Stanów Zjednoczonych, aby studiować filozofię i bud- dyzm zen. Wykłada filozofię (zachodnią i wschodnią) na Texas A&M University w Corpus Christi. Ma liczne publikacje w profesjonalnych czasopismach filozoficznych (głównie z zakresu etyki zwierząt i metaetyki), a także liczne wiersze, opowiadania i eseje, które ukazały się w czasopismach literac- kich. Wygrał konkurs dla organizatorów „slamów” poezji, w połączeniu z National Poetry Slam w Madison Wisconsin (2008), jak również szereg „slamów” poezji w San Antonio, Austin, Houston i Chicago.

Tadeusz Sławek – ur. 1946 w Katowicach, profesor nauk humanistycznych, samorządowiec. Absolwent filologii polskiej i angielskiej na Uniwersytecie Jagiellońskim. Związany z Uniwersytetem Śląskim nie- przerwanie od 1971 r., rektor w latach 1996–2002. Tłumacz, pisarz i publicysta. Wraz z kontrabasistą Bogdanem Mizerskim autor i wykonawca esejów na głos i kontrabas. Zajmuje się historią literatury an- gielskiej i amerykańskiej, literaturą porównawczą, zagadnieniami życia publicznego.

Adam Sobota – kustosz działu fotografii Muzeum Narodowego we Wrocławiu, nauczyciel akademicki.

Antoni Szoska – ur. 1949, profesor happeningu, wykładowca Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, artysta grafik, socjolog kultury.

Bogusław Tracz – ur. 1972, doktor nauk humanistycznych, historyk, pracownik naukowy Biura Badan Historycznych Instytutu Pamięci Narodowej w Katowicach. Jego zainteresowania badawcze koncentrują się na historii społecznej ziem polskich w latach 1945–1989, ze szczególnym uwzględnieniem Górnego Śląska. Jest członkiem redakcji półrocznika „CzasyPismo” oraz zasiada w Radzie Muzeum w Gliwicach. Opublikował m.in. *Hippiesi, kudłacze, chwasty. Hipisi w Polsce w latach 1967–1975* (Katowice-Kraków 2014), *Gliwice. Biografia miasta* (Gliwice 2019). Mieszka w Gliwicach.

Andrzej Urbanowicz – ur. 1938 w Wilnie, zm. 22.08.2011 w Szklarskiej Porębie, artysta, malarz. Jego prace są zgromadzone w muzeach na całym świecie. Uważany za ikonę polskiego undergroundu arty- stycznego. Współzałożyciel i lider pierwszej buddyjskiej wspólnoty w Polsce.

Henryk Waniek – ur. 1942 w Oświęcimiu. Uprawia malarstwo itp. Ponad 80 wystaw indywidualnych i zbiorowych. Od 1995 r. zajmuje się głównie pisarstwem. Wydał 18 książek: eseje i powieści. Mieszka w Warszawie i w Sudetach.

Andrzej Witkowski – ur. 1949, „belfegor”, w młodości włóczęga, w latach 60. i 70. należał do pierwszego pokolenia polskich *hippies*. Pracował w różnych zawodach, m.in. w Budapeszcie, Frankfurt nad Menem, Heidelbergu, Freibergu, Strasburgu, Hamburgu. Samouk. Mimo matury w Liceum Ekonomicznym, nigdy nie pracował w wyuczonym zawodzie. Ostatnio pracownik fizyczny Politechniki. Do dziś związany, choć znacznie luźniej, ze środowiskami kolejnych pokoleń spadkobierców polskich hipisów. Próbuje, w myśl hipisowskiego hasła „wszyscy są twórcami”, głównie poprzez artykuły do niszowych gazetek, felietony na „hipisowskich” stronach internetowych oraz inne słowne próby twórcze, propagować zainteresowania i przemyslenia, jakie wyniósł m.in. z pracowni na Piastowskiej 1. Nadal, niekiedy, staje się włóczęgą, także przestrzeni wewnętrzej.

studia
technik
relaksacyjnych



studia
psycho-
somatycznych
praktyk jogi

**Termin ósmej edycji
jedynych w Polsce
Poddyplomowych Studiów
Technik Relaksacyjnych,
przy AWF we Wrocławiu
nie jest ustalony**

W październiku 2018 r. zakończyła zajęcia grupa 24 studentów siódmej edycji i trwa nabór do edycji ósmej.

Program obejmuje 360 godzin pracy, w ramach następujących czterech bloków przedmiotów:

1. **Humanistyczne Podstawy Relaksacji** (historia i antropologia relaksacji, elementy psychologii stresu, filozofia przemiany);
2. **Biomedyczne Podstawy Relaksacji** (elementy anatomii i fizjologii, podstawy psychosomatyki, makrobiotyka i dieta);
3. **Metodyka ćwiczeń relaksacyjnych**;
4. **Praktyka wybranych technik relaksacyjnych** (masaż relaksacyjny, trening autogeny Schultza, trening progresywny Jacobsona, hatha joga, joga nidra, tai-chi, zen-shiatsu, medytacja, ćwiczenia świadomości ciała i głosu, technika Alexandra, metoda Feldenkraisa, taniec relaksacyjny, trening interpersonalny).

Studia kończą się napisaniem i obroną pracy dyplomowej na temat wybranej techniki relaksacyjnej. Absolwenci otrzymują dyplom ukończenia Studiów Poddyplomowych *Technik Relaksacyjnych*.

**W lutym 2021 r.
rozpoczęli zajęcia
studenci piątej edycji
pierwszych w Polsce
Poddyplomowych Studiów
Psychosomatycznych Praktyk Jogi,
przy AWF we Wrocławiu**

W lutym 2021 grupa studentów zakończyła zajęcia w ramach czwartej edycji 2019-2020 a rozpoczęła grupa w ramach piątej i zakończy latem 2022 r.

Program obejmuje 360 godzin pracy, głównie o charakterze praktycznym. Prowadzącymi zajęcia są doświadczeni praktycy oraz pracownicy naukowi znający zagadnienia jogi.

W programie studiów znajdują się:

- Filozoficzne i etyczne podstawy jogi;
- Biomedyczne podstawy jogi;
- Psychologia jogi;
- Tradycyjne i współczesne szkoły jogi;
- Uzupełniające techniki inspirowane jogą
- *Hatha yoga* - praktyki ciała fizycznego;
- *Shat kriyas* - higieniczne zabiegi jogi;
- *Pranayama* - praktyki oddechu i energii;
- *Pratyahara* - praktyki relaksacji;
- *Dharana* i *dhyana* - praktyki koncentracji i medytacji;
- Metodyka ćwiczeń jogi.

Studia kończą się napisaniem i obroną pracy dyplomowej na temat wybranej, teoretycznej lub praktycznej strony jogi. Absolwenci otrzymują dyplom ukończenia Studiów Poddyplomowych Psychosomatycznych Praktyk Jogi.

unikalne studia podyplomowe
przy Uniwersytecie Wrocławskim

joga klasyczna

Studia Podyplomowe Jogi Klasycznej przy Zakładzie Filologii Indyjskiej Instytutu Studiów Klasycznych, Śródziemnomorskich i Orientalnych na Uniwersytecie Wrocławskim rozpoczęła uroczysta inauguracja 13 października 2018 r. w Oratorium Marianum. W styczniu 2020 zakończyła grupa studentów w ramach I edycji. Jesienią rozpoczęła grupa w ramach II edycji i zajęcia będą trwać do początku 2022 r.

Studia stanowią wspólną inicjatywę Zakładu Filologii Indyjskiej (UWr) oraz Zakładu Technik Relaksacyjnych i Promocji Zdrowia (AWF we Wrocławiu). Tym samym Studia łączą dwa równorzędnie ważne aspekty sztuki życia jaką jest joga, a mianowicie: teoretyczną podstawę zawartą w filozofii i etyce jogi, wzbogaconą o naukę sanskrytu, oraz psychosomatyczny wymiar jogi, w którego obręb wchodzi praktyki: posturalne, oddechowe i medytacyjne. Z tego punktu widzenia, studia jogi klasycznej są unikatem w skali europejskiej, a być może nawet globalnej. Nigdzie bowiem nie są prowadzone badania akademickie nad jogą rozumianą całościowo, tj. jednym z sześciu systemów klasycznej myśli indyjskiej, połączone z praktyką i dydaktyką jogi wraz elementami wstępnymi ajurwedy i nauką sanskrytu.

Program obejmuje 360 godzin realizowanych w trzech semestrach, zajęcia odbywają się co dwa-trzy tygodnie w soboty i niedziele w ramach następujących bloków przedmiotowych:

**Joga w świecie współczesnym
Joga na Wschodzie
Filozofia i etyka jogi
Jogasutry i literatura hatha jogi
Podstawy sanskrytu i terminologia jogi
Psychologia jogi w teorii i praktyce
Arjurweda a joga
Świadomość ciała - asana
Pratyahara i joga nidra
Praktyki oddechowe w jodze - pranayama
Praktyki koncentracji i medytacji jogi
Metodyka prowadzenia zajęć jogi
Seminarium dyplomowe**

Studia kończą się napisaniem i obroną pracy dyplomowej na temat dotyczący jogi klasycznej. Absolwenci otrzymują dyplom ukończenia Studiów Podyplomowych Jogi Klasycznej.

Informacje mailowe o studiach: nina.budziszewska@uwr.edu.pl



Taki jest adres naszej strony, na której zieleni się od cennych informacji.
ZAPRASZAMY

„Przestrzeń” pismo Stowarzyszenia Trenerów i Praktyków Relaksacji *Przestrzeń*
we współpracy
z Podyplomowymi Studiami Technik Relaksacyjnych i Podyplomowymi Studiami
Psychosomatycznych Praktyk Jogi przy AWF Wrocław
oraz z Podyplomowymi Studiami Jogi Klasycznej przy Uniwersytecie Wrocławskim.

redakcja:

Aneta Augustyn, Magdalena Karciaz, Lesław Kulmatycki

opracowanie graficzne: MC-K

korekta: Aneta Augustyn

fotografie: autorzy zamieszczonych artykułów, archiwum Jana Sar oraz Jany K.

adres redakcji:

54-030 Wrocław, ul Przemyska 12,
e-mail: stowarzyszenie.przestrzen@gmail.com
NIP 898-214-63-46 - REGON 020830499

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania i redagowania nadesłanych tekstów.